twórczość

WRZESIEŃ 1958

ian Przyboś · Andrzej
owski · Tadeusz Nowak
Stanisław Zieliński · Jan
iewak · Leszek Kołakow-
· Kazimierz Wyka ·
zisław Najder · Hanna
Mortkowicz Olczakowa

twórczość

ROK XIV WRZESIEŃ 1958 NR 9

SPIS TREŚCI

Julian Przyboś
ELEGIA TUCHOLSKA
Str. 5

Andrzej Kijowski
OSKARŻONY
Str. 7

Tadeusz Nowak
MAŁY PSALM AZJATY DOPISKI ANNALISTY
Str 62

Stanisław Zieliński
TRYPTYK Z AKCENTEM PARYSKIM
Str 66

Jan Śpiewak
DIALOGI NAIWNE
Str. 81

Kazimierz Orłoś
DZIEWCZYNA Z ŁÓDKI
Str. 84

Leszek Kołakowski
POCHWAŁA NIEKONSEKWENCJI
Str. 88

Jan Prokop
WOKÓŁ PRZYBOSIA
Str. 95

Kazimierz Wyka
PONOWNY DEBIUT
Str. 107

Zbigniew Bieńkowski
JASKÓŁKA EGZYSTENCJALIZMU
Str. 120

Paweł Jasienica
„ZIEMIA JEST WSZYSTKIM WSPÓLNA"
Str. 127

Polemiki

Zdzisław Najder
PARANDOWSKI CZYLI DOLA KLASYKA
Str. 140

Wśród książek

„WYKREŚLAM FORMĘ MGLE..." — *Michał Głowiński*
Str. 145

SPRAWA W ŻYCIU NAJWAŻNIEJSZA — *Jan Józef Lipski*
Str. 148

POWIEŚĆ O DYGASIŃSKIM — *Włodzimierz Maciąg*
Str. 151

„TRADYCJE I REWIZJE" — *Janusz Sławiński*
Str. 153

TRZY KSIĄŻKI W JEDNEJ — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 157

PRZYJACIELE ANGLICY — *Zdzisław Najder*
Str. 159

Na widnokręgu

SPACER PO DNIEPRZE — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 161

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 162

KTO JEST TŁUMACZEM? — *Wojciech Natanson*
Str. 165

WSPOMNIENIE O WACŁAWIE BERENCIE — *Hanna Mortkowicz Olczakowa*
Str. 169

LAFCADIO W MADRYCIE — *Jan Błoński*
Str. 174

JÓZEF ROTH — CZŁOWIEK I PISARZ — *Jan Koprowski*
Str. 176

Z LEKTUR ZACHODNIO-NIEMIECKICH — *B. R.*
Str. 180

KILKA SŁÓW O VITEZSLAVIE NEZVALU — Hana Jechová
Str. 182

Noty

Str. 185

Książki nadesłane

Str. 194

REDAKTOR NACZELNY:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 10.—.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąc poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i De legatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PK Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 1

Cena prenumeraty:

kwartalnej	zł 30.—
półrocznej	zł 60.—
rocznej	zł 120.—

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na t prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportaż Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszaw konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 4761/c z dnia 2.8.58 r.
Nakład 4808 egz. Druk ukończono we wrześniu 1958 r. A-78

Julian Przyboś

ELEGIA TUCHOLSKA

W lasach czarnych i gęstych,
przebijanych strzelającą wysoko czerwienią pni masztowych sosen,
w gajach migających złotawymi przebiegami saren,
w borze, do którego dotarło pierwsze stado wilcze...

Chwila miną, chwila chwilą minowana,
i tu czas jest jak materiał wybuchowy!

Między szerokim na pół nieboskłonu liściem
wyściełającym cieniście i miękko mojej głowie słońce
a wskazującą ręką długiej, wąskiej dali
strzaskanej o bór i ujętej w dwie stalowe szyny...

Czyż mam do końca nie żyć, lecz usuwać miny,
a wiem, że przedwczesna wybuchnie?
(I to może jedyna pociecha?)

Między jutrzenką kąpiącą się w jeziorze a oczekiwaniem,
między zorzą a zapadnięciem nocy i wyroku,
między zapachem żywicy a ciepłem uchodzącym z ciała...

Łatwiej byłoby mi zgodzić się na śmierć, niźli milczeć.

Przed żółtym płomykiem lilii zapalonym nad zwierciadłem wody,
przed przyłożeniem lusterka do ust, aby stwierdzić,
między lilią wodną
a oddechem konającego...

Trudniej, niż umrzeć bez strachu, jest
żyć ze strachu i żywić się strachem,
tym chlebem powszednim śmierci.

W łoskocie pędzącego parowozu, w grzmocie miażdżących kół,
pod które rzucali poeci i kwiaty, i siebie...

W Borach Tucholskich,
śród zasypanych w nich dołów masowych...

Długo, wilgno, jakby z chmurki czerpał pierwsze grube krople,
drozd zadmuchał melodyjnie w idealny
flet z powietrza
(to jedyna: nie ludzka, obiektywna pociecha)
i kukułka zawołała, odleciała i szukała gniazda echa...

Czerwiec 1958

Julian Przyboś

Andrzej Kijowski

OSKARŻONY

1

Kazi

Wywiezienie jest tym razem łatwiejsze: śpi. Wstrząsa nią nagły dreszcz, gdy szofer i sanitariusz podkładają ręce pod jej łopatki i kolana, aby ją przełożyć na nosze. Z nabrzmiałych ust wydobywa się bełkot, jak gdyby „Jezus, Maria, Jezus, Maria". Na schodach, kiedy tragarze podają sobie ją w prawie pionowej pozycji, milczy z otwartymi ustami. Trzask zamykanych drzwiczek podrywa ją znów gwałtownie, ale pasy trzymają. Głowa stuknęła twardo o drewnianą ramę noszy, trzeba było podłożyć poduszkę. Ale potem chrapie znowu krótko, urywanie, chwilami tak głośno, że ktoś, kto by nie znał jej snu, mógłby się zaniepokoić.

Siostra Gonzaga nigdy się nie dziwi. Tylko posługaczki plaskają w ręce i pytają, który to już raz. Toczą wysoki wózek, jedna staje w nogach, druga przy wezgłowiu. Patrzą w szeroko otwarte drzwi, którymi wchodzi najpierw wilgotna, chłodna mgła. Siostra Gonzaga ze zwykłym ironicznym uśmieszkiem odbiera mały, żółty neseserek i, jakby nie wiedziała, co tam jest, zagląda. Nie chce przyjąć grzebienia. Jest za ostry.

Drzwi bez klamki trzaskają głośno. Na pastowanym grubo linoleum zostają ślady gumowych kół. Przed pawilonem warczy motor — karetka odjeżdża.

— Proszę iść teraz do pana doktora.

Jakiś nowy lekarz. Spisywanie idzie szybko. Pytania są zawsze te same, trzeba odpowiadać krótko i byle co. To i tak nie ma znaczenia. Chodzi o serię lekkich wstrząsów, nic innego nie można wymyślić.

Ale to jest jakiś nowy lekarz. Wysoki, szczupły, o kształtnej, wąskiej głowie, ciemny brunet, starannie uczesany. Ma niebieskie, chłodne oczy. Mówi powoli, wyraźnie akcentując końcówki. Zadaje pytanie patrząc w stół albo na końce palców, a przy ostatnim słowie nagle zwraca wzrok na człowieka siedzącego po drugiej stronie biurka. Patrzy długo, bez zmrużenia powiek.

Pyta: jak długo trwa ten stan, dlaczego wcześniej nie rozpoczęto leczenia, który raz chora zostaje przewieziona do szpitala, pragnie ustalić dokładnie, kiedy została przewieziona po raz pierwszy i w jakich odstępach czasu była

wznawiana kuracja. Milczy potem chwilę, podnosi paznokcie do oczu, jakby chciał sprawdzić ich połysk, i przepraszając za niedyskrecję mówi: — Kiedy się państwo pobrali? — Rzuca okiem na swoje notatki. — Pani musiała być wtedy bardzo młoda. — Interesuje go także różnica wieku. — To w małżeństwie jest bardzo ważne — usprawiedliwia się.

— Dzieci były już na świecie, kiedy, kiedy... — szuka wyrażenia i podnosi wysoko brwi, gdy słyszy odpowiedź.

— I mimo to zdecydował się pan mieć dzieci?

Pytania teraz sypią się całą serią, trudną do zapamiętania. Nie wszystkie zresztą wymagają odpowiedzi.

W takich wypadkach doktor nie czeka na nią, lecz tylko odwraca dłoń grzbietem na dół, jakby chciał powiedzieć: „a widzi pan". Jedno pytanie brzmi:

— Czy może pan określić w przybliżeniu dawkę, którą chora zażyła ostatni raz?

Zanim zapisze odpowiedź, powtarza ją dokładnie i prosi o potwierdzenie.

— A więc wczoraj rano zastał pan na nocnym stoliku opróżnioną fiolkę phanodomu, tak? — I znowu seria pytań: — Skąd pan wie, że fiolka przedtem była pełna? Czy to pan ją przyniósł? Nie? Sama nie wychodziła do miasta? Ach, więc leżała już przedtem cały tydzień w stanie ostrego zamroczenia? Czy były jakieś ekscesy? — Wkłada sobie papierosa do ust, przyjmuje ogień bez podziękowania i wypuszczając pierwszy kłąb dymu mówi: — Proszę jutro zajrzeć.

Przed drzwiami stoi wózek z przerzuconym w poprzek wytartym płaszczem. Tęga posługaczka w popielatym fartuchu zaciera froterką ślady kół. Nuci coś urywanym, zduszonym głosem. Podnosi głowę.

— Z panią coś gorzej niż zwykle. Chrapie! Ani drgnęła, kiedyśmy ją przebierały. A co się nawymyśla zwykle!

Śmieje się.

Zza białych drzwi bez klamki wychodzi siostra Gonzaga niosąc flanelową koszulę nocną.

— Niech to pan zabierze — mówi sucho — trzeba zaraz wyprać, bo czuć moczem. Na płaszczu jest jakaś plama, widział pan? — Podnosi płaszcz do góry, do światła.

— Błoto — stwierdza posługaczka. — Co to człowiek ze siebie potrafi zrobić — dodaje opierając się na froterce.

Siostra odchodzi już do dyżurki. Odwraca się niechętnie, kiedy słyszy pytanie:

— Pan doktor? Pan doktor nazywa się Jerzy Koeller. To świetny lekarz — dodaje już z własnej woli.

Mgła opadła. Chodnik jest mokry, żółte liście przywarły mocno do betonu, oblepiły ławki. W trawie, sinej od topniejącego szronu, bielą się puste wnętrza kasztanowych łupin. W pawilonach okna są otwarte i wietrzy się pościel. Ktoś śpiewa wysokim głosem, urywając w połowie każdą frazę. Gdzieś odzywa się zmieszany klekot drewnianych chodaków i ktoś piskliwie woła:

— Czoło wolniej!

— Czoło wolniej! — powtarzają rozbawione głosy i brzmi gromadny śmiech.

Przed kaplicą stoi wysoki, czarny samochód. Dwóch ludzi w ciemnoszarych

mundurach ze srebrnymi guzikami zatrzaskuje tylne drzwi. Warczy motor, samochód rusza zwolna, osnuwa niebieskim dymem klomb rdzawych begonii. Przed kościołem stoi kilka kobiet, widać wśród nich kornet zakonnicy i parę białych, pielęgniarskich czepków.

— To wyzwolenie dla takiego człowieka. Należałoby się modlić o śmierć.

— Nie wolno chyba modlić się o śmierć?

Z ostatniej alei, która od kaplicy prowadzi ku bramie, jest widok na Wisłę i Bielany. Rzeki nie widać, tylko wał, który zamyka płaską, brunatną przestrzeń pól. Biały klasztor lśni w ciemnym, prawie czarnym masywie lasu, jak wapienna skała. Trzy wieże wyrastają ponad ostrą linię drzew. Nad nimi jest niebo błękitne, ale prześwietlone białym światłem. Powietrze zaczyna drgać: zbliża się gwałtowne południe jesieni.

Droga od zakładu wznosi się zaraz w górę i po chwili już zakład jest w dole: czerwone dachy wśród żółknących drzew, komin elektrowni, wieża ciśnień podobna do flakonu, sygnaturka na stromym dachu kaplicy. We wsi pieją koguty, warczy gdzieś lokomobila, tłuką cepy, brzęczą duże muchy nad drzemiącymi psami, które unoszą lekko powieki na widok przechodnia. Na przystanku autobusowym nikogo — nie ma teraz wozu. Trzeba iść piechotą. Do tramwaju jest godzina marszu. Zaraz za wsią trzeba zejść z drogi, która wlecze się szerokimi zakosami okrążając rozległe płaskowzgórze, częściowo łyse, częściowo pokryte niskim, gęstym, sosnowym laskiem. Trzeba iść wierzchem płaskowzgórza przez opustoszałe koszary i dawny lager. Mija się najpierw długie, parterowe budynki i zarośnięte trawą place, na których stoją jeszcze żelazne zagrody dla koni. Przez okna i drzwi, pozbawione szyb i futryn, widać otłuczony tynk i czarne ślady pieców.

Potem wchodzi się coraz wyżej, piaszczystą ścieżką pośród chwastu i rzadkiej trawy. Tu rozpoczyna się szeroka betonowa droga. Beton popękał, w szczelinach plenią się chwasty. Po obu stronach drogi znać jeszcze prostokątne zarysy fundamentów i jakby ślady rabatek, okrągłych klombów, żwirowanych ścieżek. Tu i tam czerni się w trawie kłąb zardzewiałego kolczastego drutu, jak spalony krzak. Wiatr parzy policzki, huczy w uszach, szeleści w suchej trawie. Słychać klekot drewnianych chodaków. Piskliwy głos woła:

— Czoło wolniej!

— Czoło wolniej — powtarzają rozbawione głosy i wybucha gromadny męski śmiech. Zza krawędzi wzgórza, na lagrowej popękanej drodze ukazuje się dwuszereg mężczyzn w popielatych drelichach. Niosą w rękach oskardy, łopaty i kopaczki.

— Czoło stać!

— Czoło staaać! — śmieją się dobrodusznie. Za nimi zjawia się pielęgniarz w białym fartuchu i w kurtce narzuconej na ramiona.

— Do roboty, panowie!

— Nie będzie nas, będzie las!

Dźwięczą oskardy, rozpryskują się pierwsze kawałki betonu, pokazuje się ich czerwone wnętrze. Powietrze drży nad Bielanami, niebo coraz bielsze, ciąży na ręce zimowy płaszcz.

Do tramwajowej pętli prowadzi piaszczysta ścieżka przez szkółki sosnowego lasu.

2

Nazajutrz sytuacja jest niezmieniona. Nie obudziła się. Siostra Gonzaga mówi, że to była zabójcza dawka. O wysokości dawki wie od doktora Koellera.

— Uodpornienie ma swoje granice. Tym bardziej że organizm jest wyniszczony. Przy tym trybie życia, po tym, co jadła ostatnio...

Wszystko wie od doktora Koellera.

— Doktor pana prosi — mówi gniewnie na koniec.

Jest późne popołudnie i zachodzące słońce świeci prosto w szyby pokoju lekarskiego. Oślepia przy wejściu, postać doktora jest tylko czarnym, wibrującym konturem. Doktor zrywa się gwałtownie, wybiega zza biurka z wyciągniętymi rękami.

— Witam, witam, drogi panie. Jakże pan się miewa? A dzieci? Niech pan przede wszystkim opowiada o dzieciach.

Doktor przypomina sobie, kiedy je widział ostatni raz. Z wyrazem zatroskania pociera sobie różową łysinę, pokrytą jasnymi, drobnymi włoskami, wśród których bieleją płatki łupieżu. Doktor widział dzieci chyba dwa lata temu, kiedy był w domu z wizytą. Ma dobrą pamięć: pamięta, że Piotr był właśnie po maturze, a Wanda zjawiła się w jakimś mundurku.

— Tak — śmieje się — była wtedy bardzo z tego dumna.

Poważnieje:

— Czy pomagają panu w znoszeniu tego nieszczęścia? — Macha niecierpliwie ręką: źle postawił pytanie.

— Inaczej — czy rozumieją swoje położenie? — Nie czekając na odpowiedź zrywa się, zaczyna chodzić po pokoju i woła:

— Już wyjaśniam, już wyjaśniam.

Rozwodzi się szeroko nad problemem dziedziczności, oczywiście interesuje go w tej chwili moralna strona zagadnienia. Człowiek, postawiony wobec problemu dziedziczności, stoi wobec losu oko w oko, doświadcza go w najbardziej okrutnej postaci, bez osłonek. Rozumieli to dobrze Grecy — tragedia grecka jest zbudowana na przekleństwie dziedziczności: klątwy bogów i przepowiednie były próbą znalezienia jakiegoś porządku, jakiejś motywacji w następstwach biologicznych. Doktor przeprasza — może zbyt zapuszcza się w abstrakcyjną, literacką problematykę w momencie raczej nieodpowiednim. Ale zaraz wraca do dziedziczności, która jest, jego zdaniem, najoczywistszym dowodem tego, że — tu doktor gubi się, brak mu konkluzji.

— Pan, proszę pana, może znaleźć w swojej sytuacji jakiś sens. Mógł pan poślubić tę lub inną kobietę, prawda? Pamiętam, jak mi pan to raz powiedział: uderzył pana lęk w oczach pani, prawda? Znam ten lęk w oczach dojrzewających dziewcząt, dla psychiatry to chleb codzienny. Dla pana to był znak, to był wybór, jakaś misja, jakiś obowiązek. Psychiatra i to zna. Psychiatrze trudno mieć wątpliwości, czy pan mógł ujść przed powołaniem: to było w panu, widzi się u drugiego to, co się kryje w sobie. Nie sądzi pan? Psychiatra nie zawsze musi mieć rację. W każdym razie pan dzisiaj może sobie powiedzieć, że mógł pan ujść. Pan na pewno pamięta dzień i godzinę, kiedy miał pan jeszcze drogę odwrotu. Pamięta pan słowo lub gest, który zdecydował o wszystkim. Pan zna tajemnicę swego wyboru. Pański syn nie wybierał nocy wrzasków i bełkotów — niech pan wybaczy brutalność. I kiedy ogląda tę obrzmiałą twarz, pokrytą czerwonymi pla-

mami (to z nadużywania związków bromowych), kiedy wezwany przez pana do pomocy dźwiga to zniekształcone, bezwładne ciało, kiedy słucha złorzeczeń albo obrywa po twarzy, wtedy — niech pan o tym zawsze pamięta — w przeciwieństwie do pana, ma on wszystkie argumenty za sobą, żadnego przeciwko sobie. Pan może być oskarżonym lub bohaterem, zależnie od punktu wyjścia. On jest zawsze tylko ofiarą. Pan zdaje sobie z tego sprawę? A on, pański syn? A córka?

Słońce przesuwa się trochę w bok, kryje się za ramą okienną, można patrzeć na doktora bez bólu źrenic.

Doktor przeprasza za emfatyczne gadulstwo. To nowe przyzwyczajenie, odkąd objął wykłady. Dlatego zresztą zaniedbał szpital, rzadko tu bywa, zastępuje go doktor Koeller, znakomita siła. Dziś zjawił się wyjątkowo i zastał właśnie panią... Stan jej jest niedobry. To była podobno silna dawka. O, właśnie jest kolega Koeller.

Doktor Koeller wchodzi powoli, wita się, wyciąga przed siebie papierośnicę. Wzrusza ramionami: obawia się zapalenia płuc. Doktor Czerwiński przerywa mu i powierza szczególnej opiece ten przypadek. Twierdzi, że podczas całej swojej praktyki nie spotkał się z taką ofiarnością i z takim poświęceniem, jakiego dowody składa od dwudziestu z górą lat pan — wskazuje ręką. Zna dom państwa od początku choroby, od pierwszych objawów psychozy, która doprowadziła do tej ostrej manii narkotycznej, a także do manii samobójczej. Przychodził do tego domu w sytuacjach, których nie zapomina się całe życie. Widział napady ostrych szałów, podczas których mieszkanie przedstawiało istne pobojowisko, istne pobojowisko, jemu samemu także się raz dostało, tak, doktor śmieje się pobłażliwie i macha ręką. Widział skutki zamachów samobójczych: pokrajane żyletkami przeguby rąk, ślady jodyny na wargach — wszystko oczywiście nie bardzo na serio. Był podobno pożar? Ach tak, pani zamknęła się w pokoju na klucz, podpaliła otomanę i położyła się na łóżku, czekając, aż płomienie do niej dotrą.

— Otomana się spaliła, prawda? Prawie cała? Nie? Naturalnie, zawsze to było robione, kiedy ktoś był w mieszkaniu. Tak samo z tym topieniem się w wannie, z tym rzucaniem się z okna. Panie kolego, proszę sobie wyobrazić, potrafiła przeleżeć godzinę, i więcej, na samym skraju parapetu czekając, aż ktoś wreszcie wejdzie do pokoju. Czasem już alarmowano z ulicy... Ach, Boże!

Doktor Czerwiński nagle urywa, macha ręką i powtarza z naciskiem, że mąż pani wykazał, naprawdę wykazał w tym nieszczęściu...

Brakuje mu słów. Dodaje jeszcze, że radził od dawna oddać chorą do zakładu. Nie tyle dla jej dobra, ile dla dobra zdrowych: dla dobra dzieci i dla samego pana, który naprawdę wygląda jak cień. Jest ruiną tego mężczyzny, którego ma się w pamięci z dawnych czasów. Mąż jednak obawiał się... To cios, szpital, otoczenie, późniejsza opinia.

Doktor Koeller wypuszcza kłąb dymu, strzepuje popiół z papierosa, ogląda sobie końce palców i stwierdza spokojnie, że chora jest pod dobrą opieką. — Jeśli sobie panowie życzą, zaraz dowiemy się, co tam słychać. — Dzwoni, wchodzi siostra Gonzaga. Doktor prosi, żeby zajrzała do chorej, która leży w separatce. Doktor Czerwiński nagle spogląda na zegarek, przerażony łapie się za głowę, ściska dłonie, porywa teczkę i wybiega.

Doktor Koeller siada za biurkiem, bierze do ręki swoją książkę, przewraca kilka kartek, jeszcze chwilę czyta, po czym nie podnosząc oczu mówi:

— Czy pan zdaje sobie sprawę, że żona z tego nie wyjdzie?

Błysk jasnego spojrzenia, głos nagle zaostrzony:

— Dwadzieścia tabletek w stanie już dużego zatrucia, przy kompletnym wygłodzeniu organizmu. Uodpornienie robi swoje, tak, tylko dlatego ona jeszcze oddycha. Proszę! Co, siostro? Bez zmian? Dziękuję. Słucham pana? Nie dosłyszałem.

Słucha bez zdziwienia, przykładając palce obu dłoni końcami do siebie.

— Pan jest rozdrażniony — mówi w końcu. — Rozumiem pana. Myli się pan co do mnie: nie oskarżam pana o nic. Rozmawiam z panem na tej płaszczyźnie, którą pan sam wybrał. Pan wziął na siebie odpowiedzialność. Czy chciałby pan, żeby nikt nie wyciągnął z tego konsekwencji? Ja jestem do tego, niestety, obowiązany. Ktoś to musi zrobić. Inaczej pańskie całe życie nie miałoby sensu. Niech się pan uspokoi — podnosi głos.

Po chwili milczenia wyciąga przed siebie pudełko z papierosami.

— A więc proszę jutro znowu zajrzeć.

W powietrzu czuć mgłę. Alejkami przechadzają się młode pielęgniarki w płaszczach narzuconych na fartuchy. Ktoś śpiewa wysokim głosem, urywając w połowie frazy. W kaplicy brzęczą organy. Słońce chowa się za lasem bielańskim, trzy wieże są teraz czarne jak zgliszcza, niebo nad nimi zielonkawe jak krzepnący lód. Autobus dopiero co pojechał, znowu trzeba iść piechotą, w koszarach bawią się chłopcy, puste budynki oddają echo. Lagrowy beton jest rozbity w kilku miejscach — obłąkani zasadzą tu las. Nad zakładem, wsią i krętą szosą wisi już płaski, siny opar.

W domu jest Piotr, który robi sprzątanie. Jest ubrany w spodenki gimnastyczne i trykotową koszulkę. Cały spocony, ma czarne kolana — na klęczkach wyciera posadzkę pod łóżkiem, pod otomaną. Z każdego kąta wygarnia stosy niedopałków: białe, zgniecione kadłubki z czarnymi łebkami, jak poduszone robactwo. Powinno się wziąć kogoś do tej roboty, ale Piotr protestuje: nie można nikogo wprowadzać. Później, do pastowania. Pierwszy porządek trzeba zrobić samemu. Czekał właśnie na pomoc, bo chce rozebrać łóżko. Materac i sprężynowy wkład są przesiąknięte moczem. Kiedy się zupełnie ściemni, trzeba je wynieść na ganek. Gorzej z otomaną — jest za duża, żeby ją wynieść, a także ją czuć. Z tej wypalonej dziury sypią się kłaki.

Dzwonek — wchodzi Wanda. Ma na sobie granatową spódniczkę i zieloną koszulę. Znowu wraca z zebrania. Wyjmuje z nylonowej siatki czerwony krawat i starannie rozwiesza go wśród krawatów Piotra. Składa na biurku stos broszurek, czesze się, stoi chwilę przed lustrem, wreszcie wchodzi do pokoju matki. Opiera się o łóżko, z którego zostały tylko dwie ścianki, jedna u wezgłowia, druga w nogach, połączone dwiema deskami bocznymi — w poprzek leży kilka wąskich deszczułek, między którymi widać podłogę. Wanda patrzy w otwartą, niespodziewaną głębię pustego łóżka, potrząsa głową i odchodzi. Piotr klęczy teraz z mokrą ścierką koło szafy, spod której wygarnia nowe roje poduszonych ustników. Nawet nie podnosi głowy.

Wanda pyta o matkę. Dziwi się, że jeszcze śpi. Oblicza głośno, ile godzin trwa sen: prawie czterdzieści osiem.

— Zresztą, może to i dobrze, od razu odeśpi wszystko. To chyba nie była duża dawka. Przecież od tygodnia już nie wychodziła, nie mogła sobie kupić. Zażyła jakieś resztki.

Piotr zapuszcza mokrą szmatę coraz głębiej pod szafę.

— Weźże szczotkę — mówi Wanda. — Ale jednocześnie ją to osłabi, prawda? Co mówią lekarze? No, tak — oni nic nie powiedzą, a zresztą ich tam nic nie obchodzi poza mózgiem. Czy nie należałoby jej raczej przenieść na internę? Powinno się zrobić pompowanie żołądka, sondę, jakąś kurację przeciwko zatruciu.

Piotr wstaje, z trudem prostuje grzbiet, ociera czoło wierzchem dłoni.

— Dlaczego nie poprosić dozorczyni? Po co się męczyć? — Piotr nie odpowiada. Wanda stuka palcem w czoło: wszyscy dobrze wiedzą. — Ale nie znają szczegółów — rzuca Piotr — to ważne. Szczegóły są ohydne i groteskowe. — Wanda zaperza się: — Kryjąc się z tą całą sprawą, stajemy się jej niewolnikami. — Piotr nie rozumie. — Tak, tworzymy sobie w tej sprawie własną, niekontrolowaną moralność, wymyślamy sobie sankcje, których nikt nie sprawdza. Piotr uśmiecha się pobłażliwie: czy Wanda sądzi, że tutaj są jakieś drogi wyboru? Czy sądzi, że możemy być bardziej lub mniej winni, albo czy możemy zasłużyć się bardziej lub mniej? Rozcapierza palce i wylicza: czy jesteśmy winni wtedy, gdy trzymamy ją w domu, gdzie doprowadza do ruiny siebie i nas, czy też wtedy, gdy oddajemy ją do szpitala wariatów, gdzie zostaje zamknięta w jednej sali z kilkudziesięcioma furiatkami, z alkoholiczkami, syfilityczkami? Czy jesteśmy winni wtedy, gdy ją za szybko odbieramy, czy wtedy, gdy staramy się ją jak najdłużej zatrzymać? Wanda czerwienieje z gniewu: tak nie jest. Tam rozdziela się wypadki cięższe od lżejszych. Lżej chorzy chodzą na spacery, pracują, proszę, ojciec widział, jak zalesiają lager. Matka szantażowała swoimi opowiadaniami o okropnościach szpitala. Piotr wpada jej w słowa: a więc ktoś musi być winien. Matka, tak? Wanda uspokaja się nagle, podchodzi do niego przekrzywiając głowę i cedzi:

— A sądzisz, że nie?

— Jest mi to obojętne — odpowiada Piotr. Ociera czoło ramieniem. — Nie szukam pociechy w aktach oskarżenia.

— Nie chodzi o twoją pociechę, ale o porządek.

Piotr macha ręka. Wanda pyta zaczepnie, czy dla niego ten porządek nie ma żadnego obiektywnego sensu. Jest gotowa mu udowodnić. Czerwienieje. Czy Piotr zdaje sobie sprawę, jakby wyglądało życie, gdyby każdy brał na siebie swoje sprawy i starał się je rozstrzygać w zamkniętym kręgu? Dla Piotra każde wyjście poza ten krąg jest ucieczką i szukaniem ulgi, ależ tak. Wszystkie zbiorowe wysiłki polegają na szukaniu ulgi, Wanda nie może pojąć... Peroruje gwałtownie, rozgniewana milczeniem Piotra, podaje argumenty na dłoni obróconej wierzchem na dół, tak jak doktor Koeller, kiedy oskarża.

Piotr nie słucha. Wyciąga zza pieca kłęby pstrokatych szmat, powiązanych dziwacznymi węzłami w długie powrósła, rzuca to na środek pokoju. Otwiera piec, znajduje tam starą, zardzewiałą brzytwę, butelkę z resztą jodyny. Wanda urywa i wychodzi z pokoju. Piotr pracuje dalej w milczeniu. Zabiera się do nocnej szafki. Szufladka jest zupełnie zapchana papierami. Trzeba ją mocno szarpnąć: wysypują się wtedy na podłogę kartki podartych książeczek do nabożeństwa, nowenny i modlitwy, barwne obrazki, a także pomięte kartki wyrywane z zeszytów. Puste fiołki po phanodormie, gardenalu, bromuralu, luminalu. Pokruszone pastylki, ziarnka porwanych różańców, tanie medaliki, strzępy wstążek, połamane ołówki i zeschnięte kawałki bułek i chleba. Wszystko

przesiąknięte zapachem walerianowych kropli, pudru i spirytusu. Są także kłębki popielatych włosów, wśród których błyska czasem złotawy promień.

Piotr sięga po kartki z zeszytów, widać tam jakieś pismo. Wielkimi, zdziecinniałymi literami powtarza się wszędzie ten sam tytuł: Mój Testa, Mój Testam, Mój Te — ale za każdym razem jest urwany.

3

Maria dzwoni do biura. Dziwi się: znowu szpital? Potem coś ją niepokoi, bo pyta, czy coś poza tym się stało.

— Dlaczego nie możesz mówić? Dlaczego nie możesz mówić? Mów ogólnikowo, przecież ja wszystko wiem. — Trudno się porozumieć, po jednej i po drugiej stronie są świadkowie. Maria proponuje „Europejską". Niecierpliwi się: wszystko jedno, więc Michalik, tam jest ciemno i pusto.

— W biurze u mnie? Kiedy? Za godzinę? Możesz wyjść? Ale dlaczego...

Rozłączono rozmowę — jakaś zamiejscowa.

Zagniewana przeciska się między biurkami, kiedy ją zawołano. W granatowym płaszczu satynowym z białym kołnierzykiem, z dużym „M" na kieszonce, z której wychodzi koronkowy brzeg chusteczki i automatyczny ołówek ze złotą główką. Włosy upięte wysoko, ciasno, połyskują dobrym szamponem. Koło oczu i ust, tu gdzie gromadzą się promyki zmarszczek, lśni krew. Wargi dopiero co pociągnięte kredką, jeszcze rusza nimi, aby zrównać.

Kontuar jest szeroki i wysoki. Za szeroki, aby dosłyszeć szept, za wysoki, aby się do siebie nachylić. Trzeba by prawie krzyczeć — hala jest pełna trzasku maszyn do pisania i do liczenia, kasjer wykrzykuje numery, dzwonią telefony, głosy brzmią tutaj głucho, jest pogłos jak na dworcu kolejowym. Jeśli krzyknąć głośno, usłyszą ludzie. Stoją obok, siedzą przy pobliskich biurkach, co chwila podbiegają do Marii i podsuwają jej kwitariusze i asygnaty. Ona wyjmuje wtedy szybkim ruchem automatyczny ołówek z kieszeni, czyta ze zmrużonymi powiekami przedłożony dokument i jednym pociągnięciem ręki wyrysowuje swój znak. Tutaj nie będzie się można porozumieć. Będzie czekała na Plantach, na ławce, w ustronnym miejscu, w kółku koło Lilli Wenedy. Zaraz po trzeciej. Odchodząc, mruga obiema powiekami, pobłażliwie i wybaczająco.

Po pierwszych słowach opiera się głęboko, odwraca głowę, patrzy na sczerniałą kamienną dziewczynę, oplecioną wężami.

Wreszcie pyta:

— Powiedziałeś dzieciom?

Nie rozumie: dlaczego nie mówić? Kiedy im powiedzieć? Gdy już będzie po wszystkim? Zgadza się: nie można mieć pewności, ale trzeba je przygotować. Uważa także, że powinna o tym wiedzieć dalsza rodzina. — Ona miała siostry, prawda? — Poprawia się: ma, tak, ma siostry. Otóż siostry powinny także wiedzieć. Tym bardziej, jeśli nie znają przebiegu wszystkich spraw. Jest teraz bardzo zdenerwowana, płoną jej policzki, krzyczy:

— Z czym tu zwlekać? Na co czekać znowu?

Wytrzymuje krótką pauzę i pyta w końcu przytłumiwszy głos:

— Chcesz, żeby były potem jakieś pretensje?

Nie określa bliżej tych pretensji: ona już wie, jak to jest z rodziną. Rodzina

mogła nie interesować się całe lata, teraz powie, że nie dano jej w porę znać, że jeszcze by można coś zrobić. Uważa zresztą, że te pretensje byłyby poniekąd słuszne. Sprawa jest zbyt poważna, żeby brać ją na swoją odpowiedzialność.

W końcu mięknie, przestaje błądzić wzrokiem dookoła, jej oczy są ciepłe, pobłażliwe: rozumie, to przecież straszne, mimo wszystko straszne; człowiek chciałby w takich chwilach wstrzymać niejako bieg wypadków. Człowiekowi wydaje się, że rozgłaszając utwierdza to, co się dzieje, czy to, co się ma stać. Prawda, że o to chodzi? Nie? Jest jakby urażona. Chce wiedzieć, o co chodzi. Ale nie domaga się już odpowiedzi. Mruga obiema powiekami z lekkim uśmieszkiem i prosi, żeby ją odprowadzić do biura, ma popołudniową robotę. Jeszcze staje w drzwiach przytrzymując ich ciężkie skrzydła i prosi, żeby dać jej znać zaraz rano albo nawet dziś wieczorem. Będzie w domu. Koniecznie prosi o wiadomość dziś wieczorem. Będzie czekała. Drzwi trzaskają głośno.

Jest trzecia trzydzieści. O piątej trzydzieści odchodzi autobus. Dwie godziny czasu. Na ulicach jest teraz rojno, na Plantach spokojniej. Dużo samotnych starszych mężczyzn i zapatrzonych przed siebie kobiet. Dzieci biegają z piskiem po trawie, szukają kasztanów. Nie ma kasztanów, tylko puste łupiny z białymi wnętrzami, jak muszle. Któreś drzewo otacza wrzeszcząca gromada. Na pniu rozpłaszczyła się wiewiórka głową na dół. Czerwona piłeczka utonęła w rabacie astrów. Jest coraz bardziej pusto i mroczno — drzewa coraz wyższe, u końca alei rośnie ciemny masyw zamku. Po prawej ręce ciągną się zwaliste kamienice z krytymi balkonami, po lewej mur więzienny, na którym błyszczą odłamki szkła. Mur przytyka do czerwonego gmachu z gotycką wieżyczką. Gmach jest dwupiętrowy. Ma wysokie okna w kamiennych, bogato rzeźbionych framugach. Wszystkie okna parteru są zamknięte, wszystkie okna pięter lekko uchylone. W każdym z nich, w tym samym miejscu na ścianie, widać wiszącą lampę z płaskim, zielonym kloszem i krzyż.

Jest czwarta. Jeszcze półtorej godziny. Autobus odchodzi z placu Kossaka, dziesięć minut drogi stąd. Jest jeszcze czas.

„Proszę dzwonić." Rzeźbiona klamka, rzeźbiona krata, drzwi się automatycznie otwierają. Jest zapach kadzidła i kuchni. Portier, młody chłopiec o twarzy otyłej dziewczyny. Owszem, jest ksiądz, zaraz go zapytamy, czy przyjdzie. Mówi w liczbie mnogiej. Znowu się wychyla: ksiądz zejdzie do rozmównicy. Wejdźmy sobie tam i usiądźmy.

Trzask drzwi i cisza. Znowu trzask, tylko gdzieś dalej, łopot sutanny, lekkie kroki, cicho lepiące się do linoleum. Trzask — czyżby drzwi nie miały klamek? — jest ksiądz Karol.

Obrusza się gwałtownie:

— Co pan mówi? Nigdy sprawa nie jest beznadziejna. Wszystko w rękach Boga.

Obiecuje się modlić, prosi siadać. Dziwi się:

— Dlaczego pan pyta? Oczywiście powinien pan powiedzieć dzieciom, uprzedzić rodzinę. Czy to jest dla pana zbyt ciężkie?

Czeka cierpliwie na odpowiedź, potem słucha uważnie, przekrzywiwszy głowę — pewnie nałóg z konfesjonału. Kilka razy przerywa: pyta o wiek Piotra i Wandy. Widział ich tylko raz, kiedy pani kazała go wezwać do siebie z ostatnim namaszczeniem. Przyszedł bez olejów świętych, jakoś jej tam wytłumaczył, że nie ma niebezpieczeństwa, zamienił parę słów z dziećmi. Przypomina, że wychodząc prosił wtedy o skomunikowanie się.

— Dlaczego pan nigdy nie przychodził? Potrzebowałem nieraz pana wyjaśnień.

Uśmiecha się z lekką ironią.

— Mógłby pan powiedzieć, że to nie mnie trzeba było w tym wszystkim pomagać. Zgoda, ale ja panu także mogłem pomóc.

Mija wpół do piątej.

— Aha, pan się spieszy do autobusu? Przyznam, że chciałbym z panem szczerze porozmawiać. Może się mylę, ale pan tego chyba potrzebuje. Nie teraz, naturalnie, nie teraz. Ale później, jakkolwiek się sprawy potoczą. Musi pan wziąć pod uwagę, że wiem o panu i o pani więcej niż ktokolwiek na ziemi. Niech pan sobie pozwoli zadać tylko jedno pytanie. I bardzo proszę, niech pan się zastanowi nad szczerą odpowiedzią. Nie jest ona potrzebna mnie, ale panu. Niech pan powie: po co pan do mnie przyszedł?

Czeka chwilę, po czym wstaje.

— No, tak, milczy pan. Jest pan zaskoczony, bo księża na ogół nie stawiają takich pytań.

Przechadza się po rozmównicy, skrzypią pokostowane deski. Siada, znowu z tym samym przekrzywieniem głowy.

— Oczywiście nie zadałbym takiego pytania nikomu, kto by przychodząc tutaj wiedział, że po prostu przychodzi do spowiedzi. Pan nie jest tego pewien. Nie, niech pan nie zaprzecza: do księdza przychodzi się zawsze trochę do spowiedzi. To jest nawyk podświadomości. U nas jest ta drażniąca szansa oczyszczenia, w którą teoretycznie można nie wierzyć, ale sama jej idea ciągnie jak magnes...

Następnie ksiądz mówi, że to, co usłyszał, mogłoby zdziwić tylko kogoś, kto by nie był tak jak on spowiednikiem tego nieszczęśliwego człowieka od kilkunastu lat. Wie o niej tyle, że może mówić w jej imieniu. Otóż może zapewnić, że wiedziała wszystko o sobie, a najlepiej to, że wzbudza nienawiść. Mówiła tak, żeby jej zaprzeczyć, ale — powtarza ksiądz — tutaj wszystko liczy się jak wyznanie. Wiedziała więc, że wzbudza nienawiść, i chciała, żeby jej przeczono słowem i czynem. — Mówiła mi to przy każdej spowiedzi, krzyczała, gdym jej starał się to wyperswadować. A potem wracała do domu i urządzała te dzikie sceny, na które patrzyliście z przerażeniem, dzikie, ohydne sceny, które były prowokowaniem nienawiści. Szalała tak długo, jak długo byliście łagodni, dobrzy, cierpliwi, wyrozumiali. Uspokajała się, kiedy w oczach waszych dostrzegała wściekłość, kiedy przestawaliście panować nad odruchami. Kiedyś Piotr uderzył ją w twarz, Wanda krzyczała, żeby ją wiązać. Raz nawet związaliście ją, prawda?

Ksiądz wyciąga rękę przed siebie — przeprasza. Wie, że to są przykre wspomnienia, nawet nie wspomnienia — dodaje — to wszystko może się jeszcze powtórzyć, za tydzień może znów słuchać jej skarg.

— Wiedziała dobrze, kiedy przeciągnęła strunę. Płakała wtedy bardzo: wiedziała, że już zasłużyła na szpital. Tak właśnie mówiła: teraz już zasłużyłam na szpital. Jak dziecko albo jak kryminalista. Wracała do domu i oczekiwała, kiedy zjawią się w jej pokoju tragarze. Nazywała ich oprawcami. Nie mogła ścierpieć waszej konspiracji, waszej — jak mówiła techniki. Mówiła, że to odbywało się całkiem niespodziewanie: w trakcie miłej rozmowy, kiedy była grzeczna. Tak mówiła: byłam grzeczna, naprawdę byłam grzeczna —

to żałosne, prawda? Poprzedniego dnia albo dwa dni temu była awantura, państwo wtedy byliście doprowadzeni do ostateczności, pan zadzwonił do szpitala, zarezerwował pan miejsce, potem zamówił pan pogotowie, prosił pan o przyjazd wtedy, kiedy szpital godził się chorą przyjąć — ja to rozumiem, inaczej nie można było. Wracał pan do domu. Tymczasem pani zdołała się opanować. Wszystkich was w domu ogarniał podniosły, radosny spokój. Chodziliście na palcach, porozumiewaliście się szeptem i uśmiechami: było miło, dobrze, spokojnie. Staraliście się jej dogadzać, to była chwila nadziei, może uda się zasłużyć na jej wdzięczność, może tak już będzie zawsze. Żartowaliście z nią, nawet jej niedawne ekscesy były przedmiotem waszych żartów; traktowaliście ją jak niesforne dziecko, które przestało się awanturować. Wanda nazywała ją wtedy „nasza Asia", Piotr uderzał ją palcem po nosie, ona śmiała się uszczęśliwiona, ach, jak uszczęśliwiona, drogi panie, ona wtedy osiągała cel swoich awantur: przebaczenie.

Pan to rozumie? Ona to wszystko robiła po to, żeby jej przebaczać. I oto przebacza się jej: małej, złej Asi, która teraz pozwala się uczesać, zgadza się przebrać w czystą koszulę. I wy byliście szczęśliwi, że jej przebaczacie. Ale mechanizm działa. Dzwonek, dwóch tragarzy, asygnata do podpisu, chora gotowa, uczesana, w czystej koszuli, tylko płaszcz narzucić, skarpetki na nogi — ręce pod łopatki, pod kolana i!... O, przepraszam pana — pan się już spieszy. Tak, już piąta.

Wyciąga rękę, długo nie zwalnia uścisku. Nie chce, żeby go źle zrozumiano. On nie oskarża. On tylko mówi to, co ona miałaby do powiedzenia w tej sprawie, ona, której głos już nie będzie wysłuchany.

— Ale, ale — puszcza rękę — nie odpowiedziałem na pytanie. Czy należy mówić dzieciom... Pan powiedział: boi się pan. Boi się pan dostrzec w ich oczach oczekiwanie na to, na jej śmierć. Tak? Niech pan się o to nie boi! Nic się nie kończy. Być może już teraz mają nadzieję? Czterdzieści osiem godzin snu, w tym stanie wyczerpania organizmu? Mają nadzieję czy boją się — to nie ma znaczenia. Na pogrzebie będą bardzo płakali. Może bez łez. Będą często chodzili na cmentarz. Każde osobno, żeby się nie spotkać. Bez pana — osobno, każde osobno. Każde z was trojga będzie się uważało za jej spadkobiercę. I każde z was będzie sądziło, że coś zrozumiało, że doznało jakiegoś wtajemniczenia. — Ksiądz uśmiecha się: — Może ja też? Ale niech się pan nie łudzi: to będzie poczucie winy, nic więcej. A potem życie pójdzie naprzód. Skończą się smutne wyprawy. Będziecie chodzić gromadnie, z kwiatami i świecami. Będziecie wspominać tylko dobre chwile, te z niegrzeczną Asią. Zapomnicie o dzwonku tragarzy. Tylko niech pan nie sądzi, że proces na tym się skończy. Będzie trwał bardzo długo. O, przepraszam, już bardzo późno.

Jeszcze raz wyciąga dłoń. Pyta tylko pokrótce, serdecznie, co dzieci robią. Piotr studiuje? Musi pracować, no tak, jest psychicznie przygaszony, dwudziestoletni chłopiec i takie problemy. Wandzia jeszcze młodziutka, odporniejsza, natura bardziej zdobywcza. No, otrząsną się. — Ksiądz będzie się modlił. Bóg jest miłosierny. Odprowadza jeszcze do drzwi i woła, że bardzo prosi o wiadomość.

— Bodaj telefoniczną, gdyby panu nie składało się tutaj przychodzić.

Autobus to wielka paka drewniana, umocowana na ciężarówce, z małymi okienkami, z dwiema deskami. Ludzi dużo. Jest kilka osób z personelu szpital-

nego, nawiązują między sobą rozmowę o przedstawieniu teatralnym w zakładzie. Główną rolę gra chora, podobno fenomenalna. Zresztą była kiedyś aktorką. Lekarze nie chcieli jej pozwolić, ale o mało szału nie dostała, tak się rwała do grania. Chłopska rodzina odwozi chorą. Jest ojciec w pilśniowym kapeluszu, matka w czarnej chustce z frędzlami, brat — wyrostek w spodniach do pół łydki. Chora ma z osiemnaście lat, kryje twarz w chustce i broni się przed jabłkami, które jej wpychają do ust.

Już zaczyna zmierzchać. Bielany ledwo majaczą: jakaś ciemna narośl na krawędzi lasu. Aleją przechadzają się chłopcy i dziewczęta wpół objęci. W kaplicy światła i tłum — głośnik znad wejścia skrzeczy płaskim głosem.

Siostra Gonzaga nawet nie prosi do środka. Mówi, że bez zmian. Jutro trzeba się dowiedzieć.

4

Maria krzyczy zduszonym szeptem:

— Jak to, odszedłeś od drzwi? Trzeba było zażądać, żeby cię do niej wpuszczono. Ty musisz ją zobaczyć. Należało domagać się widzenia z lekarzem!

Krzyczy i co chwilę podnosi rękę ostrzegawczym gestem. Jest sublokatorką, nie chce, żeby ją słyszano.

— Ty odpowiadasz do końca za jej życie, nie szpital! Ty musisz wiedzieć, co zrobiono, żeby ją uratować. Nie obudziła się! To mało — jakie jest ciśnienie, jakie tętno, jaki stan płuc? Nie można milczeć. Nie można zachowywać się jak skazaniec. Gorzej nawet niż skazaniec, znacznie gorzej.

Nie chce powiedzieć, co rozumie przez to „gorzej". Jest bardzo zdenerwowana. Pyta, czy ona ma tam pojechać. Wybucha gniewem: jest jej wszystko jedno, w jakim charakterze będzie tam widziana. Niech będzie nawet, że jest rywalką umierającej, która... Przeprasza i płacze.

Potem ściskając chustkę w ręce szepce żarliwie:

— Trzeba coś robić. Trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy. Pojadę do zakładu, przedstawię się jako jej siostra, dam pieniądze — wszyscy wezmą pieniądze, zakonnice też biorą. Wejdę do niej, zobaczę, co się dzieje, opłacę pielęgniarkę, niech pielęgniarka siądzie przy niej na całą noc, trzeba jej podawać pić albo zwilżać wargi, jeśli już nie może łykać. Sama to będę robiła, najlepiej sama przy niej zostanę, zapłacę siostrze dyżurnej, musi mi pozwolić. Tam może być katastrofa w każdej chwili, już minęło czterdzieści osiem godzin. Ty musisz znaleźć lekarza, tego doktora Koellera. Dzisiaj, dzisiaj, w domu, na pewno ma telefon, na pewno przyjmuje. — Wybiega z pokoju, słychać jej opanowany, uprzejmy głos w przedpokoju, wraca z książką telefoniczną, szuka, jest, doktor Jerzy Koeller, starszy asystent kliniki, choroby nerwowe.

— Dzwoń, jest dopiero po siódmej, niektórzy lekarze przyjmują do ósmej. Dam ci pieniądze. Trzeba przecież kupić penicylinę czy streptomycynę, on powie, on musi powiedzieć.

Telefon jest w hallu. Kobiecy, starszy głos odpowiada.

— Do ósmej. Proszę przyjść.

Maria jest już w płaszczu, mocno ściąga trencz paskiem, porywa swoją dużą torbę.

— Idę z tobą.

Na ulicach palą się już lampy. Jest ciepło. Pełno ludzi. Na Plantach dużo rówieśników Piotra i Wandy. Doktor mieszka przy Alei Słowackiego, w nowoczesnym domu. Maria zatrzymuje się przed bramą, której wnęka wyłożona jest żółtymi kaflami. Tabliczki nie ma, tylko ślad po niej. Maria zaczeka tam, wskazuje ławkę naprzeciw domu. Otwiera stara kobieta. Każe czekać. Czeka się w przedpokoju. Na wieszaku wisi czapka oficerska, obok w kącie stoją narty. Zza każdych drzwi dochodzą jakieś głosy: sprzeczają się dzieci, huczy baryton spikera radiowego, kłapie maszyna do pisania. Otwierają się drzwi, za którymi było cicho, wychodzi młody oficer. Zapina pas, obciąga bluzę, wkłada czapkę.

W drzwiach staje doktor Koeller, „proszę" — mówi głośno, oficer stuka obcasami.

— Słucham pana.

Doktor nie ma nic do powiedzenia. Chora otrzymała wszystko co trzeba. Rozwinęło się obustronne zapalenie płuc, stosowanie antybiotyków jest dość ryzykowne, intoksykacja jest bardzo daleko posunięta. Co do pielęgniarki — oczywiście, to już we własnym zakresie opieka domowa może załatwić.

Następuje chwila milczenia, podczas której doktor daje do zrozumienia, że właściwie wizyta jest skończona. Nie ma na sobie płaszcza lekarskiego. Jest w wełnianej ciemnozielonej koszuli, ma podwinięte do łokci rękawy. Na przedramieniu ma wytatuowany znak obozowy „P" i czterocyfrowy numer.

Bierze do ręki pudełko z papierosami, waha się, wreszcie wyciąga przed siebie. Są dwa ostatnie papierosy. Uprzedza, że ma więcej.

Czym może jeszcze służyć? Wydaje mu się, że powiedział wszystko. Sądzi, że zbyteczne będą dalsze jego zapewnienia o wysiłku, jakiego nie szczędzi personel oddziału dla uratowania chorej. Niemniej jednak trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nie jest to już zwykły stan zamroczenia, do którego chora w pewnym sensie przywykła, lecz stan ostrego zatrucia.

— O ile pamiętam, ustaliliśmy wysokość dawki na 20 pastylek phanodormu, prawda?

Opuszcza wzrok na końce palców i dodaje:

— Moment bardzo nieodpowiedni, bardzo przepraszam, ale czuję się w obowiązku uprzedzić pana, że będzie pan musiał złożyć pewne wyjaśnienia prokuratorowi.

Jest to jego obowiązek. Naturalnie, sprawa jest do ustalenia: w jakim stanie psychicznym nastąpiło spożycie środka, który, nawiasem mówiąc, można otrzymać tylko na receptę lekarza. I to w takiej ilości. A raczej w takich ilościach, ponieważ chora była zaopatrywana w ten środek systematycznie, prawda? Chodzi więc o ustalenie wszystkich okoliczności, które złożyły się na to, że chora wymknęła się spod wszelkiej kontroli, że nie wychodząc z domu od dłuższego czasu dysponowała tak dużym zapasem narkotyku. Trzeba także wziąć pod uwagę, że zażywając te same środki od wielu lat znała już swoją miarę. Działa tu instynkt samozachowawczy, jak u alkoholika. Działał ten instynkt u niej zawsze — pan docent Czerwiński wspominał, że chora nigdy nie porywała się na swoje życie, gdy była sama w domu, prawda? Zdarzało się przecież często, że była sama — pan pracuje, syn pracuje, córka — o ile się nie mylę — studiuje. Służącej ani pielęgniarki państwo nie mają, nikt do domu nie wchodzi,

państwo, zdaje się, próbowali całą sprawę ukryć przed otoczeniem — tak jakoś można było zrozumieć. Mimo to chora czekała z zamachami na zejście się wszystkich, zażywała tylko tyle, ile potrzeba było do snu. To mówi bardzo dużo o jej usposobieniu. Musiało się coś zmienić? Nieprawdaż? Musiał to być chyba jakiś silny wstrząs, tak silny, że zdołał ją wzburzyć do tego stopnia, mimo zamroczenia, w którym — jak pan wspominał — tkwiła już od tygodnia. Albo też wszystko wyglądało jeszcze inaczej. Jak? Właśnie, jak doszło do spożycia na raz tak olbrzymiej dawki? Trudno nie brać pod uwagę wysiłku, jaki musiał być połączony z samym łykaniem dość dużych pastylek. Potrzebna była do tego duża ilość wody — pan coś wspominał o opróżnionej szklance z wodą. Wszystko to należy ustalić. Niestety są to sprawy, które nie należą już do historii choroby. Dlatego właśnie...

Mówi to wszystko nie patrząc przed siebie, dopiero przy ostatnich słowach podnosi powieki: jasność, chłód. Wyjmuje z szuflady nowe pudełko. Zapytany, czy to jego ostatnie słowo, dziwi się: nie stawiał przecież żadnych warunków, nie proponował układów, nie groził także, prawda?

Prosi, żeby go dobrze zrozumieć. Wykonuje obowiązek, który mu przypadł. Nic więcej. Wie dobrze, że ogarnia tylko pewien fragment tego ogromnego zespołu faktów i okoliczności, jakie składają się na to, na to nieszczęście... Toteż nie rości sobie prawa do ferowania wyroków. Żadnych wyroków, on tylko dostarcza faktów. — Czy nie sądzi pan, że powstrzymanie się od zestawienia ze sobą pewnych faktów byłoby już jakimś wyrokiem, w tym wypadku uniewinniającym? — Do takiego wyroku także nie ma prawa. Jest lekarzem, musi aż do końca reprezentować interesy tylko jednej strony — jest adwokatem chorego, który nie może się bronić. Co do samej potrzeby wyrokowania i sądzenia — czekał na to pytanie — tak, to jest jego założenie: uważa, że w każdej sprawie są winowajcy. Zdaje sobie sprawę, że oskarżoną może okazać się właśnie chora albo właśnie on sam, oskarżyciel. Każdy proces jest starciem się dwóch przeciwstawnych racji przy wspólnym założeniu. Założenie to polega po prostu na tym, że sprawiedliwość jest do zrealizowania. Nie trzeba dodawać, że oskarżenie i obrona są w pewnym sensie umowne. Umowny jest także wyrok. Umowne jest prawo i sprawiedliwość. Jedno jest w tym tylko rzeczywiste: potrzeba procesu.

— Dlatego nie zamierzam go uniknąć — kończy, wyciągając rękę na pożegnanie.

Maria nie siedzi na ławce. Czeka w bramie, pali papierosa. Pyta o tętno, ciśnienie, temperaturę. Spogląda uważnie, prosi jeszcze raz o odpowiedź, wreszcie odrzuca szerokim gestem papierosa, zatrzymuje taksówkę, każe jechać do K.

Portier robi trudności. Maria twierdzi, że chodzi o umierającą. Portier dzwoni na oddział, czeka chwilę, powtarza, co mu powiedziano, patrzy przed siebie, przez okno, na krąg światła leżący na żwirowanej drodze u stóp latarni. Krąg drga lekko, jak kałuża rtęci. — Proszę iść. — Gwiazdy są duże i jasne, jak grad kamieni. W mieszkaniach personelu świecą barwne abażury, grają radia. W pawilonach niebieskawe światła nocnych lampek, tylko w dyżurkach jasno. Elektrownia dudni głucho.

Otwiera posługaczka. Zaraz poprosi siostrę, ale na oddział wchodzić nie wolno. Zatrzaskuje zakratowane drzwi. Lśniące kamienie zdają się to oddalać, to

zbliżać, jakby szarpane dwoma polami grawitacji. To długo trwa, zanim otwiera siostra Gonzaga.

— Stan jest zasadniczo bez zmian — mówi sucho nie patrząc na Marię. — Chora dzisiaj wieczorem kilkakrotnie odezwała się przez sen, nawet dość wyraźnie. Oddech jest trochę wolniejszy. Streptomycyna widocznie działa. — Nieproszona otwiera drzwi kluczem, który nosi na długim łańcuszku. Puszcza je za sobą — trzaskają głośno.

— Tu, w separatce.

Widać tylko okno z cienką kreską kraty, która bieli się na tle czarnej tafli nocy. Jest zapach eteru i jakiś inny — mdły zapach zbliżony do cytryny. Słychać szybkie sapanie zmęczonego psa, w kącie, gdzie daje się rozróżnić łóżko z wysoką siatką. W drugim kącie takie samo łóżko, ktoś tam się poruszył.

— Proszę siostry, coś na uszko powiem.

Siostra zamyka drzwi.

— Pić dajemy, taki płyn. To znaczy zwilża się watą wargi. Pielęgniarka niepotrzebna. Ta druga chora spokojna. Nie mamy ludzi na to. Pani sama chciałaby zostać? Pani może córka? Siostra? Nie, to niemożliwe. Pan doktor musiałby się zgodzić. Ale pan doktor na pewno by się nie zgodził. Zresztą polecił nam specjalnie ten wypadek. Proszę się jutro dowiedzieć. Stan jest ciężki. To była śmiertelna dawka, dwadzieścia tabletek albo i więcej. Pani wie?

Otwiera drzwi wyjściowe, ociąga się z ich zamknięciem, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć.

— Pani mieszkała razem? — pyta wreszcie.

— Nie! — odpowiada Maria. — Przyjechałam na wiadomość o chorobie.

— Aha. Tak. — Siostra nie zamyka drzwi.

— Może jednak dałoby się... — zaczyna Maria.

— Nie, to niemożliwe — ucina krótko zakonnica i zatrzaskuje drzwi.

Jest wpół do dziesiątej. Portier twierdzi, że zaraz będzie wracała do miasta karetka, która przywiozła chorą. Trzeba poczekać. O, jest karetka. Trzeba się dobrze schylić, dach jest bardzo nisko. Młody sanitariusz wpół kładzie się na ceratowym łóżku. Mieli ciężki przypadek. Wariatka rzucała się, że strach. Krzyczała, że jest zdrowa, tylko mąż chce się na nowo ożenić. A jeszcze sama kobieta niczego. Oni to się nieraz napatrzą z tymi wariatami.

Chce podwieźć pod dom. Dziwi się słysząc adres Marii. — Bo pana adres to ja znam — powiada. — Nieraz my tam już przyjeżdżali. Też ciężko było czasem.

5

Wanda i Piotr nie czekali z kolacją. Piotr leży w łóżku. Wanda zabiera się do nauki. Książki ma rozłożone na biurku, ale drzwi do pokoju Piotra są otwarte, Wanda jest wzburzona. Z roztargnieniem pyta o matkę, dziwi się, że jeszcze śpi, cieszy się, że się odezwała — aha, streptomycyna działa. Biegnie do kuchni przygotować kolację. Nakrywa w kuchni, przeprasza, ale nie chce tracić czasu. Ma jeszcze mnóstwo roboty. Odchodzi i zaraz słychać jej głos w pokoju Piotra:

— Nie dajesz mi skończyć, a ja ci udowodnię, ja ci udowodnię...

Herbata jest zbyt długo prażona, prawie czarna, ma gorzki, ziołowy smak. Na stole leży nie pozmywane naczynie, nakryte ścierką, na której przysiadają

muchy. Czajnik stoi obrócony dzióbkiem do ściany — na ścianie powstał ślad pary rozszerzający się ku górze, wulkaniczny.

— Zgoda, zgoda — mówi Piotr za ścianą — nie traktuj mnie jak dziecko, rozmawiaj na jakimś poziomie... — Wanda znów się oburza, ale Piotr ją zagłusza. Stwierdza głośno, że nie wierzy, a Wanda wyśmiewa się z niego, ponieważ jej zdaniem można być za albo przeciw, natomiast „wiara" jest tu słowem co najmniej nieodpowiednim. Rozmawiają ze sobą jak zawsze sztucznym, kunsztownym językiem, świadcząc sobie co krok ironiczne grzeczności.

Muchy lądują jedna po drugiej na ceratowej serwecie, przebiegają szybko tam i na powrót potrącając schnące okruszyny chleba, potem podrywają się bezszelestnie i wirują wokół kuchennej lampy, upstrzonej żółtymi punktami. Na wewnętrznych gankach kamienicy sennie pogadują kobiety, ktoś zanosi się śmiechem, słychać jakiś miarowy, metaliczny dźwięk. Rozmowa w pokoju cichnie. Wanda pewnie poszła się uczyć. Piotr jest sam. Jest już blisko jedenasta. Piotr wcześnie kładzie się spać, koło dziesiątej już ziewa, potrzebuje dużo snu: rano budzi się trudno, nie ma nawet czasu zjeść śniadania, pędzi do biura. Piotr jest sam, ale zapewne czyta i nie czeka już na żadną wiadomość. Wanda powtórzyła mu dobre nowiny: streptomycyna działa, matka odezwała się. Piotr nie ma powodu nie wierzyć. Zaśnie, wstanie, pójdzie do biura i już zaraz będzie następny wieczór, już jest jutro, już jest za późno, żeby powiedzieć, że któryś z najbliższych dni zapamięta na całe życie.

Ale tam w pokoju rozmowa trwa nadal. Piotr i Wanda rozmawiają szeptem. Piotr urywa jakieś zdanie na słowach: „...i co z tego, mimo wszystko nic nam nie przeszkodziło". Są zaskoczeni, podnoszą oczy.

— Tatuś nie śpi?

— Tatuś był w kuchni?

— Myśleliśmy, że tatuś jest u siebie.

— Może tatuś chce jeszcze herbaty?

Wanda wychodzi zamykając za sobą drzwi. Słychać, jak z hałasem odsuwa krzesło. Piotr w pidżamie podartej na ramieniu siedzi oparty o poduszki, podciągnął nogi, na kolanach ma książkę, zaczyna przerzucać jej kartki. Jest przykryty czerwoną, nie obleczoną kołdrą, pękniętą z boku, watolina wychodzi i strzępi się. Poduszka Piotra jest także nie obleczona.

— Zdjąłem to wszystko, bo aż się lepiło z brudu — wyjaśnia. — Proszę, może tatuś usiądzie. Nie, nie czytam, tak tylko przeglądam, przyszła Wanda szukać emocji intelektualnych.

W biurze Piotra nic nowego. Przygotowują się jakieś reorganizacje, możliwe, że w związku z tym będzie miał bardziej samodzielną pracę. — Obejmę sekcję — mówi rzeczowo, nie objaśniając, jaka to sekcja. Wzrusza ramionami: nie zastanawia się, czy go ta praca interesuje. Wątpi, czy kogokolwiek interesuje praca, którą wykonuje. Każdego interesują własne możliwości. Piotrowi jest dość obojętne znaczenie papierków.

— Ale to zabawne — mówi — tak robić, żeby tego wszystkiego nie poplątać. To jest równie dobre potwierdzenie własnej sprawności, jak pisanie powieści albo rządzenie państwem.

Śmieje się: wie, że jego ambicje nie są zbyt wygórowane, ale prosi, aby go przekonać, że schlebianie ambicjom jest najlepszym wyjściem. — Wyjściem — powtarza, zdziwiony, że można tego nie zrozumieć. — Z tej całej matni — wy-

jaśnia. Żywo, choć nie bez fałszywego tonu zastrzega się, że nie miał na myśli wyłącznie swojej sytuacji — skądże. Wcale nie uważa, że jest ona najgorsza. Jest ona dość drastycznym nagromadzeniem najpowszechniejszych cech istnienia. Przeprasza za pewien patos — sam bardzo nie lubi pryncypialnych stwierdzeń. — Ma się te dwadzieścia parę lat — mówi z uśmieszkiem, który może oznaczać kpinę z samego siebie, jak i z osoby, która tego słucha.

Co do studiów — tak, wie. Mógłby studiować. Byłyby niejakie trudności z dostaniem się na wyższą uczelnię, ale przy pewnych retuszach w ankiecie... Przy tym i tak nie wchodziłyby w rachubę najbardziej atrakcyjne kierunki studiów, np. medycyna, na którą tak się wszyscy garną, albo prawo. Nawiasem: czy nie ma czegoś niezdrowego w tym powszechnym pędzie do wyższego wykształcenia? Jest to owczy pęd do stabilizacji — ślepy, bo przecież wiadomo... A poza tym jest to lęk przed pauperyzacją, przed sproletaryzowaniem. Tworzy się nowe społeczeństwo, którego prawa są jeszcze tajemnicą. Zaopatrując się gwałtem w dyplomy magistrów, lekarzy, inżynierów, zabezpieczają się przed wyrokami nieznanej jeszcze hierarchii. To jakby ktoś zabezpieczał się przed skutkami wybuchu atomowego rynsztunkiem przeciwgazowym. Kompleks inteligencji — to trwa: byli ludzie, którzy przekraczając bramy obozów koncentracyjnych jeszcze mieli nadzieje, że uratują ich dyplomy.

W biurze wypychają go na prawo — ofiarowują mu nawet jakieś ulgi, pomoce. Uważałby to za stratę czasu — przecież to wszystko jest nieaktualne. Co? Jak to co? Wszystko: kodeksy, procedura, sama zasada.

Pozwala sobie przerwać, wysłuchuje uprzejmie, ale nie przestaje się uśmiechać. Słusznie, potwierdza, wie, że prawo zawsze jest umowne, rozumie także, iż niezmienna w prawie jest potrzeba procesu. Dobre sformułowanie — potrzeba procesu, zawsze mówi się bezmyślnie „potrzeba sprawiedliwości", co jest nonsensem. Nikt nigdy nie jest zadowolony z wyroku i nie po to jest wyrok, żeby kogokolwiek zadowolić. Wyrok jest najmniej istotny w procesie, jest formalnym zakończeniem rozprawy, która nigdy nie przestaje trwać. Skazani piszą apelacje, po odrzuceniu apelacji prośby o ułaskawienie, starają się w więzieniu zasłużyć na lepszą chochlę zupy, od dna, z gęstym — i to jest także forma ułaskawienia. Potem skarżą się współwięźniom, strażnikom, sobie, ścianom, pustce, że są niewinni, i byłoby to pozbawione głębszego znaczenia, gdyby przynajmniej sąd miał czyste sumienie. Ale sędziowie piszą uzasadnienia wyroków, opędzają się od adwokatów, tworzą teorie uogólniające ich błędy i niezręczności, żądają ustaw, które by ich wzmocniły, wreszcie piszą pamiętniki, aby usprawiedliwić się jakoś, ażeby się oczyścić. Wszyscy chcą, żeby proces trwał.

Nie, nie zgadza się z tym, że to jest najlepszy dowód, iż prawo jest potrzebne. Potrzebny jest aparat oskarżenia i obrony, który zmienia się razem z formacją ustrojową, ale prawo w tradycyjnym rozumieniu nie ma z tym nic wspólnego.

Zresztą — urywa: nie chce na ten temat dłużej mówić. Zaznacza, że jeśli nie studiuje, to nie dlatego, żeby naprawdę nie wierzył w sens nauki. Jest bardzo poważny, kiedy to mówi, i widać, że stara się wyjść poza przewrotną mądrość swoich dwudziestu kilku lat. Nie chce i już.

Przewraca parę kartek w książce i chwilę zastanawia się, powtarza pytanie: — Czy to względy osobiste, czy sytuacja domowa? Tak, naturalnie, jedno i drugie.

Milczy jeszcze dłużej, przewraca kartki coraz szybciej, aż wreszcie oświadcza,

że nie chciałby na ten temat mówić. Chwila jest nieodpowiednia, innym razem. Chciałby natomiast co innego powiedzieć, korzystając z tego sam na sam. Przełyka głośno ślinę.

— Mam zamiar się ożenić.

Zamyka z trzaskiem książkę, gładzi palcami grzbiet. Ma niedopiętą pidżamę na piersiach, widać blade, szczupłe ciało, dwie małe blizny, które ma na szyi od urodzenia. Kiedy zmęczy się, na jednej z nich pokazuje się kropelka lepkiej cieczy. Ciemne włosy ze złotym połyskiem, włosy matki — takie miała, zanim spopielały jej z braku słońca, powietrza i kąpieli. Te jego twarde, proste, ciemne włosy, które tak trudno było uczesać, opadają mu trochę na czoło, z tyłu zmierzwiły się od poduszki, sterczą mu śmieszne koguty. Przygryza wargi, nerwowym ruchem wkłada palec do ust, przygryza paznokieć.

— Nie mówiłem dotąd o tym, bo jakoś nie było okazji, a przy tym nie byliśmy zdecydowani.

Jest to koleżanka biurowa, trochę starsza od niego, ale to nie ma znaczenia. Mieszkania nie mają. Ona proponuje, żeby po prostu zająć ten pokój, pokój Piotra. Piotr powiedział jej o wszystkim, ale jej to nie zraża. Sądzi nawet, że jej obecność w domu mogłaby matkę pohamować. To jest bardzo spokojna i rozsądna dziewczyna, sama miała ciężkie życie, różne przejścia, nie boi się.

Piotr urywa, znowu wertuje książkę, odgarnia kosmyk z czoła, rzuca niespokojne spojrzenie — oczy błyszczą jasno w twarzy pociemniałej, rozpalonej nagłym rumieńcem. Dodaje: oczywiście to nie jest jakaś nagła sprawa, ale gdzieś w ciągu pół roku. Pół roku to mało? Czas biegnie teraz trochę inaczej. Nie można planować na dłużej. Znają się rok, odkąd zaczął pracować. Ożywia się, przechyla się do nocnej szafki. Rozdarcie rozszerza się, widać płową kępkę pod pachą. Wyjmuje fotografię, zastrzega się, że jest niedobra, ona teraz zmieniła uczesanie. — Ma na imię Danuta. — Przełyka głośno ślinę.

Piotr raz za razem odgarnia włosy z czoła. — Danka także namawia mnie na studia — dodaje niedbale. — Może rzeczywiście trzeba się zastanowić. Zresztą w ogóle trzeba się zastanowić. — Znów wychodzi poza swoje dwadzieścia kilka lat: mówi to tonem pojednawczym. — Ale myślę, że to jest jedyne, co mogę zrobić, żeby pozbyć się, pozbyć się... — Szuka wyrażenia albo czeka na zachętę. Chce wzbudzić ciekawość dla swojej formuły. No, dobrze, więc czego chce się pozbyć? Pstryka kartkami książki jak talią kart.

— Chcę być szczęśliwy albo nieszczęśliwy na własny rachunek.

Różnica jest istotna: chce się pozbyć uczucia, że nieszczęście zostało mu narzucone. Chce się pozbyć obrzydliwego przekonania, że został upośledzony. Różnica jest istotna: tylko wolny człowiek może być dobry. Nie można być dobrym wiedząc, że się jest do tego zmuszonym. — Ja tego nie mogę znieść! — woła Piotr. — Muszę być dobry dlatego, że ojciec się źle ożenił i dlatego, że ojciec postanowił być dobry. I kiedy dostaję po pysku albo ścieram plwociny z twarzy, kiedy po raz setny zbieram ścierką zawartość nocnika, kiedy gryzę wargi, żeby nie huknąć jak dozorca w szpitalu czy więzieniu, nie wiem, czy jestem dobry, czy potrafię być naprawdę dobry, czy mam jakąkolwiek moralność. Ścieram świństwa z podłogi, bo ktoś to musi zrobić, milczę, bo przecież matka — działa psi instynkt, hamuję się, bo patrzy ojciec, Wanda. Ale nie wiem, czy gdybym był dozorcą w szpitalu albo kapo w obozie — nie wiem, nie wiem, czybym tam nie prał po mordzie, nie kopał w brzuch. Nie wiem: mam na to

zbyt wielką ochotę. Rozumie ojciec? Mam ochotę. Po takiej scenie wychodzę do drugiego pokoju i gryzę palce z wściekłości: chciałbym bić, bić... Zatykam usta ręką i nazywam ją tak, jakbym ją mógł nazwać bezkarnie, gdyby ona przede mną szła w pasiaku, a ja nad nią stał w butach z cholewami... Proszę mnie zrozumieć: to jest w powietrzu. Dzieci bawią się w obozy i getta. A nasz dom... powiedziałem tatusiowi, że tutaj coś się zgromadziło, coś, co jest cechą powszechnego doświadczenia... Myśmy mieli władzę: telefon do szpitala i do pogotowia, prawo za nami — wszyscy nam mówili: oddajcie panią do szpitala. Myśmy mieli nieograniczoną władzę, ohydną, nie kontrolowaną, jak w obozie koncentracyjnym, jak w niewolniczym społeczeństwie.

Bardzo przeprasza, moment jest nieodpowiedni. I w ogóle cała ta gadanina nie ma wielkiego sensu. Po prostu chciałby się ożenić. Na każdego przychodzi taki czas, prawda?

Już bardzo późno. Jest mu przykro, bo zmęczył ojca swoim gadaniem. Nie? No, tak, widzi. Chciałby tylko spytać, póki Wandy nie ma. Jak naprawdę jest z matką? Zaczyna mówić? Czy oni sądzą, że to zapalenie płuc nie jest groźne? Jednak uodpornienie robi swoje. Tyle lat. Jaka to mogła być dawka? Około dwudziestu tabletek. Zastanawia się: kiedy to mogła zażyć, skąd miała jeszcze tyle, skoro tak długo nie wychodziła z domu. Musiała gdzieś ukryć. Zdarzało się, że zapominała o jakiejś fiolce — chowała je przecież jak chomik po rozmaitych szczelinach. On wie, bo sprzątał i wyciągnął jeszcze mnóstwo luźnych pastylek. Tak, to musiała być jakaś ukryta fiolka. No, ale dobrze, że już jest lepiej. Jeszcze raz przeprasza. Dobranoc. Gasi światło.

Wanda, zgarbiona, z rękami we włosach, jeszcze się nie kładzie. Ma dużo roboty. Piotr znowu tatusiowi zawrócił głowę. Jest nieznośny od dłuższego czasu. Kiedy tatuś jutro jedzie do mamy? Rano? Chciałaby pojechać. Nie ma jutro nic ważnego. Przyjdzie do biura. Może by tam posiedzieć trochę? Nie pozwolą? Doktor Czerwiński by pozwolił. Ach, nie ma doktora Czerwińskiego!

Łóżko ciągle puste, głębokie, z czterema poprzecznymi deszczułkami, między którymi widać podłogę sczerniałą, bezbarwną jak ziemia. Drugie łóżko jest już rozesłane, jest świeża pościel. To pewnie gest Piotra, który lubi czasem zrobić w domu coś, co by przypominało normalne życie. Okno jest otwarte, ale gdy je tylko zamknąć — a trzeba, bo noc jest chłodna — powietrze znowu pełne jest zapachu moczu i papierosów.

6

Zaraz po ósmej dzwoni sekretarka i mówi:

— Pan dyrektor prosił, żeby pan zaszedł do niego. Najlepiej od razu.

Dyrektor wychodzi zza biurka, ściska rękę oburącz, prosi siadać. Dowiedział się, że coś niedobrze z panią. Pragnąłby posłyszeć szczegóły. Pociesza: zapalenie płuc przy obecnych środkach nie jest bardzo groźne. Prosi, żeby nie krępować się godzinami biurowymi — pozostawia zupełnie wolną rękę. W ogóle nie czuje się w porządku: nie interesował się bliżej, chociaż dochodziły go słuchy o ciężkich przejściach w związku z panią... Bardzo przeprasza, nie chciałby być niedyskretny, ale mu zależy na wyjaśnieniach. Słucha bardzo uważnie, dziękuje i z pewnym zmieszaniem mówi:

— Nie pytam z samej ciekawości. Ale po prostu dowiedziałem się o przykrych scenach, które rozegrały się między państwem na terenie biura. Pani domagała się pieniędzy, prawda? Skarżyła się urzędnikom, którzy znaleźli się przypadkowo w pobliżu, że pan — jeszcze raz prosi, żeby nie mieć do niego żalu: powtarza, co usłyszał — otóż skarżyła się, że pan odmawia jej pieniędzy, że ją pan głodzi, że dzieci nie mają co jeść... Teraz wszystko rozumiem — zwykłe szantaże nałogowców. Zresztą domyślano się czegoś — mimo że pan raczej milczał na ten temat — ale domyślano się alkoholizmu. Nie wiem, czy panu wiadomo, że pani kiedyś pod nieobecność pana szturmowała nawet do mnie, ale pani sekretarka nie dopuściła... — Jeszcze raz zastrzega się, żeby go źle nie zrozumieć. Woli o wszystkim poinformować. Obawia się, że w biurze mówiło się skrycie na ten temat. I jednak jest zmuszony prosić... Tu przychodzą klienci, instytucja jest poważna, ma swój autorytet — tego rodzaju sceny, chociaż przez nikogo niezawinione, nie wychodzą jej na dobre.

Twierdzi, że słyszał o jakimś dobrym zakładzie. Dziwi się, że on już nie istnieje. — Ach, więc tylko państwowe szpitale? A czy nie można by zorganizować stałego pobytu w jakichś dobrych warunkach? Nie? Tak, przepełnienie, przepełnienie. No, jesteśmy na dorobku — wojna. Wszędzie jest przepełnienie. Trudna sprawa. — Wstaje, ściska dłoń oburącz i życzy najlepszego obrotu spraw.

Sekretarka także pyta o wiadomości. Szeptem opowiada, że pani była tu może tydzień temu, chciała dostać się do dyrektora. Zataczała się, miała płaszcz splamiony błotem, włosy rozsypywały się spod kapelusza. Mówiła, że chce na pana naskarżyć, że pan ma jakąś kobietę, kochankę, że pan na nią pieniądze wydaje, a dzieci nie mają co jeść. Co to z człowieka może nałóg zrobić! To nie wódka? Jej też wydało się dziwne, że zapachu nie czuje. A, narkotyki. Taak: ona znała jedną morfinistkę, wyskoczyła z balkonu. Siedziała z synem na balkonie. Kazała mu przynieść szklankę wody — ten wraca, a matki nie ma. Z drugiego piętra. — Niech pan coś zrobi, żeby tu do biura nie przychodziła. Nikt panu nic nie mówił, bo każdemu przykro, ale za pana plecami te plotki... A stary krzyczał, żeby ją woźny wyprowadził... O, jest córeczka. Chyba raczej do pana podobna. — Wanda pyta, czy zaraz będzie można jechać. Po wyjściu z biura zastanawia się głośno, co właściwie ludzie o tym sądzą. Powtarza to, co już raz mówiła: jest przeciwna ukrywaniu tej całej sprawy i nie rozumie Piotra pod tym względem. W ogóle Piotra nie rozumie. Jest przecież inteligentny (mówi to pobłażliwie, ze znawstwem — uważa się za speca od inteligencji), a jednocześnie jaki to chwilami mały człowiek.

Jest znowu ostre słońce, którego już nie łagodzi zieleń: żółte, zwiotczałe liście są odpryskami światła. W górze czysty, gęsty błękit. Dookoła mokro od mgły, która dopiero co przypadła do bruku. Wanda jest ożywiona: jedzie na wycieczkę za miasto. Pyta, czy nie należy czegoś kupić dla matki. Może są cytryny. Dają jej napój cytrynowy? Pewnie jakiś kwasek rozpuszczony. Marszcząc brwi wraca do Piotra:

— Czy tatuś rozmawiał szczerze z Piotrem? Ona go nie rozumie. Przede wszystkim powinien się uczyć. Jest zdolny. Ale on ma jakieś swoje teoryjki. — Drażni ją swoją skrzętnością: odkłada na książeczkę, kupuje sobie koszule, skarpetki. Niby nic dziwnego, ale żeby mieć dwadzieścia parę lat i ani trochę tej nonszalancji, tej fantazji, tej, tej — szuka słów. Nie wie, jak nazwać to, że

inteligentni dwudziestoleni chłopcy uważają za nieprzyzwoitość traktowanie na serio problemów jedzenia, ubrania, umeblowania. O! Pryncypialność — to jest słowo — dwudziestoletnia pryncypialność. Człowiek po raz pierwszy staje wobec problemów życia, śmierci, czasu, historii, otwiera szeroko gębę, jest zauroczony, wszystko wydaje mu się zerem, głupstwem wobec tamtych spraw. Wanda ma kolegów — rówieśników Piotra — wszyscy są tacy. To jest może i komiczne, ale naturalne. Gdybyż Piotr nie myślał! Przeciwnie, myśli więcej niż ktokolwiek, myśli dużo i ciekawie (znów ta sama pobłażliwość), ale rezultatem tych jego wielkich kombinacji jest to, że stara się być dobrym urzędnikiem i zaopatrzyć się w koszule. A może on kogoś ma? Widziała go parę razy z jakąś flamą — taka sobie. Może ona ma taki wpływ na niego?

Nie chce iść przez miasto. Plantami, tam ładniej. Miasto jest wstrętne, nudne. Kiedyś mogła całymi godzinami snuć się po uliczkach, zaglądać do ciemnych bram, w podwórka, gdzie często można obok śmietnika znaleźć renesansową framugę. Lubiła przeszłość, scenerię, nastroje. Wchodziła do pustych kościołów, najlepiej w południa zimowe, zwłaszcza do franciszkanów, bo tam chyba najciemniej, no i witraże... Nie, nawet nie witraże ją najbardziej ciągnęły — nie lubiła piszczelowatej ręki Boga Ojca. Tam jest kaplica Męki Pańskiej z figurą Chrystusa upadającego pod krzyżem. Naturalnej wielkości, bardzo naturalistyczna. Każda żyła jest odrobiona w kamieniu, każda kropla krwi. A na rękach prawdziwe żelazne kajdany. I można podejść blisko, zajrzeć w twarz — a jest ciemno i tylko świeczki się palą, i miało się wtedy te dwanaście lat. Świetnie się wtedy płacze, duchowo, czuje się wartość i rangę tych łez... Tam jeszcze jest taki ganek, a na ganku stoi Chrystus z arcykapłanami, „*Ecce homo*" — też mocna rzecz. Na ścianach są „stacje", obrazy, gdzie też wszystko odrobione jak należy: na jednej z nich Chrystusa pies gryzie w łydkę. Tam dobrze było usiąść w ławce i cierpieć, ofiarowywać się, godzić na wszystko. Wszystko jakoś tam można było zrozumieć. Bóg czasem karze cierpieniem, czasem nagradza, czasem piętnuje, czasem wyróżnia, czasem ostrzega, czasem próbuje. Wystarczy się poddać, któraś z szans przyjdzie. Piotr powiedział kiedyś, że jej religijność była bardzo niemoralna: dawała przywileje, nie nakładając żadnych obowiązków. Chyba miał rację; obowiązki moralne zastąpiono liturgicznymi. Kochała liturgię: biegała codziennie przed szkołą na mszę, w każdy pierwszy piątek miesiąca przystępowała do spowiedzi i komunii, bywały okresy, że komunikowała się codziennie. Wywiadywała się, gdzie są jakieś uroczystości, biegła zaraz i doznawała ekstazy widząc taki wielki orszak, wychodzący z zakrystii. — Miałam ucisk w gardle, jak w teatrze, jak na koncercie, kiedy równy rząd wygolonych głów skłaniał się przed spiętrzoną piramidą świec i kwiatów.

Przypomina księdza Karola, o, tędy się do niego szło, tam do seminarium — on jest spowiednikiem kleryków.

— Mama mnie namawiała, żebym do niego poszła, to był taki modny spowiednik uduchowionych pań. Ciągnęło mnie do niego, bo wszystko wiedział. Mogłam się z nim łatwo porozumieć. I jeszcze jedno: wiedziałam, że będzie się nade mną litował. To on nauczył mnie tego podziwu dla własnego nieszczęścia, on podsuwał mi coraz to nowe szanse. Bóg próbuje, Bóg powołuje. Dzięki niemu mama uważała się także za istotę wybraną. Mówiła nieraz, że my

wszyscy jesteśmy narzędziami Boga. Bóg posługuje się nami, aby jej zadać cierpienie. No, tak — dla mnie ona była takim samym narzędziem.

Okna na parterze są znowu zamknięte, okna na pierwszym piętrze wszystkie w ten sam sposób lekko uchylone. W otwartych drzwiach stoi portier z twarzą grubej dziewczyny i trzepie wycieraczkę. Patrzy jakoś uważnie, może poznaje. Trzeba skręcić na prawo — iść wilgotnym, chłodnym cieniem Wawelu w dół ku Wiśle, która błyska znad linii wałów szorstkim światłem. Na Groblach chłopcy z gimnazjum z krzykiem grają w piłkę. Między krzakami otaczającymi boisko migają białe koszulki.

Wanda mówi znowu:

Piotr chciałby jej wytłumaczyć, że ta jej obecna organizacja, ta cała rewolucja wewnętrzna, jakiej dokonała w ciągu ostatniego roku — to znów to samo: system pocieszeń zwalniający z osobistej odpowiedzialności. No, tu już nie może się zupełnie z Piotrem porozumieć. Piotr nie przyjmuje w ogóle możliwości wyjścia poza siebie. Według niego każdy jest sam wobec swoich zadań życiowych. Nie dopuszcza żadnej ulgi. Każda filozofia jest dla niego pociechą i ucieczką. Jakież to naiwne! Prawda, że naiwne? Bo i co z tego wynika? Właśnie należy uciekać od siebie. Co to znaczy: „sam wobec swoich zadań"? Jakie to zadania? Każdy powinien wybierać swoje zadania. Zamieniać gorsze na lepsze, mniejsze na większe, mniej ważne na ważniejsze. Owszem, ona ucieka od siebie, ucieka z domu...

Na przystanku wzdłuż muru stoi kilka kobiet — oparły tłumoki na gzymsie. Autobusu jeszcze nie ma.

— Uciekam od tego wszystkiego, ponieważ uważam, że się w tym marnują moje ambicje, moje aspiracje, moje siły. Uciekam od tych zadań, które mi przypadły z łaski tak zwanego przeznaczenia, zbiegiem okoliczności, uciekam od nich, bo uważam je za nieistotne. Tu się nic nie da zrobić. Nic tu nie można wymyślić.

Urywa, przełyka głośno ślinę jak Piotr, kiedy zdradzał imię swojej przyszłej żony, czeka może, żeby jej zaprzeczyć. Czeka, żeby jej cokolwiek powiedzieć.

Widać już, że mostem Dębnickim sunie brązowa skrzynia. Kobiety poprawiają tobołki na plecach.

Wanda kończy:

— Wiem, że jak zdam maturę, będę się starała stąd wyjechać. I chyba słusznie? Chyba mam do tego prawo? Czy to nie jedyna możliwość, żeby zgubić za sobą ślad nieszczęścia? Czy to nie lepiej, niż dźwigać na plecach całe życie, dać mu się wykrzywić, przenieść je na następne pokolenie? Jest tyle do zrobienia na świecie i tyle trzeba do tego sił... Prawda? Czy nie mam racji? Czy to nie jest jedyna możliwa racja?

Autobus okrąża skwer i zatrzymuje się w niebieskim obłoku spalin. Z budy wyskakuje parę osób. Z szoferki wysiada szofer o przekrwionych oczach, podrzuca sobie torbę na brzuchu, mówi:

— Szybko wsiadać, bo zaraz odjazd. Obiad czeka. — W autobusie dużo miejsca. Pył zaczyna snuć się szczelinami podłogi — widać go dobrze w smudze słońca padającej przez małe okienko. Kobiety krzyczą coś do siebie twardymi głosami, przekrzykują hałas. Naraz autobus staje. Ktoś szarpie za klamkę — wspina się wysoki mężczyzna w trenczu, z teczką, z gołą głową. Jasne, nieru-

chome spojrzenie: doktor Koeller. Odkłania się lekko, jakby ze zdziwieniem. Wyjmuje z teczki gazetę, zasłania się. Wanda pyta głośno:

— Czy doktora Czerwińskiego zastaniemy teraz? — Buda jest coraz bardziej pełna kurzu i zapachu spalin. Wanda opiera sobie głowę na dłoniach, wyprostowuje się. — Niedobrze mi — mówi ze skrzywionymi dziecinnie ustami. Jest bardzo blada, prawda, zawsze źle znosiła zapach benzyny. Znowu zwiesza głowę, na czoło występują jej krople potu, beret spada jej z głowy, któraś z kobiet podnosi, ktoś jej radzi, żeby się oparła, doktor Koeller opuszcza gazetę, patrzy chwilę, wreszcie ciągnie za drut przebiegający nad głową. Wszystko nieruchomieje. — Trzeba ją wyprowadzić — mówi doktor Koeller — na powietrzu jej przejdzie. Koniecznie niech ją pan wyprowadzi. Potem pan może dojść piechotą.

Wanda przysiada na brzegu szosy, autobus odjeżdża, chmura kurzu opada. Jest cierpki zapach zoranej ziemi, szeleści świerszcz, cicho gra słup telegraficzny, Wandzie lepiej. Po prawej ręce pola, zamknięte wałem wiślanym, nad wałem półokrągły grzbiet lasu Wolskiego, po lewej płaskowzgórze lagrowe z białą blizną betonowej drogi. Do zakładu daleko, widać czubek komina elektrowni nad dachami wsi i wieżę ciśnień trochę z boku, w polu Wandzie jakoś wesoło: — Chodźmy, chodźmy! — Idzie przodem, zrywa kulki łopianu i przylepia je sobie do płaszcza, mówi, że jej wstyd, ale nie może znieść tego zapachu. Cieszy się tym marszem — lubi wieś. Opowiada o różnych akcjach organizacyjnych, w których brała udział. Pojechały kiedyś na wieś z ekipą artystyczną. Miały być występy rewellersów, jakieś deklamacje, śpiew chóralny. Ona pojechała jako agitatorka: przed występem miała chodzić po domach i agitować za spółdzielniami produkcyjnymi. Weszła do jakiejś chałupy, poprosiła o kwaśne mleko. Zeszły się dzieci, obstąpiły ją w milczeniu, podziwały jej zieloną koszulę i czerwony krawat. Zaczęła coś tam o pogodzie, o zbiorach, o tym, że w polu ciężko robić, że warto by mieć maszyny — nic, milczenie. Chłop siedzi pod oknem i coś majstruje kozikiem, baba szoruje garnki, dzieci milczą, jeszcze jakaś staruszka przyczłapała, oparła się o futrynę drzwi, patrzy, milczy. Wreszcie Wanda rąbnęła: warto by pomyśleć o spółdzielni — nic, milczenie. Pyta wreszcie: była tu u was mowa o spółdzielni? Baba na chłopa, chłop głowy nie podnosi, tylko mruczy: „przyjeżdżali z powiatu, coś mówili, ale jo tam nieee wim". No, cóż wyszła, nie miała co dłużej stać z tym garnkiem w ręce. Chciało jej się strasznie płakać, krzyczeć... Szła środkiem ulicy wiejskiej — chałupy wpadnięte w ziemię, walące się płoty, dziurawe dachy, brudne dzieci, wyglądające z nor, jakieś nieufne spojrzenia zza mirtów w doniczkach. Nie wiadomo, dlaczego pomyślała wtedy o domu: o matce, która w tej samej chwili leży skulona na swojej kanapce albo na łóżku i ciągnie papierosa ze wzrokiem wbitym w jeden punkt mrocznego pokoju.

Wanda odwraca głowę, maszeruje dziarsko, ociera ukradkiem oczy, ale zaraz ożywia się: opowiada, jak jeździli z deklamacjami, z tańcem, z piosenką, jak ich chłopi odprowadzali daleko za wieś i prosili, żeby jeszcze przyjechali. Opowiada, jak przyjeżdżali pomagać spółdzielcom w żniwach lub w wykopkach. Prześcigali się wtedy, kto zrobi większą normę... — Czy ja wiem — śmieje się — może to i głupie, stadne radości. Ale jednocześnie czułam, że coś gubię za sobą, że świat wokół mnie się rozszerza. A kiedyś trafiliśmy do jednej z chałup, w której ukrywano umysłowo chorego. Był spokojny, nie robił żad-

nych awantur, ale nie chciał się myć, nie wstawał, nie chciał nic jeść, w nocy tylko, jak nikt nie widział, zjadał chleb, który mu pozostawiano przy posłaniu. Leżał na strychu — to było w lecie — był zarośnięty, brudny, śmierdziało od niego jak od zwierzęcia. Spytaliśmy, dlaczego nie odwożą go do szpitala. Twierdzili, że szpital go nie chce wziąć, bo jest nieuleczalny. Był raz, ale mu się potem pogorszyło: szalał na widok krat, kiedy wchodzili lekarze lub pielęgniarz, stawał na baczność i milczał, a jak chciano go wprowadzić do gabinetu lekarza, rzucił się na podłogę, wył... Pytaliśmy, co mu się stało, nie chcieli powiedzieć. Twierdzili, że to był mądry człowiek, zanim zwariował. I rzeczywiście, widzieliśmy dużo książek, gazet. Próbowaliśmy interweniować w powiatowym wydziale zdrowia, nawet w Komitecie Wojewódzkim, ale nie wiadomo, czy to co pomogło. Wszyscy twierdzili, że znają jego sprawę... jaką sprawę?

Wanda milknie na długo. Słońce doskwiera coraz bardziej, twierdzi jednak, że nie jest zmęczona. Wciąż rozgląda się po chałupach.

Znowu opowiada: o pochodach, o masówkach, o agitacji w szkole, o dyskusjach z profesorami „starych przekonań". — Piotr mówi, że jesteśmy bezmyślnymi pretorianami. — Tak — zamyśla się — jest coś niedobrego: są chwile, kiedy czuje, że przestaje zastanawiać się nad słowami, a mimo to mówi. Są chwile, kiedy robi coś wbrew sobie, i wie, że tak jest właśnie dobrze. Czuje za sobą czasem siłę i wie, że ma zły grymas na twarzy, jak na scenie, w smudze światła zniekształcającego rysy. Ale to jest walka, prawda? Przed bitwą ma się chyba także takie chwile nieprzytomności, takiego oddalenia od siebie. Albo właśnie w teatrze: aktor ma chwile absolutnego zespolenia ze swoją kreacją — słyszy siebie; a trans poety, nawet uczeni znają coś takiego: coś im podsuwa bieg myśli, hipotezy. Chyba każde działanie, każda twórczość przynosi człowiekowi te chwile zatracenia. Prawda?

Oto już koszary: resztki bramy — ani śladu biało-czerwonych pasów, którymi kiedyś musiała być ozdobiona. Wanda nie pamięta „żółtych ułanów", którzy tu byli przed wojną. Piotr pamięta, szalał za nimi. Droga zbiega teraz w dół — reszta wsi leży nieomal u stóp, widać wnętrza podwórek, obejścia, kupy gnoju.

— Chciałabym rządzić — mówi Wanda przystając na pagórku, przymruża oczy, zacina usta, zgrywa się. Sama to czuje: śmieje się. Ale zaraz prostuje: — Ja jednak mówię poważnie. Piotr powiedział mi kiedyś, że marksizm to nie jest filozofia, ale technika władzy. Może to i prawda. Tylko że właśnie władza jest pewną filozofią, prawda? Chyba jest coś w tym? No, w tym, co powiedziałam?

Portier już nie robi trudności. Za bramą zakładu Wanda milknie. Była tu parę razy, zawsze wydaje się zalękniona, przestaje perorować. Bąka coś o widoku — pokazuje palcem na Bielany. Jest samo południe, powietrze na horyzoncie drży jak film. Wanda to zauważa: — I wszystko jest dzisiaj w technikolorze — dodaje — niebo, pola, ten las tam, za Wisłą.

Oto pawilon. Wanda podbiega pierwsza, dzwoni. Otwiera posługaczka. — Doktor Koeller zawiadomił już, że państwo przyjdą — mówi patrząc gdzieś ponad głowami, jakby kogoś szukała w parku. — Nie, nie ma doktora — jest w dyrekcji. Siostry Gonzagi też nie ma — poszła do kaplicy na modlitwy. Ale doktor kazał tam państwa wpuścić. Proszę.

Leży z głową przekręconą w bok, jakby szyja nie mogła już utrzymać ciężaru czaszki. Ma zapadnięte policzki i usta ściągnięte jak do czułego pocałunku, wpółotwarte. I oczy ma otwarte szeroko, nieruchome, źrenice uciekają pod górne powieki, jakby wzrok jej przyciągało to, co się dzieje za oknem. Oddycha szybko, szybciej niż w ogóle można złapać i wypuścić oddech. Jest to inny, nie ludzki rytm, jest to coś, co idzie samo, niezależne, niepowstrzymane. Łóżko otoczone jest wysoką siatką, która od strony pokoju jest opuszczona. W drugim kącie pokoju stoi łóżko, takie samo. Za siatką cicho bawi się fałdami kołdry uśmiechnięta kobieta o rzadkich włosach. Szepce coś do siebie, gniewa się. Za oknem niebo w ostrym technikolorze, pocięte kratą jak podziałką.

Ktoś otwiera drzwi, ciężki krok, wysoka postać w białym płaszczu, jasne spojrzenie — i zaraz huk zamykanych drzwi. Ale ciało jej pozostaje nieporuszone i straszliwy wysiłek trwa.

7

Trwa ostry zimny blask. Wszystko uległo rozbiciu, rozłączeniu. Oddzielone są części od całości. Istnieje tylko jeden podział: co przynależy do jasności, do bieli, do złota i co zagarnęła czerń, brąz, ciemna, gęsta zieleń. Kamień, liść, łodyga, odłamek szkła, drut, strzęp papieru — każde ma własną otokę cienia. Wszystko jest potłuczone, strzaskane, wyjęte z łożysk, rozszczepione, rzucone na sukno, poddane spojrzeniu oczu, które nie rozróżniają szczegółu od istoty. Są to ostatnie dni—godziny przed powszechnym ukryciem się ni to w słońcu, ni to w mgle, w słońcu — mlecznym krążku, w który można będzie patrzeć gołym okiem, we mgle, w bezbarwie, która przynosi kres wściekłej zawiłości form, owemu tak-albo-nie ostatnich dni. Są ostatnie dni września.

Twarze i ręce są białe. Czarne są jedwab, wełna i skóra — nie, wśród tej ostatniej zdarza się brąz — nawet żółcizna — teczka w rękach dyrektora (jest na niej nikiel — niepewny jak spławik lgnący na przemian do czerni i bieli), a także rękawiczki na rękach kobiety trzymającej się na uboczu. Popelina, gabardyna, impregnowany drelich, guma, cerata, plastyk (jesień — w każdej chwili można obawiać się nagłej zmiany pogody — i chłód mimo słońca) — to jest białe, srebrne, zielonkawe. Białe są skarpetki dzieci — ich gołe kolana źle zniosą klękanie. Wśród kwiatów przeważa płowy kolor spełzniętej trawy, rozkopanej gliny, piasku wilgotnego od mgły. Jest i papier: należy do czarnej strefy jedwabiu, wełny, skóry. Brak drewna — jego miękkiej, świetlistej gęstości, która nie łatwo podlega zmianom. Nawet laska w rękach starszej siostry jest pociągnięta metalicznym, czarnym blaskiem lakieru, nawet krzyż w rękach chłopca odzianego w białe płótno — jest to grubas o twarzy dziewczyny, właśnie staje w drzwiach, na najwyższym stopniu, za nim pokazuje się czarny brokat, srebrna lama, czerwony brzeg kancjonału — nawet krzyż jest z metalu, którego blask trzeba by dopiero pracowicie wskrzesić garścią popiołu. Ale oto drzewo: upragniona smuga, lepka od specjalnej politury, odpornej na działanie wilgoci, dobrotliwy graniastosłup, nieco wyższy z jednego końca, nieco szerszy z drugiego, u którego zwisa strzęp białej koronki (muślin?, papier?, tiul?), jakby przytrzaśnięto ją w wielkim pośpiechu i szamotaninie. Krótki przystanek u stopni, na tle rozległego klombu begonii, których rdzawa

czerń została już nieco przygaszona nocnymi przymrozkami, krótki błysk kropidła zakończonego srebrną gałką — jedna kropla ścieka już po śliskiej powierzchni — pierwsze dotknięcie wody, która zacznie niebawem drążyć spoistość desek, wsączać się szczelinami, odłączać drzazgi od drzazg, rozkładać je na miazgę i włókno. Za drzwiami jest cień, cień, jest najpierw zupełnie czarno, są koła fioletowe, zielone, krążące rozety, bryzgi szkła, mosiądzu, płótna — długie strzały świec. Jest wreszcie wilgotna, szeleszcząca puszystość laurowych drzewek, o okrągłych, poczciwych pudlich łbach.

— Proszę usiąść. Będzie teraz msza.

Dźwięczy dwa razy dzwonek, odzywa się pomruk organów i wszystko wraca do normalnych związków. Ksiądz Karol odmawia modlitwę u stopni ołtarza. „Ześlij prawdę Twoją i światłość Twoją, oneć mnie zawiodą na świętą górę Twoją i do przybytków Twoich.“ Nie, nie ma dzisiaj tej modlitwy, to jest żałobna msza: po „Przystąpię do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela młodość moją“ — następuje zaraz spowiedź powszechna kapłana. Ksiądz Karol schylił się już wpół (lśni pas srebrnej lamy na jego grzbiecie) i spowiada się Bogu Ojcu, Błogosławionej Marii, Błogosławionemu Piotrowi i Pawłowi, Wszystkim Świętym i braciom, zgromadzonym w kaplicy państwowego szpitala psychiatrycznego, że zgrzeszył myślą, mową i uczynkiem. W imieniu wszystkich braci grubas o niemęskiej twarzy błaga Boga o przebaczenie dla księdza Karola i o to, aby odpuściwszy mu grzechy jego, doprowadził go do żywota wiecznego. Jeszcze kilka zgodnych wersetów, ksiądz wchodzi powoli na stopnie ołtarza, staje przy cienkim, czarnym mszale, aby dalej odmawiać tę cichą, okaleczoną mszę bez *Gloria* i *Credo*, bez *Ite missa est* i błogosławieństwa wiernych.

Dlaczego tak właściwie jest? Cóż to za sprzeczność między *Gloria* i *Credo* a obecnością tego szczupłego kształtu, wypełniającego politurowany graniastosłup, który góruje teraz nad wszystkim, nad łebkami laurowych drzewek, nad nieruchomymi grotami świec. Jest obrócony wyższą stroną do ołtarza, węższą do drzwi. Było pewne zamieszanie przy ustawianiu, pomylono się: czterech ludzi w czarnych, grubych, sukiennych mundurach ze srebrnymi guzikami kręciło się potem w kółko. A więc to jeszcze ma znaczenie, to nie jest jeszcze obojętne? Dwie dziewczynki w białych skarpetkach (czy nie są to dalekie kuzynki?) zapytywały wówczas ojca, a ten pan w zielonkawym gabardynowym trenczu, z szyją opiętą kołnierzem białej koszuli wyjaśniał im coś i można być pewnym, że użył wyrażenia „patrzeć na ołtarz“: trumna musi patrzeć na ołtarz, czy coś takiego.

Kaplica jest dość mała, katafalk, drzewka, lichtarze zajmują prawie całą jej szerokość, ludzie tłoczący się przy drzwiach nie widzą ołtarza. Przekrzywiają głowy na prawo i lewo: czytają napisy na czarnych, papierowych wstęgach. Popatrują często w stronę ławki pod ścianą, z boku katafalku, udzielają sobie nawzajem wyjaśnień: tam siedzi mąż, córka i syn. Przez otwarte drzwi pada na ich ramiona i głowy światło dzienne. Jest łagodne i ciepłe, gdy się je ogląda stąd, z wnętrza kościoła zamkniętego jaskrawymi płytkami witraży. Twarze są trudne do rozpoznania, zwłaszcza tych, którzy stoją w smudze słońca. Tam jest Maria: ma na sobie biały prochowiec, ściągnięty paskiem, czarny, lekki szalik pod szyją, czarne buty, czarną torebkę. Słońce prześlizguje się po jej włosach upiętych jak zwykle ciasno, wysoko nad karkiem, nad uszami. Jest to sylwetka płynna i silna — od jej stóp ku katafalkowi wyciągnął się cień, długi,

dłuższy od jej całej postaci, niknie pod nogami tych, którzy znajdują się przed nią. Obok niej stoją trzy czarne postacie: siostry. Jedna z nich podpiera się cienką laseczką — jest najstarsza, dwie są młodsze, trzymają ją pod rękę i rozglądają się za krzesłem. Widzi to Maria. Z cichym stukotem swych wysokich pantofelków odchodzi na bok i zaraz wraca z krzesełkiem: szept, szuranie, uśmiechy, staruszka siedzi. Maria muska ręką włosy, sięga do torebki, wyjmuje chusteczkę, dotyka nosa, chowa chusteczkę, wyjmuje książeczkę do nabożeństwa, wertuje, szuka zapewne modlitwy za dusze zmarłych. Są tam modły za duszę ojca, matki, rodzeństwa, dzieci. Są modlitwy za poległych na wojnie, zmarłych na zarazę, za tych, co zginęli w nagłych wypadkach, a także za dusze władców, przełożonych i podwładnych. „Wejrzyj, Panie, na duszę świętej pamięci N..., który..." Jest jednak z pewnością „modlitwa przygodna", którą teraz odmawia Maria. W „modlitwie przygodnej" okoliczność śmierci oraz związki łączące duszę zmarłego z osobą modlącą się są wykropkowane — można uzupełnić.

Za Marią, w samym wejściu, chyba ostatnia ze wszystkich, stoi kobieta w żółtych rękawiczkach. Widać ją dokładnie — słońce oświetla ją całą. Mimo słońca ma na sobie lśniący płaszcz z sinego plastyku. Jest również z gołą głową. Nad wysokim czołem sterczy stos loków. Kobieta często pochyla głowę i patrzy na czubki butów — jest to odruch tremy i zażenowania. Żegna się ruchem nieznacznym, kreśli na piersiach jakiś niewyraźny zygzak i zaraz znowu patrzy na buty. Ktoś za nią staje — pan w ciemnej zarzutce z brązową teczką: doktor Czerwiński. Wspina się na palce, przez ramię kobiety w sinym płaszczu chce zajrzeć do wnętrza, rezygnuje, opuszcza się na pięty, spogląda na zegarek i zaraz znika.

— Doktor Czerwiński był — szepce Wanda, widocznie jest zadowolona. Błądzi wzrokiem po obrazach i witrażach, często patrzy na księdza, uprzedza zawsze trochę liturgiczne powinności: klęka na sekundę przed dzwonkiem, wstaje, jeszcze zanim ksiądz przejdzie na stronę ewangelii. Jest w szkolnym, granatowym płaszczyku, od którego odpięła odznakę swojej organizacji. Za pierwszym razem przeżegnała się z wahaniem, pod koniec mszy czyni to już z rozmachem, z wprawą. Ale nie patrzy na trumnę: ma stale głowę zwróconą w bok — albo w prawo, na grupę ludzi w smudze słońca, albo w lewo na ołtarz, nigdy przed siebie.

Piotr patrzy przed siebie. Jest w swym granatowym biurowym garniturze — nie ma innego. Włożył białą koszulę i czarny krawat. Wstaje, gdy wszyscy stoją, klęka, gdy wszyscy klękają, ale nie żegna się i nie pochyla głowy. Wpatruje się w trumnę, jego źrenice są przecięte wąskimi plamkami świec.

Po mszy ksiądz znika na chwilę za ołtarzem, potem pojawia się znowu, ma teraz kapę narzuconą na krótką komżę — zrzucił albę, przygotowuje się do wyjścia stąd na zapyloną drogę. Przechodzi tuż, tuż — z szelestem brokatu i lamy, w zapachu kadzidła i wina. Staje przed trumną, tuż obok Marii i trzech sióstr, z których najstarsza podnosi się teraz i trzęsąc lekko głową okrytą czarnym toczkiem patrzy odważnie przed siebie. Ksiądz Karol stoi ze zwykłym przechyleniem głowy na lewe ramię, smuga słońca, która mija go z prawej strony, oświetla jego profil — profil dobrotliwego ptaka: długi, ostry nos łączy się prostą linią z czołem, które jest wypukłe, niskie, przechodzi zaraz w płaską, poziomą linię głowy, okrytej rzadkim, gładko zaczesanym włosem.

— *Libera me, Domine, de mortem aeternam* — zaczyna ksiądz miłym, trochę nosowym głosem. „Wybaw mnie, Boże, od śmierci wiecznej" — błaga w imieniu zmarłej, zamkniętej w lśniącym graniastosłupie, zastygłej tam z tymi ustami ściągniętymi jak do pocałunku, rozchylonymi lekko, z tymi oczyma uciekającymi gdzieś do tyłu. Wtedy była za nią krata i tafla gładkiego nieba, błękitnego jak glazura. Teraz są otwarte na oścież drzwi i ciepła smuga gęstniejąca od dymu. Reszta modlitwy utonęła w krzyku organisty i brzęku organów. Za drzwiami kaplicy warknął samochód, za kobietą o wysokiej fryzurze stoją teraz nowi ludzie w czarnych, grubych, sukiennych mundurach. Dzwonek, asygnata, nosze. Piotr coś szepce. Powtarza głośniej:

— Proszę mi dać pieniądze na tragarzy. Ja to załatwię.

Ksiądz Karol prosi, aby za duszę świętej pamięci zmarłej zmówić trzy *Ojcze nasz*, trzy *Zdrowaś Mario* i trzy *Wieczne odpoczywanie*. Organy grają teraz cicho, ludzie poklękali, przyklęknął nawet dyrektor opierając o posadzkę teczkę. Maria klęczy na obu kolanach i szepce wyraźnie modlitwę, pocierając sobie palcami brwi. Piotr i Wanda stają milcząc. Ksiądz Karol obchodzi trumnę z kadzielnicą, trzaska łańcuszek, dym czepia się gałązek laurowych, przydusza płomyczki świec, pełza po skośnych bokach trumny. Ksiądz obchodzi ją po raz drugi ze srebrnym kropidełkiem — nowe krople ściekają po śliskich ściankach. Znowu jego łagodny głos przekrzykuje się z płaskim tenorem organisty. Wreszcie jest melodyjna przygrywka, wydaje się nawet skoczna, trochę jak kolęda: nie ma w niej tej sztywności gregoriańskiej — jest jak ludowa pieśń weselna. Jest taka dziwna — jakie ona ma słowa? Wanda jest zdziwiona, ale mówi: *In Paradysum deducant te angeli...* „Niechaj do raju prowadzą cię aniołowie." Na słońce, na powietrze! Milkną organy, huczą kroki organisty zbiegającego z chóru — idzie objąć swoje obowiązki tam, za kaplicą, w ciepłym słońcu, skąd dochodzi stłumiony murami głos księdza Karola wywodzącego ów wesoły hymn odejścia. A w kaplicy rządzą ludzie w czarnych uniformach. Wśliznęli się niespodziewanie za plecami przyszłej żony Piotra, obeszli chyłkiem, bokami, ominęli Marię i trzy siostry, ukryli się za plecami dyrektora, w grupie kolegów biurowych, i teraz skoczyli ku katafalkowi. Kilka dmuchnięć, gasną świece, lichtarze uchwycone mocnymi rękami odtaczają się z kamiennym brzękiem na bok. Drzewka szarpnięte raz i drugi odsłaniają odrapany bok katafalku. Graniastosłup idzie w górę, zakołysał się i zjeżdża teraz w dół — dobra jest — i na plecy. Jeszcze kilka szelestów, wieńce zawisają na ramionach tragarzy i oto grupa pogrzebowa jest uformowana: cztery odchylone głowy, cztery kłęby kwiatów i wstąg, podłużny, śliski kształt z białą pianką koronki — biały ślad na wodzie za odpływającym okrętem. Za trumną najbliższa rodzina: mąż, córka, syn, spleceni ciasnym uściskiem zrównują krok z tragarzami. Raz, dwa, raz, dwa.

Znowu uderzenie światła, wszystko jest białe, białe, białe — tylko samochód jest czarny, duży, pękaty — jak ambulans pocztowy. Trumnę wsuwa się szybko, gładko, nawet nie wiadomo, którą stroną naprzód. Tym razem nie ma to już znaczenia, obojętne, gdzie patrzy trumna w ciemnym wnętrzu ambulansu. Trzask drzwiczek, warkot — nad klombem begonii snuje się niebieski dym.

Podchodzi ksiądz Karol i upewnia się co do godziny złożenia zwłok w grobowcu rodzinnym. Odbędzie się ono po południu, zgodnie z tym, co wydrukowano na klepsydrach.

Piotr prosi o rozmowę. Teraz, jeśli można, póki nie ma Wandy. Ma na sobie jeszcze białą, wybrudzoną koszulę. Bardzo przeprasza za to, co powie, wie, że chwila nie jest odpowiednia, niestety żyjemy w nienormalnych warunkach.

Zaczyna od sprawy mieszkania. Trzy pokoje — trzy osoby. I kuchnia, która liczy się jako przestrzeń mieszkalna. Dotąd mieszkanie kryło zaświadczenie ze szpitala o chorobie przykrej dla otoczenia. Teraz sprawa staje otworem. W każdej chwili może zjawić się ktoś z nakazem kwaterunkowym. Ludzie nie przebierają w środkach: stróżka, sąsiadka, urzędnik parafialny, urzędnik stanu cywilnego, pielęgniarka w szpitalu, rodzina, kolega z biura, każdy, kto wie, jest niebezpieczny. Będą zjawiać się ludzie z najlepszą wolą. Ludzie mili i kulturalni, którzy nie mają żadnych złych intencji oprócz tej jednej: uzyskania mieszkania dla siebie lub dla kogoś ze swych bliskich. Nie będą długo czekali. Są zawodowi łowcy mieszkań, prowadzący poszukiwania według klepsydr. Znajomi i krewni, którzy się zjawią dziś, jutro, pojutrze, będą przed nimi ostrzegać. Powiedzą: lepiej wpuścić od razu kogoś, kogo się zna, niż obcego szantażystę. Będą mieli słuszność.

Przełknął głośno ślinę i lekko zdławionym głosem powiedział:

— Wobec tego myślę, że nie ma sensu dłużej zwlekać ze ślubem.

Sądzi, że nie potrzebuje przypominać rozmowy sprzed kilku dni. Milczy chwilę, po czym dodaje, że widział się z Danką dzisiaj w biurze i ona to uprzytomniła mu całą sytuację. Wstaje, przechodzi przez pokój Wandy, staje w drzwiach swojego pokoju i mówi głośno, że oddzielenie pokoju nie będzie wcale trudne: na drzwiach postawi się szafę, tu tapczan. Danka ma amerykankę. Pokój jest tuż koło kuchni i łazienki, ma osobne wejście. Powstaje więc prawie osobne mieszkanie bez wzajemnego skrępowania.

Czeka na odpowiedź, przechadzając się po pokojach, które ciągną się w amfiladzie. Zatrzymuje się w pokoju Wandy i wskazuje na stoliczek pod ścianą: przydałby się jako nocny stolik na drobiazgi toaletowe. Można by na nim ustawić lustro, Danka ma takie ładne stojące lustro — będzie zupełnie miła toaletka. Znika — stanął zapewne przy oknie, patrzy na kasztan przed oknem, nagi, mokry, osnuty brudną mgłą. Na posadzce, którą dziś rano dozorczyni trochę zapastowała, widać karbowane ślady gumowych podeszew. Piotr nie pokazując się mówi:

— Myślę, że nie powinniśmy się liczyć z żałobą. Będzie to cichy ślub, bez żadnego przyjęcia. Danka nie ma żadnej rodziny, którą chciałaby widzieć u siebie w tym dniu. Cichy ślub, na którym będziecie tylko wy dwoje — no i parę osób z biura.

Staje w drzwiach. Udaje, że ziewa — często tak robi w chwilach zażenowania — i dodaje:

— A zresztą to nic wesołego.

Zdecydował się nie czekać na odpowiedź, bo obraca się na pięcie i powoli, z rękami w kieszeniach kroczy przez pokoje. Jego podeszwy wydają lepki odgłos, podobny do mlaskania. Odwrócił się na pięcie w swoim pokoju i teraz wraca. Nie dochodzi do progu, wraca znów przez pokój Wandy, nie dochodzi do swego pokoju, wraca, stoi tuż, tuż, z błyszczącymi oczyma.

— Ojciec nie odpowiada. Rozumiem. To jest bardzo przykre. Ale niestety —

powtarzam — żyjemy w nienormalnych warunkach. Jeśli tego nie zrobię, możemy tu mieć za parę dni kilkuosobową rodzinę. Nie wiem, czy ojciec zdaje sobie sprawę z tego wszystkiego. I z tego, że trzeba działać bardzo szybko. Muszę natychmiast załatwić ślub cywilny i zameldować tutaj Dankę. Muszę to zrobić już, w ciągu paru dni. Ślub kościelny można odwlec, przeprowadzkę także. Chociaż i tego nie chciałbym odwlekać: Danka ma bardzo ciężkie warunki domowe. Trzeba ją wyrwać stamtąd.

Znowu przechodzi się tam i z powrotem, wciąż z rękami w kieszeniach. Przystaje, ma ściągnięte brwi i grymas w kącikach ust, mówi niewyraźnie, jakby miał zdrętwiałe mięśnie twarzy. Prosi jeszcze raz, żeby go dobrze zrozumieć. Małżeństwo, ślub! — wszystkim się to kojarzy z roześmianymi twarzami nowożeńców, z kwiatami, z życzeniami szczęścia: „Sto lat", „Niech im gwiazdka pomyślności". Nie, Danka tu nie przyjdzie w roześmianym orszaku — wyprowadzi się chyłkiem ze swojego domu, wprowadzi się chyłkiem do tego. Stamtąd nie będą jej chcieli puścić, bo blokuje metraż i daje na życie. Przyjdzie tu blokować metraż i dawać na życie. Ot, i wszystko.

Wszystko? Przystaje. Jest zaskoczony pytaniem. Powtarza więc: po co, jeśli to wszystko?

— Tak, to wszystko — mówi przegarniając palcami krótkie, twarde włosy. Urywa nagle, podnosi oczy, spogląda zaskoczony, jakby nie rozumiał postawionego pytania, powtarza je: — Więc po co, jeśli to wszystko? — Uśmiecha się ironicznie. Rozumie: pytanie to postawił mu konwenans moralny, który nie dopuszcza myśli, aby ktokolwiek sprzeciwiał się zasadzie szczęścia. Jest rzeczą szczególnie drastyczną, że konwenans ten przemówił ustami kogoś, kto... Tu Piotr urywa i odstępuje od aluzji osobistych. Jest faktem, że co do tej zasady istnieje powszechna umowa: nie naruszać jej wbrew doświadczeniu i pomimo doświadczenia, a filozofia życiowa, która odważyłaby się jej przeciwstawić, nie mogłaby liczyć na powodzenie. Nawet chrześcijaństwo przystosowało się... Bóg średniowieczny, Bóg Augustyna i jansenistów był ciemny, groźny — Jehowa domagający się nieustannych ofiar; nic nie tłumaczył, nie udzielał żadnych wyjaśnień, zastępował drogę, krzyżował plany, jednego dnia zamieniał rycerza w mnicha, króla w pustelnika, spuszczał klęski, palił i topił nieposłuszne miasta, obsypywał trądem ciała grzeszników. Bez miary doświadczał sprawiedliwych. Miewał chwile dobrego humoru — drwił sobie ze swych świętych, kazał im rozpoznawać siebie w groteskowych przebraniach, pewnemu biskupowi rzymskiemu zjawił się pod postacią stada gęsi — odziedziczył trochę fantazji po swych greckich przodkach. Był tak tajemniczy, że wszystko mogło być jego znakiem: krzak na pustyni, płaczące niemowlę, żebrak u bram miasta, biały jeleń, gołębica. Trzeba było wierzyć, nieustannie wierzyć, nie tylko wierzyć — i szukać, szukać, a on nic nie obiecywał, niczego nie dozwalał oczekiwać. Czekać na znak, to wszystko. Nieczego nie zaniechać — kto dziś bierze poważnie grzechy przez zaniechanie? Kusił, wystawiał na próby, dopuszczał blisko szatana, bywał przewrotny, szatańsko przewrotny — jeśli tak można powiedzieć: domagał się nawet okrucieństwa, jakiegoś świętego zmusił do przestąpienia ciała matki. Wanda miała kiedyś w domu żywoty świętych, to wspaniała lektura — księga boskiego humoru, boskiej przebiegłości. Ale Wanda jej nie lubiła, jej rozsądek buntował się przeciwko fantazji Boga. Odpowiadał jej rozumny, łagodny, sprawiedliwy Bóg, taki, którego ukazywał jej ksiądz Karol — ten dobrotliwy wró-

belek z główką skłonioną zawsze na ramię. Bóg zsyła nam cierpienie — jest to więc znak, że nas kocha. Skoro nas kocha, jesteśmy sprawiedliwi. Religia była dla niej sztuką mnożenia radości — znajdowania jej nawet w cierpieniu. Wszystko wiedziała o swoim Bogu — jak o sentymentalnym kochanku. Kocha, i koniec. Kocha! A może właśnie nienawidzi? Może trzeba podwoić, potroić dawkę cierpienia, wyjść Bogu naprzeciw, może to dopiero wołanie: ho, ho, tu jestem, szukaj mnie! Może trzeba zanurzyć się w ciemności, szukać, a on wtedy — ciach! spadnie na łeb jak zły jastrząb, jak demon z czarnymi skrzydłami u rąk i u nóg, z gniewną, smagłą twarzą — tak malował go Giotto... A Wanda biegała w każdy piątek miesiąca do komunii, którą przyjmowała u stóp łagodnego, kędzierzawego blondyna z niebieskimi oczyma, odzianego w różowy płaszcz, ukazującego serce — mięsisty pęcherz o tym samym regularnym kształcie, który wyrzyna się na brzozowej korze w parku, mięsisty pęcherz z kropelką krwi i płomykiem. Dziewięć pierwszych piątków pod rząd dawało jej gwarancję szczęśliwej śmierci — gwarancję! I jej radość była zupełna, jej szczęście było doskonałe — sięgało aż po śmierć. Całe życie od początku do końca było dla niej jednym nieprzerwanym procesem zbawienia, wliczając w to ból, hańbę, każdą śmieszność, każdą niedorzeczność, każdy upadek. Wszystko się liczyło, wszystko w sumie dawało szczęście, wynik był z góry znany.

Piotr śmieje się drwiąco: — Przypadło to Wandzie akurat na czas okupacji. — On przeżył ten okres inaczej: od samego początku pracował. Przerwał naukę tuż przed samą maturą. Jego koledzy organizowali pierwsze komplety — a on nosił paczki w sklepie. Najpierw nazywało się, że to dla dokumentów, potem była to konieczność, trzeba było z czegoś żyć — ojciec był pielęgniarzem matki. Handel, kanty, łapówki, ćwiartki odbijane „za sklepem", szorstki, znajomy dotyk zwiniętego „górala", serdeczne bełkoty: „ja się panu odwdzięczę", „policzymy się". Piotr przypomina: wracał do domu blady, z kropelkami potu na czole, z przekrwionymi oczami, mówił przez zaciśnięte usta: „dajcie mi spokój, mam migrenę", kładł się, zasypiał w ubraniu, słysząc, jak naradzają się szeptem: „co z tymi jego migrenami zrobić, to pewnie wiek przejściowy, ma przecież osiemnaście lat". — A ja po prostu byłem dzień w dzień pijany, bo inaczej się tego wszystkiego nie załatwiało. Za to były narkotyki dla matki i komplety dla Wandy. — Jego koledzy studiowali już na tajnym uniwersytecie i kończyli podchorążówki, on... Wreszcie Wanda przyszła go agitować — Wanda! Chwaliła się, że roznosi gazetki, że coś w domu ma, że on powinien także, to świństwo, taki chłop, który nic nie robi. Musiał jej na poczekaniu wymyślić teorię, żeby jakoś uzasadnić, że to, co robi, jest takie małe, takie marne. Skończyła się wojna, jego rówieśnicy siedli do egzaminów dyplomowych, on zdawał maturę. Potem przyszedł okres ideologii — jego koledzy przechodzili burzliwe „przełomy", paru z nich zasiadło przed sądem i zakosztowało gorzkiej sławy bohaterów narodowych — on wyrabia premie i nie gardzi okazją do zarobków ubocznych. Przerywa, uśmiecha się: — Te pieniądze, które ojcu dawałem... Mówiłem, że to premie, godziny nadliczbowe... Czasem to było rzeczywiście to, a czasem — pewne nawyki okupacyjne — Wanda byłaby znowu oburzona. Bo ona ma nową ideologię, ona zawsze będzie miała ideologię, to jej specjalność — mnie przypadło co innego, mnie przypadło spełnić obowiązek. Może by tak ludzi w ogóle podzielić? Nie — śmieje się — nie mają sensu żadne takie podziały, właściwie nam wszystkim chodzi o jedno i to samo.

O szczęście, oczywiście o szczęście — i w tej całej historii Piotrowi chodzi o szczęście — prosi, żeby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Nie ma innej możliwości. Nie można nic innego realizować, tylko szczęście, to jest wyrok, to taka sama konieczność, jak śmierć. Tyle tylko, że nie my wyznaczamy jego dolną granicę. To nie my ustalamy, co już jest szczęściem. A zawsze coś nim jest, wszyscy są w jakiś sposób szczęśliwi. Nie brak szczęścia nas prześladuje, ale brak wolności. Nie mamy wolności wyboru: chciałoby się być szczęśliwym przez bohaterstwo, jest się szczęśliwym przez filisterstwo. Albo na odwrót — wybierało się szczęście świętego, znalazło się szczęście małej szui — bywa i tak. Ale rezultat jest zawsze ten sam: stan pustki, bezruchu, spoczynku, wypełnienia formy, stan, w którym już niczego więcej się od nas nie wymaga, kiedy nie czeka żadna decyzja, żadna zmiana, kiedy nie trzeba nic odrzucać i nic przyjmować, kiedy wiadomo, że musi być to, co jest, że to, co jest — jest jedyne, że nie ma wyboru, nie ma możliwości... Dojść we współżyciu z drugim człowiekiem do stanu, w którym jego istnienie przestaje być zauważalne, a zobowiązania wobec niego stają się odruchem, przestają ciążyć... Żyć w gromadzie ludzkiej nie odczuwając rygorów prawa i hierarchii — wrosnąć w gromadę... Wrosnąć w religię, aby obrządek, gest, forma zastąpiły niepokój szukania i poznawania Boga... O to chodzi: o ten zerowy stan duszy, martwe pole, znoszenie się znaków. Stan biologicznej równowagi. Jest on możliwy tylko przy całkowitym odrzuceniu wolności — konkluduje Piotr, podnosząc do góry rękę, i wyraża głębokie przekonanie, że szczęście jest to po prostu brak wolności. Nie jest nawet pewien, czy można wybierać jedno lub drugie — szczęście lub wolność. Jego zdaniem tego się nie wybiera. Tak samo, jak nie wybiera się zdrowia i choroby.

Co do tamtej sprawy: „To wszystko?“ — Ojciec chciałby po prostu być pewnym słuszności mojego wyboru... — Jest on najlepszy, jaki może być — zapewnia Piotr z powagą. — Danka jest miła, ładna, dobra. — Mówi to z całym przekonaniem, chociaż zastrzega się, że to przecież rzeczy najzupełniej względne. Ma nadzieję, że będzie ją mógł rychło przedstawić, i jeszcze raz prosi, żeby mieć na uwadze konieczność pośpiechu.

9

— Ma zupełną słuszność — mówi Maria — ma całkowitą słuszność, nie powinieneś mu się sprzeciwiać; zresztą nie odniosłoby to żadnego skutku. — Uśmiecha się, zapala papierosa. — Z tym, że my to zrobimy pierwsi.

Prosi, żeby nie robić przerażonych oczu. Nie dopuści do sytuacji, w której tamta pani weszłaby pierwsza do domu. Miała przyjemność przyjrzeć się jej na cmentarzu. Piotr podszedł do niej po tym wszystkim. Jest to babeczka kuta na cztery nogi, jest to jakaś półinteligentka z charakterkiem — będzie ją, Marię, traktowała potem jak sublokatorkę. Maria ma tego dosyć, dosyć wycierania cudzych kątów, kłótni o zlew i klozet, o miejsce na płycie, o kolejność do łazienki, o proporcjonalny podział świadczeń.

Milknie i pozwala milczeć. Za ścianą gra radio i trzaska jakaś duża maszyna — zapewne warsztat tkacki. Gdzieś w kącie mruczy woda, szemrze kaloryfer, dzwonek, ktoś biegnie, głosy — huk zamykanych drzwi. Ktoś mówi: „Cii...szej!”.

Maria wie, że nie można tego zrobić ani dziś, ani jutro. Trzeba przewlekać jak długo się da — przewlekać, z jednym i z drugim, z Piotrem i...

Nagle urywa — patrzy szeroko otwartymi oczyma, z cieniem uśmiechu w kącikach ust, których nie malowała dzisiaj, są blade, łagodne.

— A może ty nie chcesz? Może ja robię rachunek bez gospodarza?

Znów czeka chwilę. — Nic nie mówisz. To prawda, masz w tej całej historii niewiele do powiedzenia... — W przeciwieństwie do niej. Ona przez trzy lata słuchała wszystkiego, wszystkiego. Nic nie mówiła. Uważała, że powinna mówić jak najmniej. Teraz przeciwnie.

Przypomina początek — początek zwykle niknie w pamięci, a jest najistotniejszy. Zobaczyła biednego człowieka, dręczonego jakimiś nieprawdopodobnymi kłopotami finansowymi. Na drugi, trzeci dzień po pierwszym zjawiał się w zarządzie kasy koleżeńskiej z prośbą o zaliczki, pożyczki krótkoterminowe, długoterminowe. Widać było, że kłamie — o, to bardzo istotne, zarząd zdawał sobie z tego sprawę, jej głos przeważał, miała duży autorytet, była przewodniczącą — choroby i nieszczęśliwe wypadki wszystkich poszczególnych członków rodziny, garnitur dla syna, książki szkolne dla córki, kolonie letnie... Zapominał, że złożył podanie o zapomogę na kolonię letnią, i składał podanie o zwolnienie z opłaty. Zapominał, że brał pożyczkę na zakup książek szkolnych, i żebrał u kolegów mających dzieci o wypożyczenie zużytych podręczników. Syn nie zjawiał się jakoś w nowym garniturze, ale zawsze w tych samych podartych, unrrowskich spodniach. Zastanawiano się nieraz w zarządzie, czy to spryciarz, czy niezdara. Przeważało jej zdanie, kiedy mówiła, że po prostu nieszczęśliwy człowiek. Był zapewne przekonany o swoim sprycie, o tym, że umie jakoś kombinować — jest pewnie przekonany o tym do dzisiejszego dnia. Otóż nie! Maria może zapewnić dzisiaj, że nie. Miała także sporo kłopotów z odparciem fałszywych posądzeń: o alkoholizm, o złe prowadzenie się syna i o zwykłe głupstwa. Przypomina chwilę, kiedy pierwszy raz zapytała wprost, co to wszystko znaczy. Starała się wtedy nadać swemu głosowi brzmienie przyjazne, przepraszała za niedyskrecję, powiedziała, że może będzie mogła jakoś pomóc w sposób bardziej skuteczny. Uczyniła to na polecenie zarządu kasy, który od „wywiadu" (bo tak się to nazywało) uzależnił wypłatę dalszych zaliczek. Doszło wtedy mianowicie do wiadomości zarządu, a nawet dyrekcji, że nie kończy się na pożyczkach z kasy, że istnieje zadłużenie nielegalne, kumoterskie: w kasie bibliotecznej, gdzie naiwna bibliotekarka pożycza z pieniądzy przeznaczonych na zakup książek, w świetlicy, której uczynny kierownik dysponuje niejakim funduszem rozrywkowym, nawet u woźnych, którzy zakupują różne przybory biurowe, u inkasentów i po prostu w kasie, w której można od biedy uszczknąć to i owo na bardzo krótki termin. A w kuchni stołówkowej! I wreszcie u kolegów, u kolegów, u najuboższych nawet kolegów, jakieś śmieszne, żebracze kwoty. U klientów! Tak, u stałych klientów, z których jeden, nie wiedząc, czy to nie chodzi o łapówkę, zapytał dyskretnie któregoś z urzędników. Ten doniósł, zrobiono wywiad i wszystko wyszło na jaw. Nie mówiła o tym nigdy, nigdy i potrafiła przekonać wszystkich — łącznie z organizacją partyjną, która się tym zainteresowała, potrafiła po tej pierwszej, długiej rozmowie z nim przekonać całe biuro, że należy przymknąć oczy, bo człowiek jest naprawdę nieszczęśliwy. Uwierzono jej na słowo — nawet nie powtarzała dokładnie tego, co usłyszała. Uzyskała umorzenie całej sprawy, zobowiązując się, że długi będą spłacone i że ten haniebny

proceder się skończy. Tak — rozkłada ręce — niestety tak, musi to dzisiaj powiedzieć. Wszystkie pożyczki i pomoce w ciągu ostatnich trzech lat szły na jej rachunek. Pieniądze, które rzekomo dla niego pożyczała, były jej pieniędzmi. Bardzo przeprasza, że o tym mówi, ale przecież każdy ma prawo do przedstawienia rachunku. Kupowała narkotyki, twierdząc, że pochodzą z zapasów kogoś, kto miał aptekę, ale ją zamknięto czy coś takiego. Nie, miała koleżankę w hurtowni, która sprzedawała jej te środki bez recepty, na lewo, nawet wtedy, kiedy ich brakowało, kiedy wydawano je wyłącznie szpitalom. Ma nadzieję, że ofiarowała wszystkim czworgu paręset spokojnych nocy, bez wybijania szyb i łamania krzeseł.

— Jeszcze raz cię przepraszam, wiem, że to chamstwo, ale... — odwraca głowę, przyciska dłoń do ust i szepce: — Naprawdę nic nie żądałam, nic, nic.

Radio cichnie, milknie trzask warsztatu, dom drży, kołysze się drut biegnący na wysokości okna, strzela błękitna iskra.

— Odeszłam od męża, bo wiedziałam, że mu jestem niepotrzebna. Był silny, zdrowy, zdolny, pewny siebie. Miał swoją fabrykę, plany, produkcję, narady. Miał partię, zebrania, wybory, plenum takie, plenum inne. Miał zjazdy i kongresy. Miał sporty, pływanie, kajaki, narty. Należało mu się, miał wszystkie racje za sobą: pracował bez wytchnienia i miał olbrzymie zasługi. Miewał flirty, które załatwiał bez skrupułów tak wobec mnie, jak i wobec tamtych kobiet. To jedno mnie uratowało: choć nikt go nie potępił, prawo przyznało mi podstawy do oskarżenia. Gdyby nie to jedno, to właśnie, o co mi najmniej chodziło, byłabym głupią gęsią, przeszkadzającą żyć i działać prawdziwie wartościowemu człowiekowi, kurą domową, która chce orła utrzymać na grzędzie... A ja po prostu chciałam być potrzebna, potrzebna, mam takie głupie...

Przez korytarz biegnie dziecko: — Ja ucieknę!

— Znaaajdę ja cieeebie — ciągnie po kresowemu stary głos.

Maria miała czyste sumienie. Mogła w każdej chwili stanąć przed jej oczyma — nie odbierała jej męża, opiekuna, pielęgniarza, ofiary. — Byłeś przede wszystkim jej ofiarą — dodaje bez pogardy — i ja też. Ty przymusową, ja dobrowolną. — Maria znowu przypomina: — Były chwile, kiedy chciałeś ją porzucić, ja cię od tego odwiodłam, tak, odwiodłam cię od tego. Była chwila... — Nie, Maria nie chce ruszać rzeczy zbyt świeżych. Zrywa się, krzyczy zduszonym szeptem: — Mogłabym ci powiedzieć, że ja jedna nie opuściłam jej do ostatka.

Wyrywa papierosa z pudełka, rozsypują się na stół, szuka zapałek, nie ma zapałek, wybiega, słychać jej uprzejmy głos w hallu.

— To świństwo, że ja to mówię, ale chciałam ci po prostu przypomnieć, przypomnieć... Bo teraz wszystko będzie wyglądało inaczej: miał kochankę i żonę wariatkę. Żona umarła, sprowadził sobie tę drugą. Tak się będzie o tym mówiło i to będzie prawda. A jednocześnie nieprawda, przypominam ci to wszystko, żebyś wiedział, że to nieprawda, że wszystko było inaczej. Ja wiem, każdy, kto popełni jakieś pospolite, banalne przestępstwo, mówi, że to nie było tak, jak zwykle bywa, ale naprawdę, naprawdę to było inaczej. Tyś świadkiem — nie, ty także nie jesteś świadkiem, tak będziesz o tym myślał, jak ci nakaże porządek twego sumienia — nie mam więc świadka nawet, że chciałam ją ratować, i tydzień temu, kiedy umierała przy milczącej zgodzie szpitala — a tak!

tak! — przy milczącej zgodzie szpitala, i... i przez całe trzy lata chciałam ją ratować. Wszystko robiłam dla niej, bo kochałam. Nie jestem pewna, czy ciebie takiego, jakim byś był, gdybyś nie miał tej całej historii. Kochałam miłość, którą znalazłam dzięki tobie. Kochałam ten żar serca, tę czystość, tę radość. Kochałam samą siebie taką, jaką się stałam, gdy weszłam w twoje życie. Rozumiesz to? Jestem egoistka, tak, i myślę, że z miłością tak zawsze jest, że to siebie się kocha, to swoje anielstwo. I dlatego człowiek tak trwa przy kimś pomimo krzywd, upokorzeń, pomimo że wszystko już inaczej — trwa, boi się rozstać, boi się oderwać, żeby nie zagasło to piękne, które nie łatwo odzyskać. I dlatego nie pozwolę się porzucić, nie pozwolę, ja muszę być potrzebna...

Odwraca głowę. Nie chce uspokojeń i pocieszeń. Rusza ramionami. Prosi, żeby jej dać odpowiedź. Przedstawia rachunek z całą bezwzględnością. Ma twarz zalaną łzami.

— Jestem ci niepotrzebna. Zostaniesz z nią teraz sam na sam, bo to nie żadna sztuka. Nie będzie na ciebie pluła, nie będzie w ciebie rzucała talerzami, nie będzie cię szantażowała o pieniądze. Została ci w pamięci z tą twarzą duszonego ptaka. Oczy zachodzą ci łzami, kiedy mówisz o jej ostatnich chwilach. Będziesz sobie chodził co niedzielę na cmentarz. Każesz wyryć jej nazwisko, imię, datę urodzenia i śmierci na tej tablicy pośród jej rodziny. Zrobisz ładny klomb koło grobu, wysypiesz ścieżkę żwirkiem — kiedy przychodziłeś zmaltretowany, mówiłeś, że chętnie byś sobie kiedyś popracował w ogródku. Masz teraz okazję. Zafundujesz sobie ławeczkę i przybijesz do niej tabliczkę: „Własność prywatna". Zostaniesz sam na sam ze swoim anielstwem — będziesz przesiadywał nad jej grobem dumny, że dociągnąłeś do końca, że masz za sobą czystą sprawę, żeś spełnił ofiarę do dna. Ja ci będę niewygodna. Będę ci przypominała, że beze mnie byś tego nie dokonał. Nie ujmuję nic z twojej dobroci, ale nie pozwolę sobie odebrać swojej cząstki.

Dlaczego taki pośpiech? Dlaczego mu nie pozwala odetchnąć? Śmieje się sarkastycznie: dlatego, że każdy dzień pracuje przeciwko niej.

— Dlatego, że za parę miesięcy będziesz normalnym człowiekiem, który we mnie będzie widział starzejącą się, rozhisteryzowaną urzędniczkę. Dlatego, dlatego! Za parę miesięcy wejdzie do twego domu zdrowa, sprytna rzepa, przy której ja będę dla ciebie nieomal tym samym, co... no, kłopotliwym problemem. Dlatego, dlatego...

Zastanawia się teraz rzeczowo, jak to oznajmić dzieciom. Wydaje jej się, że nie ma z czego robić wielkiego problemu: są dość inteligentne na to, aby im powiedzieć całą prawdę. Oczywiście z wyjątkiem tego, że o przyspieszeniu terminu zadecydował zamiar Piotra. Nie jest zresztą pewna, czy rzeczywiście o niczym nie wiedzą. Nie chce się jej wierzyć, aby dotąd dla nich nie istniała.

— Wszystko zależy od twojej decyzji. Musisz ją powziąć. Tak albo tak. Będę czekała. — Podaje rękę, szybko ją cofa, odprowadza do drzwi. W ciemnym hallu stoi dziecko z błyszczącymi oczami. — Uwaaażaj ty sobie — ciągnie zza jakichś drzwi ten sam starczy głos i warsztat znowu rusza.

Jest już późne popołudnie. Ludzie, objuczeni pełnymi siatkami i torbami, dotierają do domów. Rytm jest powolniejszy, tramwaje puste. Wsiada się bez pośpiechu. Łatwo o miejsce przy oknie. Jazda trwa długo, okrężną trasą, dookoła Plant. Alejki są teraz odsłonięte, trawniki i klomby zasłane zeschłymi liśćmi. Czarne i rude gałązki śmigają tuż koło okien, potem podbiegają domy

z nisko osadzonymi oknami, zszarzałe cegły kościelnego muru i znów ruda szczeć, czarne pnie, żółte śmietnisko liści. Oto koła śpiewają cienko na zakręcie i jest szybki zjazd pod wiadukt — sekunda ciemności i głuchego turkotu, i znów okna, bramy, okna, bramy, w bramach kobiety, na rogach mężczyźni. Czerwony kościół, nowy, jaskrawy, i cień długiej alei. Po obu stronach drzewa, po obu stronach niskie mury, za murami koszarowe gmachy, na szarych placach gimnastyczne drabinki, wycięte z drzewa manekiny, podziurawione kulami. Potem mur skacze w górę, nad nim wyrastają kamienne krzyże, głowy posągów obróconych tyłem do ulicy i znów drzewa, drzewa. Niektóre mają jeszcze liście wielkie i kształtne jak wycinanki, inne są nagie, czarne, jak z drutu, ale są i plamy gęstej zieleni: oto sosna, świerk, modrzew, cyprys.

Niski, gruby człowiek w szarym mundurze dzwoni kluczami i ostrzega, że będzie niedługo zamykał. — Proszę iść, ale szybko. — Kaplica w głębi alei jest już zamknięta. Obchodzi się ją dookoła i wchodzi się w boczną alejkę, równoległą do głównej. Główna aleja jest brukowana i kroki w niej brzmią za głośno. Boczna alejka jest miękka i słyszy się teraz, jak gdzieś szeleści zamaszyście miotła, jak skwierczy dogasająca świeczka, jak gwiżdże kos, jak chropocze pazurkami wiewiórka. Przy czerwonym gotyckim grobowcu skręca się w lewo, alejka tu jest jeszcze węższa, ziemia jeszcze miększa, jest jeszcze ciszej, słychać teraz, jak brzęczą zderzaki na pobliskim dworcu, jak w niedalekich warsztatach rzęzi mechaniczny świder. Grobowce stoją tu ciasno, tuż przy ścieżce, ich płyty pokryte są grubą warstwą rdzy i mchu. Ten jeden jest trochę cofnięty, przed nim pozostało dość miejsca na wieńce, które rozłożono szeroko, choć jest ich niewiele: od najbliższej rodziny, od kolegów z biura, od sióstr. Po bokach leżą wiązanki, zgniecione już nocną mgłą i rannymi przymrozkami. Tylko jedna jest świeża — trzy białe astry, puszyste, nie rozkwitłe jeszcze, z łodygami wilgotnymi, jakby przed godziną zostały wyjęte z wody. Astry na wieńcach już pożółkły, chryzantemy zwinęły się nieco, choinę przysypały gęsto żółte igły modrzewia, którego szeroki, popielaty pień wyrasta tuż obok. Trzeba brać każdy wieniec z osobna, otrząsnąć i wtedy wydaje się świeższy — zielony, biały, żółty.

Grobowiec wygląda jak dom głęboko wkopany w ziemię: ma kamienny, łamany dach i kamienne czoło uwieńczone krzyżem. Pod krzyżem napis, głęboko ryty, rowki liter zzieleniały od wody, która ścieka nimi już wiele lat. Pod napisem czarna, lśniąca tablica z równymi rzędami złotych liter — jak wiersz. Mącą trochę głęboką przejrzystość tablicy, jak bryzgi słońca na wodzie, ale i tak widać w niej sylwetkę człowieka, który stoi przed grobem: jest niski i szczupły, tak że cały mieści się w marmurowym ekranie, ma luźnią, jasną zarzutkę, z rękawem przeciętym plamą krepy, ręce trzyma założone na kapeluszu. Twarzy nie widać — niewyraźne plamy czoła, policzków, uszu. Sylwetka znika na chwilę, szeleści szarfa, błyska spośród choinowych gałęzi napis na szarfie — trochę rozmazała go mgła, jest jednak czytelny: „Najukochańszej żonie i matce...".

Gdzieś przy bramie, w stronie śpiewających wysoko tramwajów, brzęczy dzwonek, zbliża się. Gęstwina rozpościerająca się między szarymi grobami, liście na grobach przybite wilgocią, choina przyprószona spadającymi wciąż igłami, kwiaty przykrępowane zardzewiałymi drutami do wieńcowych szkieletów, człowiek na ścieżce — wszystko, wszystko kamienieje w zmierzchu zapadającym szybko, równie szybko, jak zbliża się dzwonek — wszystko, aż po niebo niknące w mroku, zastyga w jedną, wielką, zawiłą alegorię nagrobną.

Bruk alei głównej postukuje krokami uchodzących. Dzwonek minął i oddala się. Odbicie w tablicy także znika — i marmur zszarzał jak woda, której kamienne dno podeszło tuż pod powierzchnię.

10

Piotr jest zirytowany: Wanda zaprosiła do siebie jakąś bandę. Kłócą się, krzyczą, próbowali nawet śpiewać — to jest nie do zniesienia. Wrócił wcześniej z biura, chyba nie ma powodu łazić nigdzie, nareszcie chce mieć spokojny kąt. Wanda — no tak, jeszcze nigdy dotąd nikt u niej nie był, chodziła do innych. Ale niech przynajmniej nie wrzeszczą.

Porozkładał pełno książek na stole, jakieś papiery. Chce się dowiedzieć, co właściwie ma u siebie. Wszystko było dotąd poukrywane.

W pokoju Wandy huczą głosy. W przedpokoju stos płaszczy, czuć wilgotną wełnę. W sypialni teraz przestronno, pusto, jedno łóżko podsunięte pod ścianę, nocna szafka, stary dywanik zasłonił ciemną plamę na podłodze, której nie da się zetrzeć. O szyby dzwoni deszcz. Piotr przynosi książkę. — Proszę koniecznie poczytać. — Wychodzi, ociągając się, jakby się usprawiedliwiał, że chce także zająć się jakąś swoją robotą.

Tyka pogięty budzik. Deszcz zacina o szyby gwałtownymi falami. W pokoju Wandy wybucha gromadny śmiech, po czym głosy znowu rzedną, ktoś nuci. Za ścianą płacze dziecko, z góry dochodzą krzyki, na schodach czyjeś ciężkie kroki, kogoś, kto ledwo podnosi nogi, kogoś, kto się chyba słania, zatacza i nie może dojść do domu — ależ to ktoś chory czy pijany...

— Dobry wieczór, co panu?

— Dlaczego tatuś tak wybiegł, co się stało? Ktoś szedł?

— Dobry wieczór pani dozorczyni, cóż, schody pani dzisiaj myje, przy takiej pogodzie? Zaraz pani zabłocą...

— A przeprowadzili się ci z góry, to i naświnili, panie Piotrku.

Kulawy budzik tyka równomiernie, wrzasnęło dziecko za ścianą, na górze teraz śmiechy i radio, u Wandy rumor — chyba wychodzą.

Trzask drzwi wejściowych, cisza.

— Tatuś sam? No, nareszcie poszli. Naschodziło się trochę wiary...

Przeciąga się, opiera o futrynę, patrzy w milczeniu przed siebie.

— Głupia ta cisza — mówi w końcu. — I ile czasu? Nie można go zupełnie pokonać. Może kolację zrobić?

Szasta się głośno po kuchni, nakrywa w swoim pokoju długo, starannie, stawiając z hałasem talerze. Zwołuje do stołu.

Piotr mruży oczy, wstał od małej lampki. — Nigdy w życiu nie czytałem tak długo bez przerwy. — Jedzą w milczeniu. Przy herbacie zaczynają się kłócić, znów w tym samym stylu, ironicznym, konwencjonalnym, jakby im nie zależało na tym, co mówią. Znów ten sam temat: polityka, władza, historia, postęp, wolność, szczęście. Sprawia to wrażenie obsesyjnego snu, który przeżywają na jawie. Czasem Wanda krzyknie głośniej, jak dziecko usiłuje przebudzić się z koszmaru, ale zaraz uspokaja ją ironiczny głos Piotra. Wanda wraca wtedy do tonu, który przyjęli, znów staje się automatem, powtarzającym tę samą melodię, znów jest jak mówiące medium.

Ale już po chwili Wanda ma wypieki i próbuje przerwać Piotrowi, zbić go z tropu, nazywa go metafizykiem. Określa jego wywody jako „zawieszone w historycznej próżni". Dla Piotra nie istnieje historia, która jest jedynym sensownym porządkiem świata, tylko ona jest prawdziwym rachunkiem strat i zysków, Wanda prosi, żeby przenieść tę całą dyskusję na grunt faktów, jej nie interesują formułki. — Otóż... — Ale tym razem Piotr jej przerywa, broniąc prawa do abstrakcyjnych uogólnień, i pyta, co ona rozumie przez słowo metafizyka. Wanda wyjaśnia, Piotr kwestionuje, Wanda biegnie po swoje notatki, przynosi kremowe broszury z czerwonymi tytułami, Piotr wyśmiewa się, Wanda ma łzy w oczach.

Trzeba iść spać. Milkną, wstają leniwie, Wanda zbiera ze stołu, Piotr jej pomaga, idą razem myć naczynia, Wanda ofiarowuje się przedtem przygotować łóżko. Krząta się nucąc coś, otwiera okno, bierze fotografię stojącą na nocnej szafce, wpatruje się chwilkę i mówi:

— Jaka mamusia spłoszona na tym zdjęciu, prawda? Co to za zdjęcie? Ile tu mogła mieć lat? Boże, prawie tyle co ja! — Wychodzi z ciepłym „dobranoc".

Z kuchni słychać teraz brzęk talerzy, plusk wody, głosy. Rozmawiają, rozmawiają już spokojnie, ich głosy są teraz naturalne, nie ma błazenady, sztuczności, są poważni. Chwilami głosy milkną i nie wiadomo, czy urwała się rozmowa, czy doszli do porozumienia, czy zeszli do szeptu. Dlaczego szepcą, przed kim ukrywają swe porozumienie i jakie są sprawy, wobec których są zgodni i które traktują poważniej od tamtych, wielkich? Trzeba zamknąć okno, powietrze w pokoju już lepsze.

11

Dzisiaj Wanda atakuje: — Dla ciebie wszystkie idee są niemoralne, niemoralne jest wszystko, co sprawdza twoje postępowanie. Odrzucasz sankcje, to bujda, sam sobie wymyślasz takie, jakie ci są wygodne... — Mówi natarczywie, wkłada wiele serca w swoje słowa i jest bardzo zdenerwowana tym, że nie umie wyrazić się precyzyjnie, że trochę błądzi w problemach. Piotr jest dzisiaj leniwy. Uśmiecha się pobłażliwie, bawi się kulkami chleba, ugniata je, potem chwyta skrzyżowanymi palcami, po raz setny powtarzając eksperyment z rozdwojeniem dotyku. Wanda przypomina mu, co kiedyś powiedział: że jedynym zadaniem moralnym człowieka jest określić swoją sytuację, sprowadzić ją do najprostszej formuły. Wanda zupełnie tego nie rozumie. Usprawiedliwia się, że nie miała na to odpowiedzi wtedy, kiedy to powiedział, no, po prostu musiała się zastanowić, ale teraz już wie: otóż nie ma żadnej trwałej, niezmiennej sytuacji człowieka. Nic takiego nie ma: wszystko jest zmienne i względne — historia... Jest historia człowieka, jest jego działanie w historii. Dla Piotra, który chce widzieć człowieka w jednej nie zmienionej sytuacji, wobec śmierci pewnie, bo jeśli mowa o czymś niezmiennym, to rzeczywiście tylko śmierć jest fatem niezmiennym, dla Piotra więc istotnie wszystkie idee są kłamstwem i ucieczką, człowiek kłamie, że kocha, kłamie, że tworzy piękno, że walczy o sprawiedliwość i postęp. A naprawdę tylko ucieka, ucieka. Wanda zarzuca Piotrowi brak oryginalności, „wszystko to wyczytałeś", ale przyznaje, że jej to jest obojętne, gdzie to wyczytał. Jej wystarczy, że to akurat powtarza. I w ogóle

Wanda sądzi, że obojętne jest to, co się mówi, obojętne, do jakiej formuły chce się sprowadzić swój świat. Ważne jest to, w czym się bierze udział i w czym się nie bierze udziału. Nie ma zatem jakiejś jednej sytuacji człowieka: określa go bez reszty to, co on kocha, to, o co walczy. I właściwie obojętne, jak nazwać to, co człowiek stworzył. — Wanda przeprasza za chaotyczność. — Obojętne, czy sztuka, cywilizacja, prawo, to wszystko dzieła kłamstwa, strachu i miłości własnej. Grunt, że to jest — woła Wanda z zacięciem trochę demagogicznym, ale z dużym przekonaniem. Dzisiaj, kiedy jest w ofensywie, wyzbyła się owej martwoty, z którą wysłuchiwała wczoraj Piotra, ani śladu w niej gotowości do ustępstwa i kompromisu. Za to Piotr uśmiecha się nieustannie i można się obawiać, że wyprze się własnych poglądów. — Co? — pyta nagle z głupia frant, a Wanda, zaskoczona, powtarza: — Jak to co? — Co jest? Powiedziałaś: „grunt, że to jest". — Jest literatura, jest filozofia, są ustroje, są wojny, są bohaterowie, są odkrycia i wynalazki, są wyprawy na biegun i sztuczne planety. To jest prawdziwy świat człowieka, nie jego strach w zamkniętym pokoju.

Wanda macha gwałtownie rękami i zrywa się od stołu. Prędko zbiera szklanki i talerze, ucieka do kuchni. Piotr siedzi zamyślony, znów bawi się kulkami chleba, dym z papierosa snuje się nisko nad stołem, światło lampy lekko drga, brzęczą szyby, jakiś ciężki samochód przejeżdża ulicą.

— Dlaczego my wciąż mówimy o tym samym? — zastanawia się Piotr. I odpowiada zaraz: — Te wszystkie ogólniki zwalniają z odpowiedzialności indywidualnej. Mówimy o historii, żeby nie myśleć o swoim życiu. Błędy ustrojów zwalniają z odpowiedzialności indywidualnej za to, co się dzieje w domu. Najprościej jest uznać siebie za zjawisko masowe.

Nie ma ochoty na odejście od stołu. Chętnie odpowiada na pytania o biuro, sam nawet pyta. — Ojciec powinien wyjechać, odpocząć. A może właśnie odwrotnie? Zająć się pracą? — Milknie, urywa rozmowę, ale nie odchodzi. Za chwilę znów ją wznawia, proponuje herbatę. Mówi wreszcie: — Trzeba iść do pokoju — ale nie rusza się z miejsca, czeka, żeby go zatrzymać. — Tam trzeba czymś się zająć — dodaje z uśmiechem — a nie bardzo wiadomo czym. Gdybym miał radio, słuchałbym wiadomości sportowych i jazzu. Trzeba sobie kupić radio. — Chętnie podejmuje rozmowę na swój temat. Co zamierza dalej robić? No, właściwie już mówił, traktuje to jak najbardziej serio. Nie ma się już co zastanawiać. Rzecz jest postanowiona, mowy nie ma o wycofaniu się, zresztą on wcale tego nie chce. Jest bardzo, bardzo... — Szuka słowa lub chce go nie znaleźć. Zresztą dlaczego miałby tego nie zrobić? Danka pragnie mieć dom, a on jej ten dom chyba potrafi stworzyć. Taki, jaki będzie chciała.

Otwiera szeroko oczy, milczy chwilkę, wreszcie mówi:

— Jak można o to pytać? To jest w pewnym sensie oczywiste, a w każdym razie powinno być oczywiste dla każdego, kto już ma to za sobą, tak czy inaczej... — Jest bardzo zmieszany tym pytaniem, zamiast odpowiedzi mówi o niej. Jest od niego o kilka lat starsza, ma już ponad trzydziestkę. Miała narzeczonego, który ją opuścił, jakiś sportowiec — wyjechał za granicę i nie wrócił. Potem plątał się przy niej kilka lat żonaty człowiek, który wciąż zapowiadał rozwód, twierdził, że jest nieszczęśliwy, chorował, umierał, zmuszał do litości, wreszcie wyzdrowiał, pogodził się z żoną, teraz jej nie poznaje na ulicy. Dziewczyna pochodzi z biedy, z przedmieścia, z rodziny awanturniczej, nienawistnej, krętackiej. Piotr był tam raz u niej, kiedy chorowała. Ciemny pokój z kuchnią,

w oficynie, w Podgórzu. Potrzaskane meble, brudna, rozbebeszona pościel, firanki prawie czarne, nadziane zdechłymi muchami, słoje z jakimś fermentującym obrzydliwstwem na parapecie, rozmamłana matka, umizgująca się, obleśna, częstująca herbatą z sokiem, wycierająca krzesło i podkładająca gazetę pod nogi — „bo podłoga świeżo myta". Przedziwny smród, którym przesiąknęła nawet suknia Danki... Ach, no i ojciec, ponury, ze sterczącymi, spróchniałymi zębami, rozprawiający ciągle o polityce i rugający wszystkich dokoła. Wrzaskliwe rodzeństwo — cała trójka uliczników. Wszystko gnieździ się w tym pokoju z kuchnią. Ojciec jest leń i pijak, matka pierze, ale też nie lubi się przemęczać — wszyscy eksploatują Dankę. Ciągną od niej pieniądze, każde z osobna, jedno kryje się przed drugim. Ona daje i daje. Bez niej zgniliby w brudzie, bez niej dzieci nie poszłyby do szkoły.

Jak się poznali? Po prostu w biurze. Kiedyś zaczęli rozmawiać, zaczęły się zwierzenia. Reszta wydawała się oczywista.

— Czy ją kocham? Nie wiem, naprawdę nie wiem, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, wydaje mi się bezsensowne, wydaje mi się, że w ogóle nie wolno go stawiać. A gdybym jej nie kochał? Ma pozostać w tym rynsztoku, narażona na zaloty coraz bezczelniejsze, coraz obrzydliwsze? Dlaczego ja mam to wszystko brać na serio? A dlaczego nie ja? A może ja jedyny jestem w stanie to wziąć na siebie, właśnie dlatego, że już coś mam za sobą i że przychodzę do niej z podobnym balastem? Wiem jedno: że nie mogę już przejść spokojnie obok tej sprawy i być może to właśnie jest wszystko...

— Cóż, ona ma na pewno wady... Jest zacięta, twarda, nieufna. Gdybym wybierał... Ale czy wybiera się dom rodzinny? Czy wybiera się cokolwiek? Czy miłość ma jakikolwiek związek z wyborem? Kocha się nawet potwory, nawet łajdaków. Może nawet zawsze powinno się wybierać przeciwko sobie? Tylko w ogłoszeniach matrymonialnych istnieje dobór. W życiu nic nie jest dobrane. W życiu chyba ważne jedno: żeby nie zaniechać czegoś, co jest ważne, nie odrzucić odpowiedzialności. I żeby spełnić wszystko do końca. Ja już jestem odpowiedzialny za jej życie. Nawet gdybym teraz, „póki czas", odszedł... Nawet gdybym odszedł po pierwszej rozmowie, po pierwszych zwierzeniach, już byłby po mnie ślad w jej życiu i już byłbym za to odpowiedzialny. Wybierając potem swój los z rozwagą i trzeźwym namysłem, wiedziałbym, że w gruncie rzeczy uciekam, kryję się, kłamię. Jeśli ojciec chce, można ten stan nazwać miłością. Jest ona wolą, musi być przede wszystkim wolą, tylko wtedy zasługuje na zaufanie. Albo jej nie ma — już mi to obojętne. Nie zastanawiam się nad tym.

Bębni palcami po stole. W pokoju Wandy skrzypi krzesło. Ponad sufitem brzęczy radio. W ścianach gra woda. Piotr z uśmiechem wpatruje się w porysowaną ceratę, pokrywającą stół. Naraz podnosi oczy i pyta.

Czeka na odpowiedź. Jest to ładny chłopiec. Orzechowe źrenice niestety trochę zbladły, straciły już ten mocny, jednolity blask, którym zwracał dawniej uwagę pań lubiących dzieci: „Nie umyłeś sobie oczek, takie masz czarne", „To chłopczyk czy dziewczynka?". Otóż dzisiaj to chłopczyk, niewątpliwie chłopiec, mężczyzna. Marszczy teraz brwi, domaga się odpowiedzi na swoje okrutne pytanie, które stawia i dla sądu, i dla odwetu. Szczególny jest układ jego warg: nie można nie dostrzec zarysu uśmiechu, niezbyt życzliwego dla milczącego rozmówcy. Ma dwa wystające przednie zęby, ich koniuszki widać nawet, gdy wargi są zamknięte, jest w tej twarzy coś gryzoniowatego, a jednak to ładny

chłopiec, dobry chłopiec. Śmieje się teraz zjadliwie, wie już zapewne, że nie otrzyma odpowiedzi, utwierdza go to w jego planach życiowych, w jego postawie, w jego sądach — cieszy go to. Doprawdy cieszy go to, lecz chyba nie potrwa długo jego radość. Już! Jego źrenice rozszerzają się z przerażenia, zrywa się, jego otwarte usta są blisko, śmieszne, szczurze zęby, ząbki, jego ręce są za słabe, ramiona zbyt wiotkie. Jest i Wanda: siwe oczy z żółtymi punkcikami, siwe oczy o podłużnym wykroju, niech je Bóg chroni przed mgłą złego snu i choroby. Błogosławione odruchy kobiece: poduszka, szklanka, żar kropel na języku. Piotr zaplata dłonie, zgniata rozedrgane palce, patrzy z lękiem, chyba bez pogardy, i chyba już nie czeka na odpowiedź. Niech nie czeka, nie doczeka się...

Wanda otwiera okno, pachnie mgła, mokry bruk szeleści pod kołami.

12

„Wielce szanowny panie, proszę o niezwłoczne skomunikowanie się ze mną w pilnej sprawie. Ściskam dłoń — dr Czerwiński, doc. A. M."

— Z docentem Czerwińskim? Kto prosi? Spytam. — Chwilka szumu. — Proszę mówić.

— Moje uszanowanie, bardzo proszę, niech pan łaskawie tu przyjdzie, zastanie mnie pan na oddziale, koniecznie dzisiaj.

Autobus właśnie zajechał. Konduktor z przekrwionymi oczyma stoi przy wejściu, inkasuje pieniądze, woła: „szybciej wsiadać".

— Pan do K.? — pyta kogoś.

— Nie do domu. Ja jeszcze normalny.

Ludzie śmieją się. Ktoś próbuje rozwijać żart. Autobus rusza, buda zaraz napełnia się zapachem spalin, którego Wanda nie mogłaby znieść. Jest pora południowa. Dzisiaj widocznie dzień odwiedzin — pełno kobiet w czarnych chustkach z frędzlami, chłopów w krótkich marynarkach i wysokich, pilśniowych kapeluszach. Z koszyków wysypują się jabłka, śliwki. Żarty umilkły. Jedna kobieta opowiada drugiej o córce, kórej pokarm rzucił się na głowę. Autobus staje. Ktoś szarpie drzwiczki: wysoka postać w zielonym trenczu, odkryta głowa, jasne, krókie spojrzenie, które ukrywa się zaraz za płachtą gazety. Autobus bardzo trzęsie, motor wyje, w małym okienku przesuwają się puste wnętrza koszarowych bloków. Teraz cichy zjazd w dół i stop. Na odwiedziny za wcześnie, portier nie wpuszcza. Rozsiadają się rzędem na brzegu rowu przydrożnego, mają przed sobą jeszcze trzy godziny.

— Do docenta Czerwińskiego.

— Proszę, pana już znam.

Nie ma begonii, klomb okryty jest zeschłymi liśćmi, które zaczynają już czernieć. Wysoka postać w zielonym trenczu znika w budynku dyrekcji. Okna pawilonów są zamknięte. Brzęczą kotły, jedzie wóz z obiadem. Dwie szare postacie ciągną, dwie pchają, biały pielęgniarz idzie z boku. Otwiera jakaś młoda, rumiana siostra. — Proszę, proszę, docent uprzedzał.

Otwierają się drzwi: wyjeżdża wózek, na wózku nieruchome stopy i nieruchoma głowa, drzwi zamykają się z hukiem, stopy drgnęły.

— Pan docent prosi.

Jak zwykle otwiera ramiona, ściska, zagląda w oczy. Wreszcie robi pauzę

i oznajmia, że pan doktor Koeller złożył oświadczenie pisemne, stwierdzające, że najbliższa rodzina pani jest winna jej śmierci. Pan doktor Koeller twierdzi, że otoczenie chorej pozwoliło na rozwinięcie się nałogu, który był do opanowania w początkowych stadiach. Dopiero kiedy chora zaczęła być przykra dla otoczenia, poczęto zamykać ją w zakładzie. Wpłynęło to niekorzystnie na chorą, wywołało zmiany psychiczne, pogłębiło nałóg, odcięło jej możliwości powrotu do zdrowia. Doktor posłużył się tu świadectwem siostry Gonzagi, która powtarzała swoje rozmowy z chorą. Ostatni raz przywieziono chorą w stanie ostrego zatrucia. Jak wynikało z relacji otoczenia, znajdowała się ona już od dłuższego czasu pod działaniem narkotyków. Nie opuszczała domu, nie wstawała nawet z łóżka. Nie mogła więc sama zaopatrzyć się w narkotyk. Dostarczono go jej zatem i nie próbowano przeszkodzić zażyciu. Przeciwnie, utrzymuje doktor, są podstawy do stwierdzenia, że sytuacja, w której chora zażyła śmiertelną dawkę, została sprowokowana. Doktor domaga się przekazania sprawy prokuratorowi.

Doktor Czerwiński rozkłada ręce: sprawa idzie na dyrekcję, doktor Koeller nadał jej bieg urzędowy. Rzecz jasna, doktor Czerwiński informuje o tym w trybie ściśle dyskrecjonalnym, w trybie jak najściślej dyskrecjonalnym. Doktor Czerwiński nie próbuje nawet określać pozycji, jaką zajmie wobec tej sprawy: to jest oczywiste. Ma nadzieję, że jego głos przeważy. Dysponuje poważnym argumentem, jakim jest jego długoletnia znajomość z... — No, z panem — kończy zniecierpliwiony jakimś słowem, które mu przyszło do głowy. — Będę więc mówił to, co zawsze mówię. Powiem, że nie spotkałem podczas mojej długoletniej praktyki kogoś tak ofiarnego jak pan i — niech pan wybaczy — kogoś tak dokuczliwego jak pani: — *De mortuis...* — wiadomo, ale trzeba to powiedzieć i on powie to na zebraniu dyrekcji, powie wszystko, co widział i o czym wiedział. — Drogi panie — zakrywa sobie twarz rękoma — mnie przecież nie jest łatwo przerazić i wzruszyć, napatrzyłem się wiele, ale niech mi pan wierzy, wasz dom nie schodził mi z pamięci. Wciąż widziałem tę okropną, obrzękłą twarz, słyszałem jej przenikliwy krzyk albo ten monotonny głos, którym snuła te swoje mistyfikacje, pogróżki, napomnienia — tym biblijnym, kaznodziejskim tonem... I pan, niknący w oczach, człowiek jeszcze młody, czynny, utalentowany. I te dzieci, inteligentne, wrażliwe. Będę wszystko to mówił. Państwo dostarczaliście narkotyków? Oczywiście, wiem o tym. Jak można było nie dostarczać? Jakim sposobem mogliście państwo zabezpieczyć się przed jej ekscesami, trudno ją było cały czas trzymać w zakładzie — zresztą zakład się nie godził, tu jest ciągłe przepełnienie, to była choroba nieuleczalna, którą w dodatku trzeba było kwalifikować jako lekką. Pewnie, w stosunku do furiatów. Reszta to insynuacje. Że państwo dopuścili do rozwoju choroby? Któż to decyduje się w dwa-trzy lata po ślubie zamknąć żonę w zakładzie dla umysłowo chorych — trudno wierzyć, że zostało się tak ciężko dotkniętym przez los, jest nadzieja, że to nie to najgorsze, że coś się odmieni. Pan zna chyba ten proces myślowy, jaki zachodzi u człowieka, którego spotyka nieszczęście: człowiek łagodzi, nie wierzy, żeby akurat on... Uprzytomnię to wszystko doktorowi: albo jest psychologiem, albo niech się zabiera stąd. Psychiatra powinien wiedzieć, że choroba umysłowa zawsze zatacza krąg, zaraża otoczenie. Wokół chorego umysłowo nie można zakreślić wyraźnej granicy zdrowia — wszyscy są wciągnięci w sferę psychozy i manii. Trzeba być lekarzem, nie policjantem.

— Oczywiście w jakimś sensie wszyscy jesteśmy zabójcami. Każda godzina naszego snu jest obciążona czyimś nieszczęściem, które przechodzi koło nas bardzo blisko i przed którym bronimy się jak możemy. Szczególnie my, lekarze. Te późne telefony, na które odpowiadamy odmownie, te jakieś postacie plączące się po korytarzach szpitala i dyrekcji, od których uciekamy, przed którymi chronią nas portierzy i sekretarki. Skazujemy na śmierć i nieszczęście jednych, żeby ratować drugich — zawsze ktoś jest skazany. To potworne! I to nie tylko odnosi się do lekarzy, każdy jest zabójcą, absolutnie każdy. Ale co jest warta pryncypialność doktora Koellera? Nie waham się jej nazwać zbrodniczą. Tak, to jest zbrodnicza pryncypialność, to jest akcja przeciwko życiu, które musimy przyjąć jako dobro najwyższe. To, co robi doktor Koeller, nie jest obroną życia, jest ponurym kultem śmierci i zbrodni.

Docent robi charakterystyczny ruch rękami, jak dyrygent zamykający jakąś partię muzyczną, i przytłumiwszy głos informuje o doktorze Koellerze. Do dwudziestego roku życia normalny, zdrowy młodzieniec: dobre gimnazjum, szkoła podchorążych, narzeczona, kajaki, narty, wojna jak wojna, ucieczka z niewoli, konspiracja jak to konspiracja — jakieś początki w tej romantycznej aurze, właściwej dwom pierwszym latom okupacji. Wpada. Siedzi na Montelupich, wywożą go do Oświęcimia. Obóz jest dopiero w stadium początkowym, Koeller należy do kadry „starych numerów". Docent Czerwiński wie coś o tym, sam siedział w obozie, tylko innym. Docent Czerwiński nie należał do „starych numerów", przyszedł w masie i może ocenić całą różnicę tych dwóch warstw obozowych: — Myśmy byli naiwni, cierpieliśmy jak barany, świat był prosty, biało-czarny — tu my — tu oprawcy, tu zbrodnia — tu cierpienie. I tacy wyszliśmy, oburzeni, ale pełni nadziei. W końcu obóz pozostał za nami. Doświadczyliśmy cierpienia. Tamci... Zastrzegam się: nie mam do nich żadnej pretensji. Mieli funkcje, ale tworzyli także ruch oporu, można było dostać od nich kopniaka albo i gorzej, ale umieli także ukryć przed kominem, wywieźć z obozu; mieli poukrywane skarby, ale robili zdjęcia, które umieli przekazywać organizacjom podziemnym. Tworzyli razem z Niemcami system obozowy, ale dzięki nim istotniejszy. Zresztą bo ja wiem, czy taki podział ma w ogóle sens? Wszyscy tworzyliśmy ten system, każdy z nas był trochę katem i ofiarą, była tylko sprawa natężenia. I to jest ważne: kto z czym wyszedł stamtąd. Oni wyszli przede wszystkim z wiedzą o systemie obozowym, rozumie pan?

— Doktor Koeller jest członkiem partii i to jest druga, względnie trzecia część jego życia. Doktor Koeller jest bardzo aktywny, jest ważnym kółkiem w mechanizmie władzy. Na terenie szpitala bardzo dużo znaczy jego opinia o ludziach. Jego postawa — zna ją już pan z własnego doświadczenia. Rozumie pan teraz jej źródła. Doktor Koeller uważa się za obrońcę i organizatora życia właśnie dlatego, że poznał do dna mechanizm śmierci. Każdy absolutyzuje swoje doświadczenia. Doktor Koeller sądzi, że poznawszy obóz śmierci, poznał prawdziwy mechanizm życia, który tam, w Oświęcimiu, doznał tylko szczególnego zagęszczenia. Doktor Koeller twierdzi, że zasada była tam identyczna jak w zwykłym społeczeństwie. Marksizm olśnił go: to społeczeństwo uzyskało przymiotnik „klasowe". Doktor Koeller przeprowadził granicę w historii społeczeństw, w historii człowieka, w historii swojej własnej — granicę tę nazwał rewolucją, w rzeczywistości był nią obóz. Sądzi, że wszystko, co czyni, jest różne od tego, co było tam, w klasowym społeczeństwie, to znaczy w Oświęci-

miu. W rzeczywistości robi to samo: przeciwieństwa spotykają się. Pan mnie rozumie. Jeśli ktoś całe życie boi się choroby i wszystko robi, żeby nie zachorować — jest już chory. Zwłaszcza gdy chodzi o chorobę umysłową...

— No, no — śmieje się docent, znów wymachuje rękami — pan powie: konik psychiatry, wszyscy wariatami. Nie, nie. I ja wierzę w przebudowę świata, gotów jestem aktywnie do tego się przyczynić, robię co mogę, współdziałam z wieloma ludźmi, nie od dziś, nie od wczoraj, nie od czasów obozu. Właśnie za moją lewicową działalność dostałem się tam, gdzie podchorąży Koeller (złośliwy jestem, starzeję się), i wiem, że są dwie drogi do rewolucyjnego światopoglądu, do którego dochodzą równocześnie naiwni humaniści, jak ja, i tragiczni nihiliści, jak on. Ja widzę wszędzie nieszczęśliwych, on winnych. Niestety, łączy nas wiele i nie wiem, czy ja stanę się prędzej taki, jak on, czy on taki, jak ja. Boję się, że on bardziej nadaje się do rządzenia niż ja. Ja nie przypuszczałem, że uszczęśliwiać ludzkość to znaczy przede wszystkim rządzić. No, nic, przepraszam za dygresję, pana to niewiele wszystko obchodzi, kiedy nagle okazał się pan trucicielem żony. — Docent przeprasza za gadulstwo, wstaje i raz jeszcze zapewnia, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Dodaje, że coś jeszcze jego głos znaczy i że — mówiąc między nami — autorytet doktora Koellera ostatnio się trochę zachwiał, już on nie czuje się taki mocny. Docent prosi, ażeby zadzwonić do niego nazajutrz. — Ależ tak, drogi panie, dziś wieczorem jest konferencja w tej sprawie i albo dyrekcja wniosek odrzuci, albo przyjmie. Do widzenia panu, proszę być spokojnym.

Linoleum, pusty wózek, uwaga, stopień. — Do widzenia panu. — Brunatne liście wgniecione w mokry żwir. Odjeżdżają puste kotły: dwie szare postacie ciągną, dwie pchają, biały pielęgniarz idzie z boku. Dudni elektrownia, po klombie ukrytym pod liśćmi chodzą duże wrony, szare jak kamienie. Rude pole, zielony wał, czarny las. Kamienny klasztor, kamienne niebo, chłopcy w pustych koszarach — krzyczy echo. Biała blizna lagrowej drogi, ślady oskardów. Kupki czerwonego gruzu. Nie zdążą na wiosnę zasadzić lasu.

Tramwaj: okna, bramy, Wisła zastygła w białym słońcu. Planty w ołowianej mgle. Nagie gałęzie splątane wokół kulistych lamp. Cień wydłuża się pod nogami, wydłuża, znika nagle w jasnym kręgu i znów wyplątuje się spod nóg, rośnie, rośnie, znika, jest. Dom. W dwóch oknach światło: u Wandy i u Piotra, trzecie ciemne. Otwiera Wanda, wita się prędko i zaraz ucieka. Znowu dyskusja. Wanda, podniecona, powtarza wciąż słowo „sankcja", „sankcja", „sankcja". Piotr odpowiada leniwie, półsłówkami. Wita się niedbale, udaje, że chce się zerwać z tapczanu, na którym leży rozwalony w swym postrzępionym swetrze. Ma nowe buty na nogach, ogląda je, dotyka palcami grubej podeszwy. Wanda stoi nad nim i krzyczy te swoje „sankcje", „sankcje". Piotr zniecierpliwionym gestem każe jej powiedzieć, o jaką sankcję chodzi. Wanda odpowiada: „szczęście, wolność", i oświadcza stanowczo, że nie przyjmuje jego rozróżnienia: jedno z drugiego wynika, jest tego pewna, zaraz mu udowodni. Ale Piotr nie chce słuchać, oznajmia Wandzie niegrzecznie, że go to nic nie obchodzi. Wstaje i chce odejść, ale Wanda znów mówi o sankcji, pada słowo „sąd".

— Jaki sąd? — pyta Piotr ze znudzonym wyrazem twarzy, z ręką na klamce. Wanda wyjaśnia, że istnieje sąd historii, że jest to sąd nieustanny, powszechny, ostateczny, że wszystko jest zrozumiałe tylko wtedy, gdy się przyjmie jego istnienie, jego konieczność, jego sprawiedliwość, gdy się rozdzieli świat na

oskarżonych i oskarżycieli. — Istnieje jedna, jedyna wolność — woła Wanda — wolność oskarżyciela.

Piotr patrzy na nią chwilę w milczeniu.

— A jeśli wszyscy są oskarżycielami? — I nie słucha odpowiedzi.

Wychodzi z pokoju, zostawia ją. Mówi szeptem:

— Czy mógłbym prosić o chwilę rozmowy na osobności?

Wychodzi, pierwszy zapala światło w trzecim pokoju, zamyka drzwi, słychać, jak Wanda odsuwa krzesło i siada z rozmachem do biurka. Piotr chciałby zakomunikować, że termin ślubu cywilnego został ustalony na dzień... Podnosi głos, nie pozwala sobie przerwać, nie jest dzieckiem. Ale zaraz otwiera szeroko oczy, podnosi ramiona, jak człowiek doznający wewnętrznego bólu, i szepce:

— A tak, tak... więc i to jest możliwe?

13

— Tak, dyrektor może pana teraz przyjąć. Proszę.

Dyrektor wyraża radość: — Doskonale, że pan przyszedł, chciałem właśnie pana wezwać. — Przeprasza, że dotąd nie miał okazji wyrazić osobiście swojego współczucia. Był na pogrzebie i na nabożeństwie żałobnym. — Tak, więc dla pana zamknięta już ta bolesna sprawa. Musi pan się otrząsnąć. — Namawia do wyjazdu na pewien czas. Albo przeciwnie: ostro do roboty. W związku z tym chciałby właśnie porozmawiać obszerniej. — Nie ulega wątpliwości, że przez ostatnich parę lat pan pracował na półobrotach. — Początkowo było zdziwienie, niepokój, z różnych stron próbowano skłonić dyrekcję do interwencji. Potem wszystko się wyjaśniło i nie pozostawało nic innego, jak tylko współczuć i żałować, że instytucja nie może w pełni wykorzystać tak zdolnego i ofiarnego pracownika. Teraz sytuacja zmieniła się: — Dyrekcja w porozumieniu z właściwymi czynnikami postanowiła zwrócić się do pana z uprzejmym zapytaniem, czy czułby się pan na siłach objąć funkcje kierownicze... Rzecz jasna, wymagałoby to od pana nakładu energii i czasu, ale czy to nie lepiej dla pańskich nerwów? Nie ma nic gorszego, jak samotność i bezczynność! — Chciałby od razu przy okazji dodać, że łączyłoby się to także z określeniem stosunku do spraw, no, bardziej ogólnych — ale na ten temat będzie jeszcze czas porozmawiać. — Więc proszę się zastanowić, to nic pilnego. Ale ja pana zagadałem, pan miał jakąś sprawę.

Twarz dyrektora wyraża lekkie zdziwienie. — Ależ oczywiście, urlop na kilka dni? Proszę bardzo! Czy jakieś kłopoty? Ach, naturalnie, dla odpoczynku i uporządkowania spraw...

Trzask ciężkich drzwi. Dzisiaj jest pogoda. Na ulicy dużo kobiet z wózkami. Człapią ciężkie konie. Z platformy opadają okruchy węgla. Znowu ciężkie drzwi: „Proszę pchnąć". Strażnik zna, nie żąda przepustki. Trzask maszyn, dzwonki, gładka, okrągła powierzchnia słupa. Oto granatowy płaszcz, „M" na kieszonce i koronkowa chusteczka, biały kołnierzyk, dobrze utrzymana fryzura. Trzyma przy uchu słuchawkę telefoniczną — trudno uchwycić jej głos, pochyla się, całuje, uśmiecha się. Odkłada słuchawkę, ktoś do niej podbiega, czyta jakiś papier, wyciąga z kieszonki ołówek — złoty błysk w palcach, idzie do

biurka, które stoi w rogu sali, ukosem. Na biurku złoci się szklaneczka z herbatą, upija łyk herbaty, patrzy w jakieś papiery rozłożone na biurku.

Zbliża się strażnik:

— Poprosić panią?

Odchodzi. Dzwonki, wołanie, zgrzyt i trzask.

Nie, Maria teraz nie może wyjść, to są godziny największego ruchu. — Coś ważnego? — Poważnieje. Jest wolny pokój, nikt nie wejdzie. Co się stało? Słucha, stoi oparta o biurko, jej ręka błądzi po krawędzi stołu, unosi się, palce muskają czoło, skroń, pukle włosów nad uchem. Dłoń niknie w kieszeni płaszcza, powraca do czoła, palce spoczywają chwilę na ustach, ręka opada. Maria siada, zapala papierosa. Milczy. Za oknem kasztan, drżą w słońcu ostatnie liście, jak uschnięte, starcze dłonie.

Maria zaciąga się głęboko papierosem. Już ma plan: należy natychmiast przedstawić listę świadków, którzy mają powiedzieć, że zmarła cierpiała na manię samobójczą i że jej największym pragnieniem było umrzeć. Kto może być świadkiem? Wszyscy: w pierwszym rzędzie ksiądz Karol. Dlaczego ma się nie zgodzić? Tajemnica spowiedzi? Znał tę sprawę nie tylko ze spowiedzi. Sam doktor Czerwiński. W dyrekcji będzie mówił albo nie — tego nikt nie sprawdzi, trzeba go zmusić, żeby mówił, przez podanie jego nazwiska. Sąsiedzi w kamienicy — na pewno wszystko wiedzą, ile razy widzieli ją na oknie. Dyrektor. Dyrektor wie o scenach w biurze i da opinię ogólną. — Ja — dodaje stanowczo Maria. — Ja będę świadczyła. — Czy jest w tym coś złego? Czy to jakiś nietakt? Czy może to niekorzystnie wpłynąć na sprawę? Prosi, żeby się wypowiedzieć na temat jej planu. Domaga się tego. Mówi mu nawet ostro: — Teraz nie wolno już milczeć. Teraz już nie jesteś nieszczęśliwym mężem chorej. Jesteś już kimś zupełnie innym. Jesteś oskarżony! Słyszysz? Jesteś oskarżony! Musisz mówić.

Jest ogromnie podniecona. Jest szczęśliwa. Porzuciła już wszystkie swoje pretensje. Już nic nie pamięta. Już nic nie żąda. Znowu jest tylko potrzebna, porywa ją cudza sprawa, jest świętą, jest aniołem.

Wyciąga ręce, jej palce są suche i gorące, mają mocny uścisk, jej oczy są pełne ciepła, przymyka powieki, kiwa głową, uśmiecha się, mówi:

— Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, tylko zrób to, co ci mówię, pamiętaj. Idź zaraz, czekam na ciebie.

Powtarza raz jeszcze swój plan. Wszystko jej się teraz myli. Chce sama wyznaczyć nawet kolejność owych świadków, kolejność, w jakiej trzeba ich obejść i w jakiej trzeba ich ustawić. Zapomniała teraz, nie może sobie przypomnieć, kogo wymieniała, powtarza w kółko imię księdza. — Przede wszystkim ksiądz Karol, przede wszystkim ksiądz Karol i ja — dodaje z uporem — ja oczywiście, dlaczego nie — i wybucha płaczem, kiedy słyszy, że to niemożliwe. Płacze, odwrócona plecami, stoi w oknie i żadne słowa nie zdołają jej uspokoić. Nie chce nawet powiedzieć „do widzenia" i już nic z jej planu, nic z jej szczęścia, nie ma świętej, która wszystko wyprowadzi na dobrą drogę. Strażnik salutuje i pomaga pchnąć ciężkie drzwi. Jest tylko akt oskarżenia, nic więcej. Ostre słońce, matki opierają wózki o progi domów, twarze niemowląt jak zaciśnięte pięści ciemnieją w słońcu. Nad drzwiami czerwona wieża z globusem i zegarem. Wskazówki zegara posuwają się krótkimi drgnięciami, można by policzyć, ile tych drgnięć przypada na minutę, na kwadrans, na godzinę. Sadzawka pełna liści, dzieci brodzą w liściach po kolana, skrzypią wózki, wśród pustych gałęzi

snują się wrony. Ktoś się kłania i mówi: „Przepraszam, pomyliłem się, wziąłem pana za kogoś innego". Podbiega dziecko i pyta o godzinę. Ucieka parskając śmiechem. Podchodzi następne i jeszcze jedno. Kryją się za murowanym kioskiem, zaśmiewają się, to taka zabawa. Wózki odjeżdżają na obiad. Na ławkach pełno teczek, jest już po szkole.

Strażnik nie otwiera, jest już po godzinach kasowych. Pokazuje na migi boczne drzwi: tam czekać. Jest Maria, poprawiła policzki, brwi. Mówi bez uśmiechu:

— Zrobisz, jak będziesz uważał.

Planty w mlecznym świetle wczesnego popołudnia. Obiadowa pustka. Czerwony gmach między więziennym murem i cieniem Wawelu. — Zaraz spytamy, poprosimy. Wejdźcie, usiądźcie, przyjdzie, przyjdzie. — Lekki krok, furkot.

— Co pan mówi? — Ksiądz składa ręce jak do modlitwy. — To niemożliwe. Proszę mi to dokładnie opowiedzieć. Któż to jest ten doktor? To partyjny?

Słucha przyłożywszy rękę do skroni. Patrzy przed siebie w zakratowane okno, za którym biegają chłopcy w długich, czarnych spodniach i białych koszulkach. Skacze piłka, z boku stoi młody ksiądz w birecie, z gwizdkiem w ustach.

Ksiądz odejmuje rękę od skroni, przykłada ją do ust, mówi półszeptem:

— To straszne, to straszne. Ale miejmy nadzieję... Będę się modlił. Bóg jest sprawiedliwy. Rozumiem pana: nawet przy najlepszym obrocie sprawy sam fakt... Wobec ludzkiej sprawiedliwości jest się zawsze samotnym. Prawo jest aktem przemocy, musi tak być, skoro prawda jest zakryta przed naszymi oczyma. Nikt nie zbada tajemnic, które kryją przestępcy, oskarżyciele, niewinnie oskarżeni. Tylko Bóg może naprawdę oskarżać i naprawdę bronić. Wszystko inne jest komedią pozorów. Trzeba się temu poddać: dla porządku, który obowiązuje. Trzeba zadać sobie gwałt. Niech pan sobie przypomni sąd ewangeliczny. Jest to nonsens, ale pełen powagi. Nonsens, kiedy się zna prawdę. Ale kto ją zna? Tylko oskarżony, tylko pan. I Bóg, ale pan nie chce udziału Boga. Przepraszam, nie nawracam pana, uprzedzam pana tylko, że wyjdzie pan stąd nie pocieszony. Nie upoważnił mnie pan do mówienia w imieniu Boga, mogę mówić tylko w imieniu zmarłej, która w tym procesie będzie milczącą ofiarą — nawet nie oskarżycielką. Mogę pana zapewnić, że gdyby nawet prawdą było to... Gdyby to nawet było prawdą i gdyby pani miała możność stanąć przed sądem, nie oskarżyłaby pana ani słowem. Oskarżałaby tylko siebie. Czuła się winna. Mogę pana zapewnić, że czuła się winna wobec was i wobec Boga. Uspokajałem ją, jak mogłem. Może pan dziwił się nieraz, że nie umiałem użyć wpływu, którym z łaski Boga mogłem dysponować, aby ją skłonić do zmiany życia. Próbowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem. Prosiłem ją tyle razy, żeby porozmawiała z panem, żeby z całym zaufaniem oddała się w pana ręce, żeby przyjęła reżim kuracyjny. Obiecywała, ale prosto ode mnie szła do apteki, brała nową dawkę, a na drugi dzień zjawiała się w okropnym stanie z jakimiś rewelacjami: że już wszystko wyszło na jaw — pan ma kochankę, podsuwa jej pan narkotyki umyślnie, żeby ją skończyć, dzieci tak samo, bo matka jest ciężarem, bo każde chce żyć i iść w swoją stronę, a ona jest ciężarem, zawadą, więc wy ją trujecie, potem ją zamykacie w szpitalu. Widzi pan, ona się was bardzo bała. Już panu to mówiłem. Wiedziała, do czego was doprowadziła. Powiedziała kiedyś: mogę się po nich wszystkiego spodziewać. Zda-

wała sobie sprawę z tego, że to jej wina. Oczywiście, nie zawsze. Co dzień mówiła co innego. Wie pan, kiedyś skarżyła się na pana dobroć. Obwiniała pana o to, że pan się z nią ożenił. Pan jej kiedyś powiedział o tym lęku w jej oczach — pan wie, o czym mówię, to rzeczywiście pańskie powiedzenie. Powtarzała je często i za każdym razem bardzo płakała. Trochę z rozczulenia nad sobą, zapewne. Mówiła, że pan ją jeden na świecie zrozumiał, że to było zgubą jej samej i pana. Powtarzała: on wszystko usprawiedliwił, przyjął mnie taką, jaką byłam, przyjął mój lęk, moją słabość, moją chorobę jako konieczność dla siebie i dla mnie. Twierdziła, że gdyby ożenił się z nią człowiek silny, brutalny, który by na nią nie zwracał uwagi — nie doszłoby do tego. Miała zresztą jakąś taką historię w życiu, prawda? Bała się tego człowieka wtedy, pan był dla niej wybawieniem. A potem wspominała go wielokrotnie, upiększała go, idealizowała, twierdziła, że z pewnością by do tego wszystkiego nie dopuścił. Nigdy panu o tym nie mówiła? Kiedyś powiedziała, że nienawidzi pana dobroci, że coś ją pcha do tego, żeby wzbudzić w panu odruchy nienawiści. Ot, psychopatyczne spekulacje. Innym razem mówiła co innego. To znaczy, że nienawidzi pana za co innego. Jednego tylko nigdy nie powiedziała: że pana kocha. Czy się pan kiedy nad tym zastanawiał? A zastanawiał się pan nad tym, czy pan ją kocha? Trudno było w tej sytuacji — wierzę panu. W ogóle trudno mówić o tym, co działo się od dnia, kiedy po raz pierwszy weszła do domu na chwiejących się nogach. Ciągle trzeba wracać do początku, początek jest najistotniejszy, chociaż najłatwiej się o nim zapomina. Otóż dostrzegł pan w jej oczach lęk... I to był dla pana jakiś nakaz? Czy to była prosta litość? A może zobaczył pan w niej swoje własne odbicie? — w jej lęku odbicie własnego lęku, w jej słabości odbicie własnej słabości? Może spodobała się panu własna litość i własna ofiara? Może postanowił pan osiągnąć szczęście najtrudniejszą drogą — drogą wyrzeczenia? A może to była miłość? I kto wie, czym jest miłość — może ona jest coraz to czymś innym: i litością, i lękiem, i pragnieniem szczęścia, i odrazą do szczęścia. Spokojem i niepokojem? Ofiarą i egoizmem? Jedno jest pewne: że to właśnie trzeba rozstrzygnąć. A kto to rozstrzyga? Pan, tylko pan. I Bóg, ale pan go nie bierze pod uwagę. Można się zastanawiać nad tym, czy pan ją uratował od czegoś gorszego, czy ją pan zgubił. Może to być przedmiotem sądu. Sąd ma prawo rozstrzygać o pana winie lub zasłudze. Sąd ma prawo postawić teoretycznie oskarżenie pana o zabójstwo. Rozstrzygnięcia mogą być różne. Role są rozdane przez przypadek: pan jest oskarżonym, kto inny oskarżycielem. W każdej chwili można role zamienić. Wszyscy pochylamy się nad głęboką, czarną wodą i widzimy tylko własne odbicia. To nie ma znaczenia, czy pan ją zabił, wszyscy zabijamy. Jedno jest tylko ważne: czy pan ją kochał. Jeśli ta miłość była zła i zbrodnicza czy niemądra, czy chora — nie pan będzie sądzony, nie pan za to odpowiada. Bóg bierze odpowiedzialność za nędzę ludzką. Żąda tylko miłości. Niech pan sam sobie odpowie na to jedno najważniejsze pytanie — niech pan to rozstrzygnie, niech pan raz jeszcze dojrzy lęk w oczach tamtej dziewczyny, której już nie ma. Reszta nie do pana należy.

Ksiądz wstaje. Pyta o Piotra i Wandę. Nic nowego? Szkoda, że Piotr się nie kształci, jest złamany psychicznie. On najbardziej przypomina matkę. — Więc, drogi panie... — Wyciąga dłonie. Czarno-białe figurki skaczą za jego plecami. Gwizdek, na piętrze dzwonek, na Wawelu głębokie uderzenie zegara. Grubas mówi: — Nacisnąć guzik, otworzymy. — Ksiądz woła: — Proszę pana, jeszcze

słowo, jeszcze słowo — mówiłem tak, jakbym wierzył w winę pana, ale przecież ja wiem, że to nieprawda. Chciałem tylko pana przygotować na wszystko. Niech pan pamięta: wyrok nie dotyczy pana. Będę się modlił za pana. Ach, jeszcze coś: słucham pana...

Otwierają się z trzaskiem drzwi od podwórza i wchodzą zziajani klerycy. Jeden niesie piłkę, sprzeczają się o wyniki. Widzą księdza Karola, kłaniają się szepcząc słowa pozdrowienia. Kłaniają się jeden za drugim, ksiądz słucha uchylając biretu raz za razem i szepcze: „na wieki wieków, na wieki wieków". Ostatni przechodzi ksiądz z gwizdkiem. Trzaskają drzwi, jest echo. Ksiądz uśmiecha się: księżom nie wolno świadczyć w procesach świeckich ani w żadnych dochodzeniach. — Wszystko, co wiemy, jest związane tajemnicą. Niestety. Ale niech pan będzie spokojny. — Prosta, szeroka aleja, niski pułap gałęzi, czerwony mur, najeżony szkłem. Odłamki o różnych dziwacznych kształtach błyszczą w słońcu jak długi napis w jakimś tajemniczym, pierwotnym alfabecie.

Alejki rozbiegają się, krążą wokół, wśród ciemnych drzew powracają, wiążą się, prowadzą krętą drogą wzdłuż domów, których front gnie się i łamie, wzdłuż ulicy ukrytej za linią krzewów. Między gałęziami przemyka się niebieski tramwaj — zgrzyta metal, strzela iskra. Idą chłopcy i dziewczęta całą ławą, trzeba im zejść na bok, idzie druga ława, błyskają czerwone krawaty. Oto gmach uniwersytetu: szerokie schody wybiegają spod ostrołukowych arkad, na schodach ruch. Wewnątrz mroczno, schody pną się stromo kilkoma kondygnacjami pośród kolumn, wyniosłych i pstrych, głosy rozbrzmiewają donośnie. Dookoła pełno tablic z ogłoszeniami: Zebranie, Zebranie, Zebranie Koła, Zebranie Grupy. Uwaga! Wiec, Wieczór przyjaźni, Spotkanie. Idzie Wanda, zbiega ze schodów, pod ręce trzyma ją dwóch kolegów, przystają pod jednym z plakatów, umawiają się, coś notują na okładkach zeszytów, kładąc je na kolanach, pożyczają sobie ołówki, naradzają się, wychodzą. To nie była Wanda, teraz idzie Wanda: zbiega ze schodów w gromadzie dziewcząt, tłoczą się w drzwiach, mrużą oczy do światła. Nie, to dopiero jest Wanda! Idzie powoli, sama. Sylwetką nie różni się od stu, od tysiąca swoich koleżanek: płaskie pantofle, szeroka spódnica, krótka kurteczka z podniesionym kołnierzem, włosy ujęte w węzeł, plik zeszytów pod pachą. Ale to jest naprawdę Wanda. Idzie krok za krokiem, patrzy przed siebie, jest zamyślona, nie widzi przebiegających gromad, w jej twarzy jest wyraz lęku, spłoszenia.

Podnosi głowę na wołanie, śmieje się. Porywa ją jakaś gromada pod ręce, znikają wszyscy w mgiełce Plant, jeszcze słychać ich głosy, już nie słychać ich głosów, już przybliżają się nowe głosy, nowe kroki, i znowu idzie Wanda, jeszcze jedna, i jeszcze jedna.

Zegar nad okienkiem janitora wskazuje trzecią. Piotr jeszcze jest w biurze. Dopiero za godzinę wyjdzie. Nie trzeba się spieszyć. Zegar nad okienkiem biura przepustek wskazuje wpół do czwartej. Można usiąść — jest krzesło. Portier siedzi w biało lakierowanej budce, podparty, zamyślony. Przed budką stoi strażnik z karabinem. Karabin jest długi, ciężki, strażnik jest stary, skarży się portierowi, że mu puchną nogi. Na ścianie plakaty, instrukcje, uchwały, ogłoszenia o wycieczkach i zabawach. Ktoś wchodzi do gmachu, pokazuje przepustkę, ktoś zadzwonił na zły numer, portier tego nie może zrozumieć, obydwaj ze strażnikiem długo na ten temat mówią. Wreszcie strażnik otwiera białą

bramkę z drucianej siatki, portier podnosi się, staje w drzwiach budki, prosi, żeby wyjść przed budynek, bo teraz zaczną wychodzić ludzie.

— Tu wtedy nikt nie może być — dodaje — tu będzie otwarte wejście. — Robi ruch ręką, jakby pokazywał kogoś, kto korzystając z ruchu chciałby się prześliznąć do wnętrza. Przed budynkiem czeka już parę osób. Wychodzą pierwsi, następni, coraz ich więcej, robi się ruch, ścisk, łatwo przepuścić, trzeba przejść na drugą stronę ulicy. A tam kłanianie się, uściski dłoni, żarty, odprowadzanie się na bok, obejmowanie się wpół, poklepywanie po ramieniu. Oto Piotr: ktoś potrząsa mu dłoń, ktoś go klepie po ramieniu, ktoś mu do ucha powtarza sekret — on już jest wyłączony, obcy, wyróżniony. Przechodzi powoli przez jezdnię.

— Czy coś się stało? Dobrze, że ojciec przyszedł. Nie, w biurze nic nowego. — Zresztą nic go już to wszystko nie obchodzi. Tak, może iść do domu, koniecznie do domu. Na nikogo nie czeka i z nikim się nie umówił.

Tam chodnik pustoszeje, w bramie stają teraz portier i strażnik. Jeszcze ktoś przeciska się między nimi — kobieta w sinym płaszczu plastykowym, w żółtych rękawiczkach. Rozgląda się. Uścisk palców Piotra jest mocny, drżący. — Chodźmy prędko — szepce Piotr przez zaciśnięte zęby.

14

— Pytałem cię, czy ją kochałeś, nie odpowiedziałeś mi. Zemdlałeś na swoje szczęście. Nieczęsto ci się to zdarza. Potrafiłeś zachować przytomność w gorszych sytuacjach. Byłeś spokojny, kiedy umierała, kiedy po raz pierwszy zabierali ją tragarze, kiedy pierwszy raz zatoczyła się, oparła o ścianę i zaśmiała się idiotycznie. To było tu, w tym pokoju. Był to sylwestrowy wieczór, jestem tego pewien, nie zaprzeczaj, nie zdradzaj się, że nie pamiętasz dokładnie, kiedy się to wszystko zaczęło. Miała w ręce paczkę z pączkami, odbieraliśmy jej z trudem tę paczkę, jedliśmy i jedliśmy potem te pączki, myślałem wtedy, że już do końca życia nie wezmę do ust pączków. Ale to nieprawda: bardzo mi smakowały i wtedy, i teraz mi smakują, i wcale tak nie jest, żebym w każdy wieczór sylwestrowy pamiętał o tamtym, chociaż przez kilkanaście lat co roku było to samo... Nie mogła nigdy na trzeźwo przeżyć tego wieczoru. Dlaczego? Nigdy o tym nie mówiła, ale pamiętała coś, pamiętała. Ani ty, ani ja nie pamiętamy nic. Czekam co rok na ten dzień, jak wszyscy, lubię go jak wszyscy, lubię pączki, lubię życie, chociaż znam inną jego stronę, chociaż widziałem coś, czego nie widzieli inni... Nie wiesz, o czym mówię? O pamięci, oczywiście, o krótkiej pamięci, która nie potrafi niczego przechować w stanie świeżym, wszystko zaciera, wszystko oddala, o pamięci mówię, która nie jest sumieniem... Umarła we środę, za pięć trzecia, tak mówiliście, pamiętam dokładnie, co wtedy robiłem: wyszedłem z biura z Danką, szliśmy Plantami, usiedliśmy na ławce, koło wodotrysku, spojrzałem na zegar na wieży, była za pięć trzecia, pomyślałem o matce, o was i poczułem się zadowolony, że nie jestem z wami, ale tu, na ławce, z moją narzeczoną, której wy nie znacie i która was nie zna, która nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, ledwie rozumie coś z tego, co jej kiedyś opowiedziałem, i to dobrze, nie chciałem, żeby rozumiała to, co my rozumiemy, żeby wiedziała to, co my wiemy. Poczułem się wolny i szczęśliwy,

pomyślałem, że przyjdzie kiedyś dzień, kiedy przepadnie wszystko, co mnie odróżnia od świata, kiedy zostanę sam wobec odpowiedzialności, którą sam podejmę. I pomyślałem wtedy: niech już będzie koniec, niech będzie koniec. Myślałem tak nie tylko wtedy, powiedziałem to nie jeden raz, właściwie nigdy nie opuszczała mnie ta myśl, żyłem nią. Ale ten jeden, jedyny raz okazała się skuteczna, nabrała mocy. Umarła za pięć trzecia... Powiedziałem sobie: do końca życia ta chwila, ta godzina za pięć trzecia, będzie dla mnie chwilą pamięci, będzie świętem prawdy... Codziennie o tej godzinie zamknąć oczy, zacisnąć ręce, milczeć, przestać żyć. W biurze, na ulicy, w rozmowie, między żartem a żartem, między jednym a drugim głupstwem — ta sekunda wystarczy, żeby poczuć się królem, świętym, Bogiem, ta sekunda innej wiedzy, sekunda absolutnego sam na sam ze śmiercią, która przeszła blisko, której zawdzięczam to, że jestem z ludźmi, że się śmieję, że jestem jak inni. Nic z tego: minął miesiąc, a ja już nie umiem pamiętać. Pamiętam za dziesięć trzecia, potem przypominam sobie pięć po trzeciej i już straciłem moją chwilę.

A ona pamiętała. Co? Ty wiesz na pewno, chyba że zapomniałeś. Nigdy mi tego nie powiesz, nigdy sam sobie tego nie powiesz, nigdy sobie już nie przypomnisz, jeżeli zapomniałeś. To jest samoobrona. Ty coś wiesz, ja coś wiem, Wanda coś wie, ale nikt z nas nic nie powie. W ten sposób unikniemy procesu, prawda? Musimy uniknąć procesu, byłaby to jakaś okropna pomyłka, gdyby nas sądzono: to przecież my jesteśmy pokrzywdzeni, to przecież my oskarżamy. Mamy prawo: zostaliśmy zmuszeni do wydania wyroku śmierci — to naprawdę wielka krzywda, nie każdego to spotyka. Dlaczego właśnie my? Wanda, taka młoda, ładna dziewczyna, ja — taki zdolny, ty — byłeś tak lubiany... Za co nas to spotkało? Razem z nami tylu innych ludzi. Sumienni lekarze, pobożny ksiądz, uczciwa rodzina, życzliwi sąsiedzi, całe społeczeństwo, które rządzi się prawem i poczuciem porządku. Wszyscy powiedzieli jej: przestań żyć. Kiedy? Kiedy? To już kwestia przyznania się do winy.

Przyznasz się? Nie. Ja też nie. Wanda też nie. To my przecież jesteśmy oskarżycielami. Jakiż oskarżyciel będzie brał na siebie winę za wydanie wyroku, który uważa za słuszny i sprawiedliwy? Jeśli będziemy odpowiadać przed sądem, to tylko dlatego, że ten lekarz oszalał. To chyba jakiś psychopata? Nieistotne jest to, co nam zarzuca, z tego będzie łatwo się wybronić, doktor Czerwiński będzie świadczył za nami, ksiądz Karol będzie świadczył za nami, każdy, każdy... My, sędziowie, musimy się popierać, my, ludzie, stworzenia o krótkiej pamięci, przeznaczone do czynienia zbrodni w imię szczęścia i wolności, stworzenia obdarzone zdolnością niewidzenia siebie, którym instynkt samoobrony nie pozwala ani na jedną sekundę w ciągu dnia, w ciągu życia, w ciągu historii pomyśleć aż do końca, do ostatecznych konsekwencji.

Nie, nie, trzeba coś zrobić, trzeba się opamiętać, bo inaczej wytracimy się wszyscy. Wyroki są w naszych rękach, to straszne. Patrzę ci w oczy i mówię: przestań żyć! Uwolnij mnie od siebie, chcę być sam. Nie wierz moim uśmiechom i mojej serdeczności. Potrafię być dobry, ty wiesz. Potrafię być ofiarny. Chwaliłeś mnie, matka też mnie chwaliła. Moja żona będzie ze mną bardzo szczęśliwa. Jestem tego pewien. Potrafię być dobry z premedytacją zbrodniarza. Zbrodnia może nie dojść do skutku, ale ona jest, jest! Zabijam cię co dzień, co chwila. Zabiłem matkę milion razy, zabiję każdego, kto zagraża mojemu

szczęściu, mojej wolności, mojemu spokojowi. Dlatego szukam piekła, i znalazłem, wiesz, w tej brudnej oficynie, w Podgórzu.

Czy naprawdę nie można przestać być szczęśliwym? Pamiętasz, jacy byliśmy szczęśliwi? Wracała ze swoich tajemniczych wędrówek, siadała sobie w kącie, ćmiła papierosa za papierosem, snuła te swoje wielkie, mistyczne monologi. Śmialiśmy się, kiedy tego żądała, kiwaliśmy smutno głowami, kiedy wymagała od nas smutku, milczeliśmy, kiedy nie chciała, żeby jej przerywać, zadawaliśmy jej pytania, kiedy czuliśmy, że oczekuje od nas zainteresowania. Spełnialiśmy wszystko, czego od nas chciała — tworzyliśmy we troje: ty, ja, Wanda, jej idealny świat, posłuszny jak jej własna wyobraźnia. A dokoła nas była wojna, ginęli ludzie. Na rogu ulicy, pod naszym oknem przystawały nocne patrole, żandarmi opierali się o mur i gawędzili sennie, spluwali, trzaskali zapałkami. Matka mówiła, oni mówili, a myśmy patrzyli w czarne story na oknach, czekaliśmy, kiedy żandarmi ruszą znowu w swoją drogę, kiedy jej powieki zaczną opadać, kiedy język zacznie się jej plątać... Czasem wybuchały nagłe strzały, czasem wyły syreny, a my byliśmy szczęśliwi za czarnymi storami w godzinach jej snu — szczęśliwi, zabezpieczeni nieszczęściem.

Pamiętasz tego człowieka o świcie? Nikt z nas nie zadał wtedy głośno pytania, co zrobilibyśmy, gdyby on zapukał do naszego okna. Nikt z nas nie zapytał o to głośno, ale wszyscy myśleliśmy o tym samym: Wanda-konspiratorka, ja-urzędnik-kombinator, ty... Myśleliśmy o tym i wiedzieliśmy, że za naszym oknem byłoby to samo milczenie, ta sama cisza, co u tych tam, jak oni się nazywali... I myśleliśmy o tym, z jaką twarzą wyszlibyśmy z domu na drugi dzień, o uśmiechach i pozdrowieniach, jakie rozdawalibyśmy tego dnia między sąsiadów, ze strachem i wstydem — słyszeli czy nie słyszeli? — z tym samym wstydem, którego z taką satysfakcją poszukiwaliśmy w oczach naszego sąsiada, jego żony, jego ładnych, miłych córek.

Leżałem nieruchomo z umysłem jasnym i trzeźwym, jak gdybym nie był zbudzony z głębokiego snu, słuchałem tego stukania w blachę parapetu, w szybę, słuchałem, jak wołał: — Halo, halo, proszę otworzyć, halo, coś powiem, coś chcę powiedzieć. — Słuchałem bez ruchu i myślałem: nie do nas, nie do nas. Myślałem: kto to jeszcze słyszy prócz mnie? Oboje z Wandą leżeliśmy przyczajeni. Matka tylko chrapała głośno, urwała i poruszyła się, kiedy zastukał mocniej. Pomyślałem, że ona jedna zerwałaby się natychmiast, gdyby słyszała. Tak pomyślałem i zaklinałem ją w duchu, żeby się nie zbudziła, zaklinałem was, żebyście spali, chciałem, żeby nikt nie słyszał tego poza mną. Chciałem sam wziąć na siebie winę za ten bezruch i milczenie, abym nie musiał was znienawidzić za to, co sobie samemu łatwo przebaczałem. Chciałem, żeby tam otworzono, zdawało mi się, że słyszę szepty, chrobot butów na murze. Nie: pukanie ucichło, rozległ się szybki tupot nóg, krzyki, potem strzały, warkot motoru. I dalej trwała cisza w naszym mieszkaniu za czarnymi płachtami, dalej trwało chrapanie matki, zapach walerianowych kropli, spokojne poczucie krzywdy, w imię której skazaliśmy człowieka na śmierć. Wszyscy go słyszeli: ty, Wanda, ja, nasz poczciwy sąsiad, jego miła żona i jego ładne córki. Kto go nie słyszał w tej cichej uliczce, gdzie domy stały naprzeciw siebie o kilkanaście kroków, domy o niskich parterach. Wszyscy słyszeli, wszyscy byli przeciwko niemu, wszyscy czuli się w prawie wydać na niego wyrok i przez tych kilka minut toczyli przeciwko niemu zawzięty proces w imię własnych nieszczęść

i własnego zagrożenia. Cały świat słyszał pukanie przerażonego człowieka, nie ma okna, do którego nie dobijałby się ktoś skazany na śmierć. Spójrz na ludzi dokoła: są to okrutni sędziowie, którzy podpisawszy wyroki, zrzuciwszy togi, spieszą do swoich prywatnych nieszczęść. Niektórzy z nas są katami, pogardzamy nimi. Nie, nie musi się być katem, można zachować miarę.

Ścigany był wśród nas. Uciekała przed naszym pragnieniem życia, przed naszym instynktem szczęścia, przed naszym spokojem — ona, która go straciła. Miała swoją chwilę za pięć trzecia, była kaleką: nie umiała jej zapomnieć. Leczyła się narkotykiem, śmiercią, jej bliskością. Na koniec wzięła dwadzieścia tabletek. Kto jej to kazał zrobić? Kto z nas podjął się roli kata? Ty? Ja? Wanda? Nikt się nie przyzna.

Powiedz mi, że to nie ty. Powiedz, że to nie Wanda. Powiedz mi to, błagam cię. Niech to zostanie przy mnie, potrafię zapomnieć, to spłynie ze mnie, potrafię sobie przebaczyć, mam dla siebie bezmiar litości. Dla was nie: was będę sądził bez litości. Oszczędźcie mi tego, pozwólcie mi być oskarżonym, pozwólcie mi, jedno wasze słowo, a będę wiedział, że to tylko ja, będę szczęśliwy, spokojny, wolny... Nie patrz tak na mnie. Nie bój się mnie. Nie przyjdę do ciebie o świcie, nie wołaj nikogo, zaraz będzie spokój, spokój, popatrz na moje powieki: opadają? Będziesz mógł zaraz położyć się spać... Ale nie wołaj tragarzy, nie wołaj oprawców, ja już więcej nie będę, tylko raz, jeden jedyny raz...

15

Wszystko jest już spakowane. Przy drzwiach stoją dwaj młodzi mężczyźni, koledzy Wandy, którzy kłaniają się z zażenowaniem. Wanda ich nie przedstawia, nie prosi dalej.

— Już idę — woła, ale jeszcze wyciąga szufladę za szufladą, nic nie znajduje, zatrzaskuje mocno, huczy głucho opustoszałe biurko. Wanda wstaje, poprawia włosy, zbliża się, wyciąga rękę, oczy ma szeroko otwarte, nieruchome: ciemne, brązowe źrenice ze złotymi punkcikami, białka miała dawniej niebieskawe, teraz jej wyblakły, znać czerwone żyłki — to z przepracowania. Dobrze, już dobrze. Trzaskają drzwi, głosy na schodach, szybkie kroki, śmiech.

Maria czeka. Jest zdenerwowana, miała przykrości z sąsiadami, ale mniejsza o to. Walizki są już gotowe. Maria narzuca płaszcz.

— Pojechała? Dobrze. Idziemy. Chwileczkę, muszę się pożegnać.

Milknie warsztat za ścianą, uprzejmie, serdecznie mówi Maria. Dziecko zagląda przez otwarte drzwi. — Pójdziesz ty do pokoju? — ciągnie starczy głos.

— Jest taksówka, jedziemy.

Drzwi do pokoju Piotra są zamknięte. Jest u siebie, płaszcz wisi w przedpokoju. Maria wchodzi do pokoju Wandy, staje na środku, rozgląda się po ścianach, trzeba odmalować, ale to na wiosnę. Zdejmuje płaszcz, żakiet, poprawia włosy, rozkłada walizki, trzaskają dobre, nowe zamki. Maria otwiera szafę, patrzy w milczeniu do wnętrza, pyta:

— Gdzie to złożyć? Jest jakaś duża walizka?

Jest tam suknia przetarta na kolanach i postrzępiona u dołu. Jest letni, drelichowy płaszcz z kilkoma dziurami wypalonymi papierosem, jest zimowy płaszcz z wielką, ciemną plamą.

Maria składa wszystko starannie, zapełnia się wielka, stara walizka, trzeba ją teraz gdzieś wynieść, na razie niech stoi pod ścianą. Maria myje szafę, mokre drzewo pachnie tartakiem i rzeką. Niech przeschnie chwilę, niedługo, oto już zapełnia się żywymi kolorami, zapachem dobrej wełny, czystego jedwabiu, płótna, wody kwiatowej.

Słychać kroki w przedpokoju, Piotr wkłada płaszcz, wychodzi bez słowa. Maria milczy, rozwiesza suknię za suknią, rozpakowuje buty, nagle siada na krześle, mówi:

— Wszystko jest zakończone. Nie ma nic więcej do zrobienia, nie ma nic więcej do powiedzenia. Nieszczęście za nami. Za tobą, ja się nie liczę. Możesz się uspokoić: winy nie znaleziono, widocznie jej nie ma. Wanda dobrze zrobiła, że wyjechała. Niech odpocznie, odpręży się, życie dopiero przed nią. Obce miasto, nowe otoczenie, praca, niczego więcej nie pragnie, to bezkarność, możliwość zasługi bez zobowiązań i ciężarów — będzie szczęśliwa. Piotr lada dzień sprowadzi tu swoją żonę. Ja jestem przy tobie... To przykre, że musiałam się już wprowadzić, że wszystko musi iść tak szybko. Takie są okoliczności, Piotr to dobrze rozumie. Stąd zresztą jego dąsy. Dąsy, nic więcej. Z czasem wszystko się ułoży. Będą drobne przykrości, jakieś nieporozumienia przy płaceniu rachunków za gaz i elektryczność, niech Pan Bóg broni tylko przed jakimiś szkodami w mieszkaniu — nigdy nie dojdziemy, kto ma ile płacić za remont. To nic, tak jest wszędzie. Może z czasem wymienimy mieszkanie? Wtedy wszystko byłoby idealnie. Będziemy się odwiedzać z Piotrami, przyjedzie do nas Wanda. Z czasem i ona wyjdzie za mąż.

Podrywa się, rozwiesza swoje ładne, nieznoszone rzeczy, przebiega mieszkanie, łamie ręce nad zniszczeniami i zaniedbaniami: oto dziury w murze, które trzeba zagipsować, oto przegniły parkiet, zupełnie sczerniały, trzeba cyklinować. Tu stłuczona szyba, tu wilgoć — widocznie coś przecieka. Pieniędzy, pieniędzy. Marszczy brwi, medytuje. Nagle podnosi oczy i mówi znów przyciszonym głosem:

— Wszystko jest zakończone. Nie ma więcej nic do powiedzenia. I to jest właśnie najtrudniejsze. Byłbyś bardzo szczęśliwy, gdyby cię oskarżono, gdyby ten lekarz zdołał wszystkich przekonać o twojej winie, gdybyś zasiadł przed sądem. Oskarżony! Cóż za honor! Jakie poczucie wyższości! Mamy tak małą władzę nad tym wszystkim, tak mało znaczymy w biegu wypadków... Wszystko toczy się niezależnie od nas, nic nie jest ani naszą winą, ani zasługą, wszystko jest zmyślone. A tu nagle: oskarżony! Sprawca klęski, śmierci, krzywdy, działający z premedytacją, dążący do celu... Każdy przypadek nabiera znaczenia. Zdarzenia, które toczą się byle jak, bezładnym strumieniem, układają się w porządek, a ty jesteś jego sprawcą i przyczyną, ty go spełniasz, jesteś potężny, wolny... Ja wiem, tęsknisz do tego: to twoja jedyna szansa, żeby znaleźć się wyżej, ponad samym sobą. Nic z tego, biedaku, śledztwo umorzone, jesteś tylko zwykłym nieszczęśliwcem, ofiarą. Znowu zaczyna się wokół ciebie dziać coś, na co nie masz wpływu. Widzisz, ktoś nowy w twoim mieszkaniu, zmienia się zawartość szafy, zmienia się kolor i zapach twojego domu, dzieci z niego uchodzą, zostawiają cię samego. Uważaj, zaraz zaczną się kłopoty. Ani się spostrzeżesz, kiedy dojdzie do nieszczęścia, może wydarzy się zbrodnia, może znowu będziesz miał szansę?

Maria śmieje się:

— Nic z tego, nic z tragedii — powtarza — trzeba po prostu żyć.

Krząta się, ogląda sprzęty, kiwa głową nad obtłuczonym fornirem, nad rysami w politurze.

— Trzeba koniecznie odnowić meble. Pieniądze. Co tu pieniędzy pójdzie! Może poszukać drugiej posady? Ty byś też mógł się rozejrzeć. Nie, ty jesteś zrujnowany, zmęczony, musisz odpocząć, leczyć się, naprawdę, moja w tym głowa.

Podchodzi blisko.

— No, cóż — uśmiecha się — jesteś oszołomiony? Nienawidzisz mnie. Zrobiłam z tego wszystkiego wulgarną historię? Plotkę z magla? Tak, to prawda. Żal mi cię nawet, bo cię ośmieszyłam. Wszyscy mieli cię za czystego, nieszczęśliwego człowieka, teraz wszystko przepadło. Nawet w oczach dzieci: pogardzają tobą, podejrzewają cię. Może nawet o zbrodnię, kto wie? Ale za to jesteś mój, teraz dopiero naprawdę jestem ci niezbędna. Jestem twoją wspólniczką. Widzisz? — Wskazuje ręką na starą walizkę odstawioną pod ścianę.

Przymyka powieki, kiwa głową, jakby przytakiwała własnym słowom.

— To ja jestem winna, to ja. Ty jesteś tylko ofiarą. Znowu tylko ofiarą. Ale bądź spokojny o swoją godność. To jest właśnie najtrudniejsze. Wszyscy mają swoje satysfakcje: sędziowie, oskarżeni, moraliści i działacze. Ofiara milczy. I jest zawsze nieobecna, cierpi.

Maria ma oczy pełne łez, wyciąga dłonie.

— Kocham cię za to — szepcze — może to mnie ocali.

Andrzej Kijowski

Tadeusz Nowak

MAŁY PSALM AZJATY

Wygnany z domu, koczujący
w lasach na tyle uchylonych,
aby wejść do nich na kolanach,
uciszam prosem wód cietrzewie
w brzozowej jutrzni tokujące
i śpię i mroźne mleko z wymion
na przemian łani
i niedźwiedzicy ssę.

Mądry nie jestem, jeśli jazda
na beczce nieba tak mnie cieszy.
Ale to wina Pana Boga.
Na piętach dwóch tańcząca glina,
jak z odpustowej beczki niedźwiedź,
na czterech łapach zjeżdża w dół
tam, gdzie w sitowiu mrok się miele
i cielskiem suma idzie gwiazda.

Na poły Jonasz i szarlatan,
na beczkowozie jadę, bacząc,
by szedł weselnym kłusem sum.
Po staroświecku jest wyswatan
dobytek mój i panna młoda.
Z pobliskich jezior cieknie rum,
na jodły wspina się pogoda.

W makowym polu kołysany,
jak bóg z koźlęciem pomylony,
spoglądam w siebie, jak w kapelusz
zmieniany w rękach szarlatana
od słonecznika do korony.
I wiem, że wszelka moc i władza
rozpuście mojej jest wydana.

Ale prawy wnuk przodków,
śpiący pod śniegiem Azjata,
dla was z miecza i podków
zrobiłem księżyc, dom i stół,
aby was łatwiej było podejść
na bosym koniu, bosą łapą,
i wbić na tajgi biały kół.

I dzisiaj jeszcze z nożem w zębach,
z krzemiennym młotem u wąwozu
na świętych czekam objawienie.
A że jest noc, więc z beczkowozu
ciało astralne uczyniłem.

Z gór południowych jadą mnisi.
Mój sum kraj senny im kołysze.
Popiołu smak i zapach mysi
miesza się z winem i oliwą.
Jadą z Chrystusem, więc się ludziom
ssącym wymiona kobył dziwią.

Jadą, a ręce ich i pięty
czuć mieczem, winem i nawozem.
Chrystus przed nimi, z krzyża zdjęty,
idzie i laską im otwiera
źródła, gdzie z wilkiem pije łania.
A przed wydaniem tej krainie,
skąd popiół niosąc się umiera,
kogut po trzykroć ich zasłania.

Czemu oglądać ich mi dano?
Chciwy tajemnic Azjata,
kruszy jedlinę, ściele siano
tam, gdzie pod zorzą koźlę śpi.
I aby ujrzeć, jak gronostaj
ściele swe sukno na topieli,
łamię ich ciało zamiast chleba
i wina z wodą szukam w krwi.

DOPISKI ANNALISTY

I

Jeśli był to gronostaj,
gdzieś tu musi dąć śnieg
z owej starej ballady,
jak z wielkiej równiny.

Pachołkowie i kmiecie
wiążą w sakwy zamiecie,
a dziedzice, burmistrze
brody zasp co wstydliwsze
przycinają i piją
rum i małmazyją.

Dmie śnieg. W zaspach dzwonnice.
Tyle tylko głów ściętych
zawieszono na włóczni,
aby mogły wilczyce
zasłać suknem żałobnym
śnieg od lasu do jutrzni.

Jeśli był to gronostaj,
gdzieś tu musi dąć mrok
z brzucha owej konnicy,
którą ssali Azjaci.

Jadą święci na smoku
polną drogą obłoków.
Mnisi jadą. Śpi sum.
Woda zmienia się w rum.

II

Dymią obłoki, palą się zboża,
dzidy błyskawic wbite w ziemię.
Płochliwa sarna — ruda zorza
pod horyzontem lisim drzemie.

A barbarzyńcy, moi krewni,
na cembrowinie majcher ostrzą.
W juchtowych butach, łupu pewni,
biegną doliną wielkopostną.

I widzą wtedy, że na sianie
koźlę od zorzy mokre leży.
Gałązki mirry anioł łamie
na psalm trzech mędrców jeszcze świeży.

Łokciem zagajnik rozchylili,
zaczęli kruszyć sen makowy.
Że trzeba beczeć w takiej chwili,
nie przyszło im do głowy.

Tadeusz Nowak

Stanisław Zieliński

TRYPTYK Z AKCENTEM PARYSKIM

I

OSZUSTWO KOMUNIKACYJNE

Wąską uliczką szliśmy w milczeniu pod górę. Dionizy niósł koszyk z prowiantem, a ja, wykorzystując przywileje gościa, nie niosłem nic. Z udanym zainteresowaniem przyglądałem się odrapanym kamieniczkom. Czy ta uliczka nie skończy się nigdy? Malowniczo położone miasteczka mają dla przyjezdnego wiele uroku. W porze obiadowej są jednak nieznośne. Zapachy kuchenne odbierają chęć do zwiedzania i spaceru. Po kilku krokach wiadomo dokładnie, komu przypalił się tłuszcz na patelni, gdzie gniją resztki ryby w kuble, skąd czuć nadpsutymi warzywami i kto ostrymi przyprawami głuszy zapaszek nie pierwszej świeżości mięsa. Są też i inne zapachy z winy prymitywnej kanalizacji. Wszystko razem tworzy paskudny fetor. Zaduch wisi między domami i na krok nie opuszcza przechodnia.

— To tu — powiedział mój przewodnik wskazując blaszaną latarnię z numerem.

W ślad za Dionizym skręciłem w ciemnawą sień. Minęliśmy klatkę schodową i mrużąc oczy wyszliśmy na zalane słońcem podwórze. Jeszcze parę kroków i stanęliśmy przed dwupiętrową oficyną.

— Jesteśmy na miejscu. To jej okna.

Dionizy zdjął czapkę. Odruchowo zrobiłem to samo. Okazało się później, że niepotrzebnie. Dionizy zdjął czapkę, bo miał za dużą. Spadała, gdy zadzierał głowę. Moja trzymała się mocno.

Z odsłoniętą głową patrzyłem na brudne szyby i spłowiałe zazdrostki.

— Nikt tam nie mieszka?

— Magistrat położył łapę na mieszkaniu. Mówi się o muzeum i o pamiątkowej tablicy.

Musiałem mieć bardzo zdziwioną minę, bo Dionizy pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Przecież dzięki niej mamy komunikację miejską i nowego burmistrza!... Starego wykończyła na cacy. — Dionizy uśmiechnął się. — Trzeba to jakoś załatwić. Skromna tablica wydaje mi się doskonałym załatwieniem sprawy.

Między oknami wisiał blaszany szyldzik: na niebieskim tle noga w różowej

pończosze. Dookoła nogi napis z pochyłych liter: „Lonia Krój, pedikiurzystka".

— Wygląda mi to na reklamę elektrycznego podnoszenia oczek. Dlaczego noga w pończosze?

— Początkowo noga była goła z czerwonymi paznokciami. Golusieńka, apetyczna i bardzo kobieca. — Dionizy podrapał się za uchem. — Właśnie, nikt nie miał wątpliwości, że to kobieca, kształtna noga. Potem Lonia kazała domalować pończochę i z damskiej nogi zrobiła się noga nijaka. Podobno duchowieństwo wywarło nacisk. No i ci inni, oczywiście, także.

Na pierwszym piętrze drgnęła poruszona firanka. Kobieca twarz mignęła w szparze. Potem okno zaczęło otwierać się powolutku... Gdyby nie Dionizy, stałbym spokojnie dalej.

— Do środka! — krzyknął i wciągnął mnie do sieni.

W sekundę później ktoś pomyjami chlusnął na podwórze.

— Wszystko się starzeje prócz zazdrości — mruknął Dionizy. — Pomyśleć, tyle lat!...

Na ścianach zauważyłem plugawe wyzwiska, skierowane pod adresem Loni Krój i jej rodziny. Wyryte gwoździem napisy przedstawiały w niekorzystnym świetle znajomość pedikiurzystki z burmistrzem.

— Można już wysunąć nos. Teraz nam nic nie grozi, bo stara jędza dysponuje tylko jednym kubłem. Dzień dobry, jak zdrowie, kochana pani Operkot? Na psa urok, wygląda pani dziś świetnie!

— O, to pan? Nie poznałam w pierwszej chwili. — Tęga kobieta uśmiechnęła się z wyraźnym przymusem. — O, pan w towarzystwie, a ja nie ubrana! Och, przepraszam najmocniej!

Operkot schowała się za firankę. Dionizy zaklął.

— Chodźmy, pobiegła do sąsiadów po pomyje.

— Pożycza pomyje? Zabawne.

— Każdy na kogoś gromadzi pomyje. Są dnie, że za żadne pieniądze nie dostanie się ani kwaterki.

Po tym wyjaśnieniu opuściliśmy podwórze. Ścieżką między ogrodami poprowadził mnie Dionizy na pagórek pod wiekowe dęby. Usiedliśmy w cieniu rozłożystych drzew i z wielkim apetytem zabraliśmy się do wina i wiktuałów.

— Ta jędza — powiedział Dionizy otwierając butelkę — odegrała paskudną rolę w całej sprawie. Jak znajdujesz wino?

— Jest świetne.

— Otóż ta Operkot najpierw obszczekała Lonię przed spowiednikiem. Głowę daję, że tak było. A potem sprowadziła burmistrza w chwili zupełnie nieodpowiedniej na przyjmowanie wizyt.

Dionizy zamyślił się. Czekałem cierpliwie.

— Opowiadam nie po kolei, ale musisz wiedzieć, że niespodziewana wizyta burmistrza zadecydowała o dalszym biegu wypadków. Była, jak się to mówi, punktem zwrotnym... Pewnego dnia zjawił się w miasteczku kuzyn Loni, czarnooki młodzieniec o bezczelnej gębie. Przyjechał i natychmiast zamieszkał w mieszkanku „pod różową nogą". Wszyscy ci cudzoziemcy są ze sobą spokrewnieni, aż trudno czasami uwierzyć. Kuzyn zachowywał się taktownie i większość dnia spędzał poza domem. Lonia dawała do zrozumienia, że kuzyn przyjechał z gotówką i rozgląda się za dobrym interesem. Traktowano więc kuzynka z życzliwym zaciekawieniem. Po chwilowym poruszeniu, plotki ucichły

i wszystko potoczyło się zwykłym trybem. I toczyłoby się długo, gdyby nie ta Operkot.

Pewnego ranka przybiegła na ratusz i bezceremonialnie przerwała burmistrzowi drzemkę.

— Pan śpi, a Lonia bez koszuli fruwa po pokoju! Kuzyn razem z nią!

— Fruwa? — Zdziwił się burmistrz. — Przecież tam tak nisko.

— Prędzej, bo będzie za późno! — krzyknęła Operkot i wybiegła zanosząc się histerycznym śmiechem.

Wkrótce zobaczono burmistrza. Bez melonika i urzędowego surduta pędził do Loni „na górkę". Przed wejściem spotkał się z Operkotową.

— Spiesz się! — syknęła podła sąsiadka i podała burmistrzowi laskę po nieboszczyku Operkocie.

— Otwierać! — wrzasnął burmistrz uderzając w drzwi.

Ponieważ nikt nie odpowiedział, burmistrz zawstydził się i opuścił laskę. W mieszkaniu panowała cisza.

— Jest pan mężczyzną czy nie? — podjudzała Operkot.

— Lonia!... — szepnął burmistrz.

— A co?

— Otwórz!

— Ależ otwarte! — roześmiała się Lonia i wpuściła burmistrza do środka. — Ojej, co to za paskudna laska? Wyrzuć natychmiast, bo całe mieszkanie przejdzie tym zapachem!

Burmistrz spojrzał na Lonię i poczuł lodowate ukłucie w sercu. Nigdy nie widział Loni w tak dobrym nastroju. „Nie ta Lonia" — pomyślał i bez sprzeciwu zostawił laskę przed drzwiami.

— Co tak nagle? Dokucza ci odcisk na małym palcu?

Nim burmistrz się opamiętał, Lonia posadziła go w fotelu i kazała zdjąć obuwie. Potem podsunęła miednicę z pachnącą wodą. Burmistrz odetchnął. Z ratusza do Loni kawał drogi i ciągle pod górę.

— Fruwanie wybij sobie z głowy — powiedział prawie dobrodusznie.

— Podciągnij nogawki. Moczysz spodnie.

Burmistrz, chcąc Lonię objąć lub poklepać, wyciągnął rękę i zamiast na pasek od szlafroka natrafił na szelki. Wtedy wstał. Zapytał grobowym głosem:

— Co to jest?

Lonia skromnie spuściła oczy.

— Szelki. Nie wychodź z miednicy. Podłoga świeżo zapastowana.

— Gdzie on jest? — Burmistrz huczał coraz groźniej.

— Zawsze popsujesz mi wszystko. Miała to być niespodzianka.

— Pytam jeszcze raz, gdzie?

— Wiadomo, że w szafie. Pokaż się, Ugo, pan burmistrz chce się z tobą widzieć.

Kuzyn wyszedł z szafy. Usiadł na kozetce i nogę założył na nogę. Burmistrz oparł się o fotel.

— Kto to jest?

— Nie znacie się? Inżynier Zazrak, mój kuzyn ze strony matki.

— Wyjątkowo głupia sytuacja — mruknął burmistrz i opadł na fotel. — Niech się pan ubierze, panie Zaz, i tak dalej.

— Loniu, wyciągnij spod pana burmistrza moją garderobę.

— A ja poproszę o ręcznik. Rezygnuję z moczenia nóg. — Burmistrz nie ukrywał goryczy. — Rezygnuję z powodu niespodzianki. Niespodzianka!...

— Przerwałeś nam rozmowę o komunikacji miejskiej — powiedziała Lonia podając ręcznik i miękkie pantofle. — Ugo ma dla ciebie interesującą propozycję.

— Miasto da sto tysięcy i ja dam sto tysięcy — wyjaśnił inżynier zapinając spodnie.

— Żarty. Poniżej miliona nikt nie chciał z nami gadać. A miliona miasto nie miało i nie ma. Dlatego komunikacja leży.

— Sto tysięcy, ani grosza więcej. Lonia, szelki!

Burmistrz wetknął kciuki za kamizelkę. Chwilę milczał. Potem znienacka spytał:

— Po co pan wlazł do szafy?

— Myśleliśmy, że ktoś obcy dobija się do drzwi — wtrąciła Lonia. — W takich wypadkach zawsze się wchodzi do szafy. Nie pamiętasz?

Burmistrz machnął ręką, jakby się opędzał od natrętnej muchy. Zwrócił się do inżyniera.

— Powiada pan, sto?

— Sto.

— Usiądźmy więc przy stole i porozmawiajmy serio. A ty, Loniu...

Piękna pedikiurzystka nakryła stół. W mgnieniu oka, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawiły się stosowne do pory dnia przysmaki i oczywiście tęga butla wina.

Dionizy obejrzał butelkę pod światło, westchnął i następną wydobył z koszyka.

— Otwierajmy, co ma być otwarte... Zanim wrócimy do obradującego w oficynie towarzystwa, muszę udzielić ci kilku informacji o kapitalnym znaczeniu. Spójrz, miasteczko jak na dłoni. Uliczki krętymi wąwozami zbiegają ze wzgórz, okrążają plac ratuszowy i już spokojniej spływają nad rzekę. Na drugim brzegu sady i plantacje. Skromne plony tylko nielicznym przynoszą zarobek. Większość mieszkańców pracuje dalej. Patrząc z biegiem rzeki, zobaczysz wysoki komin i dachy z czerwonej dachówki. To nasza chluba, wytwórnia słynnego g u g u. Wkrótce tutejsze g u g u stanie się tak sławne, jak sery z Brie, ostrygi z Burfleet i szwajcarskie zegarki. Przeczuwam wielką koniunkturę. Wytwórnia idzie na trzy zmiany. Zarzucimy rynek wspaniałym g u g u. Ja ci to mówię, świat czeka na g u g u! Oczywiście na g u g u naszej produkcji. G u g u z innym znakiem fabrycznym to bezwartościowe świństwo.

Ponieważ g u g u nie można produkować w centrum, pracownicy wytwórni odbywają codziennie dwa długie spacery. Przychodzą zasapani do pracy i z sercem w gardle wracają do domu. Nic więc dziwnego, że gdy pojawił się spryciarz i obiecał publicznie połączenie miasteczka z wytwórnią linią tramwajową, wybraliśmy go wśród ogólnego entuzjazmu. „Będziecie jeździć do g u g u! Ja wam obiecuję!“ — krzyczał nowy burmistrz. Na rękach zanieśliśmy go do ratusza. Od tego czasu sprawa komunikacji miejskiej należy do żelaznego programu obrad magistratu. Radni dyskutują o kolorach wozów, o formacie biletów, kłócą się o lampasy na konduktorskich spodniach i w zależności od koniunktury, obniżają lub podwyższają opłaty za przejazd. Ostatnio toczył się spór

o sygnał, co lepsze — trąbka czy dzwonek? Uciechy mieliśmy na miesiąc. Potem znowu zrobiło się nudno. Ogłosiliśmy więc nowe wybory. Burmistrzem został wielbiciel Loni Krój (hasło wyborcze: „Zna się na rzeczy. Czyste nogi!"). Ten obietnicą poprzednika przejął się na serio i postanowił realizować. Zapomniał, że pewnych obietnic zrealizować nie można z tej prostej przyczyny, że do realizacji w ogóle się nie nadają. Każdy z nas obiecywał gwiazdkę z nieba. Ba, dopytywał się: „Którą chcesz, kochanie?". I co? Nic. Czasami dziecko, a najczęściej ślub i gwiazdki na skarpetkach.

Burmistrz się uparł. Ściągnął ekspertów i ogłosił konkurs. Proponowano rozwiązania różne: wodny tramwaj z przesiadką na kolejkę zębatą, przeniesienie domów nad rzekę („A co z ratuszem i katedrą?"), zburzenie wytwórni i produkowanie g u g u sposobem chałupniczym („Dobre sobie! Cóż to byłoby za g u g u bez piasku i bieżącej wody!"). „Milion, dwa miliony, dziesięć milionów" — mówili eksperci bez mrugnięcia okiem. Zawrotne sumy zachwycały nas i oszałamiały. Udał się nam burmistrz. Niestety, oczekiwana koniunktura jeszcze nie nadeszła. G u g u leżało w składach. O milionach mogliśmy tylko marzyć przy niedzielnym winku. Na taki grunt trafiła propozycja kuzyna Loni, inżyniera Zazraka. Burmistrz, mimo romantycznego usposobienia, był człowiekiem dociekliwym. Żądał liczb.

— Bardzo proszę. — Zazrak wyjął notes. — Zmierzyłem dokładnie trasę. Jest o dwadzieścia cztery metry krótsza od tras z poprzednich kosztorysów.

— Minimalna różnica — zauważył burmistrz.

— Minimalna w metrach, a w kosztach?

— Siedź cicho, pieseczku — powiedziała Lonia. — Ugo świetnie się zna na komunikacji.

— Chcecie mieć tramwaj?

— Tak! — Burmistrz stuknął pięścią w stół. — Porządny, normalny tramwaj. Żadnych łódek i zębatych kolejek!

— Tramwaj z trąbką i bilety z kartonu, jak na kolei! Ja was bardzo proszę!

— Trąbka, bilety... — zanotował w notesie Zazrak.

— Uchwałę rady miejskiej w sprawie trąbki biorę na siebie. Bo to jest tak, kochany inżynierze... Nasi chłopcy odsługują wojsko w mieście, gdzie tramwajów tyle, że przez ulicę nie można spokojnie przejść. My, mężczyźni, jesteśmy z tramwajami za pan brat!

Lonia parsknęła śmiechem.

— Spokój, tak nie dojdziemy do niczego — mruknął inżynier. — Panie burmistrzu, jak reagują mieszkańcy na sygnały dźwiękowe?

— Znakomicie! To są wspaniali mieszkańcy! Dajcie mi trąbkę, zagram wam sygnał „Do ataku!". Pół miasta obejrzy się ciekawie, a drugie pół ukryje się w piwnicach. Reagujemy znakomicie! Teraz zagram „Manierki bierz, po wino spiesz!"... Ta-ta-ta!

— Przestań trąbić — krzyknęła Lonia odbierając butelkę — bo Operkotowa rozniesie plotki po całym mieście.

— Operkotowej nie interesują wasze świństwa! — rozległ się głos zza okna.

— Jędza — mruknął burmistrz. — Gotowa wypaplać.

— Zamknij okna i zasłoń firanki — poradził inżynier.

Narada przeciągnęła się do wieczora. Postanowiono nająć dwie fury wymoszczone sianem i co niedziela kobiety z dziećmi wysyłać do miasta, aby przy-

wykły do hurkotu tramwajów. Burmistrzowi pomysł się spodobał. Wniósł poprawkę i przymusowymi wycieczkami objęto również „łazików, którzy nigdy nie wąchali prochu, a więc i z tramwajami nie byli na ty".

— Jutro do rejenta — powiedział burmistrz podnosząc się zza stołu.

— A potem do kasy — dokończył inżynier.

Kuzynostwo sprowadzili burmistrza na dół. Skacząc po dwa stopnie wrócili do siebie. Operkot chciała oblać ich pomyjami, ale „nim się obróciła z kubłem", pedikiurzystka i kuzyn byli już na górze.

Dionizy schował butelki do koszyka. Zapalił papierosa i wstał.

— Chodź do mnie. Przy koniaku opowiem ci dalszy ciąg.

— Sprawa jasna. Czarnooki oszust podjął pieniądze i ulotnił się razem z kuzyneczką. A Burmistrz? Zamartwił się na śmierć.

— Pomaleńku, wszystko powinno się dziać we właściwym czasie. Otwarcie pierwszej miejskiej linii komunikacyjnej nastąpiło dokładnie w miesiąc po rozmowie burmistrza z Zazrakiem. Wieczorem wydano na ratuszu bankiet. Kuzynostwo po angielsku opuścili przyjęcie i nie pokazali się do tej pory. Nieco później zauważono nieobecność burmistrza. Opętała go Lonia, miała czym opętać!... Kto wie, może do dziś ugania się za nią? Czekaliśmy tydzień. Po tygodniu wybraliśmy nowego burmistrza.

— A komunikacja?

— Funkcjonuje. Wrócimy przez plac ratuszowy. Tam początkowy przystanek. Zobaczysz linię w pełnym ruchu, bo o tej porze druga zmiana udaje się do g u g'u.

Schodziliśmy wolno ze wzgórza. Pomyliły się nam ścieżki i dobrą chwilę błądziliśmy wśród ogrodów. W końcu trafiliśmy jednak pod ratusz. Przy zielonym słupie czekało na tramwaj kilkadziesiąt osób.

— Komunikacja miejska, przystanek numer jeden, dla wsiadających... Dionizy, wszystko we wzorowym porządku — powiedziałem obejrzawszy tabliczkę na słupie.

Dionizy uśmiechnął się zadowolony. Pochwała porządku sprawiła mu wyraźnie przyjemność.

— Mam abonament. Zapłacę za ciebie. Schowaj papierosy. Komunikacja dla niepalących.

Tramwaj już było słychać. Zbliżał się z głośnym hurkotem, typowym dla rozklekotanych wozów. Pasażerowie poruszyli się niespokojnie. Większość z nich nosiła fabryczne kombinezony. Pod pachą ściskali teczki i pakuneczki z jedzeniem. Z kieszeni wystawały kolorowe kubki termosów i szyjki butelek od piwa. Mężczyźni zadeptywali niedopałki. Kobiety przewracały torebki w poszukiwaniu miesięcznych biletów.

Dionizy zapiął marynarkę i mnie poradził zrobić to samo.

— Będzie tłok.

Tramwaj nadjeżdżał z dudnieniem i szumem. Hałas stawał się coraz głośniejszy. Jeszcze chwila i usłyszałem charakterystyczny zgrzyt. Tramwaj hamował na przystanku.

— Proszę wsiadać! — odezwał się donośny głos. Domyśliłem się, że był to głos konduktora.

Pasażerowie, trzymając bilety nad głową, wybiegli gęsiego na jezdnię. Ustawili się dwójkami w kierunku jazdy.

— Miejsc nie ma. Wóz rusza! — powiedział ten sam głos uprzejmie, ale stanowczo. Potem usłyszałem sygnał dany trąbką.

Pasażerowie pochylili się i pobiegli w kierunku następnego przystanku. Razem z pasażerami oddalił się tramwajowy łoskot. Dionizy biegł w ostatniej dwójce. Oglądał się i wściekle wymachiwał rękami. Bezradnie wzruszyłem ramionami. Potem zapaliłem papierosa i nie śpiesząc się poszedłem w dół ulicy. Byłem zaskoczony brakiem szyn. O Zazraku myślałem ze wzrastającym podziwem.

Przy następnym zielonym słupie stał Dionizy.

— Dlaczego nie wsiadłeś? Co za gapa!

— Przecież słyszałeś: „Nie ma miejsc".

— E, jedna osoba zawsze się jakoś wciśnie.

— Jeżeli chcesz, możemy jechać — powiedziałem, bo z głośnika umieszczonego na latarni znowu rozległ się hurkot zbliżającego się tramwaju.

— To już nie miałoby najmniejszego sensu. Stąd mamy dwa kroki. Chodź, pokażę ci fotografie Loni Krój. — Dionizy znacząco zatarł dłonie. Dawał do zrozumienia, że w aferze komunikacyjnej i on również maczał palce.

— Kiedy to się wszystko działo?

Dionizy zatrzymał się. Odpowiedział ze złością:

— Dawno, niestety, dawno. Operkot była jeszcze młodą i dość apetyczną wdówką.

W milczeniu przeszliśmy kilkadziesiąt kroków dzielących nas od mieszkania Dionizego. Na schodach Dionizy położył mi rękę na ramieniu

— Powiedz szczerze, podoba ci się u nas?

— Cóż, miasteczko jak miasteczko.

— No, a wytwórnia g u g u? Co tam, u was, o tym mówią?

— Wasze g u g u, to prawdziewe g u g u.

— A widzisz, nadejdzie kiedyś wielka koniunktura! Chodź, koniak się niecierpliwi na górze.

O „oszustwie komunikacyjnym" nie pisnąłem słowa. Do późnej nocy oglądaliśmy zdjęcia Loni Krój, wspominając i komentując wypadki związane z uruchomieniem komunikacji miejskiej.

II

DRZWI

Spędzamy czas brodząc po kolana w wodzie. Płoszenie małych rybek jest naszą największą przyjemnością. Uwijają się ich tu całe gromady. Za lada tupnięciem piasek podnosi się z dna, mętnieje nagle woda, a małe rybki zmykają aż się kurzy. Wzniecanie paniki wśród śmigłych ławic wprost znakomicie działa na samopoczucie.

Rybki nie boją się zbyt długo. Po krótkim zamieszaniu formują się w gromadę i znowu nadciągają szybkimi jak spojrzenie zygzakami. Wtedy zabawa zaczyna się od nowa. Zabawa, a może nie zabawa? Straszenie rybek pochłania

uwagę, co ostatnio jest okolicznością ważną, nadaje głowie modne pochylenie oraz dostarcza wzruszeń artystycznych. Woda pełna srebrnych błysków, to naprawdę ładne.

Bawię się po swojemu. Ustawiam się poza tłokiem i staję, oczywiście na jednej tylko nodze. Druga, ledwie palcami oparta o dno, w ciągłym pogotowiu. Stoję i obserwuję. Czekam cierpliwie, aż nadpłyną rybki. Nie macham rękami i nie krzyczę. Nawet staram się nie kichać i nie kaszlać, gdy jakaś grubsza chmura wpakuje się przed słońce. Gęsia skórka w straszeniu rybek nie przeszkadza.

Mam na oku ławicę. Śmiga śmiało, udaje, że mnie nie widzi, ciekawość ją jednak ponosi i już jest bliżej. Rybki przemknęły tuż obok kolana, otarły się o łydki, zawróciły. Płyną teraz spokojnie, szerokim, półkolistym szykiem. Nagle, tuż przed rybimi nosami, wybucha piekło wirów, ogromnych fal i podwodnych wstrząsów. Rybki pierzchają, mało nie połamią nóg!

W pobliżu, w przyzwoitej jednak odległości, bo każdy chce sam swoje rybki płoszyć, stoi czarniawy grubas w pasiastym kostiumie. Głupi kostium. Kto na ryby ubiera się w pionowe paski?

Pasiasty podpatruje moją metodę. Nic z tego. Nie umie stać na jednej nodze. Płoszy więc ręką, a to żadne płoszenie. Rybki uciekają, nim grubas zanurzy dłoń. Pasiasty zagryza wargi i łyka łzy. Cóż robić, za gruby i za mało sprytny. Od czasu do czasu uśmiecham się do Pasiastego. Kto wie, co pod paskami?

— Czy to są piranie? — pyta z brzegu kobieta w ogromnym kapeluszu.

Ruchem głowy odpowiadam, że nie. Kobiecie tego mało. No i zaczyna się...

— Bo chciałabym przykucnąć. Gdybym trafiła na piranie, byłabym niepocieszona. Głównodowodzący przyjeżdża o osiemnastej. Nie mogę się mu pokazać obgryziona, czyli tylko z górną połową figury. I ciągnie mnie ta woda, i odpycha.

Mówię jej na to, żeby nie kucała, skoro ma złe przeczucia. Ponieważ kucanie było mi z wielu względów nie na rękę, powiedziałem kobiecie, że wśród niewinnych rybek kręci się podejrzana sztuka, podobna do tych, co włażą w każdy napotkany otwór. Wyciągnąć taką z otworu bardzo trudno, bo ostre skrzela trzymają jak haki.

— To również byłoby fatalne! Ale ja muszę.

Pasiasty przyszedł mi z pomocą.

— Jazda stąd! — krzyknął. — Tam, za wydmę!

— Nie wiedziałam, że państwo są małżeństwem. Coś podobnego!

Pani w ogromnym kapeluszu wycofała się z pośpiechem. Znikły też rybki, przestraszone hałasem.

— Jak wymiótł, ani jednej!... — Pasiasty zaklął i nienawistnym wzrokiem spiorunował wydmy.

— Zanosi się na chłodny wieczór. Chmurzy się, będzie wiatr. Pogoda nie dla ryb.

Pasiasty gwizdnął. Przyczłapał i przedstawił się z pewną uniżonością. Zjawisko powszechne. Instynktownie lgniemy do ludzi, którzy coś wiedzą na pewno.

— Będzie wiatr — powtórzyłem.

Stojąc w wodzie obserwowaliśmy nagły wzrost zachmurzenia. Chmury nadpływały z północy. Sunęły wysoko, tworząc szeroki, ciemny front.

— Obce chmury.

Pasiasty otworzył usta. Poprosiłem o chwilę cierpliwości.

— Niech się pan nie spodziewa odpowiedzi na pytanie, które ma pan ochotę mi zadać. Poznaję obce chmury, tak jak odróżniam nasze wrony od wron przylatujących do nas z początkiem zimy. Pewnego dnia otwieram okno i widzę w ogrodzie obce wrony. Są inne. Te chmury też są inne.

Ochłodziło się i pociemniało. Chmury zasłoniły słońce. Pędziły z coraz większą prędkością. Niebo kłębiło się i dymiło. Na dole panowała cisza. Nagle jaskrawy błysk rozerwał zasłonę. W chmurach powstał wąski korytarz, odsłaniając niebieskie niebo. Jasne pasmo sięgało po horyzont. W następnej chwili zaobserwowaliśmy jeszcze kilka błysków. Po obu stronach „korytarza" pojawiły się koliste „dziury". Ilość błysków pokrywała się z ilością „dziur". Przez dziury prześwitywało pogodne niebo. Mimo nieustannego ruchu chmur, dziury zachowywały swój regularny kształt. W pewnym momencie chmury spiętrzyły się, jakby zatrzymane niewidzialną przeszkodą. Zmagania trwały krótko. Kilkanaście oślepiających błysków uderzyło w chwiejący się wał i poszarpało go na strzępy. Rozpoczął się odwrót chmur na północ. Bezdźwięczne błyski ścigały chmury aż do horyzontu. Nad nami zabłysło słońce.

— Zdaje się, że byliśmy świadkami nie byle jakiego sukcesu — powiedziałem rozcierając zziębnięte ramiona. Pasiasty taktownie milczał. — Sądzę, że od dość dawna mamy wojnę. Tylko się tego nie rozgłasza.

— Wojnę? Do licha, z kim? — Pasiasty dziwił się jak dziecko.

— Operuje pan przestarzałymi pojęciami. Minęły czasy, kiedy prowadziło się wojnę przeciwko komuś. Dlatego powiedziałem „mamy wojnę", tak jak się mówi „mamy ładne lato". Wojna stała się piątą porą roku (w naszym klimacie) lub jeszcze jednym miesiącem w kalendarzu. Mamy do czynienia z wojną wyższego rzędu.

Pasiasty chciał się roześmiać. Skończyło się na dzwonieniu zębami. Dla rozgrzewki zrobiliśmy kilka przysiadów.

— Dawniej fotografowano „dziury w niebie", filmowano i jako *curiosum* pokazywano publiczności. Dziś jest to zjawisko tak powszednie, jak tęcza po burzy. Wzrasta stale ilość zjawisk, na które nie znajdujemy wytłumaczenia. Gubimy się więc w domysłach i dla psychicznego odpoczynku — płoszymy małe rybki. Szukając wytłumaczenia, ze wszystkich ewentualności, jakie przychodzą mi na myśl, wybieram ewentualność najmniej prawdopodobną. I właśnie ta, pozornie absurdalna, po pewnym czasie okazuje się najbliższa prawdy. Co pan na to? Nic? No, to jeszcze parę przysiadów! Niech pan się zastanowi, a ja tymczasem rozmasuję łydkę.

— Drogi panie — powiedziałem po chwili — jeżeli wariaci udają normalnych, to co ma robić człowiek naprawdę normalny? Musi udawać wariata, bo jeśli wmiesza się między tych niby normalnych, to automatycznie stanie się też wariatem. Proste, *n'est-ce-pas?* Pan mi wygląda na Francuza?...

— No, nie... Jestem kuzynem Głównodowodzącego. Mój kuzyn przybędzie o osiemnastej zero trzy.

Pasiasty chełpił się pokrewieństwem, lecz wzrok uciekał mu na stronę. Głównodowodzący był dziś figurą trzeciorzędną, na tyle jednak ustosunkowaną, że mógł wywołać lokalną wojnę i pod jej pretekstem przerobić na mączkę rybną kilka (do kilkunastu) milionów ludzi (kilkudziesięciu milionów nie mógł w żadnym razie). Z przeszłości zachował spis sekretnych telefonów i adresy prywatnych mieszkań dostojników. Nie sądzę, żeby dochrapał się czegoś więcej.

— Głównodowodzący przywiezie pewnie nowe wiadomości — powiedziałem na pocieszenie grubasowi.

Rozstaliśmy się w ukłonach. Wieczorem spotkałem Pasiastego znowu. Spacerował po salonie, żona siedziała w fotelu. Zapytałem o nowiny.

— Co mówił Głównodowodzący?

— Najpierw powiedział: „Jest dobrze", a potem, przy kolacji, krzyknął: „Ość!" i zrobiło mu się niedobrze. Teraz śpi.

— Sposób, w jaki zrobiło mu się niedobrze, świadczy, że jest to człowiek z charakterem — wtrąciła żona Pasiastego.

— Jest dobrze... — powtórzyłem — a więc sukces, miałem rację!

Pasiasty niechętnie skinął głową. Do salonu weszło parę osób i rozmowa potoczyła się o płoszeniu rybek. Wcześnie opuściłem towarzystwo i położyłem się spać. W nocy obudziło mnie przenikliwe zimno. Zamknąłem więc okno i twardo spałem do rana. Obudziłem się z uczuciem niepokoju, choć nic mi się nie śniło. Ponieważ było jeszcze ciemno, zapaliłem światło i spojrzałem na zegarek: kwadrans po ósmej.

— Przespałem cały dzień? Dlaczego tak wcześnie się ściemniło?

Otworzyłem okno. Za oknem b i a ł o. Niebo smoliste, ani księżyca, ani gwiazd. Gdzieś, bardzo wysoko, narastał szum. Rozlegały się też przenikliwe gwizdy. Wszystko razem wyglądało dość zagadkowo. Nie zwlekając zszedłem do salonu. Pasiasty nadbiegł w chwilę po mnie. Zegarek trzymał w ręku. Spojrzeliśmy po sobie i bez słowa usiedliśmy w fotelach. Potem zjawiła się żona Pasiastego, otulona jedwabną kołdrą. Zadała kilka idiotycznych pytań i nie otrzymawszy odpowiedzi położyła się na kanapie. Szum nieba wzmagał się z minuty na minutę. Wielki wiatr schodził coraz niżej. Zaczynały szeleścić oszronione drzewa. Biła dziewiąta, gdy wszedł Głównodowodzący w szynelu narzuconym na fasowaną bieliznę.

— Co to za heca? — warknął i trzasnął drzwiami, aż małżonka grubasa podskoczyła na kanapie. — Co to za heca?!

— Wygląda na to, panie Głównodowodzący — powiedziałem starając się opanować drżenie głosu — że nas wykopano z układu słonecznego.

— Kto wykopał? — krzyknął Głównodowodzący. — Kto? Jeżeli nawet jest to prawdą, to wykopaliśmy się sami. Powody ogłosi się później. „Wykopać się" i „być wykopanym" to gruba różnica.

— Musimy coś postanowić — bąknął Pasiasty.

— Tak, tak, koniecznie! Przyjechałam bez zimowych rzeczy!

— Obawiam się — zauważyłem — że w obecnej sytuacji wszelkie postanowienia mijają się z celem.

— O, to pan się myli! Gdzie telefon? Działa... — Głównodowodzący nakręcił tajny numer i krzyknął do mikrofonu, żeby go zaraz połączono z nocną zmianą sztabu. Chwilę słuchał. Potem zasłonił mikrofon dłonią: — U nich też ciemno, jeszcze nie grali pobudki...

Za oknem wyło i gwizdało. Coś działo się pod ziemią, bo masywne, betonowe mury leciutko drżały. Światło pożółkło. Telefon funkcjonował, lecz słychać było słabo. Głównodowodzący krzyczał.

— Zarządzam alarm! Natychmiast wymarsz na nocne zimowe ćwiczenia! Pobrać z magazynów kożuchy i flanelowe onuce! Koniec! — Cisnął słuchawkę i zwrócił się do nas: — Ja zrobiłem swoje!

Żona Pasiastego nakryła się z głową i w puchową kołdrę wypłakiwała żal za futrem. Pasiasty zerkał na mnie. Odpowiadałem mu spojrzeniem, w którym mógł z łatwością wyczytać moją ocenę sytuacji. Głównodowodzący postawił kołnierz i udawał zamyślonego. Minę, mimo usilnego udawania, miał mocno nietęgą. Mruczał:

— Powinni meldować wykonanie rozkazów. Dlaczego jeszcze nie zameldowali?

Ze wszystkich pięter rozlegały się spazmatyczne krzyki. Ludzie budzili się i od razu tracili głowę. Ktoś krzyczał: „Wody", inny: „Zawołać straż pożarną!". Jakaś kobieta wołała: „Ja powiem o tym mężowi. I nie tylko mężowi! Ja mam komu powiedzieć!"...

Do godziny dziesiątej sytuacja nie uległa zmianie. O dziesiątej ustało drżenie murów i ucichł szum nieba. Nagła cisza zapowiadała coś niezwykłego. Żona Pasiastego usiadła na kanapie.

— Nieznośne przeciągi — powiedziała śmiesznie wysokim głosem.

— Może goniec?... — Głównodowodzący wstał.

Najpierw drgnęła klamka. Potem uchyliły się drzwi. Byłem pewien, że w tym momencie uchyliły się wszystkie drzwi w budynku (przekonałem się później, że tak było istotnie). Usłyszeliśmy głos, który wszyscy określili podczas obiadu jako „bardzo sugestywny i znajomy".

— To były tylko żarty, ale jeżeli się nie uspokoicie!...

Pasiasty uniósł się, zrobił krok w kierunku drzwi, zawahał się i wrócił na fotel.

— Z ewentualności, jakie przychodzą mi na myśl, wybieram najbardziej nieprawdopodobną — powiedziałem.

Usłyszałem wybuch serdecznego śmiechu. Potem zaczęło się rozjaśniać. Drzwi pozostały uchylone. Nie można ich było ani zamknąć, ani otworzyć szerzej.

Głównodowodzący rzucił się do telefonu.

— Ze śpiewem do koszar! Kożuchy wolno zdjąć! — Rozkazywał pewnie, lecz twarz miał białą i ściągniętą.

— Stwierdzenie, że za drzwiami nie ma nikogo, skomplikowałoby sytuację jeszcze bardziej — powiedziałem do Pasiastego.

Przesiedzieliśmy w salonie do południa. Potem przystawiono drabinę i wyszliśmy przez okno. Dzień był pogodny i ciepły. Nie stwierdziliśmy żadnych poważniejszych zmian w najbliższej okolicy. Głównodowodzący spakował rzeczy i wyjechał. Twierdził, że musi asystować przy zdawaniu kożuchów do magazynu.

Po obiedzie poszedłem z Pasiastym płoszyć rybki. Płoszyliśmy je do końca sezonu.

III

PARYŻ

To prawda, że w pewnej chwili wszystko się przypomni, że wszystko kiedyś zobaczy się raz jeszcze...

Znów widać wzgórza, las i smugi słońca wplecione między pnie. Las jest czerwony, złoty, iskrzy się woda w strumieniu, a ścieżką, zygzakiem zbiegają-

cą z góry, idzie dziewczyna w zielonej spódnicy. Dziewczyna niby się spieszy, szybko przebiera nogami, niby nie zerka za siebie, lecz sprytnie oblicza kroki. Tuż przy potoku dopędza ją młody drwal. Razem stają nad wodą. Zielona spódnica, zielona woda, zielono drwalowi robi się w oczach.

— No i tego — mówi drwal do dziewczyny — pracuję w sąsiednim lesie. Jestem samotny, bardzo mi źle, czasami wprost nie do wytrzymania. Chciałbym pokazać ci moją siekierę i w ogóle, tego, owego...

Drwal ględzi, obraca w palcach stylisko siekiery. Dziewczyna milczy, patrzy na drugi brzeg, nie spieszy się jednak przez wodę. Za wodą ścieżka wspina się po stoku, ginie wśród drzew i nieco dalej łączy się z drogą wiodącą do osady.

— Gorąco — wzdycha drwal. — Usiądźmy w cieniu. Tam byłoby wygodnie.

— Głupi jesteś razem ze swoją siekierą... — odpowiada cichutko dziewczyna.

Słońce piecze. Zielone koła wirują w powietrzu. Drwal przestępuje z nogi na nogę.

— Gorąco — powtarza i szeroko rozchyla koszulę.

Dziewczyna spojrzała niby niechcący. Twarz się jej rozjaśniła. Klasnęła w dłonie.

— Tatuaż!... Jaki piękny i kolorowy!

Drwal wypiął pierś, naprężył mięśnie.

— Prawda, że ładne? Nie byle kto mi to robił. Patrz, oto zamek królewski. Dalej wieża najwyższa na świecie i stara katedra z wieżami jak baszty. Tu, niżej, rzeka. Rybacy płyną po niej łodzią, a na brzegu dziewczynka bawi się ogromną piłką. Jest rzeka, więc i most być musi. Powóz jedzie mostem po damę z parasolką i pieskiem. Za mostem główna ulica. Widać wielkie domy i sklepy pełne cukierków. Przez miasto z muzyką i sztandarem maszerują żołnierze. Czy widzisz oficera? Jedzie sobie konno. Teraz patrz uważnie, bo tu zabawa taneczna, dwie karuzele i diabelski młyn. A tam scena miłosna w lasku, na którą z gondoli balonu patrzą panowie ubrani w cylindry.

— Szkoda, że karuzela się nie kręci. — Dziewczyna palcem dotknęła rysunku. — O, balon poruszył się trochę. Umiesz wiatr puszczać spod pachy?

— He, to jeszcze nie wszystko. Pokażę ci zaraz coś więcej.

Drwal zrzucił koszulę. Dziewczyna cofnęła się ku kamieniom zastępującym kładkę na potoku.

— Bardzo duże miasto — powiedziała zmienionym głosem.

— Patrz, podziemna kolej!

— Piękne miasto, ale ja chyba już pójdę.

— Słuchaj, przecież to Paryż!

— Czemuś nie powiedział wcześniej? Nigdy nie mówicie tego, na co akurat się czeka. Chodź, muszę wszystko obejrzeć dokładnie. — Dziewczyna wzięła drwala za rękę i poprowadziła w miejsce bardziej wygodne i lepiej ocienione od miejsca, które drwal przedtem wskazywał.

Słońce już niżej. Pochyliły się złote smugi, pogasły błyski w strumieniu, rozwiały się jaskrawe, zielone koła. Dziewczyna z drwalem wciąż jeszcze w Paryżu.

— Żebyś tylko nie myślał, że to przez siekierę. Marzę o Paryżu, choć nawet nie wiem, jak Paryż wygląda. Nie znałam nikogo, kto tam był naprawdę.

Drwal zapalił papierosa i zerknął na słońce. Las pomału szarzał.

— W Paryżu nie byłem.

Dziewczyna zerwała się na równe nogi. Gniewnie ściągnęła brwi.
— Nie byłeś? Więc oszukałeś! A to, a to Paryż?...
— Nie wściekaj się — odpowiedział spokojnie. — Tatuaż zrobił mi pewien stary człowiek, który o Paryżu słyszał bardzo wiele. Patrzysz na Paryż najprawdziwszy w świecie.
Dziewczyna usiadła pod drzewem. Oparła głowę na dłoniach.
— Może to nawet i lepiej? Pojedziemy razem. Muszę zobaczyć Paryż, żeby nie wiem co... Zawieziesz mnie do Paryża.
— Zmierzch idzie, a tobie na żarty się zbiera. Do Paryża!... I dokąd jeszcze?
— Zawieziesz.
— Gdybym chciał każdą wozić do Paryża...
— Mnie inne nie obchodzą. Każdej nie będziesz woził.
— No, a ciebie muszę?
— Bo my się pobierzemy.
Drwal wgniótł papierosa w ziemię. Przestał się uśmiechać.
— Co ty mówisz?
— Będziemy szczęśliwi.
„Dobra, życzliwa dziewczyna" — pomyślał i delikatnie pogładził ją po ramieniu.
— Do Paryża bardzo daleko. I w ogóle trudna sprawa.
— Będziemy żyli długo.
— To mi się podoba. Chodź, przed tym twoim Paryżem napijemy się piwa w osadzie.
— Przed wyjazdem kupimy szafę.
Drwal spojrzał podejrzliwie.
— Spodziewasz się pieniędzy? Na piwo się znajdzie, ale na szafę? Daję słowo, pierwszy raz słyszę coś podobnego.
— Bez szafy smutno w mieszkaniu. Potem, kiedy będziemy mieli już jechać, sprzedamy meble i wszystkie graty. Wyśmieliby nas, gdybyśby do Paryża zajechali z szafą. Ja ci to później wytłumaczę.
— Cały dzień dzisiaj taki jakiś dziwny... — mruknął nakładając koszulę. Chłód już rozłaził się po lesie.
— Idziemy — powiedziała dziewczyna, gotowa do drogi.
Przeszli potok i ścieżką ruszyli pod górę. Dziewczyna szła pierwsza, uśmiechała się przez ramię.
— Co, co? — dopytywał się drwal. — Z czego się śmiejesz?
— Nic, tak sobie patrzę. Czy jesteś bardzo zmęczony?
— Znowu żarty.
Na szczycie, zanim zaczęli schodzić w dolinę, drwal chciał porozmawiać chwilę. Nawinął się omszały pień i zachęcał do odpoczynku.
— Miałaś mi coś wytłumaczyć. Mamy czas. Pogadajmy.
Dziewczyna wykręciła się zdecydowanie.
— Spóźnimy się na piwo.
— Co mi tam piwo!...
— Chodź, bo wszystko pogubimy w lesie. I Paryż, i szafę.
Poszedł za dziewczyną, w duchu przyznając jej rację.
— Wiele osób kupuje szafy — powiedział ostrożnie — i nikogo to nie dziwi.
— Musimy kupić szafę, żeby nie myśleć o niej całe życie.

— Dobrze, kupimy szafę. Koniec z kawalerskim gospodarstwem. Dosyć wieszania portek na kołku.

— A widzisz!... Już ci się podoba!

— Co widzę, to mi się podoba! Jak ci na imię?

— Nie wiesz? — Roześmiała się. — Widocznie zapomniałam ci powiedzieć, a może ty pytałeś nie w porę? Mógłbyś się sam domyślić.

— Nie składało się wcześniej. Pewnie Ewa?

— Aha.

Ubodło go, że nie zapytała ani o imię, ani o nic. Usprawiedliwienie znalazł z zadziwiającą łatwością: przecież przy formalnościach ślubnych będzie o tym mowa!

Na drodze, kiedy już było widać osadę, wzięli się za ręce. Przytuleni do siebie weszli między szałasy. Wolnym krokiem zbliżyli się do „Gospody".

— Coś się musiało stać. Może zabrakło piwa? — powiedziała dziewczyna i wykręciła się tyłem do gospody. — Wstąpimy tu jutro.

Drwal wzruszył ramionami. Dach porosły zielskiem, okna zabite na głucho, przy klamce zardzewiała kłódka. Jeżeli piwa zabrakło, to zabrakło dawno.

Wyszukali najmniej zrujnowany szałas i ułożyli się do snu, bo gwiazdy wysypywały się właśnie na niebo.

— Słuchaj — zapytał patrząc w rozmigotane światełka — czy ty naprawdę myślisz o szafie? I o Paryżu? Czy to ma sens? I po co nam to wszystko?

— Tylko w tym jest jakiś sens.

Nie pytał więcej. Dziewczyna śmieszyła go i jednocześnie trochę mu imponowała. Następnego dnia, koło południa, w doskonałych humorach opuścili szałasy. Wrócili do lasu.

W jakiś czas potem, kiedy las, powalony i pocięty, leżał w równych metrach, przenieśli się w inne strony. Zatrzymali się koło rzeki.

— Czy stąd będziemy mieli bliżej?

— Chyba bliżej. Brakuje mostu na rzece. Dam sobie radę z ciesielską robotą. Zanosi się tu na lepszy zarobek. Za most należeć się będzie więcej.

Pech zrządził, że zaraz po zaczęciu pracy spadająca belka przygniotła drwalowi rękę.

— Musimy czekać. Ze złamaną ręką lepiej nie ruszać się z miejsca. Most nie ucieknie. Skończysz robotę, jak ręka się zrośnie.

Potem zjawiły się inne kłopoty. Wprost nie było im końca.

— Coś się uparło, żeby nam przeszkadzać. Posuwamy się wolniej, niż przypuszczałam. Ale co się odwlecze, to nie uciecze — kończyła wesoło.

— Należy mi się już sporo — powtarzał drwal oglądając stylisko siekiery. — Każdy festmetr mam zanotowany. To są pieniądze.

— A most? A dwie kładki? A szosa? A wiatrak? — podpowiadała Ewa. — O jednym zapomnisz, to nie policzą ci za trzy inne prace.

Obliczywszy dokładnie należności, powspominali chwilę czas przeżyty razem i powędrowali dalej, bo deszcz ustał i niebo się wypogodziło.

Pewnego ranka drwal, nie budząc kobiety, wyszedł rozejrzeć się po okolicy, do której przybyli pod wieczór. Wrócił z twarzą wykrzywioną jakimś obcym grymasem.

— Wstawaj! — krzyknął.

Kobieta uniosła się na łokciu.

— Paryż?

— Rusz się! Jesteśmy na miejscu.

Kobieta ociągając się wstała. Z wysiłkiem wdrapała się na niewielkie wzniesienie i usiadła obok mężczyzny. Widoczność była doskonała.

— Wyobrażałam sobie zupełnie inaczej.

Drwal rozchylił okrycie na piersi.

— Spójrz... Można poznać.

Zmarszczki i blizny zniekształciły świetny niegdyś tatuaż. Zatarły się kontury, spłowiały kolorowe sceny. Żołnierze zbili się w bezładną kupę, most leżał w wodzie, dama z parasolką upodobniła się do straszydła, kolej podziemna zapadła się w ziemię, znikły karuzele, diabelski młyn i miłosne sceny.

— Zmieniło się wszystko — szepnęła Ewa. — I tu inaczej, i tam nie tak, jak było.

Kobieta splotła dłonie na kolanach i pochyliła głowę. Myśli: to prawda, że kiedyś się wszystko przypomni... Widzi las, zielone wzgórza, słyszy dzwonienie wody...

Siedzieli nie patrząc ani na siebie, ani na leżący przed nimi Paryż. Nad spopielonym miastem chwiał się wysoki słup pyłu. Z szarawej mgły wynurzały się ułomki ścian i wież jak baszty. Chłodny wiatr zakołysał nagle słupem i pchnął szarawy pył w kierunku starych ludzi, skulonych na wzniesieniu. Nikogo nie było w pobliżu. Od nikogo nie mogli oczekiwać współczucia, choć teraz tylko tego pragnęli naprawdę.

Stanisław Zieliński

Jan Śpiewak

DIALOGI NAIWNE

1

Wsłuchajmy się w milczenie i milczmy najmądrzej.
W milczeniu pieje kogut, grają bystre wiatry,
Wloką się dnie spłoszone, chmury zanurzają dłonie.
Tam lęki biją się na pięści, kamienie ostrzą wzrok.
Tam koziołkują oceany, dygocą czuby skał.
Tam ogień tworzy czernie, znikają gwiazdozbiory.
Tam ichtiozaury i mamuty, pioruny i pustynie.
Tam schrony tonów. Schrony snów. Tam usypiska myśli.

2

Ubierzmy się w piszczałki, w pisk i śmiech.
Ubierzmy się w zieloność, chłód i burze.
Ubierzmy się w grzechotki, bębny, flety.

Ubierzmy się w podróże, chmury i mgławice.
Ubierzmy się w ognie, zawieje i w zieloność.
Ubierzmy się w ryby, ptaki i zwierzęta.

Ubierzmy się w jelenie, morza, w noce.
Ubierzmy się w orkiestry, w złość, łagodność.
Ubierzmy się w trawy, pąki, w pszczoły.

Ach, jak rozrzutnie ubieramy się codziennie.

3

Zmiażdżyłem nogą kamyk.
Ogień wybuchnął. Flet jękliwie zapiszczał.

Mury poprzebierały się w lasy.
Lasy wąwóz ukryły, a wąwóz liście poruszył.
Śmignęły strzały pierzaste, dalekosiężne armaty.
Słowo wargi rozwarło. Oddechy otworzyły okna.
W studni woda plusnęła. Noce zbudziły pieśni.
Jeźdźcy nadbiegli na koniach. Jastrzębie wzbiły się w górę.
Błysnęły miecze i noże, włócznie i dzidy.

Mój Boże, czemu kamyk zmiażdżyłem?

4

Trzy po trzy i ni w pięć ni w dziewięć
W powietrze wznoszę się — dromader tłusty.
Nogi gotowe są do biegu, ręce do latania
I ciało wrzeszczy, prędzej, prędzej, oczy wiodą.
Uszy bębniści, nos — żaglisko wywrócone.
Drabina jakubowa, studnia artezyjska.
Wyrzutnia absolutna, stop, odpływam.
Gałęzie patrzą ironicznie, wróbliki przycupnęły.
Sikory, szpaki, wilgi pyskują wyczekując,
Ba, nawet liszki, mrówki grymasy stroją.
A ja uparcie wspinam się w powietrze, w obłok.
Uniosłem się o cal, mój żagiel dumnie prycha.
A płetwodłonie na kształt skrzydeł błękitnieją.
Z zadowolenia brzuch się trzęsie, klapią uszy.
Po trawie biegnie cień — koziołek przedsłoneczny.
I ziemia tocząc się spod nóg — rechoce.

5

Na każdym palcu mam po gwieździe.
Na ręku obręcze księżyców, we włosach meteory.
Poruszam wszystko w takt gałązki. Pola kołyszą się.
Ciekawe strumyki rozwarły pyszczki w zdumieniu.
Pagórki przyszły na palcach, aby nie zdeptać bławatków.
Basują morza z uciechy, sępy usiadły w pobliżu.
Zamilkły kukułki i świerszcze. Stokrotki są zawiedzione.
Za mało księżyców i meteorów. Gdzie Mars? Gdzie Wenera?
A ja żongluję oceanami, wulkanami i nizinami.
A ja żongluję pustkowiem i znieruchomieniem.
A ja poruszam barwne jaszczurki, żaby i krokodyle.
Ach, ile gracji w mych ruchach, ile ścisłej dźwięczności.

Sypią się noże jabłoni. Lato gęstnieje.

6

Znam drzewa zwierzokształtne.
Grabowe wyjce, borsucze igły świerków.
Uparte kozły twardogłowe, jastrzębie drżące.
Bawoły gnuśne, zdziczałe stada liści.
Gałęziożmije buków wiją się pokracznie.
Szczekają głodne osy, gruchają gniewne żaby.
Jaszczurcze łozy syczą, zwierają się modrzewie.
Rododendrony piszczą, kroczą gorylookie pinie.
Owadopłazie drzewa pełzną, wędrują zadzierzyste kraby.
W ich skrzelach buczą morza, pienią się bursztyny.
Trawy się wznoszą lotne, skaliste wiatry płoną.
Zwierzętoptasie pyski i racice ziemię ryją.
Wyniosłą zieleń wznoszą, bodą się rogami.
Tu kazirodztwo i bigamia, haremy pulsujących soków.
Tu cielsk wymienność, ognie wirujących kształtów,
Ale — w źrenice światła, powietrzu zaślubieni
Na drumli grają — onieśmieleni muzykanci.

7

Posłuchajmy mowy gliny i piasku.
Mowy znieruchomienia.
Domyślmy się, czym właściwie jest ta mowa,
Czym różni się ona od mowy zmienności?
Jeśli pilny badacz starożytnych pism
Przywraca światy, które dawno przestały już istnieć,
To jakaż jest mowa gliny i piasku?
Jaka jest mowa przeszłych i przyszłych pokoleń?
Jaka jest mowa wszystkiego istnienia na ziemi?
O śmieszna bezradność tępego niepoznawania!

Moje oczy są uboższe od wzroku roślin.
Moje usta są bardziej kruche od ust dżdżownicy.
Moja myśl jest węższa od cienia osy.

Posłuchajmy więc mowy gliny i piasku.
Posłuchajmy mowy ognia spalającego.
Milczmy łagodnie i skromnie.

Jan Śpiewak

Kazimierz Orłoś

DZIEWCZYNA Z ŁÓDKI

Wypływali zawsze w małej łódce. Płynęli wolno wzdłuż brzegu jeziora, na tle jasnozielonych trzcin i ciemnego lasu. Jezioro w tym miejscu skręcało, tworząc zatokę. Nad zatoką była wioska, ale nie widzieliśmy jej, bo las zasłaniał domy. Wieczorami słyszeliśmy szczekanie psów i bicie dzwonu.

Z pewnością mieszkali w tej wiosce, bo codziennie wypływali z zatoki na jezioro. Dziewczyna siedziała na dziobie, on — wiosłował i stąd wydawało się, że robi to niezdarnie. Mieli z sobą psa. Siedział z tyłu i patrzył, jak jego pan wiosłuje.

Wydawało się, że nie obchodzi ich nic poza tą powolną wędrówką wzdłuż brzegów. Nie widzieliśmy nigdy żadnego odruchu zainteresowania nami. Choć było daleko, mogli chociaż pomachać ręką.

Dziewczyna z pewnością była ładna. Miała niebieską sukienkę. Jej włosy były złote i tworzyły hełm. Słońce migotało na nim niemal tak samo, jak na wodzie. Nigdy nie widzieliśmy, żeby patrzyła w naszą stronę, chociaż robiliśmy dużo hałasu. Jak tylko widzieliśmy, że płyną, Władek nastawiał płytę, a Małpa biegł na dół myć blaszane naczynia. Brzęczał nimi i robił dużo hałasu. Głosy leciały nad wodą i musieli nas słyszeć.

Powiedz, jak mnie kochasz?
O, kocham ciebie ponad świat!

— ryczał patefon, a my biegliśmy za Małpą w dół, gdzie stał nasz jacht. Potem zwijaliśmy wszystko, na brzegu zostawały puste namioty, i wypływaliśmy na wielkie jezioro. Żagiel huczał, kiedy był wiatr, i „Jaskółka" rozbijała wielkie fale. Wrzeszczeliśmy, klęliśmy i śpiewali. Czuliśmy, że żyjemy naprawdę, że to jest to, co ludzie nazywają pełnią życia. Słońce kładło swoje wielkie ramiona na wodzie i jezioro wyglądało jak płaszczyzna pokryta złotem. Wiatr przynosił zapach lasów z brzegu, wysoko nad nami krążyły rybołowy.

Mała, czarna łódka zostawała daleko za nami. W końcu traciliśmy ją z oczu, jakby nie było jej nigdzie.

Jezioro było wielkie jak morze. Pływaliśmy, ćwiczyliśmy zwroty, skręty. Słyszeliśmy ciągle huk żagla. Potem wieczór przychodził, woda czerwieniała od zachodzącego słońca. Wracaliśmy do obozu, z daleka widzieliśmy dwa

białe namioty na wysokim brzegu, jak widma. Wodą niosło się szczekanie psów z wioski. Niebo ciemniało, gwiazdy zaczynały spadać. Jedliśmy kartofle pieczone w popiele, smażyliśmy ryby, które Małpa złapał na wędkę. Potem zaczynała się noc. Przedtem opowiadaliśmy sobie sprośne kawały, wspominaliśmy dziewczyny, z którymi chodziliśmy, znajomych... i zasypialiśmy. Rano budził nas chłód, potem wstawało słońce, woda zaczynała znowu drżeć jak srebro. Myliśmy się, wrzeszczeliśmy oblewając się zimną wodą. Biegaliśmy po polanie, pod drzewami, wokół namiotów. Dzień budził się, ptaki śpiewały jak oszalałe. Szykowaliśmy się do codziennej wyprawy na wielkie jezioro. Jedliśmy śniadanie. Potem, około dziewiątej, patrzyliśmy, jak zawsze, na małą, czarną łódkę. Podziwialiśmy złote włosy dziewczyny, w których drżało słońce.

— Musi być ładna — mówił Małpa i biegł na dół szorować blaszane naczynia.

— Ten facet wiosłuje niemrawo — mówił Władek — to jakiś cherlak, mówię wam! — Wybierał płytę ze starym szlagierem: *Powiedz, jak mnie kochasz* i nastawiał. Patefon ryczał i śmieliśmy się z hałasu, jaki robił.

Kiedyś Małpa krzyknął:

— Hej, wy z łódki, chodźcie tutaj!

Nie wiem, czy słyszeli, chyba nie, bo byli dość daleko. Zresztą kto wie? Nad wodą dobrze słychać. Władek powiedział:

— Ten facet mógłby wysiąść po drodze, zaproś tę dziewczynę. Podobają mi się jej włosy.

Piotr uśmiechnął się.

— Słowo daję, to musi być piękna dziewczyna. Z takimi włosami kobieta musi być piękna.

Tego ranka zobaczyliśmy ich, jak zawsze. Wypłynęli powoli z zatoki i posuwali się wzdłuż brzegu, w czarnej smudze cienia, jaki rzucał na wodę las.

— Ciekawe, dokąd tak płyną — powiedział Władek. — Zawsze odpływamy i nie wiemy, co oni robią na wodzie.

— Może łowią ryby? — odezwał się Piotr.

Małpa ukazał się na brzegu. Jak zawsze, mył na dole naczynia i trzymał w ręku mokry blaszany kubek.

— Panowie — powiedział — mam myśl, musimy to zrobić. Niech licho porwie mnie, jeśli tego nie zrobimy.

— O co chodzi? — spytał Władek, przekrzykując ryk patefonu.

Słowa leciały nad wodą:

O, kocham ciebie ponad świat
I wyspę Tahiti, bo tyś jest jak kwiat,
O!...

— Udamy, że chcemy ich przewrócić. Kiedy będziemy blisko, obrócimy „Jaskółkę“ i tylko zakołysze ich fala.

— To jest myśl — powiedział Piotr. — Interesują mnie bardzo włosy tej kobiety.

— Brawo, Małpa! — krzyknął Władek. — Nigdy nie przyszło mi to do głowy. To świetna myśl!

— Prędzej, panowie — powiedział Małpa — szkoda czasu. Po co ich gonić gdzieś aż po tamten brzeg! Kto wie, dokąd oni płyną!

Zwinęliśmy się szybko. W ciągu kilku minut wymyliśmy naczynia i zło-

żyliśmy posłania. Małpa zalał tlące ognisko wodą. Wypływaliśmy powoli obok trzcin pochylonych jak zboże, kiedy jest wiatr.

— To dziwna trójka — powiedział Piotr — dziewczyna, ten facet i pies. Nie mają znajomych? Zawsze są sami. Powinni śmiać się, ruszać na tej łódce, a oni tylko siedzą. Czy słyszałeś, Małpo, żeby ten facet kiedyś śpiewał?

— Nie. On w ogóle wydaje się niemrawy. To dziwne, że taka dziewczyna go chce — odrzekł Małpa.

— Co ty wiesz, czego dziewczyna może chcieć — powiedział Władek. — Może facet ma forsę?

— Może ma forsę — zgodził się Małpa.

Nabieraliśmy szybkości. Wiatr wiał od brzegu i żagiel napęczniał jak grzbiet wora. Czasem wiatr zmieniał kierunek i wtedy żagiel trzepotał jak wielkie skrzydło. „Jaskółka" pędziła przechylona, małe kropelki wody spadały nam na twarze niby deszcz. Brzeg i nasze dwa namioty zostały z tyłu. Z lewej strony widzieliśmy otwartą przestrzeń wielkiego jeziora. Lśniło w słońcu, znad brzegu ciągle leciały w tamtą stronę mewy. Z prawej strony zaczynała się zatoka. Zobaczyliśmy daleko po drugiej stronie biały dom. Przed sobą widzieliśmy ciemny pas lasu i w smudze, jaką tworzyło jego odbicie, małą, czarną łódź.

Włosy dziewczyny przypominały, jak zawsze, złoty kask. Miała tę samą niebieską sukienkę. Facet wiosłował i im bliżej byliśmy łódki, tym bardziej byliśmy pewni, że robi to źle. Wiosła uderzały nierówno o wodę i łódka posuwała się powoli.

— To musi być dobry skręt, położymy się na wodę prawie przy nich. Facet wyleci z łódki ze strachu — powiedział Małpa.

— Wtedy my złapiemy dziewczynę, a on niech tonie. Jeszcze mu dołożymy wiosłem — mówił Władek.

Roześmiali się. Żagiel łomotał o maszt, linki skrzypiały, spod dziobu ciągle leciał pył wodny i osiadał nam na twarzach.

— To musi ładnie wyglądać — powiedział Piotr. — Kiedy ktoś patrzy z brzegu, widzi biały żagiel, jak ptaka lecącego nad wodą. Jest nas czterech, jesteśmy silni, opaleni, ciała mamy jak z brązu. Powinniśmy podobać się tej dziewczynie...

— Na pewno będzie wolała nas od tego zdechlaka. Spójrzcie, jak on wiosłuje! — kpił Małpa. Stanął na dziobie „Jaskółki". Widzieliśmy jego brązowe plecy na tle ciemnego lasu na tamtym brzegu.

— Do licha, czy ci ludzie nie widzą tego nieba, lasu, tej wody jak rozpalone złoto! Zachowują się, jakby nie widzieli, słowo daję! — powiedział Władek.

— Interesują mnie włosy tej kobiety — powtórzył Piotr — nigdy nie widziałem takich włosów; pewno świecą w nocy.

Byliśmy coraz bliżej małej łódki, ale jeszcze za daleko, żeby widzieć ich dobrze.

— Czy opowiadałem wam kawał o prostytutce i starym Chińczyku? — spytał Małpa po chwili. Odwrócił się i stał tyłem do brzegu i łódki. Milczeliśmy i Małpa zaczął mówić: — Stary Chińczyk spotkał prostytutkę...

— Wygląda na to, że nas nie widzą — przerwał mu Władek.

— Albo udają, że nie widzą — powiedział Piotr — to jest denerwujące. Przecież musimy ładnie wyglądać. „Jaskółka" ma żagiel biały jak mleko.

— Zobaczą nas za chwilę — powiedział Małpa — będą musieli nas zobaczyć. Słuchajcie o tym Chińczyku: spotkał prostytutkę...

— Czekaj — powiedział Piotr — opowiesz potem, jesteśmy już za blisko, trzeba uważać.

Patrzyliśmy wszyscy na małą łódź. Była stara, słyszeliśmy skrzyp wioseł uderzających o dulki. Dziewczyna siedziała nieruchomo na dziobie, facet ciągle wiosłował. Tylko pies podniósł się i patrzył na nas.

— Ładny wilczur — powiedział Władek.

Ciągle płynęliśmy tak, jakbyśmy chcieli najechać na nich. Teraz widzieliśmy ich dobrze. Młody mężczyzna miał twarz bladą i szczupłą. Nie patrzył na nas. Kiedy uderzał wiosłami w wodę, krzywił się, jakby sprawiało mu to ból. Miał na sobie starą marynarkę, chociaż był upał. Dziewczyna była piękna.

— Co za dziewczyna! — powiedział szeptem Małpa.

Hełm złotych włosów otaczał jej twarz o rysach klasycznych. Wielkie, niebieskie oczy były jak woda i wysokie niebo.

— Jakie piękne ma oczy! — westchnął Piotr.

Skręciliśmy tuż przy małej łodzi i fala spod dziobu „Jaskółki" podrzuciła ją. Wtedy mężczyzna w szarej marynarce zwrócił się do nas twarzą. Zobaczyliśmy oczodoły — wielkie, ciemne oczodoły, które dawały jego twarzy wyraz martwy. Przelecieliśmy koło nich. Trwało to kilka sekund, ale słyszeliśmy ich rozmowę:

— Co to? — spytał, odwracając się w stronę dziewczyny. — Kto tam jest?

— Nic takiego, żaglówka — odpowiedziała dziewczyna. Nie patrzyła na nas, ani razu nie spojrzała w naszą stronę, choć byliśmy blisko, na wyciągnięcie ręki.

— Ach, tak, żaglówka — powiedział młody człowiek. Odwrócił się i zaczął wiosłować.

— Mocniej prawym — powiedziała dziewczyna — skręciliśmy trochę w lewo. Mocniej prawym.

Jeszcze chwilę łódka kołysała się, potem przestała. Pies znowu usiadł, słyszeliśmy tylko cichy skrzyp wioseł w dulkach. Płynęliśmy na otwartą przestrzeń. Żagiel huczał nad nami, woda uciekała za burtą.

— On był ślepy — powiedział Piotr. — Skąd mogliśmy wiedzieć, że on jest ślepy?

Milczeliśmy. Patrzyliśmy, jak mała łódka znika powoli na tle ciemnego lasu. Woda naokoło migotała jak srebro, niebem leciały mewy.

Małpa położył się na dziobie. Wiatr, jak ciepłe ręce, dotykał jego nagich pleców.

— Boskie życie — powiedział Małpa — boskie życie...

Piotr odwrócił się i popatrzył na niego. Powiedział:

— Mógłbyś choć przez chwilę nie być zadowolony. Do cholery, choć przez chwilę mógłbyś nie być zadowolony!

Kazimierz Orłoś

Leszek Kołakowski

POCHWAŁA NIEKONSEKWENCJI

Mówię o niekonsekwencji w jednym tylko sensie, ograniczonym do zgodności zachowania z myśleniem lub do zgodności wewnętrznej w myśleniu między zasadami ogólnymi i ich zastosowaniem. Konsekwentnym nazywam więc po prostu tego, kto dysponując pewną ilością założeń ogólnych niesprzecznych dba o to usilnie, aby we wszystkim, co czyni, i we wszystkich swoich poglądach na to, co czynić należy, pozostawać w najzupełniejszej zgodności z owymi założeniami ogólnymi. Konsekwentny jest więc ten, kto uznaje, że zabójstwo jest złem, i odmawia służby wojskowej; kto jest przekonany o wyższości monogamii nad innymi formami rodziny i nie zdradza swojej żony lub męża; konsekwentny jest policjant, który wierzy, że trzeba wypełniać rozporządzenia, i nakłada mandat na każdego przechodnia, który przechodzi ulicę poza ściśle wyznaczonym miejscem, itd.

Istnieje, rzadka w dziejach kultury, rasa wielkich talentów skrajnej prawicy społecznej, których pisma dają zawsze nieoceniony materiał do refleksji nad zasadą konsekwencji: we Francji jest to rasa Bossueta, de Maîstre'a, Maurrasa. Byli to ludzie o pewnej odwadze umysłowej, którzy nie lękali się doprowadzać swoich założeń do wyników ostatecznych i pełnym głosem wypowiadali sąd o każdej sprawie poszczególnej, gdzie przyjęte przez nich zasady mogły być zaangażowane. Joseph de Maîstre wie, jaki jest najlepszy porządek świata, przez Boga ustanowiony, wie także, co jest najcenniejsze w tym porządku i co czemu podporządkować należy. Następnie demonstruje swoją zadziwiającą konsekwencję w przystosowywaniu owych założeń ogólnych do wszystkich spraw konkretnych. Świat urządzony jest tak, że zło musi na nim istnieć; skoro zło istnieje, musi być karane; skoro tak — ktoś musi karę wykonywać i ów ktoś jest niezbędnym czynnikiem społecznego porządku, godnym z tej racji poszanowania. De Maîstre pisze tedy pochwałę kata: „Cała wielkość, moc cała i całe podporządkowanie spoczywają na kacie: jest grozą i więzią ludzkiej społeczności. Odbierzcie światu ów czynnik niepojęty i w tejże chwili porządek ustąpi chaosowi, trony się zachwieją i społeczeństwo zginie. Bóg, który jest twórcą władzy, jest także twórcą kary". Kat tedy, ponieważ zawód jego otoczony jest grozą, „jest istotą nadzwyczajną i na to, by istniał w rodzinie ludzkiej, potrzebne jest osobne zrządzenie, FIAT mocy twórczej. Jest on stworzony jak świat". Podobnie: zbrodnie duchowe są groźniejsze niż cielesne, bo dobro ducha jest

większej wagi; są też bardziej haniebne, bo obrażają majestat Boga, który przewyższa majestat ziemskich suwerenów; de Maîstre pisze tedy pochwałę inkwizycji hiszpańskiej. Podobnie: Galileusz był sam winien swojemu procesowi, bo nie wstrzymał się od pisania wbrew obietnicy, bo bronił zgodności systemu Kopernika z Biblią, bo pisał w języku ludowym, a nie po łacinie; de Maîstre pisze tedy pochwałę trybunału, który sądził Galileusza.

Wolno nam uchylić czoła przed tym świetnym przykładem konsekwencji, nie zamykającej oczu na zastosowania własnych założeń. Wolno nam również, z drugiej strony, zauważyć, że tylko dzięki niekonsekwencji ludzkość przetrwała jeszcze na ziemi. Czegóż się żąda od żołnierza idącego na wojnę? Tylko tego, by okazał konsekwencję wobec zasady słusznej obrony swojej ojczyzny. (Mówię: „obrony", bo na wojnie, jak wiadomo, istnieje tylko obrona i tylko słuszna.) Bitwy prowadzone przez żołnierzy konsekwentnych mogą się skończyć dopiero wtedy, kiedy po którejś ze stron ostatni żołnierz wyzionie ducha. Czegóż się żąda od obywatela państwa? Konsekwencji w wierności państwu lub ustrojowi. Obywatel konsekwentny będzie tedy zawsze z dumą współpracował z tajną policją, wiedząc, że jest ona koniecznym czynnikiem istnienia państwa, jego świetności i rozwoju. Dowieść, że tak właśnie jest, to rzecz najłatwiejsza na świecie, i każdy obywatel, który by się wahał w pisaniu systematycznych donosów do tajnej policji, jest z pewnością obywatelem niekonsekwentnym. Przypuśćmy, że uważamy pewną sprawę za najważniejszą na świecie, na przykład sprawę powszechnego obowiązku noszenia cylindrów we wszystkich krajach. Jakim czołem wzdragamy się tedy narzucać swoją koncepcję przy pomocy wojny, agresji, prowokacji, szantażu, skrytobójstwa, zastraszania, terroru, mordów i tortur?

Rasa chwiejnych i miękkich, rasa niekonsekwentnych, tych właśnie, którzy z łatwością jedzą na obiad kotlety, ale dla których zarżnięcie kury jest wyczynem absolutnie niewykonalnym; którzy nie chcą zachowywać się nielojalnie wobec ustaw państwowych, ale nie piszą donosów do tajnej policji; którzy udają się również na wojnę, ale w sytuacji beznadziejnej raczej idą do niewoli, niż giną na pozycji utrzymanej do końca; którzy cenią prawdomówność, ale bynajmniej nie mówią znajomemu malarzowi, że namalował kicz, lecz przeciwnie — wypowiadają niepewnym głosem pochwały, w które nie bardzo wierzą; słowem — rasa ludzi niekonsekwentnych jest nadal jednym z głównych źródeł nadziei na to, iż, być może, gatunek ludzki zdoła się jeszcze utrzymać przy życiu. Jest to bowiem ta sama rasa, z której część wierzy w Boga i w wyższość zbawienia wiecznego nad dobrem doczesnym, a jednak nie domaga się przywrócenia stosów dla heretyków; z której inna część nie wierzy w Boga i akceptuje rewolucyjne środki przemian społecznych, ale odrzuca sposoby działania, które wydają się sprzyjać takim przemianom, o ile sposoby te przeczą jawnie pewnej tradycji moralnej, w której się wychowali.

Innymi słowy, konsekwencja zupełna jest identyczna z praktycznym fanatyzmem, niekonsekwencja jest źródłem tolerancji. Ktoś przekonany niezłomnie o wyłącznej prawdziwości swoich przekonań w jakichkolwiek kwestiach, jakież ma prawo okazywać dobrowolnie tolerancję dla przekonań odmiennych? Jakich to dóbr i wartości może się spodziewać po sytuacji, w której wolno jest upowszechniać bezkarnie poglądy ponad wątpliwość fałszywe, a więc tak czy inaczej szkodliwe społecznie? W imię czego wolno mu rezygnować ze stosowania środków wiodących w jego mniemaniu do celu, który uważa za słuszny?

Można na to powiedzieć, że tolerancja wszelka jest wymuszona, że tolerowane bywa tylko to, czego nie można zniszczyć z braku środków, i że ci, którzy są tolerowani, są nimi z reguły dzięki swojej sile, która nie pozwala przeciwnikowi zniszczyć ich bez reszty. Za tą obserwacją stoi z pewnością niemało doświadczenia historycznego, wszakże nie wydaje się ona wyjaśniać wszystkiego. Gdyby bowiem sam układ sił był źródłem tolerancji, poza tym zaś fanatyczna konsekwencja panowała w umysłach antagonistów, musieliby oni permanentnie wyniszczać się do ostatecznych rezultatów. O ile to się nie dzieje, a przynajmniej nie zawsze, to tylko dzięki błogosławionym skutkom niekonsekwencji. Powiadam: niekonsekwencji, która nie musi bynajmniej wynikać ze świadomego przyjęcia zasady tolerancji, ale tylko manifestować się tak, jak gdyby w jakimś stopniu ową zasadę się przyjmowało.

Niekonsekwencja jest po prostu utajoną świadomością sprzeczności świata. Mówiąc o sprzecznościach, mam na myśli tę okoliczność, że w rozwoju dziejowym notorycznie tak się dzieje, iż rozmaite wartości są wnoszone do życia społecznego przez siły wobec siebie antagonistyczne. Przeświadczenia o absolutnej i wyłączonej przewadze jakiejś wartości, której wszystko jest podporządkowane, przeświadczenia takie, gdyby były uniwersalnie upowszechnione i praktykowane, musiałyby zamienić świat ludzki w rosnące pobojowisko — co też od czasu do czasu się dzieje. Brak konsekwencji powstrzymuje ten wynik. Niekonsekwencja, jako forma indywidualnej postawy ludzkiej, jest po prostu rezerwą niepewności, zachowaną w świadomości; permanentnym poczuciem możliwości własnego błędu, a jeśli nie własnego błędu — to możliwej racji przeciwnika. Mówimy tu przez cały czas o stosunku myślenia i zasad do działania praktycznego. Otóż wszelkie myślenie, które w działaniu praktycznym może się jakkolwiek manifestować jako czynnik sprawczy, jest afirmacją wartości. Z kolei — i jest to jedno z głównych założeń, na których sformułowaniu nam zależy — świat wartości nie jest światem logicznie dwuwartościowym, w przeciwieństwie do świata myśli teoretycznej. Innymi słowy — bywają wartości, które się wykluczają wzajemnie, nie przestając być wartościami (nie ma zaś prawd, które by się wykluczały wzajemnie, nie przestając być prawdami). Jest to prawda, której banalną oczywistość potwierdza życie codzienne na każdym kroku. Niekonsekwencja w tym znaczeniu, w jakim o niej mówimy obecnie, jest po prostu odmową raz na zawsze przesądzającego wyboru między jakimikolwiek wartościami alternatywnie się wykluczającymi. Jasne uświadomienie sobie tej sytuacji permanentnej i nieuleczalnej antynomii świata wartości jest nie czym innym, jak niekonsekwencją świadomą; na ogół bowiem niekonsekwencja bywa praktykowana, nie proklamowana. Niekonsekwencja jest próbą stałego oszukiwania bytu; ten bowiem bez przerwy usiłuje nas stawiać w sytuacjach alternatywnych między dwojgiem drzwi, z których każde są tylko wejściem, a żadne nie dopuszczają odwrotu. Raz wszedłszy, jesteśmy zmuszeni do końca, do ostatniego naboju, na śmierć i życie walczyć z tym, który wszedł drugim wejściem. Usiłujemy tedy lawirować, manewrować, stosować różne wykręty, chwyty, manipulacje podejrzane i fortele, wybiegi i wymówki, krętactwa, półprawdy, niedomówienia, ostrożności — wszystko po to, by nie dać się wepchnąć ostatecznie w któryś z otworów, prowadzących tylko w jednym kierunku. Owo oszukiwanie bytu, owe próby koncyliatorstwa nieuleczal-

nych antagonizmów, próby ominięcia fatalnych „albo-albo" między wartościami sprzecznymi — wszystko to nie jest wynikiem chwilowego nieporządku w ludzkim życiu, który z nastaniem nowej ery zostanie usunięty; jest wynikiem natury rzeczywistości ludzkiej, której antynomie towarzyszą nam bez przerwy. Możemy tych antynomii unikać przez niekonsekwencję. Możemy je przyjmować jako część losu uniwersalnie ludzkiego, by nie dopuścić do ostatecznego zaprzeczenia czegoś, co uważamy za cenne, z tej racji, że coś innego, co również jest cenne, pozostaje z tamtym w trwałym antagonizmie. Staramy się tedy opóźniać wybory ostateczne, póki nie zaskoczy nas koniec życia, który jest jedyną sytuacją, gdzie naprawdę ustaje możliwość wyboru.

Tu zaś powie ktoś: a cóż to właściwie innego, jak owa mądrość drobnorozsądkowa, którą Arystoteles wyłożył w *Etyce nikomachejskiej*? Wszakże jego idea opiera się na spostrzeżeniu, że istnieją cnoty i kontr-cnoty, a także odpowiadające im wady i kontr-wady; cnotą jest oszczędność, a wadą jest skąpstwo; ale cnotą jest również hojność, a wadą jest rozrzutność. Umiejmy tedy, pouczał nas ojciec europejskiej kultury umysłowej, pogodzić cnoty przeciwstawne, nie popadając w przeciwstawne wady: bądźmy oszczędni i hojni zarazem, ale ani skąpi, ani rozrzutni; między zuchwalstwem i tchórzostwem zachowajmy środek, który godzi harmonijnie odwagę i roztropność; między gorączkową żądzą sławy i małodusznością lękliwą utrzymajmy postawę, która łączy zdrową ambicję ze skromnością; równie dalecy od mściwości okrutnej, jak od uniżoności pokornej — bądźmy zarazem stanowczy i łagodni. Bo też prawdziwie hojny nie jest rozrzutny, ale właśnie oszczędny; prawdziwie zaś odważny nie jest zuchwały, ale właśnie roztropny. I tak dalej.

Czyżbyśmy więc doszli do tego właśnie, iż chwaląc niekonsekwencję, powtarzamy po prostu odwieczną mądrość złotego środka? Wyznajemy, że idea nasza nie rości sobie pretensji do najmniejszego nawet pokrewieństwa z teorią środka, ale jest jej dokładnym przeciwieństwem. Etyka Arystotelesa! Etyka Arystotelesa była czysto ziemska. Ale jego ziemia była płaska. Arystoteles reprezentował ideę nowej jedności świata helleńskiego. Podbił świat, ponieważ w epoce, kiedy ta idea jedności najbardziej była potrzebna, był wcieleniem geniuszu uniwersalnego koncyliatorstwa. Był nim w metafizyce, był nim w polityce, był nim również w doktrynie moralnej. Geniusz Arystotelesa jest nam obcy, ponieważ żyjemy w świecie ekstremów.

W istocie, skoro przyjrzymy się bliżej owej moralności arystotelesowskiej, dostrzegamy bez trudu, że jej nurt główny to pragnienie syntezy i wiara w to, że można między każdymi dwoma ekstremami znaleźć środek, który zachowuje z każdego z nich to, co korzystne, a to, co szkodliwe, odrzuca; że zdrowy rozum godzi w harmonijnej syntezie to, co brak umiaru przeciwstawia sobie jako przeciwieństwa. Innymi słowy, zdaniem Arystotelesa, przeciwieństwa postaw ludzkich, które wybuchają w antagonizmach społecznych, nie są przeciwieństwami świata, ale przeciwieństwami odwrotnie szkodliwych nadużyć, do których prowadzi brak rozsądku. Przeciwieństwa są tedy dziełem człowieka, który w jednym lub drugim kierunku nadużywa dóbr świata.

Wszakże pochwała niekonsekwencji, której zarys wyłożyliśmy właśnie, opiera się na zasadzie zgoła odmiennej. Zakłada ona, że przeciwieństwa wartości nie płyną z ich nadużycia, a więc nie są pozorne i przezwyciężalne przez zdrowy umiar; przeciwieństwa te są immanentne światu wartości i nie mogą zostać

pogodzone w żadnej syntezie harmonizującej. Rozumna niekonsekwencja nie czyni syntezy między ekstremami, ponieważ wie, że synteza ta nie istnieje; ponieważ wartości jako wartości wykluczają się integralnie. Rzeczywistość wartości jest niekonsekwentna, to znaczy składa się z elementów antagonistycznych, których pełne uznanie jednoczesne jest niemożliwe, a z których każdy zarazem domaga się uznania całkowitego. Nie jest to sprzeczność logiczna, ponieważ wartości nie są tezami teoretycznymi. Jest to sprzeczność świata ludzkich zachowań.

Niekonsekwencja jest tedy próbą pewnej postawy, która uświadomiła sobie te sytuacje, która tedy uznaje, że ekstremów pogodzić nie podobna, a zarazem żadnego z nich nie chce się wyrzec, ponieważ oba za wartości uznaje. Nie twierdzimy przy tym, że żadna konkretna sprzeczność dwóch wartości, które w danej sytuacji dochodzą do głosu, nigdy nie będzie mogła być przezwyciężona; teza nasza nie odnosi się do jakiejkolwiek pary sprzeczności istniejących w określonej sytuacji, ale do samej sytuacji sprzeczności jako takiej; innymi słowy wierzymy w możliwość syntezy lub przezwyciężenia sprzeczności istniejących aktualnie, ale wierzymy zarazem — zgodnie z całym doświadczeniem historycznym — że sprzeczność dana, gdy znika, to po to, by ustąpić miejsca nowej, że więc żadna synteza uniwersalna nie jest możliwa. W świecie, w którym działamy, sprzeczności są nie do pogodzenia; pogodzone, nie są już światem, w którym działamy, ale światem, który umarł i wobec którego nie musimy już zajmować stanowiska praktycznego; sprzeczności ścigają nas, o ile w świecie wartości jesteśmy czynni, to znaczy, o ile jesteśmy po prostu.

Przykład najprostszy i wzięty z codziennego doświadczenia politycznego. Uznajemy, że narody mają prawo do dysponowania własnym losem. Zawiera się w tym uznaniu afirmacja pewnej wartości. Uznajemy zarazem, że pewne ważne instytucje społeczne, które zachowały się w życiu naszego narodu, są szkodliwe dla jego rozwoju. A przy tym widzimy w sposób niewątpliwy, że naród te właśnie instytucje wysoko sobie ceni i zgoła nie ma zamiaru słuchać naszych wyjaśnień w tej sprawie. Na przykład: jesteśmy ludźmi nie tylko pozbawionymi dobrodziejstwa pociech religijnych, ale nadto przekonanymi najgłębiej, że utrzymanie wpływu instytucji religijnych na życie publiczne jest zjawiskiem szkodliwym; wszakże ten właśnie wpływ nie tylko manifestuje się w życiu społecznym, ale manifestuje się zgodnie z niewątpliwą wolą narodu. Jakże się mamy zachować? Żadnej z dwóch zasad, które w tej określonej sytuacji okazują się antagonistyczne, nie chcemy się wyrzec; nie chcemy więc ani żądać zniesienia przemocą i wbrew narodowi instytucji, które pragnie w swej ewidentnej większości utrzymać, ani też wyrzec się walki o to, by te instytucje zostały zniesione. Powie ktoś, że sytuacja ta jest banalna i bynajmniej nie wyklucza syntezy; synteza ta dokonuje się mianowicie w perspektywie historycznej, w której spodziewamy się, że naród w miarę rozwoju zostanie oświecony odpowiednio i sprzeczność aktualna przestanie istnieć; tymczasem zaś, w konsekwencji zupełnej, starajmy się oświecać odpowiednio naród, aby go skłonić do przyjęcia naszych założeń i do zniesienia w przyszłości z własnej woli instytucji, które właśnie, zdaniem naszym, hamują jego ewolucję.

Niestety, Salomonowa ta rada nie rozprasza naszych wątpliwości. Zapewne nic nam nie przeszkadza uznać, że w jakiejś perspektywie historycznej, mie-

rzonej skalą pokoleń, wola narodu tak się odmieni i świadomość jego tak się wyedukuje, że sprzeczność wspomniana przestanie istnieć. Wszakże nadzieja ta okazuje się nikłej wartości w praktycznym postępowaniu bieżącym. Przypuśćmy bowiem, że w kraju tym biorę udział w głosowaniu nad wnioskiem, który ma na celu wprowadzić — nie istniejące dotąd — nauczanie religii do szkół publicznych lub też przeciwnie — znieść nauczanie istniejące. Wtedy nie mam innego wyboru: muszę głosować albo zgodnie z tym, co uważam za wolę narodu, albo zgodnie z tym, co uważam za jego faktyczne dobro. Muszę głosować — ten przymus narzuciła mi sytuacja ode mnie niezależna. Nie mogę pozostawać w konsekwencji wobec obu swoich zasad zarazem; ale żadnej nie chcę porzucić. Przykład nie jest ani wyspekulowany, ani odosobniony: iluż to członków różnych parlamentów głosuje za wnioskami ze skrytą nadzieją, że przeciwne głosy przeważą ich stanowisko?

Przykład antynomii wewnętrznej zasady tolerancji jest odwieczny i odwiecznie nierozstrzygalny: jak głosić i uprawiać tolerancję wobec poglądów i ruchów nietolerancyjnych? Działamy wbrew zasadzie tolerancji, o ile poglądy takie i ruchy zmuszamy siłą do milczenia; działamy wbrew zasadzie tolerancji, o ile je tolerujemy, ponieważ przez to samo umożliwiamy im opanowanie sytuacji i zniszczenie zasady tolerancji w praktyce życia społecznego. I marną jest pociechą w takich okolicznościach nadzieja, że sprzeczność ta rozwiąże się w perspektywie historycznej już to w ten sposób, że wyrżnąwszy wszystkich wrogów tolerancji będziemy mogli następnie stosować tolerancję nieograniczoną, już to w ten, że ruchy nietolerancyjne z biegiem czasu nietolerancję swoją porzucą. W praktycznych decyzjach codziennych i w codziennym naszym udziale w życiu społecznym perspektywy takie minimalnie mogą nam ułatwić rozstrzygnięcia.

Przykłady nasze nie są fikcyjne. Życie nasze obraca się w więzach sprzecznych lojalności, między którymi musimy wybierać praktycznie w sytuacjach konkretnych, łamiąc jedną lojalność na rzecz drugiej, a zarazem tej pierwszej nie kwestionując; lojalność wobec jednostek ludzkich, wobec własnego poglądu na świat, wobec zbiorowości ludzkich przypadkowych i wobec zbiorowości, w których znaleźliśmy się dobrowolnie, wobec narodów, wobec partii, wobec ustrojów i wobec przyjaciół, wobec siebie i wobec swoich bliskich, wobec własnej natury i wobec własnych przekonań, wobec teraźniejszości i wobec przyszłości, wobec rzeczy konkretnych i rzeczy uniwersalnych — ile lojalności uznanych, tyle sprzeczności nie do przezwyciężenia. Między chronicznymi konfliktami rzadko tylko udaje się synteza autentyczna; najczęściej tylko syntezy pozorne i oszukańcze, którymi łudzimy się po to, aby udawać konsekwentnych, ponieważ jedną z wartości, które wpajano nam od dzieciństwa, jest konsekwencja. Propozycja nasza, zmierzając do uprzytomnienia sobie, iż praktykowanie w tych warunkach konsekwencji jest fikcją ideologiczną, zmierza tedy zarazem do usunięcia jednego przynajmniej rodzaju konfliktów: konfliktów wynikających z uznania konsekwencji za wartość. Staramy się tedy, proklamując sprzeczność świata, zmniejszyć ją przynajmniej w jednym punkcie: ponieważ sprzeczności te mnożą się, jak widać, przez to, że są zapoznawane. Innymi słowy, pochwała niekonsekwencji jest zarazem odmową uznania pewnej wartości: wartości życia konsekwentnego. Sprzeczność między wartością życia konsekwentnego a wartością życia elementarnie rozsądnego należy do tych sprzeczności, które, być

może, dadzą się jednostronnie usunąć, tj. usunąć nie przez syntezę, lecz przez odmowę jednej ze stron sprzeczności.

I od razu powstaje pytanie: czy istotnie uda nam się proklamować zasadę niekonsekwencji w sposób doskonały, to znaczy właśnie konsekwentnie? Czy nie istnieje zakres zdarzeń życia ludzkiego, wobec których będziemy postulowali konsekwencję całkowitą, popadając przez to samo w kolejną sprzeczność z własną odmową? I na to właśnie pytanie musimy odpowiedzieć pozytywnie. Zakres takich zdarzeń istnieje. Zdarzenia takie nazywamy mianowicie sytuacjami elementarnymi.

Sytuacje elementarne to te, gdzie zamiera taktyka, tj. takie sytuacje ludzkie, do których nasz stosunek moralny pozostaje niezmieniony bez względu na okoliczności, w jakich te sytuacje dochodzą do skutku. Jeśli człowiek umiera z głodu, a mogę mu dać jeść, wówczas nie ma żadnego zbiegu okoliczności, w których byłoby rzeczą słuszną powiedzieć: „taktycznie jednak lepiej pozwolić mu umrzeć"; lub, jeśli nie mogę mu pomóc, powiedzieć: „taktycznie lepiej przemilczeć sprawę jego śmierci głodowej". Elementarnymi sytuacjami są ewidentne agresje wojenne, ludobójstwo, tortury, znęcanie się nad bezbronnymi... W elementarnych sytuacjach wartości niekonsekwencji przestają odgrywać rolę. Tutaj spotykamy nagle świat dwuwartościowy. W ten sposób nasza pochwała niekonsekwencji jest też niekonsekwentna; wartość niekonsekwencji ma pewne granice, w których jest ważna — a są to granice, w których rzeczywistość jest sprzeczna — tymczasem jest ona sprzeczna do pewnego stopnia (mówimy cały czas o rzeczywistości wartości, nie zaś o rzeczywistości, która jest przedmiotem myślenia teoretycznego). Bo też, zważmy uważnie, być konsekwentnym w niekonsekwencji, znaczy to zaprzeć się czynem (praktykowaniem pewnej konsekwencji) czegoś, czego afirmacja (tj. afirmacja niekonsekwencji) jest treścią owego czynu, a więc popaść w sytuację niemożliwą, w antynomię. Bądźmy tedy niekonsekwentni również w samej niekonsekwencji — albo, innymi słowy, stosujmy zasadę niekonsekwencji do niej samej. Ale — zarzuci nam ktoś — wtedy właśnie dopiero praktykujemy niekonsekwencję w postaci skrajnej, wtedy dopiero osiągamy konsekwencję zupełną w praktykowaniu niekonsekwencji — gdybyśmy bowiem byli niekonsekwentni zawsze, ale sama nasza niekonsekwencja byłaby zupełnie konsekwentna, to przez to samo nie zawsze bylibyśmy niekonsekwentni; skoro zaś ograniczamy niekonsekwencję, tj. skoro nie zawsze jesteśmy niekonsekwentni, wtedy dopiero stajemy się absolutnie niekonsekwentni. Innymi słowy — doszliśmy do najbardziej klasycznej antynomii klas: niekonsekwencja konsekwentna nie jest konsekwentną niekonsekwencją (bo samą niekonsekwencję wyłącza z zasady niekonsekwencji); niekonsekwencja niekonsekwentna natomiast jest właśnie konsekwentną niekonsekwencją. O tyle więc proponujemy zachować zasadę konsekwencji jako wartość: mianowicie praktykując zasadę niekonsekwencji w sposób niekonsekwentny. O tyle również doprowadzamy naszą pochwałę niekonsekwencji do postaci doskonałej — protestując przeciw temu, by niekonsekwencję w postaci doskonałej praktykować.

Tyle pochwały niekonsekwencji. Reszty powiedzieć się nie da. Resztę trzeba zrobić.

Leszek Kołakowski

Jan Prokop

WOKÓŁ PRZYBOSIA
(MARGINALIA INTERPRETACYJNE)

Frazeologia danego języka jest czymś *grosso modo* usystematyzowanym. Odstępstwo od niej uznawane jest za mniej lub bardziej rażący błąd językowy (nie mówimy „do widzenia z panem", ale „do widzenia panu", chyba że modulujemy znaczenie: „do następnego widzenia się z panem upłynie dwa dni"). Poezja tradycyjna, ta, na której tle odbieramy poezję Awangardy (od Asnyka do Staffa), raczej unikała ekstrawagancji mogących naruszyć istniejący system językowy. Nowatorstwo Młodej Polski przejawiło się raczej w słownictwie (archaizmy). „Błędów" składniowych, tak częstych u romantyków i Norwida, w tej epoce niewiele znajdziemy.

Z programowym łamaniem systemu językowego wystąpili (nie u nas) futuryści. Futurystom szło o obalenie istniejących norm, natomiast nie proponowali celowego wyzyskiwania istniejącego „tła" językowego dla racjonalnej konstrukcji specjalnego systemu — języka poetyckiego. W dziedzinie składni atak szedł w kierunku osłabienia ustalonych więzi między słowami i grupami słów (futurystyczne słowa na wolności, surrealistyczna *écriture automatique).* Było to zresztą nie tyle łamanie składni, ile jej omijanie. U nas ani słowa na wolności, ani *écriture automatique* nie znalazły szerszego zastosowania. Wystąpiła natomiast tendencja do elipsy, przy czym zdanie o składni w zasadzie poprawnej ujawniane było we fragmentach (np. Czuchnowski). Jeszcze owocniejsze poetycko okazało się przełamywanie składni międzywyrazowej (frazeologii). Tym ostatnim wypadnie się tutaj zająć szerzej.

Jak wiadomo, możliwość wchodzenia wyrazów we wzajemne związki nie jest nieograniczona. Dyspozycyjność syntaktyczna zależna jest w dużej mierze od ich odcienia znaczeniowego. Znaczenie wyrazu zakreśla w zasadzie wachlarz możliwych połączeń. Możemy kojarzyć wszystko z wszystkim tylko w razie rezygnacji z jakichkolwiek ram syntaktycznych i — co się z tym częściowo wiąże — w razie rezygnacji z nadawania wypowiedzi jakiegokolwiek sensu. Słowa na wolności nie są „błędem" językowym — są po prostu poza jurysdykcją jakichkolwiek norm systemu językowego. Bardzo często przechodzą one w dźwięki onomatopeiczne rezygnując z „normalnych" wyrazów „znaczących". Na tle normalnego systemu językowego rozpatrujemy je tylko dlatego, że przywykliśmy traktować wszelką wypowiedź jako wypowiedź językową — one zaś są *sensu stricto* bełkotem (nie przesądzam tu, czy bełkot nie może dawać pewnych efek-

tów artystycznych). Na gruncie systemu językowego mamy zawsze do czynienia z ograniczeniami w połączeniach: możemy przeciw komuś występować, wypowiadać się, natomiast zdanie Gombrowicza „wuj jadł przeciw służbie" jest (artystycznie wyzyskanym) naruszeniem normy językowej. Łamie się tu równocześnie *usus* syntaktyczny i znaczeniowy, bowiem „jadł" poszerza gwałtownie swoje znaczenie (nie tylko czynność spożywania pokarmu, ale także gest o walorze emocjonalnym). Podobnie dzieje się w zdaniu „pustkowie rozpłakało się w brzozę" (Przyboś), chociaż możemy rozpłakać się w głos („w głos" jako okolicznik sposobu, nie dopełnienie). Wyrażenie odbieramy częściowo jako transpozycję z podmiotu na przedmiot określenia: „płacząca brzoza".

Szmer podków mdlał w sine gwiazd stado.

(Czuchnowski)

Jak wiadomo, mdleje się bez dopełnienia, można najwyżej zemdleć nagle, wczoraj, w niedzielę, rano etc. (okoliczniki). Szokujące użycie dopełnienia, „mdlał w stado gwiazd", daje zdanie sensowne, o ile założymy, że podtekstem znaczeniowym orzeczenia jest „zmieniał się", „przechodził w..." (mdlejąc przechodził). Dopiero wtedy zamierzona synestezja dochodzi do skutku. Obraz akustyczny ewoluuje w obraz wizualny.

Woń fiołka dojrzewa do smaku... poziomki.

(Przyboś: *Sprawozdanie z dniówki)*

„Dojrzewać" mimo przedrostka „do" nie jest analogiczne do „dobiec", „dochodzić", w zasadzie występuje bez dopełnienia (poza utartym „dojrzeć do zerwania"), w jego znaczeniu *implicite* kryje się dopełnienie (osiągnąć stan dojrzałości). „Dojrzewa do smaku poziomki", wyzyskując formację słowotwórczą (przedrostek „do"), moduluje to znaczenie na wzór „dochodzić do czegoś". „Dojrzewać" oznacza tu częściowo przechodzenie w jakiś inny stan, który dopiero zostanie określony w dopełnieniu — „do smaku poziomki" (poprzednio dopełnienie było zawarte w czasowniku *implicite*, „dojrzewać" oznaczało samo przez się „osiągać stan dojrzałości").

...świat się... krzewił do nieprzebytej głuszy.

(Przyboś: *Drzewiej)*

Zwykle spotykamy „krzewić się bujnie". Proces modulacji znaczenia jest tu taki, jak w poprzednim przykładzie (dopełnienie *implicite* na dopełnienie *explicite).*

Powietrze pod mym tchnieniem nie wzruszyło się w ptaka.

(Przyboś: *Nike)*

Można wzruszyć się czyimiś łzami. Użycie jak wyżej możliwe jest tylko przy narzuconym podtekście znaczeniowym — „przemienić się w..." Nie bez znaczenia jest tu etymologia słowa „wzruszyć" — poruszyć, wzburzyć — jak w momencie przemian, w momencie powstawania czegoś nowego.

Ten dzień minął z rozwianych dłoni.

(Czuchnowski)

„Minął" z podtekstem „uciekł z...".

Z nabitej sali, symfonią spadającej ku bramie jak pocisk,
szamocę się bulwarami oskrzydlony przez muzykę.

(Przyboś: *Cztery strony*)

Zdanie staje się sensowne przy założeniu dodatkowego podtekstu do „szamocę się" — „wychodzę z sali i szamocąc się idę bulwarami" — znów silne poszerzenie znaczenia „szamocę się". (Można szamotać się z „kimś", ale nie z „czymś".)

Radio zwiera tamtą przestrzeń w dynamit.

(Przyboś: *Na granicy*)

— tzn. zwiera, ścieśnia (jak „zwierać szeregi") i przemienia w dynamit.

Starą prawdę zamilcza na ucho.

(Przyboś: *Powrót na wieś*)

Na tle zwrotu „powiedzieć na ucho" czasownik „zamilczać" nabiera wprost przeciwnego sensu (oksymoroniczne „mówić milczeniem").

Wzniósł szablę rozkazując swoją śmierć.

(Przyboś: *Cztery strony*)

„Rozkazywać" wywołuje zwykle dopełnienie wyrażone bezokolicznikiem lub zdaniem dopełnieniowym. Tu wyrażenie odbieramy na tle zwrotu „wyzywać coś" (śmierć).

...samotniej o dziesięć lat ubiegłych dzierżę swą śmierć jak karabin.

(Przyboś: *Parada śmierci*)

W podtekście: „uboższy o dziesięć lat, co pogłębiło moją samotność". W „samotniej" przez stopień wyższy i „rozmiar" (o dziesięć lat) wniesiony został nie zaznaczający się przedtem charakter ilościowy (jak np. w „dalej o 5 km, dłużej o dwa tygodnie"). W pewnym stopniu można by mówić o transpozycji okolicznika *implicite* na okolicznik *explicite*, tak jak wyżej mieliśmy wypadek transpozycji dopełnienia („dojrzewać").

Osika przejrzysta powietrzem, odległością.

(Przyboś: *Cztery strony*)

Mamy tu wzbogacenie znaczenia o elementy jakościowe. Zwykle mówimy „pachnący bzem", „błyszczący niezwykłym blaskiem" etc. „Przejrzysty" występował zazwyczaj bez uzupełnienia, tu wydobyto możliwość istnienia w nim całej gamy odcieni. Jego znaczenie „absolutne" zostało w pewnym sensie zrelatywi-

zowane. Można by tu, analogicznie jak w przykładzie poprzednim, mówić o transpozycji dopełnienia *implicite* (jakieś „przejrzysty przejrzystością", zawarte w znaczeniu tego przymiotnika) na dopełnienie *explicite*. Człon wyróżniający został wydobyty, ujawniony w naszej świadomości i wyodrębniony.

W omawianych przykładach równolegle z przesunięciem syntaktycznym (niezwykły kontekst syntaktyczny) występuje modulacja i poszerzenie znaczenia. Dochodzi do syntezy dawnego i nowego znaczenia — syntezy poprzez napięcie obu biegunów. W rezultacie mamy dużą zwartość a zarazem dynamikę słowa: zamiast „Powietrze wzruszone moim tchnieniem przemieniło się w ptaka" — skoncentrowane i dzięki temu ujawniające nowe wartości: „wzruszyło się w...". Przy tym oba znaczenia są niejako w walce — z jednej strony struktura syntaktyczna sugeruje znaczenie „przemieniło się", natomiast „wzruszyło się" jest w wyraźnej opozycji do narzuconej struktury syntaktycznej. Oba znaczenia poprzez wzajemne skontrastowanie się „w jedności" wyostrzają się i aktualizują o wiele silniej — niezwykłość wyrażenia sprawia, że odbieramy syntezę bez porównania ostrzej niż „poprawne" i rozwodnione: „wzruszone przemieniło się". (Zresztą synteza wzmaga tu „irracjonalną" oczywistość obrazu poetyckiego, który jest nam narzucony bez „ułatwień". Różnica między obu wyrażeniami jest taka, jak między metaforą a porównaniem.) Wzbogacenie znaczenia jest w pewnym sensie „wymuszone" strukturą syntaktyczną. Jest to częsta u ekspresjonistów elipsa — wyeliminowanie tzw. „waty", jednego z członów o mniejszej ważności (można by go określić, używając terminologii Rozwadowskiego, jako człon utożsamiający), pozostaje natomiast wnoszący nową wartość człon wyróżniający. Rolę wyeliminowanego członu pełni struktura syntaktyczna. „Woń fiołka dojrzała (d o c h o d z ą c) do smaku poziomki." — Eliminacji ulegają przede wszystkim człony, których zadaniem jest wskazywać na przemiany, na dynamiczny rozwój. „Powietrze wzruszyło się (p r z e m i e n i a j ą c s i ę) w ptaka." W ten sposób cecha dynamiczności staje się niejako immanentną cechą świata poetyckiego, czymś „wrodzonym", a nie wnoszonym z zewnątrz. Słowa normalnie pozbawione podtekstu znaczeniowego przemieniania się zaczynają oznaczać także pewne przemiany, nabierają odcienia dynamicznego („wzruszać się w...", „dojrzewać do...", „mdleć w...", „krzewić się do..."). Wyraża się w tym do pewnego stopnia „dynamiczne" widzenie świata poezji owego okresu.

Oto jeszcze przykład, jak struktura syntaktyczna narzuca nowe znaczenie, skontrastowane z normalnym, co tworzy specyficzne, biegunowe napięcie semantyczne wyrazu: „Van Gogh... przywrócił mi wzrok nad światem" (wzrok — władza, panowanie).

Oczywiście zmianę czy wzbogacenie znaczenia słów znajdziemy w każdej dobrej poezji, nie tylko awangardowej, jednak struktura syntaktyczna przyjęta jako obowiązująca w danym języku (np. język uroczysty) nie bywa łamana.

Pewne analogie możemy znaleźć w żywej mowie potocznej, gdzie dążąc do szczególnej obrazowości poszerzamy bardzo swobodnie znaczenie słów, np.: „Przylepił mu w pysk", i swobodnie dysponujemy formułami syntaktycznymi (zwykle można przylepić coś do czegoś, ewentualnie przylepić komuś coś do czegoś). Oczywiście w przykładach powyższych nie idzie o naśladowanie języka potocznego, ale o analogię postawy twórczej, przekształcającej zastane normy w imię własnych celów. W języku potocznym mamy wierność własnym reak-

cjom na zjawiska, dążenie do pełnej ekspresji własnych odczuć, które — dlatego, że są „żywo", indywidualnie przeżywane — nie zadowalają się przyjętymi powszechnie, a zatem odindywidualizowanymi środkami wyrazu. W języku poetyckim zaś — idzie także o indywidualną realizację własnej, niepowtarzalnej wizji artystycznej.

Dla współczesnej poezji *usus* syntaktyczny przestał być czymś nietykalnym. Kosztem popełnienia „błędu" osiąga się większą wyrazistość znaczeniową, większe skoncentrowanie i zdynamizowanie obrazu poetyckiego. Przy dość swobodnym kształtowaniu międzywyrazowych zależności syntaktycznych nie ma mowy jednak o absolutnej swobodzie. „Woń dojrzała do smaku poziomki" można by wyrazić w nieco zmodyfikowanej wersji: „dojrzała w smak poziomki", byłoby to jednak ze stratą artystyczną (niepożądane skojarzenia z wyrażeniem „nie w smak"). Podobnie zamiast „wzruszyć się w ptaka" — „wzruszyć się do ptaka" byłoby w danym kontekście nonsensem, gdyż nie wskazywałoby na kierunek wzbogacenia znaczenia o element przemiany w coś („wzruszyć się do ptaka" mogłoby znaczyć „przemawiać ze wzruszeniem do ptaka", co w danym kontekście byłoby nonsensem). Przełamanie normy składniowej jest tylko wtedy poetycko owocne, gdy schemat składniowy o pewnych asocjacjach semantycznych zastosowany jest do wyrazu, którego „normalne" znaczenie, wspólnie ze znaczeniem narzuconym przez dany schemat, tworzy celowy obraz poetycki. Innymi słowy łamiąc normę równolegle musimy ją zręcznie wykorzystywać, nigdy lekceważyć.

Kończę dydaktycznym morałem: Awangarda (i Przyboś) wyciągnęła daleko idące konsekwencje z przyznanego już przez romantyzm prawa poety do nieliczenia się ze zwyczajem językowym w imię osiągnięcia większej ekspresywności.

„NIEDOKONANY CZAS MOJEGO WIERSZA..."

Świat poetycki Przybosia ukazany jest *in statu nascendi*. Rzeczywistość poetycka staje się na naszych oczach. Silnie podkreślony jest proces dokonywania się, wypełniania. Często zakończenie tego procesu — osiągnięcie wyrównania, wyzwolenie napięcia — stanowi swoistą pointę wiersza. Zwykle dynamika obrazu zaznacza się używaniem czasu przyszłego (niekiedy na przemian z czasem przeszłym, co wzmaga efekt) lub czasu teraźniejszego (również w kontraście z czasem przeszłym). Np. *Światła na stacji, Dachy, Wrażenie, Gwiazda, Wiosna 44, Na Wawel, Jadłospis, Z błyskawic, Bez.*

Ale przeżycie stawania się, przeżycie czasu odczuwamy nie tylko poprzez odbywający się na naszych oczach ruch. Chwilowy bezruch uświadamia nam upływanie czasu jeszcze silniej *(Chwila, Zmęczenie, Po orce).*

Często bezruch jest tylko świadectwem dynamiki świata, jest przyczajeniem się do skoku *(Z morza na horyzont)* czy nagłym wstrzymaniem — jak zahamowany gwałtownie, jeszcze drżący od pędu, samochód (*Gmachy).*

W wierszach, których zasadą jest ruch, występują dynamizujące przyhamowania. Wyraźnie dramatyczną rolę pełni tu „zawieszające" akcję „aż", poprzedzone czasownikiem w czasie teraźniejszym a z następującym czasem przysz-

łym: „Maszynista... ręce... nasuwa na tłok, czynny, aż wysnuje z nocy sygnał: światło...” „Aż” jest eksponowane na początku wersu *(Światła na stacji)*. Albo:

> ...przystanąłem na zakręcie słowa.
> Czekam, aż się wzruszenie jak drzewo na tym stoku przyjmie,
> aż wypełni rzeczywistość wezbraną —
>
> Aż obarczony węglarz, za mnie zrzucając wór,
> pochylił się,
> wyprostował,
> odsapnął.
>
> *(Ciężar poematu)*

albo:

> Chyba chmura wędrująca tak wyniosła z morza na horyzont
> ten ląd jak wstrzymaną burzę.
> Czekam aż dwie fale w jednym grzmocie go zbliżą.
> ...wyspę pod stopy wezmę, rękami powtórzę,
> świat rozstrzygnę na nowo...
>
> *(Z morza na horyzont)*

Podobnie dramatyzującą funkcję pełni „czekam“:

> w wigilię drugiego wystrzału
> czekam:
> tłumię poemat
>
> *(Wiosna 1937)*

> Czekam na gest, co rozstrzygnie jak wybuch,
> liczę...
>
> *(Łuk)*

Takimi dramatyzującymi zawieszeniami mogą być też: „widać” *(Chaty)*, „słyszę” *(Echo, W głąb)*, podkreślające moment napięcia przed rozładowaniem. Są one wyraźną interwencją poety w świat przedstawiony — świadczą, że w jego ręku skupia się władza „motoryczna” i... kreatorska (o czym osobno).

O dynamizmie, dramatycznym napięciu w świecie poetyckim Przybosia świadczy także upodobanie do obrazów zahamowanej, sprężonej przed wybuchem energii, jak „obszar wzbierający do wybuchu” etc. (o czym dalej z okazji „kompleksu Atlasa”).

KOMPLEKS ATLASA i BEHAWIORYZM

Dość charakterystyczny dla Przybosia jest motyw dźwigania, unoszenia na swym karku „nadludzkich” ciężarów, czemu jednak poeta umie sprostać. Stanowi to zresztą część szerszego kompleksu ruchów, jaki spotykamy w jego wierszach, gdzie przeżycia pokazywane są w zewnętrznych objawach (gesty,

dokonywanie takich czy innych czynności). Dominowanie zewnętrzności jest zresztą wynikiem świadomej troski o męskie opanowanie wzruszenia, wynikiem rezygnacji z „wylewania uczuć". Emocja przetłumaczona została na bardziej powściągliwy język zewnętrznych opisów *(Ciężar poematu* — obraz węglarza zrzucającego wór, *Znak* — obraz wstrzymywania stoczonej ziemi, „Ziemię... podrzucę" z *Nalotu nocnego).* Przyboś lubi podawać fizjologiczne współczynniki przeżyć: „biciem serca, cios za ciosem uderzałem w..." *(Nike),* „muszę z rozpaczy nienawistnej drżeć" *(Odjazd z wakacji),* zamiast opisu uczucia mamy ekwiwalent obrazowy: „wyłamała się z rozmachem z mojej klatki piersiowej" *(Nike),* „ściskam drobny swój rękopis silniej", „sprawdzam szeptem wyraz ostatni" *(Na polach wielkich),* wiersz *Po orce,* „niech zważy mnie w odlocie z urwiska orzeł..." w wierszu *Gwiazda.*

Charakterystyczna jest w tej liryce „zewnętrznych czynności", „zewnętrznego zachowania się" wspomniana już „wola mocy", wyrażająca się upodobaniem w motywie „dźwigania". Władza poety-demiurga nad światem ujmowana jest obrazem fizycznej, nie duchowej siły. Skłonność opanowywania żywiołu (czy to będzie amorficzne wzruszenie, czy świat zewnętrzny) przełożona jest na język konkretnych gestów:

wyspę pod stopy wezmę, rękami powtórzę,
świat rozstrzygnę na nowo,
od razu:
udźwignąć, udźwignąć tę linię zastygającą a lotną
gór,
by stały się wyciągnięciem ramion nad głową!

(Z morza na horyzont)

Brzmi to niemal jak *Wielka improwizacja,* nawiązanie do Konrada jest oczywiste i zrozumiałe — Przybosiowi bliskie jest plastyczne, dotykalne widzenie świata, charakterystyczne dla Mickiewicza:

...słowa spajałem w mur.

Każdy wyraz ogromniał, gromnik wyższy nad dach.
Zacisnąwszy zęby tak silnie, by mur pulsował
i tętnił,
wznosiłem, słowo po słowie,
coraz wyżej
gmach
i lot po powietrzu wież.

(List do młodego poety w Warszawie)

i jeszcze:

Za wszystkich w tym nalocie zabitych
żywy spod pocisków podnoszę się drżąc
z mocy.

Ziemię wplątaną w czterdzieści ekliptyk
w jednym wybuchu
podrzucę,
oburącz chwytam czas mojego życia
cały, stężony w chwilę! —

(Nalot nocny)

i jeszcze:

jak udźwignę poemat
ja który zamiast skrzydeł mam tylko powieki.

(Grudka za grudką...)

Kult wysiłku fizycznego, kult siły ujarzmiającej żywioł przejawia się również w nawracaniu nieraz wyrażeń o wspólnym mianowniku: sprężenie żywiołowej energii do granic eksplozji. Np.: „Kamienuję tę przestrzeń niewybuchły huk skał" (oksymoron), „Widać: pionowo cichnie huk niewybuchłych chałup: dym i z urwisk strzela bór", „czas stężony w chwilę", „ląd jak wstrzymana burza", „Wawel stoi na huku armat", „on (lud) nabity męczarnią akumulator", „napięci w prąd radosnej energii", „dzierżę swą śmierć jak nabity karabin w dłoni", „stół pod moim piórem wezbrany do samych krawędzi przebiera swą miarę jak czołg, gdy ma ruszyć do ataku", „eksploduje wojenna zorza", „obszar wzbierający do wybuchu", „radio zwiera tamtą przestrzeń w dynamit", „Znad doliny z gór bijącej jak lufa armatnia...", „płacz mężczyzn i ich jak nabój milczenie", „Ze stu tysięcy armat salwą wschodu wystrzeli i u szczytu nieba wybuchnie słońce zwycięskie", „mściwość stężeje w skrót gniewu: w bagnet".

Ogólnie można stwierdzić, że nawet rzeczom z natury raczej statycznym, „niedynamicznym" (chałupy, zorza, stół, dolina, obszar, milczenie, przestrzeń, ląd) przypisuje się potencjalną („wzbierający do wybuchu", „jak nabój", „jak wstrzymana burza" etc.) lub aktualną („eksploduje", „bijąca jak lufa armatnia", „strzela bór" etc.) eksplozywną dynamikę. Wynika to z ogólnej koncepcji dynamiczności świata (której wyrazem jest nie tylko aktualny ruch, ale i jego chwilowe wstrzymanie, jego potencjalne narastanie). Problem ten był poruszony osobno.

*

Behawioryczność, rezygnacja z „wylewności" introspekcyjnej zaznacza się także dość wyraźnie dzięki przesunięciom tematycznym. Przyboś wprowadza do liryki wzruszenia nieskonwencjonalizowane, pozbawione aury sentymentalnej, wzruszenia lekceważone i pomijane w tradycyjnej poezji jako niegodne dzieła sztuki albo też wzruszenia w pewnym sensie odhumanizowane, nie dające się sprowadzić do wyraźnie określonych w naszej świadomości uczuć, jak wesołość, smutek, tęsknota etc. Przybosia porywa immanentna dynamika emocjonalna tematu przedstawionego, np. wiersz *Cieśle,* gdzie tzw. „myślą" utworu jest

powstawanie z obrazu dwu piłujących w wytężeniu cieśli obrazu kuli syntetyzującej w sobie zawartość emocjonalną i plastyczną wiersza (niewątpliwy jest tu wpływ widzenia świata przez malarstwo kubistyczne):

Zbiegły się, zbiegły:
pęknięcia cięć, krzywizny,
zagięcia lin, blizny,
rozdarte łuki, starte znaki,
    zygzaki, cięciwy,
    złamane, sfalowane
        krzywe —
Napina je u szczytu w proste kropla słońca,
jak ogromna, pionowa, chybliwa libella.

Spiętrza się, wzdyma od nowa,
zaklęte wnętrze roztula
ślepa potworna budowa:
KULA.

(Cieśle)

Podobnie w *Oknach* mamy „wzruszenie" — jeśli to tak można nazwać — wywołujących nas na dwór okien („wygwizduje wilga nas zapadłych w izbie po głowy"). Tak samo w wielu wierszach, których tematem jest ruch współczesnego miasta *(Dachy, Wrażenie)* czy „połykanie przestrzeni" *(Gwiazda)*, gdzie przeżycie pędu pociągu każe nam myśleć o Mickiewiczowskich jeźdźcach *(Farys, Sonety krymskie)*. Zwraca także uwagę wyzyskiwanie tzw. „wrażeń organicznych" (przeżycie pędu, zmęczenie, wrażenie unoszenia się w powietrzu — *Po orce, Zmęczenie, Gwiazda)* — są to wyraźnie „biologicznie uwarunkowane" samopoczucia raczej niż wykrystalizowane świadome uczucia.

Charakterystyczne jest także (co zresztą zaznaczono wyżej) zastępowanie wyznania opisem zewnętrznym lub relacją własnych gestów, czynności czy wrażeń „obiektywnych", np.: „uniósłszy ten krajobraz oprawiony w me ramiony zawieszę ci go na wietrze by ożył", albo:

tam wracam,
gdzie cię zobaczyłem: nad słońcem.
Zatrzymała cię na niebie praca.

O zachodzie w blasku,
z motyką podniesioną w ręku,
widzisz mnie tak jasno,
tak dalece jasno, że dalej
jakby słońce nie zapadło prostopadle,
lecz dotknąwszy widnokręgu
przewróciło się na nizinę płasko.

(Na przełęczy)

Nawet wyraźnie nazwane uczucie kojarzy się nierozłącznie z gestem: „Ach, aż ranny od radości — nad śnieżyczką się c h y l ę...". Zawsze mamy dokładnie

podaną „topografię" zachowania się podmiotu lirycznego („stoję", „patrzę". „widzę", „słucham", „idę, jakbym pomnik odsłaniał", „szedłem, jakbym rozstrzygał", „zwinąłem cień góry", „dotykam szczytu jak dna", „pode mną świeci lodowiec", „czekam", „nachylam się wiernie i odwalam znad ciebie jak najcięższą bryłę milczenie", „dzierżę swą śmierć jak karabin", „kładłem palce na cynglu jak na przysiędze", „aby przypomnieć tę dolinę stulam lekko obie dłonie i chwytam w nie płomyk"). Zachowanie się zewnętrzne zaczyna wybijać się na pierwszy plan, wzruszenie nie promieniuje bezpośrednio w rozproszeniu — załamywane jest w skupiającej soczewce naszych gestów, których opis traci charakter protokołowego sprawozdania. Nasze zachowanie nabiera cech lirycznych. Gesty, dotąd obojętne, bezbarwne emocjonalnie, nabierają nowych barw wzruszeniowych. Dotąd wzruszenie przekazywano określeniem „załamał ręce", u Przybosia mamy poetycką rewindykację takich zachowań się, jak „stulam lekko obie dłonie", „już cicho, jakbym pisał pierwszym wątłym piórkiem trawy". Jak silnie kojarzy Przyboś gest z barwą emocjonalną, widzimy w częstych przenośniach, gdzie człon porównujący jest opisem gestu: „krokiem tak zalotnie lekkim, jakbyś wiodła ptaszka na promieniu", „tak się cieszę dotykając ziemi wilgotnej, jakbym sadził te poziomki na wczorajszych zgniłych smutkach", „już cicho, jakbym pisał pierwszym wątłym piórkiem trawy". „Lekki, jakbyś wiodła..." i „cicho, jakbym pisał..." — obie te przenośnie nie tłumaczą się jednorodnością obu porównywanych dziedzin (gdybyż to było: „lekki, jakbyś nic nie niosła" albo „cicho, jakby wszyscy milczeli") — łącznikiem jest przypisany gestowi odcień emocjonalny lekkości i cichości, delikatności (motywowany w pierwszym wypadku pojęciem „ptaszek na promieniu", a w drugim „pierwsze wątłe piórko trawy"), nie mieszczący się jednak w pojęciu samego ruchu (wieść czy pisać). Barwa emocjonalna została obu zachowaniom się („pisanie", „wodzenie") przypisana w kontekście.

WZROK NAD ŚWIATEM (POETA KREATOR)

Władza poety nad światem, który unosi on na swych barkach (Atlas), oraz obiektywizacja przeżyć przetransponowanych na gesty i zachowania się przedmiotów (zamiast lirycznego wylewu) daje się sprowadzić do wspólnego podłoża: oto obiektywny świat konkretnych obrazów okazuje się powołany do istnienia przez poetę, okazuje się światem kreowanym na naszych oczach poetyckim imperatywem „stań się". Zachowania się przedmiotów są przedłużeniem zachowań się poety. Jego „gest" („idę", „stoję", „patrzę", „słucham" etc.) powołuje do istnienia taką czy inną konfigurację przedmiotów. Istnienie świata uzależnione jest od woli poety, który postrzega przedmioty *(Na łanie)*. Jego postawa decyduje — stąd tyle uwagi poświęca się „topografii" zachowania się podmiotu lirycznego.

leżę,
spod pleców rozluźnia się zorana powierzchnia
na równię pochyłą marzeń...

(Po orce)

O t o :
jak za jaskółką,
śmiga sama linia lotu...

(Król-Huta — Wisła)

S p o j r z y j c i e
Wisła!

(tamże)

Patrz — drzwi odeszły od twojego domu.

(Okna)

Jacyś cieśle (...)
— p a t r z — podnoszą słup powietrza, by ustawić go pionowo...

(Zjawisko wiosenne)

P a t r z ę: zieleń tak górna,
jakby całą przestrzeń skopiono w korony kasztanów.

(Ciężar poematu)

C z e k a m na gest, co rozstrzygnie jak wybuch,
l i c z ę...
jak tonący zalewany falą z głębi,
nagle, ostatecznie,
oficer podniósł szablę — salutuje w tłumnej ciszy...

(Łuk)

S ł y s z ę:
Kamienuje tę przestrzeń niewybuchły huk skał.

(Z Tatr)

S t o j ę o t o
w tym ogródku
jak głodny bezrobotny
patrzący na sypane wróblom okruchy.

(Znasz-li)

I d ę —
horyzont jak rozmach skrzydeł
niesie mnie wokół,
mój wzrok wezbrał poza błękit który widzę.

(Z gałązką oliwną)

Postawione na eksponowanych miejscach (zwykle jednowyrazowy osobny wers lub przynajmniej wydzielenie myślnikiem czy dwukropkiem) koncentrujące wzruszenie podmiotu lirycznego słowa „patrzę", „słucham", „oto", „idę", czy jeszcze wyraźniej imperatyw „patrz", „spojrzyjcie" — nabierają mocy

kreatorskiej, uzależniają od siebie niewolniczo to, co nastąpi. Charakterystyczne jest też przesunięcie akcentu lirycznego ze słów wyrażających uczucia („smucę się", „płaczę", „cieszę się", „tęsknię", „nienawidzę", „lękam się" etc.) na słowa określające zewnętrzne zachowanie się, obserwacje („słucham") czy gesty.

Ściśle wyznaczona „topografia" podmiotu lirycznego umiejscowia następujące dalej obrazy jako podrzędne w stosunku do podmiotu lirycznego („idę", „leżę"). Obrazy przedmiotów powoływane są przez konstatacje poety. Świat przedstawiony staje się dziełem poety. Mimo całkiem odmiennego kolorytu emocjonalnego swej twórczości, Przyboś miałby równe prawo jak Miciński powiedzieć o sobie: „Ja, budowniczy nadziemskich gwiazd...".

Jan Prokop

Kazimierz Wyka

PONOWNY DEBIUT

1

Zbiór poematów Jerzego Harasymowicza *Przejęcie kopii* * pragnę potraktować jako debiut. Cel tego zabiegu krytycznego ujawni się pod koniec recenzji. Sześć poematów, w tym dwa zasadnicze, składa się na ów ze wszech miar interesujący cykl poematów nie znanego dotąd autora. Czyżby był on identyczny z Jerzym Harasymowiczem, który przed dwoma laty opublikował bardzo baśniowy i prawie sielankowy tomik pod tytułem *Cuda*? mało prawdopodobne!

Przy takim założeniu — jakiż to oryginalny i zastanawiający debiut! Szczególnie na tle rymowanej sieczki, kruszonego siana, na tle pośladu prasowanego w pachnące starzyzną cegiełki, które w roku obecnym sypią się wśród młodych i najmłodszych, wypełniając rolę tzw. ruchu w poezji. Lecz oryginalny i zastanawiający nie tylko w tym nędznym kontekście. Sam w sobie nie mniej. Tych sześć poematów to sześć rozmaitych przygód z jedynym, który dla Harasymowicza obiektywnie istnieje, partnerem jego poezjotwórstwa — sześć przygód z własną wyobraźnią i własną psychiką.

Każda prawdziwa poezja jest w końcu przygodą z własną wyobraźnią. Lecz nie każda jest w stopniu tak obnażonym przygodą z własną psychiką. Te dwie sprawy zdają się być u Harasymowicza nierozdzielne. Jego poezjotwórstwo nie daje się opisać w kategoriach formalnych, gatunkowych, tym mniej w kategoriach społecznych, kategorie dokumentu psychicznego są niezbędne dla jego zrozumienia. Także dla zrozumienia poruszeń wyobraźni.

Chodzi o to mianowicie, że dla autora *Przejęcia kopii* jego wyobraźnia jest czymś na podobieństwo rozległego sztucznego horyzontu, na którym wyświetlają się zaskakujące i rozliczne sprawy, i niczego na nieboskłonie tej poezji nie napotkasz oprócz owego horyzontu, niczego oprócz wyświetlonej złudy. Wszystkie poematy Harasymowicza to formy przygody z podobnym horyzontem jako jedyną dostępną jemu postacią świata zewnętrznego.

W tym sensie jest to poezjotwórstwo absolutnie introwertyczne, downętrzne, do swojego pierwszego źródła skierowane, a jest nim psychiczne „ja"

* Jerzy Harasymowicz: *Przejęcie kopii*. Projekt obwoluty i fotogramy Marka Piaseckiego, Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 81.

autorskie. Jak latarnia magiczna to wspomniane „ja" — wyświetla wciąż samego siebie, własne wnętrzności.

W badaniach nad poezją istnieje pojęcie podmiotu lirycznego. Podmiot liryczny jest konstrukcją wewnątrz tekstu, a nie faktem psychicznym. Oznacza jakiegoś idealnego sprawcę lirycznego, który zobiektywizował się w tekście, który z elementów konstrukcyjnych wiersza daje się wyłowić i odtworzyć. Ten sprawca liryczny nie jest jednoznaczny z psychiką osobistą autora, z jej właściwościami osobniczymi. Podmiot liryczny Norwidowskiego *Vade-mecum* to nie psychika indywidualna niejakiego Cypriana Norwida, z jej urazami, z jej osobniczymi kłopotami wobec emigrantów i kobiet, które nie obdarzyły go miłością.

Tak mocno to podkreślam, ponieważ nie znam po roku 1945 debiutu, w którym tak ostro rysowałyby się problemy psychiki i problemy wyobraźni — w ich wzajemnym splocie i uwarunkowaniu. Horyzontem Harasymowicza i tym, co się na nim wyświetla, nie podmiot liryczny rządzi, lecz — powtarzam — „ja" autorskie, „ja" osobiste, „ja" psychiczne. Cała sceneria *Przejęcia kopii* na tej osi się obraca. Nie tylko autoironiczny żart wystąpi podówczas, kiedy poemat *Kat* kończy się takim podpisem:

i oto jego pieczątka
diabeł w akcie
na rynku w krakowie
i oto podpis
jerzy
harasymowicz

To nie tylko chwyt artystyczny. To zarazem poręczenie psychicznej autentyczności. Podobne do tych pieczęci, które, odciśnięte w wosku, przywieszano do średniowiecznych przywilejów czy dokumentów. Były one kunsztowne, ale przede wszystkim świadczyły o autentyczności podpisu i zaręczały prawdę powiedzianego w pergaminie.

2

Sześć poematów, sześć przygód. Bynajmniej nie są identyczne owe przygody. Bynajmniej też nie są równej wartości — i jako wyraz psychiki, i jako wyraz wyobraźni. I od owego faktu, które z zademonstrowanych form przygody nasz debiutant ostatecznie i na trwałe obierze, zależy na pewno jego rozwój i przyszłość.

Z tych sześciu przygód dwie posiadają charakter zasadniczy. Wstępny *Przyczynek do nowego odkrywania,* w tym sensie poemat zasadniczy, że programowy; końcowy poemat *Kraków* przez to znów zdaje się być zasadniczym, że najwięcej mówi o zasadach poezjotwórstwa Harasymowicza. Wydaje się też być jego najwyższym w *Przejęciu kopii* osiągnięciem. Sam zaś poemat tytułowy oraz pozostałe trzy zdają się przynależeć do tej samej formacji, mniej zasadniczej dla autora, lecz dobrze pozwalającej się zoriento-

wać w naturalnej atmosferze jego zapisu poetyckiego. *Przejęcie kopii, Jar, Kat* i *Czarny dom* — od nich rozpocznijmy.

Jeszcze dokładniej — od truizmu rozpocznijmy. Te cztery utwory to — poematy fantastyczne. Ich fantastyczny zakrój wyraża się dwiema właściwościami konstrukcyjnymi utworu. Jako przykład weźmy *Jar*. Fantastyczny zakrój wyraża się w nim dwojako: poprzez fabułę; poprzez ruch skojarzeń. Tę fabułę o anielicach-stróżkach oddających się w jarze nocą diabłom, o „ja" psychicznym autora, prowadzącym takowe na spoczynek, oczekującym daremnie na królową anielic, można bez trudu streścić i opowiedzieć. Podobnie w *Kacie* i *Przejęciu kopii*, nieco trudniej w *Czarnym domu*.

Nieoczekiwany ruch skojarzeń z tymi fabułami bynajmniej się nie pokrywa. Jest od nich bogatszy i więcej skomplikowany. Jako przykład weźmy początek *Przejęcia kopii:*

z okrętu
przy którego
sterowym kole
zachodzącego słońca
trzymając
za promienie
stała joanna
d'arc

z okrętu
gdzie sny
w porzuconym hełmie
świerszcz tka
aż pióropusz
drży

z okrętu
na którego chorągwi
księżniczka
z sarenką w ramionach
przez bramę tęczy
ucieka
w inny świat

z okrętu
wokół którego
jeziorko jak rana się
zabliźnia
niezapominajkami
coraz bardziej
sinieje

z okrętu tego
wyjeżdżam

I dopiero od owego oświadczenia o odjeździe rozpoczyna się fabuła fantastyczna. Dotąd — na sztucznym horyzoncie wyświetlał się ów okręt w chmurze nieoczekiwanych skojarzeń. Odtąd — następuje spotkanie z Don Kichotem i tak dalej. Ruch skojarzeń towarzyszy oczywiście w sposób nieustanny owemu spotkaniu, wyróżnione właściwości konstrukcyjne są od siebie nierozdzielne.

O czym zdaje się świadczyć ta naturalna dla naszego debiutanta atmosfera poetyckiego zapisu? *Przyczynek do nowego odkrywania* rozpoczyna się zwrotem: „W końcu w Radomskiem ktoś musiał zbudować czerwony mur surrealizmu". I dalej czytamy o nadrealistycznym miasteczku, na którego rynku „długowłosy poeta walczy z rakarzem". Słusznie! Poematy Harasymowicza, jak u nikogo z debiutantów po roku 1945, przeszły przez szkołę nadrealistyczną i na pewno przy jego nazwisku termin ów będzie się wielokrotnie odmieniać i powtarzać. Ponieważ założyłem debiut, zakładam z konieczności białą plamę w miejscu *Wizji czy równania* Jerzego Kwiatkowskiego i dalszej dyskusji na temat obecnej sytuacji w poezji. O tyle nikogo nie krzywdząc, że zakładam również białą plamę na miejscu własnych wystąpień.

Więc — czy te poematy przeszły przez szkołę i doktrynę nadrealistyczną i do takowej powracają? Dwie występowały w nich warstwy: skojarzenia luzem puszczone i psychiczno-fantastyczna fabuła. Nie trudno dostrzec, że z ducha nadrealizmu na pewno pochodzi warstwa skojarzeń i mechanizm ich obrotów. Ich zawieszenie w marzeniu, we śnie, również jest z owego ducha. Lecz dokładny zapis fabularny, wyraźne, chociaż fantastyczne następstwo wydarzeń — to nie jest z ducha nadrealizmu! Pozostaje w pełnej sprzeczności z zasadą psychicznego automatyzmu. A jednocześnie owe fabuły o symbolicznym przejmowaniu kopii z rąk Don Kichota, o groteskowo-makabrycznej przygodzie z katem, zaznanej przez mamusię koni, wcale dla zamierzeń „ja" psychicznego, wszechwładnego w utworach Harasymowicza — nie są drugorzędne i mało ważne. Przeciwnie! Jak w ankiecie, jak w wywiadzie psychoanalitycznym czytają się w nich marzenia i kompleksy podmiotu przerażonego światem, zabłąkanego pośród jego grozy na jawie i we snach.

Krótko mówiąc: kiedy wydamy okrzyk — oto nareszcie polski nadrealista! — nowego gościa w poezji obecnej witamy tylko w sposób częściowo zgodny z jego fizjonomią. A już na pewno niezdolny określić tego, co w owej fizjonomii jest nowe i wydaje się, że dla najciekawszych w pokoleniu Harasymowicza znamienne. W początkach dwudziestolecia międzywojennego pojawiło się przecież nieco prób nadrealistycznych. U ówczesnego Adama Ważyka, także u Aleksandra Wata. Wystarczy odpowiednie teksty zestawić z *Przejęciem kopii*, ażeby dostrzec, że identyczny termin kryje zupełnie co innego.

Przede wszystkim — kryje całkiem różną materię wyobrażeniową, materię skojarzeniową, a dla określenia nadrealisty, wobec zasady luźnego przebiegu skojarzeń i niekontrolowanego ich zapisu — ta przecież materia wyobrażeniowa jest wagi podstawowej. Określa podobnie, jak w oczach grafologa dukt badanego pisma określa jednostkę, przez której palce ten dukt się przedostaje. Nadrealizm i grafologia, temat dla Karola Irzykowskiego.

3

Z czego ten dukt składa się w *Przejęciu kopii?* Znowu truizm. Ten dukt wyobrażeń jest niebywale polski. Składa się przede wszystkim ze składników, którymi na codzień, w swojej powszedniości, nasycona jest natura w naszym kraju, krajobrazy, lasy, zjawiska przyrody, miasteczka, budowle. Dzięcioły, maki, dęby, barany, koguty, topole, jabłka, kruki, tarniny, ślimaki, nietoperze, jastrzębie, paprocie, osty, wilki, turonie, sroki, pajęczyny, macierzanki, pokrzywy, biedronki — coś z zielnika Wyspiańskiego, coś z arki Noego. Nie o ten katalog wszakże chodzi, aczkolwiek sam w sobie jest on już znamienny, ale o funkcję owych składników. Początek *Jaru:*

w dzień
pasą się
w jarze
zielone koguty lasu
paprocie
uniesione ogony
sterczą kręgiem

i malutkie niezapominajki
zaglądają strachowi na wróble
pod koszulinkę

i jeszcze czasem
sroki tam trzepocą
złe
rękawami za dużych
białych koszul
poza tym w dzień
nic więcej

To na jawie, to przy pełnym dniu. Zaś na śnie, pośród marzenia i widziadeł, równie przerażających, co humorystycznych *(Kat):*

mamusia koni
z zadem
tak delikatnym
że jeżeli go nawet
chmurka dmuchawca
dotknie
na całe życie
ślady zostaną
jak od ptasich
nóżek
ach
tak

mamusia koni
ząbkami królewny
ogryza swą dawną
głowę
jak kaczan kukurydzy
czarnymi włosami się
krztusi
. . . . . .

Zarówno na jawie, w opisie, jak na śnie, w fantastycznym działaniu, funkcja tych całkiem powszednich znaków oddanych pod panowanie wyobraźni jest jedna i ta sama: one weryfikują, czynią sprawdzalnymi, widocznymi, dotykalnymi loty i posunięcia imaginacji. Przybliżają one tkankę poetycką i pokazują, że jej mikrobudowa zawsze się sprawdzić daje, ma odnośnik do rzeczywistości.

Ten dukt wyobrażeń jest również polski w innym sensie, bardziej kulturowym. I wydaje się, że chwytając w palce tę właśnie nić, trafiamy na ślady, które Harasymowicza doprowadzają do poezjotwórstwa bliskiego z pozoru nadrealizmowi:

...w dębie jak wielki
czarny witraż wyspiańskiego
śpi stojąco
król wisielców
. . . . . .
tabuny koni kossaka
idą pomieszane
z białymi kozami
z nowohuckich wanien
. . . . . .
anioły o kościstych
twarzach starców
biją nieszczęsną mocno
jak galicyjskie chłopy
. . . . . .
skarżą się
chimery malczewskiego

zadami wygniatając
cienkie i wysokie
trawki barbakanu

To zaledwie część dowodowych wypisów. Szale Racheli, gwiazdy secesji dosłownie zostają wymienione, zaś fabuły Harasymowicza, szczególnie w *Jarze*, to przemienione w słowa kompozycje Jacka Malczewskiego. Wiem, że w tym miejscu budzę grozę nowoczesnych, którzy podobne zjawiska już dawno „prze-

zwyciężyli". Niech spoczywają w pokoju pośród swoich przezwyciężeń! Jaki sens wypada przypisać tej odmianie duktu psycho-wyobrażeniowego u Harasymowicza?

Przede wszystkim potwierdza ona, i to w sposób jak najbardziej spontaniczny, przez to właśnie cenny, słuszność diagnozy stawianej przez autora *Traktatu o poezji*, że tam, w rajerach, szalach i urokach secesji, uderza źródło wyobraźni i obyczaju nadal żywotne. „A Kraków jest dama fędesjeklowa w biżuterii świateł sztucznych" — pisał Gałczyński. Ta dama pochyla się nad młodym poetą, strojna w symbole i uroki, które dla jego pokolenia są czymś więcej i czymś innym aniżeli omszałą i nudną tradycją.

Ta ostatnia kwestia jest chyba najważniejsza. Ona bowiem zarówno tłumaczy, dlaczego to poezjotwórstwo, przefiltrowane przez nadrealizm, nie daje się jednak do ścisłej formuły owego prądu sprowadzić, jak też wskazuje drogę Harasymowicza, i niejednego z jego generacji, ku zjawiskom, jakie uchodziły za „przezwyciężone". Wyspiański, Malczewski, secesja, modernizm. Owszem, były one przezwyciężone, to znaczy niemożliwe do podjęcia przez współczesnego artystę, dopóki trwały w stanie wzoru dostojnego i nienaruszalnego. Jako składnik w wielkim lamusie rekwizytów noszących nazwę tzw. trwałych wartości. Muzeum figur woskowych, w którym nikt do kości nie zagląda. Lecz otrzepane z kurzu, poddane prawom luźnego skojarzenia, prawom groteski, kompromitacji, ponownie wciągnięte w grę uprawianą przez „ja" psychiczne, wszystkie te zjawiska i nazwiska są jak figury woskowe, w których nagle ruszyła krew.

Zwłaszcza że sprawa ta nie dotyczy tylko Harasymowicza. W wyobraźni zbiorowej egzystują gotowe, od wypadku odświętnego używane s t e r e o t y p y w y o b r a ż e n i o w e. Posługujemy się nimi do czasu — nie pytając wcale, co one w ogóle znaczą i czy cokolwiek jeszcze znaczą. Aż przyjdzie satyryk i powie: „Polska, obrotowe przedmurze chrześcijaństwa". Aż inny ułoży fraszkę: „Patrz Kościuszko na nas z nieba, Raz Polak zawołał; I popatrzył nań Kościuszko — I się zwymiotował".

Od celnego ukłucia stereotyp pęka jak balonik. Uprawiał nagminnie tę zabawę Gałczyński, w pokoleniu Harasymowicza jej cena jeszcze wzrosła. A praojcem owej zabawy jest przecież „Zielony Balonik" i *Słówka*. Całkowicie zaś swobodny stosunek do tradycji, do jej stereotypów i gotowych skojarzeń, albo pozwala na ich ponowną, przy ironicznym uśmiechu, poetyzację, zatem na ich ponowne podjęcie, albo też na nieustannie kpiącą igraszkę z nimi. Pierwsze to wypadek Harasymowicza, drugie to wypadek Sławomira Mrożka. Humor zawsze nosił w sobie ładunek nadrealistyczny, zaś humor noszący go świadomie — bynajmniej nie jest daleki od takiego postępowania poetyckiego, jak poniższe, dla Harasymowicza typowe *(Czarny dom)*:

na kamiennej ławeczce
pod lustrem sypialni
w czarnych ubrankach
z białymi ogromnymi kokardami
rousseau i nikifor siedzą
podziwiają obraz

i mieszają się ze sobą
ich motyle

czarny dom
oto pokój do gry

na wszystkich białych polach
szachownicy
maleńkie karawany
rzęsiście oświetlone

na wszystkich czarnych polach
płaczą
koniki szachowe

Oto dlaczego w *Przejęciu kopii* dukt wyobrażeń jest tak polski, oczywista w jego krakowskiej odmiance. Wyznacza to zarazem granice w stosunku do właściwego nadrealizmu, granice oraz różnice zawartości. Powtarzam: jeżeli w stanowisku nadrealistycznym najważniejszy jest zapis niekontrolowanego potoku skojarzeń, to o rzeczywistym, konkretnym wyglądzie owego zapisu wcale nie owa zasada ogólna decyduje, lecz obecne w psychice składniki, ich pochodzenie, ich nieświadome dziedzictwo i podglebie. W wypadku *Przejęcia kopii:* jest ten debiut świadectwem polskiej drogi poprzez nadrealizm do...?

Właśnie, ażeby to wiedzieć dokładnie — dokąd. Na pewno do całkiem własnej poezji Harasymowicza. Lecz w sensie „izmu"? W nowej sytuacji poetyckiej istnieje potrzeba nowych określeń ogólnych, nowych „izmów", skoro dotychczasowe nie wystarczają. Może *Przekrój* ogłosi konkurs?

Na razie, nie umiejąc „izmu" ukuć, widzę tylko jedno wyjście. Młodych poetów (Harasymowicz nie jest przecież jeden, nawet identycznego nazwiska jest już dwóch autorów, ten od *Cudów* i ten od *Przejęcia kopii),* dla których najważniejszy jest prymat luźnej wyobraźni oraz „ja" psychicznego, proponuję nazywać grochowiaki albo harasymuszki. To wcale nie jest gorsze od terminu — pryszczaci, a ładniej brzmi. Np.: w Sandomierzu pojawił się nowy, typowy grochowiak; w Kielcach nowy harasymuszka.

4

Dwie przygody z wyobraźnią nie zostały dotąd opisane — *Przyczynek do nowego odkrywania* oraz *Kraków.* Ale bo na tle dotąd przeprowadzonych refleksji jaśniej się zapewne rysuje, dlaczego te dwa poematy są w całym zbiorze najciekawsze i najbardziej osobiste. Nie ma w nich fantastycznej i pod przymusem konsekwencji prowadzonej fabuły, całość konstrukcji określa swobodne, wielkimi ogniwami nizane kojarzenie. *Przyczynek* to nie program; *Kraków* to nie opis; są to natomiast skojarzeniowe etiudy wyobraźni wokół sytuacji poetyckiej harasymuszek i grochowiaków, wokół dzielnic i przedmieść Krakowa tak rozsypanych, jakby plan miasta pocięty został na kawałki i rozrzucony.

Nie tylko to! Dwa dukty wyobraźni Harasymowicza, jeden, który był polski w sensie zielnikowo-zoologicznym, drugi, o identycznej barwie, lecz w sensie kulturowym, w tych dwóch poematach splotły się ze sobą ściśle jak warkocz. Szczególnie w rzeczy poetyckiej o Krakowie. Niewątpliwie temat miasta, które samo przez się stanowi niewyczerpaną fabułę, ułatwiał rezygnację z wątku fantastyczno-fabularnego, niewątpliwie też ułatwiał wydobycie na jaw krakowskiej drogi przez nadrealizm — ale jednocześnie ten temat wiele wymagał.

Po prostu: po Wyspiańskim, po Czyżewskim, po Gałczyńskim, do melodii Krakowa dorzucić nowy akord, to zadanie nie błahe. Sądzę, że Harasymowicz akord ten rzeczywiście dorzucił, akord generacji, która pod spiralami odrzutowców, pod radioaktywnymi deszczami w trzech piwnicach krakowskiego Rynku wstępuje w swoje lęki i marzenia — pod Baranami, pod Krzysztoforami, naprzeciwko kościółka św. Wojciecha. Jak nie ma prowokować do wstąpienia na polską drogę ku nadrealizmowi, jak nie ma prowokować do poetycznego, a zarazem ironicznego obcowania z narodowymi świątkami miasto, w którym: jak zabawa z Barraultem, to w piwnicy byłych dziedziców pałacu opiewanego przez Marcina Bielskiego! Jak taszysta, to w budowli, sprzed której Twardowski wzlatywał na księżyc! Jak czekanie na Godota, to w kombinezonie robociarskim z Nowej Huty i naprzeciwko miejsca, gdzie kazał był ongiś apostoł z Pragi!

Takie właśnie elementy i w podobnych proporcjach uruchamia poemat o Krakowie. Dlatego tak ściśle splatają się w nim narodowy zielnik z Wawelem, ściśle, zabawnie i ironicznie. Papuga to królowa Bona, żubr ma czerwone oczy chytrego Litwina Jagiełły, nietoperz czuwał w Łokietkowej grocie — i tak dalej. Aż do spraw, które dla pokolenia dziadów i ojców będąc jeszcze wspomnieniem z rzeczywistości, w tej generacji znajdują się już na podobnej odległości historycznego stereotypu:

wyspiański
na łączce wklęsłej
na białych kwiatkach

szmaty rozwija
słój z maścią
już stoi

z drzewa go
podgląda
chichoczący stańczyk

i żółty
przesuwa
się obłok

to legionista z 1914
nóg szuka
po dziuplach

i naraz
zaczyna grać
marsze do księżyca
austrowęgier
gramofon w okopie
w plątaninie nut
z brązowego drutu

Jest wśród wielu urocznych miejsc Krakowa jedno szczególnie uroczne. Zachwycał się nim Gałczyński. Pamiętam pewien pogodny Wielki Czwartek, kiedy wzdłuż Wisły zawędrowaliśmy pod Skałkę. Kręciła się na tle klasztornego muru karuzela, wzlatywała ku wieżom huśtawka, czasem puknęła armatka puszczona pod górę, po żelaznej pochylni, na świadectwo siły. Konstanty nie posiadał się z radości, co ujawniało się łańcuchem pomruków.

Później pomiędzy poszarpaną jak stara turnia ścianą kościoła św. Katarzyny a sadzawką biskupią zakwitają sady, same młode jabłonie. Po przeciwnej stronie Wisły boisko Garbarni, niedzielnymi popołudniami szum i wrzask piłkarskiego tłumu, wyżej i donioślej się rozlegający od huśtawek celujących w barokowe hełmy wież. Nie znajdujemy jednak owego urocznego miejsca w *Zaczarowanej dorożce*. Ów Wielki Czwartek był w okresie, kiedy ten zbiór powstawał. Lecz oto odpowiednie fragmenty:

kazimierz
skałeczna
do kościoła suną
czarne
namiociki rodzin
wózki
. . . . . .
król ze skałki
pędzi skałeczną

szyja biskupa
skaleczona
odjeżdża łódką
przez wisłę
jak letę

ale
w chwilę potem
na wyrzuconą w górę
z zielonego koca
boiska
piłkę
jastrząb w górze
srebrny śmiały
jak na głowę
czyha

Aura omawianego poematu jest wszakże inna aniżeli w *Zaczarowanej dorożce.* Kraków Gałczyńskiego zbudowany został pod firmamentem pełnym spokojnego uroku i nic mu nie zagraża oprócz pijanych nocy księżycowych, oprócz spotkań z przyjaciółmi na każdym narożniku. W obecnym pokoleniu znowu chmury katastroficzne zaciągnęły nieboskłon i pod tymi chmurami młody poeta ogląda stare dzielnice i wskrzesza wyobrażenia historyczne. Stal miecza królewskiego odbijają odrzutowce. Noce nad miastem są zaludnione przez ich czerwone światełka. Wynikające stąd obrazy i motywy nabierają charakteru perseweracyjnego. Ujawniają szpetotę starych, gnijących podwórek, ohydę zaśmierdłych klatek schodowych, mieszkań i murów od stuleci żartych grzybem. Wszystko w sposobie syntetyczno-symbolicznym, nie opisowym, jak litanijne zawodzenie do kawek katedralnych, jak takie sytuacje na Kazimierzu:

stare
szpakowate szczury

nad dachy
kazimierza
wyższe
o dzwonnice
się
ocierają

ciągnąc z piskiem
blade nacie
jesiennego słońca

w dymach
gazowni
błyska szczurze
oko opatrzności
nad kazimierzem

szczury
w lajkonika się
bawią

Poemat Harasymowicza ukazał się pod koniec roku Wyspiańskiego. Na swój sposób świadczy on, że w Krakowie ten rok trwa wciąż, czy go obchodzą solennie, czy też nie. Bo z tym katastroficznym niepokojem, odżywającym w pokoleniu naszego debiutanta, złączona jest *laus Cracoviae, totius Poloniae urbis celeberrimae,* jak nakazują prawa nie kończącego się nigdy roku Wyspiańskiego. Te partie w poemacie są najpiękniejsze. Lecz zawsze skojarzone z oczekiwaniem pełnym grozy, tym oczekiwaniem, które w ramach jakiejkolwiek nadrealistycznej formuły już się nie mieści. Bo właściwie nadrealiści nie przeczuwali, że nie tylko słonie mogą być zaraźliwe, ale koniec świata również.

Więc czytamy o Krakowie jesienią:

dziś jesienią
studnia podwórza
collegium maius

żakami nie bulgoce
jak czerwonym winem

zegar słoneczny
oparty
w cieniu nieczynny
jak wkrótce może
cały system słoneczny
. . . . . .
i cisza

a w górze odrzutowce
jakby bóg podkreślał
wyrok
swym grzmiącym
piórem
i tylko te mury
niewzruszone
tak jak niewzruszone
umrą

Przyczynek do nowego odkrywania dedykowany jest Jerzemu Kwiatkowskiemu. Więc jemu odstępuję analizę poematu. Powiem tylko, że to, co korzystnie charakteryzuje *Kraków*, charakteryzuje także i ten poemat. Rzecz o Krakowie zechciał debiutant ofiarować podpisanemu. Prawdopodobnie przeczuwał, że autentyczni krakowianie zawsze się porozumieją bez względu na to, do jakiego pokolenia należą. W tej nadziei dziękuję.

5

Już jasne chyba, dlaczego ostatni zbiór Harasymowicza traktowałem, jakby poprzednie, zwłaszcza dwa pierwsze, *Cuda* i *Powrót do kraju łagodności*, nie były jego pióra. Baśniowy, antropomorfizacyjny, dziecinnie naiwny ton owych tomików wielu złudził i po dzień dzisiejszy łudzi. Czy też doprowadza do zupełnie tępych nieporozumień. Kiedy np. Julian Przyboś przewiduje, że byłby może z Harasymowicza poeta, gdyby się nauczył rymować i przerzucił na twórczość dla dzieci, mamy tego przykład, godny owego przykazania nadrealistów: „Dorośli, opowiadajcie swoje sny dzieciom!".

Błoński i bodaj tylko ja przeczuwaliśmy, że ten baśniowy naskórek szybko się złuszczy, że wyskoczą spod niego kompleksy dojrzewania, trwogi rzeczywiste i one dopiero powiedzą, jak naprawdę wygląda „ja" psychiczne rządzące w tym autorze. Dlatego, panowie recenzenci, przestańcie przy nim opowiadać

o swobodnej baśni, o kropelkach rosy, o krasnalach pod liśćmi łopianu etc. etc. W *Przejęciu kopii* naskórek odpadł już definitywnie. W tym sensie jest to ponowny debiut Harasymowicza. Możliwości wyobraźniowe tego poety są wciąż otwarte i dalekie od wyczerpania. Muszą za nimi nadążyć możliwości i wymagania intelektualne. W recenzowanym cyklu są już tego wyraźne świadectwa.

Do frontu młodej poezji, który wciąż przebiega na linii o wiele bardziej wyprzedzającej młodą prozę i dramat, przybyły nowe posiłki i nowy oddział, w broń rzeczywistego poezjotwórstwa zaopatrzony. Jak w całym tym froncie, plan taktyczny wynikający z jego przybycia wiedzie ku wyobraźni i jej prawom. Cóż, ten plan jest w każdej generacji od nowa i ciągle aktualny w kraju i —

wśród tłumu o wyobraźni
martwej jak ich nazwiska
w kraju gdzie
k t o r a n o w s t a j e
c h ł o p j a k d ą b

Kazimierz Wyka

Zbigniew Bieńkowski

JASKÓŁKA EGZYSTENCJALIZMU

Potęga prądu literackiego tkwi w metodzie przeobrażania tworzywa, w formie. Przeobrażenia formalne, nowe postacie poematu, dramatu, powieści decydują o życiu i trwałości literackiego ruchu, szkoły czy tendencji. Najgłośniejszy z prądów XX wieku, egzystencjalizm, jakie w literaturze formy przybrał? Zafascynowani propozycjami światopoglądowymi egzystencjalizmu nie podpatrujemy na ogół egzystencjalistycznego warsztatu. Fascynacja treścią propozycji egzystencjalistycznych jest zrozumiała, ale ma granice. Czas je przekroczyć i rozejrzeć się za artystycznym odbiciem, poszukać egzystencjalistycznej sztuki.

Poprzednik egzystencjalizmu, nadrealizm, miał i ma jeszcze, jak wiemy, bardzo bogate życie artystyczne. Jego wpływy sięgają daleko poza literaturę. Jak jest więc z egzystencjalizmem? Jest obyczajowość, moda egzystencjalistyczna, ale to tylko zagadnienie socjologiczne. Chodzi o wyraz artystyczny, o sztukę, a ściślej o nową formę literatury.

Co Sartre wniósł do literatury nowego? Powieść *La Nausée* jest propozycją nowego, z pewnością. Środkami artystycznymi ukazane są w niej stany przedświadomościowe. Bohater *La Nausée,* Roquentin, wyłania się nie z kompleksów, a więc z formuł gotowych, prefabrykatów, ale — i to jest nowe — z amorfii istnienia, z przedświadomości, z preegzystencji. I to wyłanianie się dzieje się nie w relacji, ale bezpośrednio, żywcem. Kompozycja, styl, słownictwo temu służą. Wszystkie synonimy lepkości, śliskości, mazistości spajają przeżycia bohatera w całość, jakieś błocko, odpowiednik amorfii. Z okresu *La Nausée* pozostała Sartre'owi owa cechująca go antyestetyczność stylu, niedbałość o zdanie, żywiołowość — specyficzna — języka jak najbardziej przecież inteligenckiego. Owa niedbałość i żywiołowość były w *La Nausée* środkiem oddającym stan nieprecyzji, nieświadomości siebie bohatera. — I to jest wszystko. Propozycje *La Nausée* otwierały nową drogę. Sartre jednak z tej drogi zawrócił. Po *La Nausée* nie kontynuuje poszukiwań własnych środków manifestacji. Cały wysiłek pisarski włożył w popularyzację założeń teoretycznych egzystencjalizmu; powieść, a przede wszystkim dramaty Sartre'a stają się ilustracją filozoficznych tez. Stawiać człowieka w krzyżowych sytuacjach, ogniskować konflikty w momentach decyzji — to jest literacki program Sartre'a. Doprowadza to w teatrze do zniesienia konwencji: konfliktu charakterów. „Dramat wolności" Sar-

tre'owskiej rozsadza dotychczasowe struktury. W szkicu *O teatrze Sartre'a* (*Dialog*, nr 7/58) Andrzej Falkiewicz widzi siłę Sartre'a w samej destrukcji formalnej. Cytuję: „Sartre burzy stare formy, programowo nie tworząc nowego teatru". Wywód Falkiewicza jest przekonywający. Teza antyteatralności Sartre'a byłaby także do przyjęcia. Byłaby, gdyby nie jej rozszerzalność. Tak, gdyż w takim samym sensie, w jakim Falkiewicz pisze o antyteatralności Sartre'a, można napisać o jego antypowieściowości. *Drogi wolności* np. to powieść pozbawiona ramy, która by dała temu egzystencjalnemu freskowi granice kompozycyjne. Sartre burzy założenia powieściowe, odmawiając swoim postaciom prawa do ewolucji. Mathieu już w pierwszej rozmowie z Marcelą cały swój dramat przegadał i potem żyje po to tylko, by rzeczywistość sama wywiodła go ze stagnacji i za niego dokonała wyboru. Antyteatralność i antypowieściowość Sartre'a to konsekwencje jego misji filozoficznej. To ona zmusza go do antyliteratury. Bo tym jest w ostateczności ilustracyjność zawsze. Ażeby wszystko powiedzieć do końca: Sartre jest najbardziej deklaracyjny i schematyczny ze współczesnych pisarzy. Z tą poprawką, nie błahą bynajmniej, że deklaruje i schematyzuje nie cudze, ale własne prawdy.

Tak Sartre, a jak inni klasycy egzystencjalizmu? Teatr Gabriela Marcela jest jeszcze bardziej ilustracyjny od teatru Sartre'a, pisarstwo Camusa (nie jest ważne, czy Camus uważa się za egzystencjalistę, jeżeli jego twórczość jest egzystencjalistyczna) także nie ma w sobie elementów nowatorskich. *Obcy* był zabłyśnięciem i odnowieniem behawioryzmu, tak jak *La Nausée* była odnowieniem psychologizmu. Czyżby więc egzystencjalizm nie był w ogóle prądem literackim? Nie będzie nim w każdym razie dopóty, dopóki nie odbije się samodzielnie w literaturze, dopóki nie stworzy własnych modeli literatury.

Prąd literacki działający na terenie poezji ma oczywiście zawsze wszystkie możliwości rewolucjonizowania formy. Poemat z samego założenia swego gatunku jest miejscem eksperymentu. Nie do pomyślenia jest współczesny utwór poezji żywej, niestylizowanej, który by nie był propozycją formalną. Nadrealizm miał wszystkie dane i wszystkie możliwości. Poezja dla ruchu literackiego to olbrzymia szansa. Egzystencjalizm też w kilku punktach schodzi się z praktyką poetycką (Francis Ponge'a), a interpretacja Sartre'owska metody *Parti pris des choses* dodała egzystencjalistyczne dno tej próbie oczyszczenia rzeczy świata i wyobraźni z nalotu ideologii. Ale jeśli Ponge związany jest z jakimś nurtem filozoficznym, to z fenomenologią. Nie egzystencja, ale esencja jest światem jego poezji. On chce dotrzeć do rzeczy czystej, do rzeczy samej, nie obciążonej jeszcze świadomością człowieka.

Egzystencjalizm może się uzewnętrzniać, manifestować i określać jedynie poprzez ten rodzaj literatury, który utrwala proces stawania się świadomości. Tym rodzajem może być tylko powieść. A więc paradoks. Egzystencjalizm nie może się obyć bez powieści i wyrazić się poza nią, a jednocześnie rozsadza ten gatunek bez propozycji odnowicielskich. Paradoks nie do utrzymania. Albo, albo.

Jak się zawsze w powieści manifestowały prądy, programy i nurty literatury? — Odpowiedzią na pytanie *gdzie jest człowiek*. Inaczej na to pytanie odpowiadał psychologizm, inaczej naturalizm, inaczej behawioryzm. Tam człowiek był w kompleksach, ówdzie w zboczeniach, tutaj znowu w odruchach. Realizm, jak wiemy, odbierał pytaniu jednostronność i dwuznaczność, ukazując człowie-

ka i w nim samym, i w świecie. Jak na to pytanie odpowie, jak może odpowiedzieć egzystencjalizm? Czy on w ogóle ma szanse na znalezienie człowieka?

W *La Nausée* Sartre obchodził dookoła miejsce newralgiczne, położone gdzieś pomiędzy podświadomością i świadomością siebie. Sartre poprzestał na nieokreśloności terenu eksploracji. Egzystencjalizm „klasyczny" zrezygnował z wszelkich uściśleń i poszukiwań. Aż fala nowatorska zalała współczesną powieść francuską. Zbliża się już do opuszczonych przez Sartre'a terenów. Czy tylko się zbliża? Zalewa je już także.

Najwybitniejszy nowator francuskiej powieści współczesnej, Nathalie Sarraute, buszuje na całego, i to nie przypadkiem, ale z całą świadomością, w przestrzeniach egzystencjalistycznych. Nathalie Sarraute nie odcina się przy tym bynajmniej od założeń prądu i korzysta w swoich teoretycznych rozważaniach z jego socjo-psychologicznej metody. Idzie zresztą jeszcze dalej: jest pierwszym pisarzem, który realizuje egzystencjalizm środkami literatury. Dwie powieści, a ściślej, biorąc pod uwagę funkcję formalną tych utworów, dwie anty-powieści tej pisarki, *Portait d'un inconnu* * i *Martereau* **, są próbą dotarcia do tych złoży, gdzie się formuje świadomość, owa świadomość siebie wyodrębniająca egzystencję człowieka z ogólności istnienia. Próby Nathalie Sarraute są jednocześnie pierwszymi od czasów nadrealizmu poszukiwaniami — środkami literatury — nowej psychologicznej prawdy o człowieku. Już nie podświadomość jest kopalnią ludzkiej psychiki. Eksploracja odbywa się o piętro wyżej. Głębie ludzkie nie są już bezdenne, dociera się do nich metodą odkrywkową.

Nathalie Sarraute, mimo że eksploruje i eksperymentuje środkami literatury, nie szuka po omacku, nie zdaje się na żywioł, na żywioł metody np., jak to robili nadrealiści. Jest świadoma celów i możliwości. Sama sobie ustawiła granice odtąd-dotąd. Cieniutka książeczka Nathalie Sarraute, zbiór szkiców pt. *L'Ère du soupçon* ***, ma dla literatury współczesnej nie mniejsze znaczenie niż gruba książka Sartre'a *L'Etre et le Néant*. A właściwie szkic jeden *Conversation et sous-conversation* (proponuję *Mowa i przed-mowa*).

Sartre, przerzucając się z jednej dziedziny aktywności w drugą, z drugiej w trzecią, tą ruchliwością dowodzi dynamizmu, żywiołowości swojej myśli. Nie tylko. Dowodzi także swojej niewiary w literaturę. Film, teatr, publicystyka — Sartre wszystkimi środkami chce wyrazić egzystencjalistyczną sytuację człowieka. Jak gdyby nie wiedział, jakimi środkami lepiej ją wyrazi. A może nie zależy mu na wyrażaniu, szuka tylko najsilniejszych środków oddziaływania. Dość że w koncepcji Sartre'owskiej literatura została zepchnięta na margines. Nathalie Sarraute z tych samych pozycji światopoglądowych, z pozycji egzystencjalistycznych, zwraca literaturze honor odkrywcy i miejsce newralgiczne.

Zaczyna zresztą od ograniczania. Nim stwierdzi, że tylko literatura swoimi własnymi środkami może dotrzeć do prawdy o psychice, do dyspozycyjnego ośrodka w człowieku, Nathalie Sarraute odcina jej — olbrzymie — owocujące jeszcze gałęzie. Opis świata, zjawisk, relacja przeżyć, kronika wydarzeń, katalog odruchów i kompleksów, to wszystko, co było podstawą powieści realistycznej i behawiorystycznej, oddaje filmowi i dziennikarskiemu reportażowi. Reżyser filmowy, twierdzi, ukaże wierniej, dziennikarz odda prawdopodobniej. Co

---

* Robert Marin, 1948, reedycja Gallimard, 1956.
** Gallimard, 1953.
*** Gallimard, 1956.

więc zostaje literaturze, powieści? Najważniejsze. To, do czego nie dotrze się żadną techniką, żadną metodą rejestracyjną, żadnym środkiem analitycznym. Pomiędzy wyrazem ludzkiej psychiki, jej powierzchnią uformowaną przez słowa-gesty, słowa-zaklęcia, słowa-zwierzenia, słowa-powszechniki, słowa światowe i z półświatka — a jej życiem wewnętrznym, ową głębią ukrytą pod słowami *(sous-conversation)*, nieznaną, niemożliwą do bezpośredniego wysondowania, rozlega się przestrzeń literatury. Tam dotrzeć!

Jest to pierwsza po Joyce'ie propozycja rozszerzająca teren literatury. Pierwszy po Joyce'ie krok naprzód. Trzeba powiedzieć krok zasadniczy. W międzyczasie coś trzasło w świecie. Zmienił się stosunek do słowa. Wyrosło zjawisko, które rzuca cień na całą dawną koncepcję literatury. Tym zjawiskiem jest, mówiąc naszymi słowami, ale ogarniając nimi nie tylko nasze treści: drętwa mowa. Monolog wewnętrzny wypływał z przekonania o wyzwalającej mocy słowa. Byle nie krępować potoku skojarzeń, a słowa same, słowa czyste, słowa święte, słowa bezinteresowne, słowa bóstwa wyniosą z wnętrza ludzkiego, z owego piekła-raju podświadomości, prawdę, objawioną prawdę o człowieku. U nadrealistów monolog wewnętrzny stał się metodą badawczą. Miał na światło dzienne wynosić szlakę podświadomości. Bezsprzecznie oddał ogromne usługi. Dokonany następny krok naprzód bynajmniej tych usług nie lekceważy. Nathalie Sarraute wskazuje tylko na to, czego on nie ujawnił. Ukazuje te niepodległe słowu, wyłamujące się spod władzy słowa, nie objęte zakresem słowa partie — niebłahe — ludzkiego wnętrza. Cytuję:

> To poza monologiem wewnętrznym się ukrywa: nieprzeliczona i nieobliczalna gęstwina wrażeń, obrazów, uczuć, wspomnień, odruchów, mikroskopijnych czynów, w stanie potencjalnym zaledwie, tego wszystkiego, czego żadna mowa wewnętrzna nie wyrazi, a co dobija się do drzwi świadomości, skupia się w zbite gromadki i nagle zjawia się, by tak samo nagle się rozproszyć i złączyć w inne zespoły, w inne kombinacje, gdy tymczasem — obok, równocześnie — jak taśma dalekopisu wyzwala się z nas nieprzerwany strumień słów.

Założeniem monologu wewnętrznego dla Joyce'a i dla nadrealistów było przekonanie o niepokalanej czystości, bezinteresowności i niezafałszowaniu słowa. Słowa jako takiego nic nie mogło dosięgnąć, słowo było poza wszelkim podejrzeniem. Wystarczyło je tylko wyzwolić, dopuścić, a potem zdać się na nie. — Odległa epoka. Dla Nathalie Sarraute słowa są nie wyzwoleniem, ale niewolą, a więc fałszem, maską, hamulcem, omamieniem, kamuflażem. Potok słów płynie, płynie nieprzerwanie od człowieka do człowieka po to tylko, by zatrzeć bezpośredniość i uniemożliwić porozumienie. Słowa-pozory, słowa-zasłony dymne, słowa-fałszerze... I nie w słowach, ale właśnie przed słowami, tam, gdzie się one jeszcze nie narodziły, gdzie nie dotarły, w owej przestrzeni *przedmowy* odbywa się prawdziwe, niezafałszowane życie psychik ludzkich. Na pytanie *gdzie jest człowiek* Nathalie Sarraute tę przestrzeń wskazuje. Żeby dokonać odkrycia człowieka, tam dotrzeć trzeba.

Życie psychik opancerzają wzruszenia seryjne, powszechne, ubrane w oficjalszczyznę słówek i gestów. „To było coś niesłychanego, z jaką szybkością, zręcznością, z jakim uporem i żarliwością chwytały w przejściu, skąd się dało, z książek, sztuk teatralnych, z filmu, z najbłahszej rozmowy, z byle jakiego,

przypadkiem rzuconego słowa, z powiedzonka, piosenki, obrazu, fotosu... aby sobie uwić kokon, nieprzepuszczalną poszwę, zmajstrować pancerz, w którym pod dobrodusznym okiem dozorczyń przechodziłyby — niepokonane, spokojne, pewne — matki, córki, kobiety maltretowane..." *(Portrait d'un inconnu).* Jak przedrzeć się przez ten pancerz. Wszystkie techniki dotychczasowe oparte były na przymierzu ze słowem. Chodziło właśnie o wywołanie słowotoku. Byle doprowadzić do otwarcia ust! — to było programem psychologów i psychoanalityków literatury. U Nathalie Sarraute słowo jest wrogiem, kokonem, pancerzem broniącym przed wtargnięciem do wnętrza ludzkiego. Jak się więc przedrzeć? Autoanalizą? Sarraute odrzuca ten środek jako najgorszy z możliwych. Autoanaliza to monolog wewnętrzny, z tym że selekcjonowany i post-faktyczny. Odrzucając analizę odrzucić trzeba i autoanalizę, bo jedno i drugie jest relacją, a więc oceną minionego, skończonego, nie istniejącego już. Konsekwencją tej postawy jest wykluczenie czasu przeszłego. Tu nie chodzi o zabieg w rodzaju praesensu historycznego. Literaturę egzystencji obowiązuje czas teraźniejszy.

Przebić się przez barierę mowy można jedynie środkami mowy. Barykadę ze słów, z banału, z drętwoty trzeba bombardować słowami, tymi samymi słowami, banalnymi i drętwymi, bombardować bez przerwy, bez zniechęcenia, aż wreszcie jakieś niepozorne, niepodejrzewane o skuteczność słowo, jakieś niewinne słóweczko trafi w spojenie i przebije pancerz, odsłoni miejsce nagie, bezbronne, reakcja łańcuchowa rozszerzy pole bitwy i klęski, wstydliwa głębia się rozchyli. Pomiędzy powierzchnią i głębią trwa ustawiczny ruch.

Teoria Nathalie Sarraute nie jest założeniem (jak u Sartre'a), ale wnioskiem jej artystycznych doświadczeń. Trzy utwory beletrystyczne *(Tropismes*, Portrait d'un inconnu* i *Martereau)* to etapy formowania się i narastania koncepcji. *Tropismes* (zbiór drobnych utworów opisowych) ukazują maskującą rolę słowa. *Tropismes* to właśnie hodowla słów-poczwarek, słów-kokonów, pracownia poszew, warsztat pancerzy. Na naszych oczach słowa tracą znaczenie, drętwieją, zrastają się w gęstwinę banalności coraz szczelniejszą, coraz bardziej nie do przebycia.

Zadaniem literatury ma być nie wznoszenie, ale obalanie barier, zdzieranie masek, przebijanie pancerzy, rozbrajanie mowy drętwej ze złej woli i zakłamania. W obu powieściach *(Portrait d'un inconnu* i *Martereau)* ta rola literatury jest ukazana.

Portrait d'un inconnu to proces formowania się wzajemnej świadomości siebie ojca i córki. Anegdota jest bardzo surowa. Ojciec skąpiec ma poczucie nabierania przez dorosłą córkę, broni się więc przed nią na wszystkich frontach materialnych i uczuciowych. Córka — chodzące nieszczęście, schorowana, z poczuciem opuszczenia — ustawicznie zabiega o pomoc. Atakuje, szantażuje, żebrze. Jej ataki frontalne rozbijają się o opór starego. Bo atakując bezpośrednio używa wszystkich słów-powszechników o nędzy, opuszczeniu, krzywdzie, które się mieszczą w kategorii mowy drętwej. Głębiny starego są nietknięte. Dopiero czasem, jakimś słówkiem niewinnym, słówkiem przypominającym porę roku, dalekie miasto, sama nie wiedząc o tym rozbija opór ojca: dotarła do głębiny jego psychiki, przebiła pancerz.

W *Martereau* ukazany jest egzystencjalny dramat świadomości: przeobrazić los własny przez przeobrażenie się w oczach innych. Postać tytułowa, Marte-

* Denoël 1939, reedycja Les Editions de Minuit 1957.

reau, na swoje imię kupuje dom dla kogoś. Uplanowany podstęp, by obejść władze skarbowe. Ale od momentu kupna coś się dzieje. Między Marterau a tym kimś, wujem narratora, wybucha konflikt. Martereau nie daje bowiem zabezpieczenia, wprowadza się do kupionego nie dla siebie domu, a jednocześnie oburza się na najmniejszą aluzję do nieuczciwości. Kim jest Martereau? Oszustem czy oszustwem pozorów?

W obu powieściach Nathalie Sarraute rolę katalizatora i zwierciadła konfliktów i świadomości powierza narratorowi. Narrator jest jednocześnie partnerem i jednej, i drugiej strony konfliktu. W *Portrecie* — ojca i córki, *w Martereau* — wuja i pośrednika Martereau. W jego świadomości odbija się proces świadomości Martereau, który okazuje się to mocnym, gotowym do walki oszustem, to słabeuszem bitym przez życie i korzystającym z ostatniej szansy, aby zagrać przed samym sobą komedię mocnego człowieka. Oddanie domu rzeczywistemu nabywcy nie rozstrzyga komplikacji psychicznej. Wątpliwość trwa nadal. Kim jest Martereau? Człowiekiem podejrzanym czy też człowiekiem skrzywdzonym podejrzeniem?

Nathalie Sarraute wprowadza do akcji — i tutaj znajduje się cały ciężar jej nowatorstwa — nowe środki dotarcia do głębin psychicznych, przebijające powierzchnię, przedzierające się przez warstwę słowną. Między ludźmi, ojcem i córką, narratorem i jego wujem, narratorem i Martereau zbudowana jest ściana, mur banału konwersacyjnego uniemożliwiającego zbliżenie i porozumienie. Mówią, mówią, mówią i z każdym słowem wzrasta ich wzajemna obcość. I dopiero nagle, jedno słówko, pozornie niewinne, nie związane tematycznie z ich sprawą, trafia wspomnieniem, aluzją, mur się nagle zarysowuje, w szczelinę wciska się insynuacja, żłobi kanał psychiczny, rozkłada pewność siebie, moc, niewzruszoność. Między ludźmi poza słowami zaczynają działać porozumiewawcze anteny, jakieś nieokreślone macki, wstyd dotyka bezpośrednio wstydu, strach — strachu. Cytuję:

> Jak mrówki zajęte niestrudzenie naprawianiem mrowiska, które wykrusza się to z tej, to z tamtej strony, jak kobiety poprawiające co chwila kruchą warstewkę różu na twarzy, krzątają się, zatykają, zagipsowują konstrukcję, która ich osłania; tu werniks kruszy się, odpada i już mikroskopijna szczelina, nieokreślona jeszcze groźba, coś, co już jest nie do odparcia, nie do zatrzymania, co tylko czeka odpowiedniej chwili, aby się wcisnąć, wsącza się ukradkiem. Szczelina, rysa pod presją rozszerza się coraz bardziej, groźba wzrasta, zapełnia całą przestrzeń widzialną, tak jak w filmie pierwszy plan zapełnia cały ekran. Cały niepokój, cała rozpacz, jaką tylko mają w sobie, nagle wyzwolone, jakby wzdęte przeciągiem, napinają się i mkną ku tej przepaści.

Po przebiciu muru słów nic już psychik nie dzieli. To przeniknięcie się jest już nieodwracalne. Głębiny obnażone są bezbronne. Słowa można zamówić, zatrzymać, można je odwołać. Słowa mają granice działania. Ale szczelin raz w nich zrobionych nic już nie zamuruje. Przez nie wnika do głębi silniejszy od wszystkiego jad porozumienia. Nie ma nań rady. „...jeden gest trochę za brutalny i stanie się coś strasznego, coś, czego się już nie da zatrzymać, wybuch, pożar, opadną z nas ubrania, zwalą się na mnie miazmy, śmiertelne promienie, cała jego rozpacz, niemoc, słabość...“ *(Martereau)*.

Sartre w przedmowie do *Portrait d'un inconnu* nazywa tę powieść antypowieścią. Nathalie Sarraute dokonała wielu zniszczeń, istotnie. Niewiele z konwencji powieściowych uszanowała. Ale rola jej nie polega tylko, a w każdym razie nie przede wszystkim, jak chce Sartre, na zniszczeniu „powieści środkami powieści". Donioślejsze niż zniszczenia są jej odkrycia. Przy tym rzecz niebłaha: to ona dopiero dała egzystencjalizmowi własny kształt artystyczny. To ona znalazła egzystencjalistyczne miejsce człowieka.

Zbigniew Bieńkowski

Paweł Jasienica

„ZIEMIA JEST WSZYSTKIM WSPÓLNA"

I

Już chyba od tygodnia biedzę się nad pierwszymi zdaniami artykułu, obracam je w mózgu na wszystkie strony i jakoś nie mogę dojść do ładu. Trudno mi zdobyć się na bezstronny sąd i rozstrzygnąć, co bardziej wpłynęło na moje uznanie dla *Sylwetek rzymskich* profesora Stanisława Łosia — niezaprzeczalna wartość tej pięknej książki * czy to, że należy ona do gatunku tak bardzo w Polsce rzadkiego?

Jest to zbiór kilkunastu szkiców (zwanych u nas z cudzoziemska, a więc dostojnie, esejami). Wszystkie razem układają się w historiozoficzną syntezę, w pasjonującą opowieść o jedynej w dziejach przygodzie italskiego plemienia, które stworzyło światowe państwo — o wzroście, rozkwicie i uwiądzie imperium.

Temat, o którym napisano — biblioteki. Jak przystało na miłośnika kultury klasycznej, profesor Łoś zalicza dziejopisarstwo do literatury pięknej. Nie rozprawia o tym teoretycznie, ale świadczy czynem. Ani jednym słowem nie chwali się, że zwiedził owe księgozbiory dzieł fachowych, całą „kuchnię" chowa gdzieś w zakamarkach swego warsztatu. Chodzi sobie tylko po tym Rzymie (z przyległościami) jak po własnym mieszkaniu, zna go o wiele lepiej niż ja Warszawę, o Scypionach, Katonach i Emiliuszach rozprawia niczym o kumach z przeciwka.

I jakże tu nie zachwycać się tą niezrównaną znajomością kanonu naszej kultury? Niedawno temu, w rozprawie pewnego polskiego naukowca, przeczytałem wspomnienie o wycieczce do Grecji. W teatrze Dionizosa „u stóp Akropolu" oglądał autor *Antygonę* Sofoklesa, graną na koturnach, z maskami i w togach... Równie dobrze można by napisać, że król Stefan Batory nosił czapę z czterdziestu soboli, a królowa Anna kokosznik.

Zanotujmy jako rzecz szczególnie ważną, że pomimo wszystkich sentymentów dla tematu, autor *Sylwetek rzymskich* nie traci dystansu. Zawsze stać go na ironiczny uśmieszek. Jak się zdaje, bez tej umiejętności nie można być prawdziwym humanistą.

„Legenda opowiada — wywodzi profesor — że założyciela Wiecznego

---

* Stanisław Łoś: *Sylwetki rzymskie*. Warszawa 1958. Instytut Wydawniczy „Pax"; str. 272.

Miasta wykarmiła swym mlekiem wilczyca. Historia stwierdzić może, że naród Kwirytów wyssał z mlekiem tej prakarmicielki — obok innych właściwości wilczych — nieodparty pociąg do wieprzowiny. Z niej to czerpał siły i rozkosz życia, a później nawet poetyckie natchnienie... Gdy w epoce wczesnorepublikańskiej wyruszały w pole rzymskie legiony, by walczyć *pro aris et focis* (za ołtarze i ogniska domowe), wiódł je do zasługi i chwały zatknięty na drągu ryj wieprzowy. Historycy pragnący ocalić dostojeństwo dziejów Rzymu utrzymują, że był to dzik..."

Słynny orzeł rzymski zapanował na sztandarach późno, u samego schyłku II wieku przed Chrystusem.

„Szpony orłowe — czytamy dalej — zdobyły imperium tylko w jakichś dwudziestu procentach. W tym samym co najmniej odsetku zdobył je ryj wieprzowy. Tak świadczy historia. W jeszcze wyższym niż przy zdobywaniu imperium stopniu zasłużył się ryj wieprzowy, gdy przyszło do zakorzeniania narodu Kwirytów na zdobytej mieczem ziemi. Kolonie mogły bogacić się na hodowli nierogacizny. Natomiast dzieje nie zapisały ani jednego wypadku, by ktokolwiek wzbogacił się na hodowli orłów."

To wszystko w rozdziale *Homo Porcius,* traktującym o gospodarczym i społecznym podglebiu dziejów republiki. Przyznajmy, że po oceanach nudy na temat „bazy" ta metoda bardzo przecież uczonego wykładu działa jak łyk tlenu.

Szkice, składające się na ten tom, były ogłaszane w rozmaitych czasopismach. Wolno chyba przypuszczać, że autor pisał je nie myśląc początkowo o wydaniu ich w jednej książce. Inaczej trudno przyjdzie zrozumieć jej najpoważniejszy brak formalny, polegający na powtórzeniach. Te same tezy, nawet motywy i sformułowania, powracają w poszczególnych rozdziałach. Pomoże to czytelnikowi lepiej zapamiętać poszczególne kwestie, ale pięknu dzieła wyraźnie szkodzi. Istnieje zasada, że powtarzanie jest matką studiów, rozumianych jako nauczanie. Artysta jednak ma tę cechę wspólną z dzielnym generałem, że woli jedno dobrze skoncentrowane uderzenie od tuzina wypadów cząstkowych.

Charakterystyczną i urzekającą cechą książki jest jej idealna zgodność z polską tradycją patrzenia na starożytny Rzym. Można oczywiście przypierać mnie do muru żądając ścisłego dowodu w postaci cytatu, zdania albo twierdzenia wyrażonego wprost. Jednakże od tego wszystkiego ważniejsza jest melodia przenikająca dzieło, rozkład cieni i świateł, zwykła zaduma autora nad tym właśnie, a nie innym fragmentem prawdy.

Istotą tej tradycji jest podświadomy nawyk utożsamiania się polskiego pisarza i czytelnika z bohaterami dziejów starożytnego i to zwłaszcza republikańskiego Rzymu, a nawet po prostu z nim samym.

To nam głęboko weszło w krew i wątpię, czy wśród wielbicieli *Quo vadis?* znajdzie się choć jeden, który by czuł inaczej. Czytając o barbarii, która tylko wobec Rzymian udaje ludzi, lecz u siebie w domu chodzi jeszcze na czworakach, każdy utożsami się z szydercą — aczkolwiek logicznych powodów po temu brak.

Do powieści Sienkiewicza przyjdzie jeszcze powrócić, trudno bowiem zaczynać od niej, kiedy wspomniana tradycja jest u nas zadziwiająco stara. Wspomnijmy Mistrza Wincentego Kadłubka i jego gorącą miłość do starożytności... klasycznej wprawdzie, ale też pogańskiej. Miłość aż dziwną u człowieka,

który był przecież pierwszym biskupem krakowskim, wybranym w sposób kanoniczny. Jeśli wierzyć Kadłubkowi, w żyłach dynastów piastowskich płynęła domieszka krwi julijskiej, która to krzyżówka dała ze wszech miar wspaniałe rezultaty.

Oryginalnie się to układa: im młodszy w danej ziemi katolicyzm, tym silniejsze ciągoty do Wiecznego Miasta. Baśniami o rzymskim pochodzeniu szczególnie przejęło się rycerstwo Wielkiego Księstwa Litewskiego: my stara szlachta rimskaja, a wy — Lachowie — z chłopów...

Dla bezstronności wspomnijmy, że według Paprockiego dwadzieścia tysięcy szlachciców wywodziło się na Mazowszu z nasienia jednego jedynego patrycjusza rzymskiego, który tam kiedyś przybył — w świecie wyobraźni.

Cóż dziwnego, że stan o równie dostojnej genealogii tak kurczowo trzymał się łaciny?

W Rzymie — przypomina profesor Łoś — do nobilów zaliczał się każdy, kto osiągnął w senacie jedną z czterech głównych godności, przy czym tytuł dziedziczyli po nim męscy potomkowie w dwóch pierwszych pokoleniach. Dalsi, jeśli sami do senatu nie weszli, tylko przez grzeczność uważani byli za przynależnych do *nobilitas*.

W dawnej Polsce dostojeństwo rodu magnackiego zależało od ilości senatorów w jego dziejach. Na pierwszym miejscu stali więc Radziwiłłowie, którzy u schyłku rzeczypospolitej szlacheckiej liczyli ich czterdziestu. Sapiehowie mieli tylko o dwóch mniej. Magnat lub szlachcic, który sam się niczego nie dochrapał, zostawał jednak — *antiquo more* — wojewodzicem, kasztelanicem, podstolicem.

Nie ma cudu, że po takich i przez całe wieki trwających przygrywkach literatura polska wydała *Quo vadis?*, gdzie owo utożsamianie się z Rzymianami osiągnęło szczyty.

Można przeciwko tej tezie wytaczać najcięższe kolubryny. *Quo vadis?* to powieść programowo katolicka, kończąca się apologią bazyliki Piotrowej, która „panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu". Rzym starożytny, czyli pogański, „wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący", autor potępia. Wszystko to prawda — ale czysto formalna.

Artysta wypowiada się do głębi dopiero przez postacie, które sam stworzył. Jeśli przyłożyć do *Quo vadis?* tę miarę, okaże się, że Sienkiewicz całą duszą jest właśnie ze światem pogańskim, bo tylko ten żyje w powieści artystyczną prawdą. Po stronie chrześcijańskiej mamy w tej książce lukrowe kolorki i glicerynowe mydło (przy jakiejś innej okazji trzeba będzie zastanowić się nad tajemnicą tego dziwnego katolickiego pisarza, którego pióro d o b r z e kreśliło tylko typy najzupełniej amoralne).

Zresztą Sienkiewicz w wielce oryginalny sposób doprowadził do syntezy. Usunął przeszkody wynikające z przyczyn, jeśli wolno tak powiedzieć, formalno-wyznaniowych i pełnym głosem wyśpiewał pochwałę stylu życia rzymskiego patrycjusza. Uczynił to w ostatnim liście Winicjusza do Petroniusza:

„Oto w tej chwili, z portyku, pod którym piszę, widzę naszą spokojną zatokę, a na niej Ursusa w łodzi, zapuszczającego sieć w jasne tonie. Żona moja przędzie czerwoną wełnę obok mnie, a w ogrodach pod cieniem drzew migdałowych śpiewają nasi niewolnicy. O, co za spokój, *carissime*, i jakie zapomnienie dawnych trwóg i boleści! Ale to nie Parki, jak piszesz, przędą tak słodko nić na-

szego żywota, to błogosławi nam Chrystus, umiłowany nasz Bóg i Zbawiciel... Słudzy nasi i niewolnicy wierzą również, jak i my, w Chrystusa, a że On miłość nakazał, więc miłujemy się wszyscy..."

Doprawdy, trzeba nie mieć nosa, żeby nie poczuć w tych słowach zapachu Nagłowic — gdzie „wszystko czyście" — lub Soplicowa.

W gruncie rzeczy chodziło tylko o metrykę dla Winicjusza, na tym się wyczerpuje ideowy konflikt. Petroniusz odmówił jej przyjęcia i czy to tylko przypadek, że scenę jego samobójczej śmierci zapamiętują wszyscy, a Winicjuszowe sielanki na Sycylii nikogo nie obchodzą?

Profesor Łoś też pisze wyraźnie:

„W sto lat po wojnach domowych nie pozostało nic z warstwy, która zbudowała imperium i która przez lat trzysta nie zamknęła złotej księgi swych dziejów. Ostatni jej synowie od Trazei do Petroniusza umieli pięknie umierać".

Sylwetki rzymskie doskonale współdźwięczą z tą p o ł o w ą *Quo vadis?*, która zasługuje na nazwę wielkiego dzieła sztuki.

Bohaterem ostatniego szkicu jest rymotwórca z V wieku naszej ery, biskup Sydoniusz. Jednakże — mówi nam autor — „w pojęciu współczesnych biskup bynajmniej nie powinien był być stroniącym od świata i nienawidzącym świata ascetą. Miejscem ascetów była pustynia... Godność biskupia, żywe świadectwo znakomitości rodu i zalet osobistych, stawała się niemal dziedziczna. Pięknie to było być biskupem z dziada pradziada i kroniki zapisały wiele rodzin, w których infuła przez kilka pokoleń wieńczyła pełne pracy i zasług żywoty".

Jakoż i nasz Sydoniusz posiada pałace, rezydencje, pola, sady oliwkowe, winnice, łąki, lasy, stawy i zwierzyńce. W podsieniach jego domu rzędem stoją konterfekty przodków, lecz za to w oficynach kwaterują olbrzymi, jasnowłosi, cuchnący czosnkiem wojownicy burgundzcy i biedny poeta nie ma przez nich chwili spokojnej.

Ten Sydoniusz to też taki jakiś Petroniusz w pomniejszeniu, pozbawiony znamion wielkości może przede wszystkim dlatego, że przyszło mu żyć w czasach, kiedy już żaden pijany konsul nie mógł krzyczeć na sali biesiadnej: „Trzydzieści legij strzeże naszej *pax romana!*... A bodajże nawet trzydzieści dwie...".

Tradycja, w której się tak dobrze mieszczą *Sylwetki rzymskie*, jest prastara, urocza, miła sercu — ale coraz wyraźniej brzmi w niej dysonans. Przeżycia ostatnich czasów sprawiły, że godzić się z nim dalej niesposób.

Moje znajomości z antykiem zaczęły się, zanim jeszcze nakazał mi to program szkolny. Najpierw przeczytałem *Iliadę* w szacownym przekładzie eks-księdza Dmochowskiego, potem — mając lat trzynaście — *Quo vadis?*. Zanurzyłem się z głową w Sienkiewiczowską atmosferę i nie wyobrażałem sobie, że można na sprawy Rzymu patrzeć inaczej. Zaskoczenie nastąpiło, kiedyśmy się zabrali w gimnazjum do Liwiusza w oryginale.

Wykładowcą łaciny był wtedy u nas — w Grodnie — Franciszek Dańko, syn chłopa z Małopolski, rozmiłowany w świecie klasycznym nad podziw. Zawsze porządnie ubrany, od modnych nowinek stronił, co mili wychowankowie objaśniali słowami: „Cycero getrów nie nosił, Cezar nie nosił i ja nie będę!".

Gdy doszło do drugiej wojny punickiej i opowiadania o Hannibalu, który puszczał na wolność jeńców z wojsk pomocniczych, lecz samych Rzymian tępił bez miłosierdzia, profesor przerwał wykład i zasępił się.

— Pochwalać nie można, ale i dziwić się też — powiedział. — Rzymianie byli Prusakami starożytności.

Następne zdanie uzna ktoś może za niewczesne polowanie na efekty — niestety, to sama historia urządza u nas tragiczne inscenizacje.

Franciszek Dańko, wraz z wielu innymi profesorami mego gimnazjum, został rozstrzelany przez Niemców na grodzieńskich fortach.

Słowa o „Prusakach starożytności" były dla mnie pierwszym pouczeniem, że może istnieć inny jeszcze niż tradycyjny punkt widzenia. Nie zapomniałem ich nigdy. Podczas ostatniej wojny zawarte w nich treści miały okazję rozwinąć się w nowy pogląd na wiele rzeczy.

Zachwycamy się rzymskim patrycjatem, sercem stajemy po stronie plemienia twardego, pozbawionego wdzięku, wyobraźni i miłosierdzia, niezłomnego zarówno w nieszczęściu, jak i w zachłanności.

„Bardzo wcześnie — pisze profesor Łoś — wyrobiło się u Rzymian przeświadczenie, że nie istnieją państwa ani narody, które Rzym byłby zobowiązany uznawać za równe sobie, wobec których zatem musiałby mieć zobowiązania inne niż te, które wynikałyby z jego własnych interesów lub w najlepszym razie z jego wielkoduszności. Przy takim ujęciu rzeczy rychło poczęto uważać każdy odruch samodzielności państw obcych za rodzaj buntu przeciw rzymskiej przyrodzonej zwierzchności, przeciwko wyrokom bożym. Rzym zatem, gdy doszło do rozprawy orężnej, nie walczył, lecz karał."

Co by tu jeszcze przytoczyć? Chyba słowa: „znam, zanadto dobrze znam"... i nie tylko z lektury.

To doprawdy anachronizm, że my — Polacy — lubimy utożsamiać się z wyznawcami poglądu Winicjusza: „Bogowie dali Rzymowi zwierzchnictwo nad światem". Za królewskich i kasztelańskich czasów może było inaczej, ale od dawna znacznie bardziej nam przystoi patrzeć na dzieje starożytne z punktu widzenia osób i ludów przymusowo uszczęśliwianych.

Nie chciałbym popełniać niesprawiedliwości. Mamy w *Quo vadis?* sceny świadczące, że autor powieści nie zapomniał dni, w których pisał *Listy z podróży do Ameryki,* i nadal umiał oceniać.

Winicjusz z Chilonem jadą na mułach przez Pagus Janiculensis ku Drodze Tryumfalnej. Chilo przyzostał nieco z tyłu i gada sam do siebie:

„— Oto pożar został za nami i teraz grzeje nas w plecy. Nigdy jeszcze na tej drodze nie było tak widno w nocy. O, Zeusie! Jeśli nie spuścisz ulewy na ten pożar, to znać, że nie kochasz Rzymu. Moc ludzka nie zagasi tego ognia. Takie miasto, któremu służyła Grecja i cały świat! A teraz pierwszy lepszy Grek będzie mógł prażyć swój bób w jego popiołach! Kto by się tego spodziewał!... I nie będzie już Rzymu ni panów rzymskich... A kto zechce chodzić po zgliszczach, gdy wystygną, i świstać, ten będzie świstał bezpiecznie. O, bogowie! Świstać nad takim światowładnym miastem! Kto by z Greków albo nawet barbarzyńców mógł się tego spodziewać? A jednak można świstać, bo kupa popiołu, czy zostanie po ognisku pastuchów, czy po spalonym grodzie, jest tylko kupą popiołów, którą prędzej czy później wiatr rozwieje...

...widziałem i takich, którzy wyli z radości, albowiem, o, panie, dużo jest na świecie złych ludzi, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw waszego łagodnego panowania i tych słusznych praw, na mocy których odbieracie innym to, co mają, i przywłaszczacie sobie. Ludzie nie umieją pogodzić się z wolą bogów!"

Przewiduję zarzut obrazoburstwa. Dziedzictwo kultury klasycznej jest tak wielkim skarbem, że może naprawdę nie warto kwilić nad losem rozmaitych Epirów i Numancji, zdeptanych ongi przez legiony. Rzymianie rozleli rzeki krwi i dopuścili się niezmierzonego mnóstwa okrucieństw, ale też zostawili po sobie nie lada spadek.

Te sprawy trzeba pokrótce rozpatrzeć. Książka profesora Łosia stwarza znakomitą okazję do rozważań i wniosków, które może nie zawsze wypadną zgodnie z sympatiami autora. Z sympatiami tylko, bo fakty są u niego przedstawione obiektywnie.

Najpierw trochę trybu warunkowego (wbrew utartym mniemaniom twierdzę, że dziejopisarzom wolno „gdybać", ponieważ jest to dla nich jedyny sposób tworzenia hipotez). Załóżmy więc, że wojskom Mariusza nie udało się rozbić Cymbrów i Teutonów, którzy nadciągnęli od północy. W takim razie już u schyłku II wieku przed Chrystusem Germanowie zaleliby Italię i położyli kres imperium. Cóż by wtedy zostało z dorobku Rzymian? Wspomnienie tylko. Wspomnienie równie przyjemne, jak to, które pozostało po Asyryjczykach. Uczono by w szkołach, że istniało kiedyś takie wilcze plemię, które napadało, mordowało, łamało przysięgi, gwałciło, lecz nie potrafiło samo stworzyć niczego naprawdę wartościowego.

Prawo rzymskie zdradza wyraźne pokrewieństwa z ustawami innych plemion środziemnomorskich. Papinian, Ulpian, Paulus, którzy za cesarstwa wynieśli je na szczyty doskonałości — byli Syryjczykami. Kulturę utwierdzili i roznieśli po imperium Grecy, Grecy i jeszcze raz Grecy. Nawet samą ideę imperialną filozoficznie uzasadnił Grek, Polibiusz. Dzięki nim tylko i w samym Rzymie narodziła się twórczość oryginalna. Wielki „pokój rzymski" nie wcześniej zapanował nad światem, aż rządy na Kapitolu ujęli „Rzymianie Bóg wie skąd", cesarze z prowincji rodem, a jeszcze bardziej biurokracja, składająca się przede wszystkim z Greków, Syryjczyków i lewantyńców innych odmian. Uniwersalna religia?

Z krwi Izaaka, Abrahama,
Judy, Jakuba i Arama,
Zary, Tamary i Rachaby,
Jessego, Ruty i Dawida,
Z Booza, króla Salomona,
Achima, Azy i Amona,
Z krwi Ezechiasza i Matana
(Jakże wymienić mężów trzystu,
A nie pominąć krwi niczyjej?)
Zrodził się Józef, mąż Maryi,
Z której się zrodził Jezus Chrystus.
Z pokoleń czarnych, trwożnych Żydów,
Gniewnych, ponurych, zabobonnych,
Z Judei dzikiej i skalistej
Do Galilei winnic wonnych
Zstąpił Żyd wielki... *

* Antoni Słonimski: *Rodowód.*

Bardzo możliwe, że rzymski prokurator z Judei w ogóle zapomniał, jaki wyrok wydał w Jerozolimie za rządów Tyberiusza cesarza. To by nawet dobrze pasowało do obyczajów jego nacji.

Dzieje wymierania, a raczej wzajemnego wymordowywania się Kwirytów są pasjonujące. Trudno jednak płakać nad nimi z żalu. Wielkie dziedzictwo kultury noszące stempel rzymski pochodzi z doby cesarstwa, kiedy to „Tyber zaginął w syryjskim Oroncie". Można oczywiście wysławiać Rzymian za to, że całkiem nieświadomie — mimo woli — tworząc rozległe państwo ułatwiali pracę lepszym od siebie, że znosili przegrody i łączyli w jedność ówczesny krąg świata. Jeśli już jednak wielbić zdobywców, to schowajmy raczej wieńce dla Aleksandra Macedończyka, któremu i kultura nie była obca, i cel przyświecał o ileż wyższy od nacjonalistycznej zachłanności. On pierwszy zupełnie świadomie zaczął scalać kraje śródziemnomorskie i jeszcze dalsze.

Mówca grecki Eliusz Arystydes bardzo wychwalał rzymskie rządy:

„Miasta promienieją pięknem i powabem, a cała ziemia jest strojna, jakby ogród — głosił. — Toteż tylko politowania są godni ci, którzy żyją poza granicami naszego państwa, ponieważ nie uczestniczą w tych dobrodziejstwach. Wy (Rzymianie) urzeczywistniliście w zupełności powszechnie powtarzane zdanie, że ziemia jest matką wszystkich i wspólną ojczyzną wszystkich. Czy Grek, czy barbarzyńca może się teraz wszędzie z łatwością poruszać, czy ze swym mieniem, czy też i bez niego, zupełnie jakby się z ojczyzny do ojczyzny przenosił. Nie budzą dziś grozy ani cylicyjskie przesmyki, ani piaszczyste pustynie Arabii, ani góry niedostępne, ani rzeki olbrzymiej wielkości, ani hordy barbarzyńców; wystarczy być Rzymianinem, co więcej, jednym z waszych poddanych, aby być bezpiecznym. Wy w czyn wprowadziliście słowa Homera, że ziemia jest wszystkim wspólna. Wymierzyliście świat cały, sprzęgliście mostami rzeki, poznosiliście góry, a wyrównaliście ziemię, zapełniliście osadami pustynie, prawami i obyczajami wszystko uregulowaliście."

Nie warto dochodzić, ile w tych słowach pochlebstwa. Ważniejsze, iż wygłoszono je za rządów Antonina Piusa, który panował od roku 138 do 161 po Chrystusie. Cesarze z linii julijsko-klaudyjskiej dawno już przedtem zdążyli przetrzebić, a właściwie wytępić prawdziwych Kwirytów i świat zaczął spokojniej oddychać.

Chciałoby się w tym miejscu wyrazić radość, że owi julijsko-klaudyjscy dynaści sami też przenieśli się w zaświaty, ale przeszkadza poważna okoliczność. Faktem jest, że ostatniego spośród nich, czyli Nerona, mieszkańcy prowincji gorzko opłakiwali. „Matricida" bowiem tępił w Rzymie patrycjuszy, ale w prowincjach żyło się wtedy względnie nieźle. Ostatecznie to nie on nimi rządził, lecz zawodowi urzędnicy, pochodzący z najrozmaitszych narodowości. Za jego czasów powstał pierwszy projekt przekopania Przesmyku Korynckiego.

Wspominając o Kaliguli, Klaudiuszu i Neronie pisze profesor Łoś:

„Imperium nie tylko przetrwało, ale odnosi się wrażenie, że pomimo sporadycznych szaleństw fiskalnych zbyt rozrzutnych cesarzy, pomimo konfiskat, które zresztą spadały tylko na najbogatszych, prowincje żyły na ogół w spokoju, bunty zdarzały się wyjątkowo, ludzie pracowali, bogacili się, przystrajali z rozkoszą swe maleńkie municypalne ojczyzny, jedyne, które naprawdę kochali."

Nie był to orli styl życia. Ale ja tych ludzi rozumiem.

Sylwetki rzymskie są dowodem dużej odwagi cywilnej ich autora.

Wcale nie chodzi o wyraźne akcenty sympatii dla rzymskiej arystokracji. Na szczęście zaniechano już u nas dzieciństwa, polegającego na politycznym traktowaniu platonicznych sentymentów. Stokroć ważniejsze są poglądy Stanisława Łosia na rolę i dziedziczne cechy grupy etnicznej, narodu.

Nie chcąc niczego przekręcić, muszę przytaczać dosłownie: „Jeżeli chodzi o okres republikański, aż do pierwszych lat II wieku przed naszą erą, to nie możemy mówić o świadomej i planowej akcji Rzymian, zmierzającej do opanowania świata śródziemnomorskiego. Możemy jednak z mnóstwa faktów historycznych lub legendarnych szczegółów wydobyć na jaw te czynniki, które wywarły wpływ rozstrzygający na politykę nadtybrzańskiego miasta. Czynniki te, a były to nakazy narodowego charakteru, działały tym silniej, że nie uświadomione przez rozum, płynęły z instynktu i woli".

O kilkadziesiąt stronic dalej ta sama teza wraca jeszcze wyraźniej:

„Mieszkańcy pierwotnego Rzymu pokrzyżowali się ze sobą — podobnie jak pokrzyżowały się ze sobą wszystkie plemiona, które w toku dziejów osiedlały się kolejno na wyspie brytyjskiej — i podobnie jak na wyspie brytyjskiej wytworzyli w wyniku tego procesu rasę pochodną, rasę oczywiście nie w antropologicznym, lecz w historycznym znaczeniu tego słowa... Naród rzymski był takim stopem o charakterze sobie tylko właściwym, który to charakter powstał raz tylko jeden jedyny w ciągu dziejów, a zniknął bezpowrotnie, gdy na skutek dalszych, zbyt licznych i odmiennych domieszek i krzyżówek stop rozpłynął się w morzu zbyt obficie dopływającej krwi narodów pozaitalskich: »Tyber zaginał w syryjskim Oroncie«. Obok importu obcej krwi działał tu również import obcych kultur."

Mówiąc bez osłonek, odwaga autora polega na tym, że broniąc swych poglądów nie zawahał się wystawić na politycznie bardzo ciężki zarzut rasizmu.

Kilka lat temu zdarzyło mi się pisać o ujemnych skutkach, wynikłych z tego faktu, że Jagiellonowie nie byli Polakami. Na to pewien Szymon Gorliwiec pośpieszył z repliką, zawierającą wzmiankę o ustawach norymberskich. — Gdyby biedaczysko czytał kiedy dzieło Szajnochy, wiedziałby, o co chodzi. Po prostu między innymi o to, że po śmierci Jadwigi Jagiełło czuł się na tronie bardzo niepewnie i chcąc się tam utwierdzić szafował darami, ogromnie uszczuplając majątek państwa i szerząc niedobre obyczaje. Ale biedaczysko niczego nie czyta, umie tylko głośno wrzeszczeć.

Do fatalnego dziedzictwa po latach okupacji zaliczyć trzeba i to, że pewne tematy stały się u nas jakby „tabu". Przez długi czas zarzut rasizmu był narzędziem nacisku i — prawdę powiedziawszy — szantażu. Stwarzał też okazję do donosów. Niektórzy nasi uczeni boleśnie te rzeczy odczuli.

Tymczasem prawdziwy rasizm polega tylko i wyłącznie na w a r t o ś c i o w a n i u. Stwierdzanie faktycznie istniejących różnic między grupami ludzkimi nic z nim wspólnego nie ma. Absurdem jest przypisywanie rasie nordyckiej jakichś specjalnych, jedynych na świecie właściwości twórczych. Ale wykreślać z wiedzy samo pojęcie elementu nordyckiego to też głupstwo.

Starożytni Grecy byli narodem na wskroś genialnym, tylko w dziedzinie praktyki politycznej zachowywali się jak rozbisurmanione bachory. Turcy

stworzyli wielkie państwo i w żadnej dziedzinie poza wojskowością oraz polityką prochu nie wymyślili. — Wartościować? Co mianowicie? Jaki czynnik sławić lub stawiać pod pręgierz? Przecież nie orientalizm czy wyznanie, bo mahometańscy Arabowie zarówno w nauce i sztuce, jak w wojnie i polityce okazali się wielkimi mistrzami. Nie podobna negować, że w poszczególnych środowiskach ludzkich wytwarzają się takie lub inne skłonności (których skutki podlegają oczywiście ocenie, zwłaszcza moralnej). Pytanie: „dlaczego tak się dzieje?" — jest zawsze najważniejsze, ale nie rozwiąże się zagadki, zaczynając od zaprzeczania niewątpliwemu faktowi różnic.

Od dłuższego już czasu niepokoi mnie beztroska, z jaką nasi historycy i w ogóle humaniści odnoszą się do pewnych spraw, o których mówią dyscypliny przyrodnicze. Zupełnie tak, jakby między jedną a drugą dziedziną stały u nas szczelne przegrody.

Za rok przypada czterdziestolecie powstania seroantropologii, czyli nauki badającej rozmieszczenie cech krwi na globie. Zapoczątkowali ją Polacy, Hanna i Ludwik Hirszfeldowie, przez długi czas jej faktyczną centralą światową była Warszawa. Pierwsze masowe badania oraz studia odbyły się u nas i stopniowo objęły wszystkie kulturalne państwa ziemi, bez względu na ich ustrój.

Z ustaleń seroantropologii wynika niezbicie, że narody różnią się między sobą, jeśli chodzi o częstość występowania poszczególnych cech krwi. Wszędzie są te same: „A", „B" i „O", wszyscy ludzie na świecie mają identyczne krwinki, ale bardzo rozmaicie wymieszane. Dla przykładu warto przypomnieć, co seroantropologia mówi o największych narodach słowiańskich. Białorusini, Polacy, Ukraińcy i Rosjanie pod względem składu krwi wielce są podobni do siebie... oraz do Niemców ze wschodu (na drugiej półkuli zbliżeni do nich wszystkich są biali mieszkańcy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej). Natomiast Rumuni przypominają Francuzów.

Narody istnieją więc nie tylko w świadomości swoich członków, lecz są wartościami egzystującymi wprost materialnie, a wytworzonymi przez liczne tysiąclecia historii, w ciągu których poszczególne elementy tak właśnie, a nie inaczej wymieszały się ze sobą. Seroantropologia może więc być traktowana jako swoista nauka pomocnicza historii, pozwala nam bowiem wejrzeć w niezmiernie odległe rozdziały dziejów ludzkości.

Nie należy jednak zbytnio się kwapić do uogólnień. Polacy, Rosjanie i Niemcy wschodni pod względem seroantropologicznym stoją tuż obok siebie, lecz jak najbardziej różnią się charakterami narodowymi.

Inną kwestią niezwykle ciekawą dla humanisty jest teoria biocenozy, stworzona kilkadziesiąt lat temu przez Niemca Mobiusa.

Biocenoza jest to stała wspólnota istot żywych, należących do różnych gatunków, zajmujących pewien teren, na którym znajduje się wszystko, co tym istotom jest potrzebne do życia, rozmnażania się i wzrostu.

Każde chyba dzieło traktujące o tym temacie za typowy przykład biocenozy podaje las, w którym wszystko przecież — od najpotężniejszego dębu do ostatniej bożej krówki — żyje w stałej współzależności i warunkuje się wzajemnie. Zniszczenie jednego ze składników koniecznie musi się odbić na bytowaniu całości. Biocenozą jest zarówno gaik pod Siedlcami, jak i tajga syberjska. Każda z nich podlegając tym samym prawom przyrody stanowi jednak całość zupełnie swoistą, od innych odrębną.

Biocenozą jest również każdy z nas, ponieważ organizm ludzki stale współżyje z miliardami bakterii, wirusów, grzybów makroskopowych. Wiadomo, że nadmierne używanie leków — na przykład antybiotyków — może zakłócić równowagę ustroju. Wchodzimy w skład wielkich biocenoz, zajmujących określone tereny o bardzo nieraz różnej specyfice.

Pytanie do rozstrzygnięcia: czy i jaki związek zachodzi pomiędzy pojęciami biocenozy i narodu, który nie istnieje przecież w próżni, lecz zajmuje pewien obszar ziemi o konkretnych, niepowtarzalnych właściwościach?

Znawcy tematu utrzymują, że u ludów zamieszkałych nad morzem występują te same charakterystyczne cechy — przede wszystkim zamiłowanie do solidnej roboty oraz do czystości. Rozstrzyga o tym chyba sam żywioł wodny, wchodzący w skład tamtejszych biocenoz. O wytrzymałości okrętu stanowić może najsłabiej wykonana jego część, brud i rdza niszczą sprzęt, od którego sprawności zależy życie ludzkie. Nawyki dziedziczone przez pokolenia sprawiają, że holenderskie rybaczki codziennie myją fasady swoich domków, a rzetelny marynarz gardzi podłogą z sękatych desek.

Czy nie jest tak, że ludzie tworzący pewne zbiorowiska, zamieszkujący na określonych miejscach, mają okazję doznawania takich samych lub przynajmniej podobnych bodźców, co powoduje wytwarzanie się mniej więcej jednolitego, odmiennego niż gdzie indziej typu odruchów warunkowych?

Niedawno temu przeczytałem w prasie francuskiej artykuł profesora Roberta Oppenheimera, który wspominał o nowoczesnej teorii, głoszącej, że proteiny zawarte w niektórych genach magazynują niejako wiedzę pokoleń poprzednich, przekazując ją spadkobiercom.

Trudno pojąć, czemu nasza humanistyka czerpie wiadomości tylko z dziedzin historii, prawa, socjologii, ekonomiki i innych zbliżonych, a odwraca się plecami do odkryć nauk przyrodniczych. Przecież nauka jest jedna i niepodzielna, tylko rozrosła w liczne gałęzie, a charakterystyczną cechą humanistyki w renesansowym sensie tego słowa jest... a przynajmniej powinna być wszechstronność.

Nie wszystko, co dotyczy dawnego człowieka, da się wyczytać z dokumentów spisanych na papierze.

Zdaję sobie sprawę, że przy obecnym stanie wiedzy poznanie jej całokształtu to zadanie niewykonalne. Ale nie wolno wszak kapitulować bez oporu, trzeba robić, co się da.

Nie tworzę żadnych teorii, twierdzę tylko, że nikt nie ma prawa ogłaszać pewnych problematów za wyklęte.

Profesor Łoś przedstawia fakty, które potrafimy tylko zauważyć i opisać, lecz nie zdołamy ich przyczynowo wyjaśnić. Takim faktem jest wytworzenie się nad Tybrem środowiska ludzkiego o szczególnych, zdobywczych i organizacyjnych umiejętnościach, czy może nawet predyspozycjach (a może jakiś związek z przyczynami ma prastara legenda, głosząca, że pierwotny Rzym powstał z kolonii przestępców?). Swoboda, z jaką autor zabrał się do tego zagadnienia, przynosi mu zaszczyt. Mógł chyba łatwo przewidzieć zarzuty, a zwłaszcza ich charakter. Pomimo to nie ogradzał się żadnymi zastrzeżeniami, wykładał swoje poglądy wprost, nie oglądając się na możliwe przykrości. Bez takich obyczajów nie ma humanistyki.

„Ewolucja dziejów rzymskich w okresie rozrostu i w okresie rozkładu tłumaczy się różnicami w postawie duchowej tej grupy ludzkiej, którą nazy-

wamy narodem rzymskim w okresie od VIII wieku przed naszą erą do V wieku naszej ery. Czy znaczy to, że drogą ewolucji charakter rzymski uległ zmianie? I tak, i nie! Rzymianie IV wieku naszej ery zachowywali się w obliczu tych samych zagadnień inaczej niż Rzymianie żyjący o paręset lat wcześniej. Lecz nie oznacza to, że jedynie narodowy charakter rzymski uległ zmianie. Nie działał tu wyłącznie upływ czasu. Drogą ewolucji uległ zmianie — i tu będzie główna przyczyna zmiany charakteru narodowego — skład etniczny grupy ludzkiej noszącej przez kilkanaście stuleci tę samą nazwę rzymskiego narodu."

Takich wywodów już od dawna nie słyszeliśmy. Ale jeżeli odrzucić uprzedzenia i przesądy, to cóż w tym wszystkim dziwnego lub mistycznego?

Doszli do władzy „Rzymianie Bóg wie skąd", ludzie — jak już poprzednio podkreślałem — wartościowi, narodzeni jednak i wychowani w innych środowiskach, jeśli już nie powiedzieć: biocenozach. Umysły ich kształtowały się pod wpływem różnych bodźców, system wartościowania był na pewno różny od tego, jaki obowiązywał nad Tybrem za Cyncynnata. A może i owe proteiny były jakoś inaczej zbudowane? W dodatku jeszcze ci nowi ludzie ilościowo ogromnie przeważali nad rdzennymi Kwirytami.

Byłoby niedorzecznością mniemać, że takie przemiany nie wywrą wpływu na przebieg dziejów.

III

Moja budująca zgodliwość sięga tylko do określonych granic. Ceniąc wszystkie argumenty dotyczące zmian charakteru i składu etnicznego, widzę w nich jedną z przyczyn uwiądu imperium, ale wcale nie jedyną, może nawet nie główną.

Człowiek tworzy dzieje — w miarę istniejących możliwości. Bywają zagadnienia, których rozwiązanie stanowi materialną niemożliwość.

Moim zdaniem do takich z góry przegranych zadań zaliczała się sprawa utrzymania imperium rzymskiego. Tworzono je stopniowo, klecąc budowlę kawałek po kawałku. A potem trzeba było strzec jednocześnie całego ogromnego obszaru, bronić go przy pomocy tych samych środków technicznych, jakie niezmiennie istniały od setek lat (a nie zapominajmy, że w tym państwie granic strzegło wojsko, słuchające — albo i nie — rozkazów rządu centralnego; mieszkańcy napadanych prowincji nie myśleli się narażać).

Postęp techniczny odbywał się w starożytności bardzo powoli, a jeśli mierzyć wedle naszych dzisiejszych pojęć — tempo jego było zupełnie niedostrzegalne. U schyłku cesarstwa — tak samo jak za najświetniejszych lat republiki — najszybszym środkiem komunikacji były końskie nogi, legiony maszerowały na piechotę, walczyły tym samym ręcznym orężem. To — powtarzam — wystarczało dla stopniowych podbojów, przestało jednak wystarczać dla obrony i utrzymania olbrzymiej przestrzeni, zagrożonej od razu w wielu miejscach. W dodatku starożytność korzystała ciągle z tych samych źródeł bogactw, które musiały się wyczerpywać.

Wątpię, czy najbardziej rdzenni Kwiryci zdołaliby coś poradzić w IV i V stuleciu po Chrystusie, w czasie wielkich wędrówek ludów i powszechnego naporu. Bohaterowie powieści Parnickiego mówią o Rzymianach, że nie należy

ich zaczepiać, bo oni ze strachu podbijają coraz liczniejsze narody. Typową dla Rzymian formą obrony był atak i zabór. To nie mogło żadną miarą trwać wiecznie.

Cesarstwo zachodnio-rzymskie zniszczyli barbarzyńcy. Profesor Łoś odzywa się o tych ludach bez specjalnego uznania. Czyni to tak sugestywnie, że całą duszą jesteśmy po stronie biednego Sydoniusza, udręczonego przez Burgundów, co wieczór ryczących pieśni ku czci bohaterów Walhalli.

„Barbarzyńca — czytamy — miewał chwile rozbestwienia: wtedy kradł, palił, gwałcił, rabował, zabijał, ale... nie urzędował. Gdy atak furii minął, barbarzyńca stawał się łagodny, dobroduszny, nawet sentymentalny; można u niego było znaleźć pomoc i opiekę przed innym barbarzyńcą, któremu łamał kości narażając własne."

Czy to aby jednak nie przesada z tym barbarzyństwem, umiejącym rzekomo tylko żreć mięso, żłopać piwo, zabijać i ginąć? Zostawmy w spokoju plemiona germańskie, afrykańskie i azjatyckie, graniczące ze światem kultury klasycznej. Ale przecież nad jakże odległą Wisłą mamy ciekawe pamiątki z czasów, w których żył biskup Sydoniusz. Mówię o podkrakowskiej Igołomii.

Odkryto tam imponujące szczątki rozległego ośrodka produkcji garncarskiej i wytopu żelaza. Piece, masami skupione na zwartej przestrzeni, pracowały bez wątpienia na wywóz. To już nie było wiejskie rzemiosło, obsługujące mizerne potrzeby puszczańskich siół, lecz wytwórczość przemysłowa na skalę naprawdę wielką. Same rozmiary i długowieczność igołomskiego ośrodka świadczą, że musiała istnieć jakaś forma organizacji politycznej, i to trwałej oraz sprawnej. Ktoś przecież troszczył się o dowóz surowca, paliwa i wywóz gotowych wyrobów, o dostawę żywności, no i o bezpieczeństwo ludnego osiedla. To raczej przesada utrzymywać, że ludzie zdolni do takich wyczynów technicznych i organizacyjnych byli zupełnymi dzikusami. Germanowie, którzy napierali na zachodnie cesarstwo, reprezentowali zapewne ten sam poziom cywilizacji, co i Słowianie znad Wisły. Nie łatwo było ich powstrzymać, zwłaszcza że zachodziły zjawiska bardzo dziwne...

Sylvianus, chrześcijański kapłan z V wieku, w dziele *O Opatrzności Bożej*, tak pisze o rzymskim pospólstwie:

„Nie mogąc znieść u Rzymian barbarzyńskiego okrucieństwa, szukają rzymskiej łagodności u barbarzyńców. A chociaż różnią się zwyczajami i językiem od tych, u których szukają schronienia, chociaż razi ich, że tak powiem, sam odór barbarzyńskiego ciała i odzieży, wolą się jednak pogodzić z obcym sobie sposobem życia niż znosić ze strony Rzymian dzikie bezprawie.

Raz po raz udają się więc czy to do Gotów... czy do innych państw barbarzyńskich i nie żałują swej ucieczki. Wolą bowiem jako jeńcy pędzić życie swobodne niż pod pozorem wolności cierpieć niewolę. W dawnych czasach imię obywatela rzymskiego nie tylko szacowano wysoko, lecz płacono za nie wysoką cenę. Dziś każdy sam je odrzuca i ucieka od niego, gdyż nie tylko straciło wartość, lecz stało się wręcz nienawistne."

Nie sami obfici w dobra doczesne biskupi Sydoniusze zamieszkiwali państwo. Nie brakowało i takich, co woleli cuchnących czosnkiem Burgundów od dobrodziejstw imperium... już tymczasem ochrzczonego.

Profesor Łoś pisze o tym, że prowincje doprowadzone do rozpaczy przez biurokrację, z biegiem czasu rozrosłą w istnego polipa, z uczuciem ulgi witały

barbarzyńców. W sposób bardzo wnikliwy przedstawia stosunki łączące obywateli z państwem w ostatnich wiekach jego istnienia.

„Oddajcie cesarzowi co jest cesarskie“ — ten nakaz ewangeliczny obywatele pojmują w ten sposób, że postarali się obowiązki swe wobec państwa wyrazić pewną ryczałtową sumą pieniędzy, której uiszczanie zwalniałoby ich od wszelkiej dalszej troski o losy ziemskiej ojczyzny. Płacono cesarzowi podatek, tak jak właścicielowi domu płaci się czynsz, wymagając w zamian od niego, by utrzymywał budynek w porządku i w niczym nie mieszał się w życie lokatorów... To jest najprostsze, ale i najprawdziwsze wyjaśnienie przyczyn zgonu (nie upadku, bo tego nigdy nie było) Cesarstwa Rzymskiego. W ostatnich stuleciach swego istnienia państwo przemieniło się jakby w rodzaj ubezpieczalni; przyszedł czas, że ubezpieczeni nie mogli — lub nie chcieli — płacić premii i ubezpieczalnia zawiesiła działalność.“

Zadziwiające zjawisko, godne najpilniejszej uwagi! Świat śródziemnomorski tęsknił do jedności. Już Aleksander Macedoński próbował go scalić, ale państwo genialnego wodza zaraz po jego śmierci rozpadło się na dziedziny diadochów. Wymarzoną, koniecznie potrzebną jedność ówczesny świat kulturalny otrzymał z rąk Rzymu, korzystał z niej przez kilka stuleci, a potem nie chciał się fatygować dla jej obrony, obojętnie przyglądał się niszczącym ją Germanom. Dziwne to, zwłaszcza jeśli się wspomni wymowny, przytoczony już panegiryk Eliusza Arystydesa.

Nie będzie może przesady w twierdzeniu, że wielkie dzieło Rzymian od początku było śmiertelnie chore. Państwo obejmujące cały świat śródziemnomorski powstało wyłącznie z podboju. Jedność była konieczna i pożądana, ale narzucono ją przemocą. O wszystkim arbitralnie rozstrzygał ośrodek polityczny nad Tybrem, nikt z uszczęśliwianych nie wniósł w dzieło jedności wolnej i nieprzymuszonej myśli, nie włożył w sprawę serca.

Państwo rzymskie w chwili rozkwitu liczyło jakieś osiemdziesiąt do stu milionów ludzi. Jego ilościowa przewaga była ogromna, mogła rozstrzygnąć nawet w warunkach technicznej równowagi z plemionami napastników. Imperium stworzone wyłącznie siłą i machiawelstwami nie posiadało żadnej więzi moralnej i nie wytrzymało próby.

Stanowiło właśnie i m p e r i u m, początkowo było republiką wyłącznie dla Kwirytów, lecz nigdy nie tworzyło — Rzeczypospolitej Dla Wszystkich.

Paweł Jasienica

Zdzisław Najder

PARANDOWSKI CZYLI DOLA KLASYKA

Błyskotliwy esej Włodzimierza Maciąga o Janie Parandowskim *(vide* poprzedni numer *Twórczości)* czytałem z prawdziwym uznaniem i szczerą irytacją. Nareszcie ktoś zdobył się na odwagę i wysiłek krytycznego omówienia twórczości jednego z najwybitniejszych, najpopularniejszych — a zarazem głębokim milczeniem recenzentów pokrywanych pisarzy. I to omówienia nie poprzestającego na ogólnikach ani zagubionego w cieniowaniu sądów, ale opartego na całościowej, oryginalnej i ostro sformułowanej syntetycznej interpretacji całości dorobku autora *Dysku olimpijskiego.* Co więcej, szkic Maciąga napisany jest żywo i z pasją. To budzi uznanie. Ale jednocześnie irytuje jednostronność oceny i prymitywność schematu pojęciowego, na jakim jest oparta. Dziwi rozpatrywanie twórczości Parandowskiego w zupełnym oderwaniu od polskich tradycji kulturowych i kontekstu literackiego, a w gruncie rzeczy także od jej funkcji społecznej. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo Maciąg zamaskował istotną lukę w swoich wywodach słusznym twierdzeniem o wychowawczej i popularyzatorskiej roli pisarstwa Parandowskiego — zapomniał jednak zastanowić się, do czego nasz autor wychowuje i jakie skutki przynosi jego popularyzacja. Trudno się też opędzić podejrzeniu, że krytyk bardzo nierównomiernie obdzielił swoją uwagą poszczególne utwory Parandowskiego: na plan pierwszy wysunął się u niego *Petrarka,* czytankowe opowiadania z *Trzech znaków Zodiaku* i publicystyka.

Trzymajmy się wszakże empirycznego konkretu i przeanalizujmy argumentację i ciąg rozumowania eseisty. Na początek jednak czuję się w obowiązku przyznać otwarcie, że z bardzo znaczną częścią uwag krytycznych Maciąga całkowicie się zgadzam. I mnie nie podobają się manierystyczne i werbalno-zdobnicze skłonności Parandowskiego, i mnie znużył *Petrarka* — w którym zupełnie nie czuje się wielkości Trecenta, wieku Dantego i Giotta, epoki, w której średniowiecze rozpoczyna swój tryumfalny i oszałamiający bogactwem zmierzch. Wydaje mi się wszakże, że tych negatywów nie można traktować w odosobnieniu, jako swoiście i osobniczo „parandowskich" fenomenów, nie uwarunkowanych niczym poza predyspozycjami i upodobaniami autora.

Przegląd dowodów Maciąga rozpocznijmy od charakterystycznej sprawy *Nieba w płomieniach,* niewątpliwie chyba najwybitniejszego dzieła Parandow-

skiego. Bardzo celna wydaje mi się uwaga o „filologicznej genezie“ rozterki duchowej Teofila Grodzickiego. Ale dlaczegóż ma to stanowić jakąś wadę powieści? „Filologiczna geneza“ nie odebrała przecież losom Teofila mocy zaciekawiania, ba — pasjonowania czytelników. Cała zasługa autora, że za punkt wyjścia buntu religijnego swego bohatera wybrał nie podpatrywanie słabostek katechety (kóre przecież ukazane są na kartach książki), nie obłudę dewotek czy inne fakty równie popularne, jak płaskie — ale analizę dogmatów. Zdanie recenzenta: „Sprawa poczęła się w książce, obiegła krąg towarzyski nie naruszając go zgoła i na książce by się pewnie skończyła“ — można rozumieć tylko albo jako dziwaczną naiwność (czy Teofil miał założyć Towarzystwo Wolnomyślicieli? — nawet próbował), albo jako wynik niedokładnego zapamiętania tekstu (bo przecież zajęcie się Grodzickich dyskusjami teologicznymi nie pozostało bez wpływu na ich życie). Do tego drugiego podejrzenia skłania zdanie o parę stron dalsze, w którym Maciąg twierdzi, jakoby bohater *Nieba w płomieniach* „przeżywał głęboki dramat, gdyż sprzeciwił się szkolnemu katechecie“. Gdzież to krytyk wyczytał?

Inne nieporozumienia wywołała *Alchemia słowa*. Zawiniło tutaj, jak sądzę, nie dość dokładne zdanie sobie sprawy z właściwego tematu książki. Jak sam tytuł wskazuje, nie mówi ona o całokształcie działalności twórczej literatów, ale o samym procesie pisania i związanych z nim okolicznościach. Króciutki rozdział *Tworzywo literackie* jest tylko ilustracją tezy, że artyści słowa potrafią znaleźć tematy i materiały dosłownie wszędzie. Ale właściwie zbieranie materiałów do dzieł nie należy do zakresu zainteresowań autora *Alchemii*. Dlaczego — łatwo zrozumieć, jeżeli uświadomimy sobie, że nie znamy innej różnicy między grafomanem a wielkim poetą poza tą, że wielki poeta pisze dobre wiersze. Grafoman może mieć i życie ciekawsze, i poglądy słuszniejsze — ale nie o to przecież chodzi. Parandowski pisze o wybrańcach; nieprawdą jest, jakoby ukazywał tylko ich zwycięstwa — po prostu usunął z naszego pola widzenia te legiony miernot, których płody wypełniają wszystkie bibliografie.

Pisze Maciąg: „W istocie literatura żyje tragedią“. Dobitnie to brzmi i dźwięcznie, łatwo wpada w ucho w naszych katastroficznych czasach. Przypomina mi się jednak nie mniej zręczne zdanie, nie byle kogo, bo samego Tomasza Manna: że literatura to błazeńska sztuka udawania, rzecz w samej swej istocie niepoważna i podejrzana. Przychodzi na myśl wiele jeszcze innych hucznych i dowcipnych sformułowań, jednako pozbawionych wartości poznawczej. I samo zdanie Maciąga — niedorzeczne, nieudowadnialne — nie warte byłoby zatrzymywania się nad nim, gdyby nie to, że jest symptomem ogólnej koncepcji kultury, zastosowanej w dyskutowanym szkicu. Jest to koncepcja antagonistyczna, ujmująca zjawiska kultury jako splot sprzecznych, walczących ze sobą dążeń i wytworów. Słuszna niewątpliwie w zastosowaniu do każdej współczesności — zawodzi jednak, a przynajmniej nie może uchodzić za bezsporną i „jedynie prawdziwą“ przy recepcji tradycyjnego dorobku kulturalnego. Cóż nas to w gruncie rzeczy obchodzi, że Petrarka nie uznawał Dantego, a Byron i Wordsworth pogardzali sobą wzajemnie? Sprzeczność podstaw światopoglądowych sztuki gotyckiej i renesansowej nie przeszkadza nam zachwycać się dziełami obydwu. Antagonistyczne punkty wyjścia mają jakieś znaczenie tylko dla czytelnika czy widza zainteresowanego naukowo. Wzięty pod historyczną lupę, dorobek kulturalny ludzkości okazuje się wynikiem

burzliwych starć, przypadkowych eksplozji, ogólnej awantury i galimatiasu. Ale widziany z perspektywy układa się, zupełnie naturalnie, w całość, która uznana być może za harmonijną. Rzeźba murzyńska i rzeźba europejska są wytworami kultur jak najbardziej antagonistycznych, co nie przeszkadza nowoczesnemu artyście kojarzyć impulsów płynących z obydwu. Nie można więc potępiać Parandowskiego, że w swoim (przeznaczonym dla młodzieży gimnazjalnej) tomie opowiadań *Trzy znaki Zodiaku* zastosował właśnie takie nieantagonistyczne, synkretyczne, całościowe ujęcie kultury. Można, co najwyżej, zadeklarować osobistą sympatię do innych ujęć — pamiętając przy tym, że „konfliktowość" nieobca jest samemu autorowi *Erosa na Olimpie,* jak tego dowodzi choćby *Max von Trott* z *Godziny śródziemnomorskiej.*

Zarzut „nieantagonistycznego" ujmowania spuścizny kulturalnej uzupełnia Maciąg oskarżeniem o „brzydzenie się" sprawami interesów politycznych i realnych konfliktów historyczno-społecznych. Niewątpliwie Parandowski należy do pisarzy stroniących od tego rodzaju tematyki, nie wynika z tego wszakże, by negował jej sensowność. Argumentacja Maciąga jest w tym miejscu dosyć dziwaczna. Mianowicie omawiając recenzję Parandowskiego o *Faraonie* Prusa wypowiada przynajmniej trzy twierdzenia, z którymi absolutnie nie można się pogodzić. Po pierwsze nieprawdą jest, że Parandowski „wyraża niechęć do Prusowskiej koncepcji powieści politycznej, do jego obrazu państwa". Wskazuje on jedynie, że Prus usiłuje nam narzucić sympatię do Ramzesa w istocie wbrew przedstawianym w powieści faktom. Po drugie Maciąg nie wiadomo na jakiej podstawie oświadcza, że nie wierzy w rzetelność motywów recenzenta, którego oburzył „naprawdę" nie „brak naukowej sumienności, brak zażyłości z epoką, gadulstwo, brak dostojności" — ale przedstawienie zagadnień politycznych. Tego rodzaju votum nieufności jest chwytem nieuczciwym i niedopuszczalnym, tym bardziej że krytyk popełnia jednocześnie typowy błąd *petitionis principii:* szukając bowiem „prawdziwej" genezy negatywnego sądu Parandowskiego o *Faraonie,* przyjmuje za pewną jego niechęć do powieści politycznej — a więc to właśnie, co chciał na przykładzie recenzji udowodnić. Wreszcie niepojęte jest, jak można nazywać *Faraona* „doskonałą i jedyną w naszej literaturze powieścią polityczną". Nawet jeśli przyjmiemy, że „powieść polityczna" — to powieść o polityce i politykach, to tak znakomite książki, jak *Generał Barcz, Mury Jerycha* czy utwory Parnickiego, nie zasługują, w porównaniu ze sztuczną machiną *Faraona,* na tak pogardliwe potraktowanie.

*

Nazwisko Parandowskiego kojarzy się nam nieodmiennie i automatycznie z pojęciem klasycyzmu. Klasycyzm to jednak nie tylko pewien zespół tematów i motywów, nie tylko predylekcja do filologii klasycznej. To również określony stosunek do rzeczywistości: skłonność do szukania w niej harmonii raczej niż kontrastów, do spokojnego znoszenia przeciwności, do spoglądania na świat jako na widowisko, do godzenia przeciwieństw, a przede wszystkim do ujmowania współczesności *sub specie aeternitatis.* Nie trudno zauważyć, że tendencje takie są najzupełniej sprzeczne z głównymi cechami kultury polskiej, przynajmniej na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Romantyzm, który jest ciągle dominującym czynnikiem w życiu kultury polskiej, przeciwstawia har-

monijności antagonizmy, nakazuje bunt przeciwko wszystkiemu, co się nam nie podoba, domaga się jak najbardziej czynnego występowania na scenie światowego dramatu, zaostrzania sprzeczności, uważania spraw aktualnych za najważniejsze.

Nie należy się dziwić, że pisarz, który prawie całą swą twórczością przeciwstawia się tym panującym prądom, musi się wydać podejrzany w oczach surowego krytyka. Ale tenże surowy krytyk, jeśli nawet całym sercem i duszą przeciwny jest określonemu powyżej klasycyzmowi, przyznać musi, że taka wyłamująca się z ogólnego porządku (czy nieporządku) działalność jest czymś szczególnie cennym i godnym poparcia. Dlatego choćby, że zapełnia wyraźną i dotkliwą lukę. Maciąg przyznaje zresztą Parandowskiemu poważną rolę — ale tylko jako „wychowawcy" i „popularyzatorowi". Odczuwam pobłażliwo-poklepujący odcień znaczeniowy tych określeń, chociaż nie mogę zrozumieć, skąd się on bierze. Jeżeli w społeczeństwie polskim istnieje duże i naturalne zapotrzebowanie na takie właśnie „klasyczne", harmonijne i bezkonfliktowe ujmowanie rzeczywistości historycznej, a przede wszystkim spraw kultury, jeżeli ludzie szukają wytchnienia po szarpaninie i rozwichrzeniu, pragną umiaru i spokoju — to należy tylko przyklasnąć pisarzowi, który te zapotrzebowania spełnia.

Rzecz jednak w tym — i tu widzę istotną przyczynę nieporozumień i protestów Maciąga — że dorobek Parandowskiego uwity jest ze sprzecznych elementów, czego sygnałem jest choćby współwystępowanie szkolnych *Trzech znaków Zodiaku* i „niepedagogicznego" *Nieba w płomieniach.* Klasycyzm autora *Alchemii słowa* uwikłany jest w szczególne i niezbyt sprzyjające okoliczności tak historyczno-społeczne, jak i literackie.

Jest chyba doprawdy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, że pierwszy nowoczesny pisarz polski, tak przesiąknięty spuścizną klasycznej Grecji i zarazem obdarzony niezwykłym wyczuciem językowym, rozpoczął twórczość w okresie modernizmu. Na skutek tego w dziwaczny splot połączyły się u Parandowskiego dążność do zwięzłości, jasności i precyzji stylu z inklinacjami do wyszukania, dziwności i jedyności. Młodopolski balast kwiecistego języka, tak często i nieoczekiwanie dający o sobie znać w stylu Parandowskiego, jest pierwszym składnikiem szczególnej doli współczesnego klasyka.

Drugi składnik — to bardzo ścisłe związanie się Parandowskiego z tradycjami i sposobami myślenia dziewiętnastego wieku. W wydanym przed trzema laty jednotomowym wyborze pism, w dziale *Z warsztatu,* znalazł się niezwykle charakterystyczny fragment pod tytułem *Koniec stulecia,* tworzący jak gdyby podsumowanie dorobku naukowego i społecznego „stulecia pokoju i liberalizmu", jak nazwał wiek XIX Adam Krzyżanowski. Podobnym podsumowaniem, choć w mniejszym zakresie, jest całe *Niebo w płomieniach.* I choć w powstałym w roku 1946 wstępie do tej powieści pisze autor: „Tak również zdrzemnął się stary wiek XIX, ukołysany marzeniami o rozstrzygniętych problemach, i wielu w nim wychowanych nie zdołało się po dziś dzień obudzić" — to przecież możemy uznać za symptomatyczny fakt, że ani dalszego ciągu *Końca stulecia,* ani kontynuacji *Nieba w płomieniach* — nie otrzymaliśmy.

Nie trudno oczywiście dowieść, że dla klasyka tradycje wieku XIX były jak najbliższe, bardziej swojskie niż odległy ojczysty renesans, kuszące pozornym ładem i jasnością. Choć Parandowski zdawał sobie sprawę z ich ograniczoności, niesłusznego zadufania, racjonalistycznego prymitywizmu — to jednak trudno

mu było się od tej spuścizny uwolnić nawet wówczas, gdy z nią wojował. Pięknym świadectwem zupełnie nowoczesnej świadomości artystycznej pisarza, jego zrozumienia dla ukazanej przez literaturę naszego stulecia płynności i wieloznaczności wszystkich prawd i form poznania, jest jeden z najlepszych utworów Parandowskiego, *Ostatnia podróż Odyseusza,* z kapitalnym motywem zestawienia *Odysei* z *Ulissesem* Joyce'a. Z drugiej strony jednak łatwo wykazać, że największy sukces artystyczny odniósł autor *Mitologii* tam, gdzie jego klasyczno-dziewiętnastowieczne tradycje i zamiłowanie do filologii trafiły na temat i epokę najwłaściwszą, jedyną chyba: w *Niebie w płomieniach.*

Trzeci ujemny składnik doli klasyka jest już najmniej zależny od niego samego: współczesna sytuacja kulturalna. Wiadomo powszechnie, że sztuka, a zwłaszcza sztuka słowa, przyuczona jest w Polsce do pełnienia roli służebnej w rydwanie polityki, religii, spraw społecznych czy zgoła gospodarczych. Pisarstwo poświęcone zjawiskom kulturowym, podobnie jak w mniejszej mierze pisarstwo historyczne, uchodzi za dziedzinę odpowiednią dla niedorostków. Kultura artystyczna i intelektualna jest u nas ciągle zbytkiem, na który mogą sobie pozwolić nieliczni snobi i liczna młodzież szkolna i akademicka. A więc pisarz, którego najżywiej obchodzą problemy tradycji kulturowej, jest siłą rzeczy spychany na pozycje pisarza młodzieżowego. Tę presję ogólnej atmosfery możemy obserwować na Parandowskim, nawet nie uciekając się do analiz biograficznych. Ale i to nie wszystko: w naszej epoce i w naszym kraju autora, który nie chce patrzeć na historię jako na ciągłe pasmo niesprawiedliwości, mordów i pożogi, którego spojrzenie wyszukuje w chaosie wydarzeń ład, nadzieję, a nawet piękno — nie będziemy uważać za stoickiego mędrca, ale za naiwnego pokrzepiciela serc, zaślepionego samouspokajacza, pisarza dla pensjonarek. Daremnie skarży się poeta:

Ja chcę opiewać festyny,
Radosne gaje, do których
Wprowadzał mnie Szekspir.

Możemy i powinniśmy mieć pretensję do Parandowskiego, że nadto ulegał presji udziecinniającej, że dawał sobie narzucić rolę pisarza-kustosza muzeum — ale musimy pamiętać, że los klasyka jest w Polsce mało: niewdzięczny — prawie niemożliwy.

Zdzisław Najder

„WYKREŚLAM FORMĘ MGLE ...“

Anna Pogonowska: *Kręgi*. Warszawa 1958. „Czytelnik“; str. 143.

Anna Pogonowska nie tworzy efektownego świata poetyckiego. Daremnie szukać w jej liryce sugestywnych pomysłów, olśniewających metafor, kapryśnego toku skojarzeń — czyli tego wszystkiego, czego cena zwyżkuje obecnie w opiniach krytyczno-literackich. W okresie kultu Stanisława Grochowiaka wydać się ona może wręcz szara, „niepoetyczna“. Słowo nie dziwi się słowu, obraz nie kłóci się z obrazem. Poezja ta nie tylko daleka jest od ciągot wirtuozowskich, powiedziałbym więcej: jest obca wszelkiemu dążeniu ku efektowności. Nie epatuje wyobraźnią (co nie znaczy, że *Kręgi* są jej wyzbyte). Poetka nie demonstruje uroków swego warsztatu, raczej go ukrywa, by osiągnąć niezwykle trudny rezultat: zwięzłość. Ekonomia słowa nie stanowi tu kwestii tylko formy, jest przejawem stosunku do świata. Wynika z tego, co nazwałbym postawą racjonalizującą. Jest to interesujące o tyle, że zakres wzruszeniowy i problemowy liryki Pogonowskiej należy do tych, które nie łatwo podlegają intelektualnemu porządkowaniu. Poetka stara się nadać światu przeżyć dokładną wymierność, stara się sprowadzić wszystko do przejrzystych wewnętrznie formuł, formuł, które nie zatraciłyby swojej lirycznej nośności:

Wykreślam formę mgle
Naznaczam punkty i styczne
Metaforę stawiam
Jako wynik obliczeń.

(Obliczenia)

Zestawienie pozornie paradoksalne: mgła, symbol niemal bezkonturowości i nieokreślenia — i arytmetyka. Bezkształtność — i geometria. W cytowanym wierszu wyraża się program Pogonowskiej, a jednocześnie zawiera istota jej poezji. Liryka ta zasadza się na przerzucaniu mostów pomiędzy tymi dwoma przeciwległymi krańcami. Jej sednem jest poszukiwanie precyzji w wyrażaniu zjawisk, które z oporem poddają się racjonalizowaniu.

Pogonowska problematyzuje. Problematyzuje wszystko. Często nawet postać bohaterki lirycznej jest nosicielką nie tyle emocjonalnego stosunku do świata, ile właśnie wyrazicielką zagadnienia. Jest ona — by tak powiedzieć — człowiekiem chwili. Poetka zaznacza niemal w bezpośrednich sformułowaniach, że jej liryczne medium nie składa się jakby ze stałych substancji, że je tworzy ulotna chwila. Dzięki tej nieustannej zmienności postać bohaterki nie daje się w żadnych kategoriach określać, tak jak nie daje się definiować bezustanny przepływ życia. „Jakże współczuć obecnej tak nieobecnej“ *(Apatia)*, „Nie jestem tą, nie jestem tamtą“ *(Powrót)*, „Ja — czy to ten ból w okolicy łopatki? Natrętny obraz wypaczonej myśli? Sen, w którym nic nie ma?“ *(Na temat osobowości)*. Nieokreśloność człowieka wypływa w poezji Pogonowskiej z dwu źródeł — z podlegania dynamice życia, a także ze związku z konkretną sytuacją, w której się on aktualnie znajduje. Zakres pierwszy — z pewnością nieco umownie — nazwijmy bergsonowskim, drugi — gombrowiczowskim — czy — za Janem Błońskim, który o *Kręgach* napisał do-

skonałą recenzję* — egzystencjalizującym. Oba zresztą wzajem się uzupełniają. Pierwszy pozostaje w związku z ważnym w liryce Pogonowskiej zjawiskiem czasu — o tym na właściwym miejscu — i łączy się całkowicie z zawartością filozoficzną tej poezji. Drugi obok odniesień filozoficznych ma także socjologiczne. Bohaterka *Kręgów* znajduje się w orbicie działania przyrody. Pod jej wpływem przestaje niejako być odrębną, statyczną całością, staje się „przejawem" oddziaływania natury, w danym jednostkowym momencie cała jej istota, jej „ja", sprowadza się do jednego. Wyraża się o tyle, o ile „scala" się z otoczeniem, staje się jego cząstką:

Słońce zgasiło już mój kształt —
Istnieję tylko — ciepłem —
Złotem przeciekam poza swój świat —
W obszar nie znany przedtem.

(W słońcu)

Koncepcja postaci decyduje u Pogonowskiej o strukturze liryku. Waży na obrazowaniu, które jest jej funkcją — atrybuty słońca: „ciepło" i „złoto", przeniesione zostały niejako na bohaterkę. Inaczej się trochę dzieje wtedy, kiedy uczestniczy ona w sytuacji społecznej. Trudniej w takich wypadkach dostosować wszystko do środków właściwych liryce. Sytuacja jest tutaj dużo bardziej oporna względem poetyckiego ujęcia. Toteż wiersze Pogonowskiej z tego zakresu — na ogół słabe — nie są literackimi dokonaniami, mają wagę interesującego eksperymentu. Znowu ich istotę stanowi niemożność określenia tego, co w człowieku jest jego autentyczną wartością, niemożność oddzielenia jej od tego, co składa się na nawarstwienia, którymi obdarzyło jednostkę życia społeczne. Mówi o tym poetka bezpośrednio w cytowanym już wierszu, nieudanym zresztą, *Na temat osobowości:*

Wygładzona wyszczerbiona zwyczajami
konwencjami
W spięciach warunkowych ruchów
Maszyna nastawiona
Produkuję owocuję rodzę.

Ciało moje wiruje
Ale mnie to bardzo nudzi
Mnie — to znaczy olej — nie oliwę
świadomości
Którą mi wtłoczyło społeczeństwo.

Ujęcie jest tutaj abstrakcyjne, nie wychodzi poza schematy. Rzecz sama bowiem jest chyba trudno wyrażalna w formie monologu lirycznego, ujawnia się w zetknięciu jednostki z otoczeniem, z natury jest dramatyczna.

Kreowanie bohatera lirycznego — „człowieka chwili" — nie jest w poezji polskiej nowością. W zasadzie do tego się sprowadzała — aczkolwiek w zupełnie innej postaci — tzw. poezja nastrojowa z okresu moderny. Nastrój, ten bożek, przed którym poeci młodopolscy celebrowali modły, nie przyczyniał się do konstrukcji pełnego, „skończonego" podmiotu lirycznego. Bohater młodopolski (np. w wierszach Tetmajera) wyrażał się cały w ulotnej impresji, jedyną jego rzeczywistością był świat płynnych emocji. Było to jedno z najważniejszych ograniczeń liryki tamtego okresu: poeta nie tworzył własnego dystansu w stosunku do bohatera. Tak ujętemu bohaterowi odpowiadał styl: impresyjny, stworzony jedynie do notowania chwilowych doznań. Pogonowska całkowicie inaczej podchodzi do języka — dlatego że ów moment, w którym ujawnia się bohater, problematyzuje, nie tylko wyraża. Nie zadowala się więc łatwą ekspresyjnością, szuka formuł. Styl jej nie jest giętki, treści emocjonalne nie zyskują w nim bezpośredniego odzwierciedlenia. Język raczej je ukrywa. Zdania zbliżają się do definicji. „Wykreślam formę mgle..." znaczy w poezji Pogonowskiej narzucanie rzeczom płynnym i momentalnie przemijającym własnego porządku myślowego. Niekiedy cały wiersz staje się definicją zjawiska — przedstawienie poetyckie jest w takim przypadku jakby materiałem dowodowym, argumentem:

Kropla spłaszcza swą kulistość
O ciemność szyby. Trzask tramwaju błyska.
Więc widzę kroplę. Już nie jest kulista.
Smugą wilgoci jej dzieje.

(Dzieje)

W tego rodzaju utworach tytuł odgrywa rolę szczególną. Jest jak hasło w encyklopedii — tekst wiersza stanowi jego wyjaśnienie. Poetka operuje tutaj samymi właściwie stwierdzeniami. One wszystkie składają się na poetycką „definicję" zjawiska. Nie jest ważna „małość" każdego z nich w stosunku do rzeczy określanej. Stosunek „dziejów" do zarysowanego obrazu jest charaktery-

* *Życie Literackie*, Nr 29 z 20 lipca br.

styczny: wizja spływającej kropli stanowi rozbudowaną peryfrazę. Niejako jej „przekład“ na język „normalny“ zawiera — poza tytułem — wiersz ostatni, by tak powiedzieć — interpretujący. W tym podniesieniu drobnego szczegółu, np. spływającej kropli, do rangi czynnika określającego procesy wagi najwyższej, widzieć by można wpływ techniki poetyckiej Norwida. Z autorem *Vade mecum* wiąże zresztą Pogonowską bardzo wiele — przede wszystkim postawa problematyzująca. Również w zakresie języka znaleźć by można zależności (składnia!).*

Dzieje w ujęciu Pogonowskiej to rozpadanie się form, przemijanie. Ich poetycki kształt naprowadza na główny przedmiot jej liryki: c z a s. O czasie w twórczości poetyckiej pisać można różnymi sposobami. Może być on bezpośrednim tematem wiersza, materiałem refleksji. Zdarza się też, że staje się on przedmiotem liryki przez wprowadzenie elementów fabuły, następstwa zdarzeń. Autorka *Kręgów* wybiera inną ewentualność. Czas w jej wierszach jest jakby utajony. Poetka przekłada go na materialne konkrety — stają się one wtedy tylko zrozumiałe, jeśli się uchwyci ich odniesienie do zjawiska czasu:

Schody opadające —
Poręcz śliska — bezwładna —
Ściany zstępujące sztywno —
Brama mijana.

Blask rozmazany latarń —
Twardy dynamiczny bruk —
Niebo w którym mieszka wiatr —
Noc — zastygających chmur.

Cisza — nabrzmiewająca obłokiem —
Cisza — mgły która dawno zmarła —
Cisza — rosnąca warkotem ulicy —
Cisza — pełna Cisza — zawarta.

(Cisza patetyczna)

Wiersz przedstawia nieuchwytne na pozór przemiany w czasie. Nowy element jest tylko nowonarosłą sekundą. Ostatnia strofa — wariacje na temat ciszy — to przemiany w czasie. Każdy z zarysowanych obrazów jest ulotnym etapem trwania (podobnie dzieje się w wierszach *Czas, Pośpiech, Ruch* itp). Zastanawia statyczność w ich przedstawianiu (w liryku występuje jeden tylko czosownik w formie czynnej — poza tym pojawiają się formy imiesłowowe).

Statyczność owa wydaje się zjawiskiem dla poezji Pogonowskiej charakterystycznym. Nie zawierza bowiem poetka samemu zjawisku, nie daje mu się ponieść. Narzuca mu swój własny porządek, czyli interpretuje. Stąd — wydaje się — w *Kręgach* odmienność metody konstruowania wiersza i jego lirycznej zawartości. Rzecz niewątpliwie interesująca. „Wykreślam formę mgle...“ — już tutaj wyraża się owa odmienność. Styl Pogonowskiej, styl — chciałoby się powiedzieć — racjonalistyczny, współistnieje ze sprawami, które prowokują raczej do innej realizacji jezykowej. Autorka *Kręgów* należy do liryków — konstruktorów poetyckiej rzeczywistości nawet wtedy, gdy materiałem budowy jest mgła. „Trwa tutaj — cytuję Błońskiego — niemal w każdym wierszu walka między mgławicowością przeżycia (czy też po prostu życia) a znaczeniem, jakie chce mu się nadać — poprzez poezję.“

Ta właśnie walka w całych *Kręgach* wydaje mi się najbardziej interesująca. Ona chyba decyduje o wadze tomu. Ma on znaczenie niezwykle ambitnej próby poetyckiej — co nie znaczy, że artystycznie jest bez zarzutu. Przeciwnie — w obszernym zbiorze sporo można znaleźć wierszy chropawych, nieudanych, „zakalców“ (by pożyczyć określenie z recenzji Błońskiego). Liryki Pogonowskiej zresztą im krótsze, tym lepsze — największe znaczenie przypisałbym kilku świetnym czterowierszom. Te miniatury może najpełniej udźwignęły ogromne ambicje poetyckie Pogonowskiej. Ambicje tak wygórowane, że nie mogły chyba być z pełnym rezultatem artystycznym realizowane na przestrzeni stosunkowo niemałej książki. Wolę tę ponad miarę aktualnych możliwości ambitną poezję od gładkich i „dobrze zrobionych“ wierszy. „Nie-poprawność“ stać się kiedyś może siłą tej liryki.

Michał Głowiński

* Na wpływ Norwida zwrócił uwagę Jan Błoński we wzmiankowanej wyżej recenzji. Liryka Pogonowskiej w ogóle osadzona jest mocno w tradycji poezji polskiej. Czasami można znaleźć aluzje do znanych utworów bądź ich reminiscencje. Np. początek jednego z wierszy „Były wiosny miłosne, były bezmiłosne“ przypomina pierwsze zdanie wspaniałego *Sonetu V* Sępa-Szarzyńskiego. Niejeden jeszcze można by przytoczyć przykład.

SPRAWA W ŻYCIU NAJWAŻNIEJSZA

Jerzy Krzysztoń: *Kamienne niebo*. Warszawa 1958. „Iskry"; str. 231.

W *Arktyku* Borysa Pilniaka grupka ludzi skazanych na śmierć w lodowej pustyni — czyha wzajemnie na siebie, jak myśliwi na zwierzynę. Z palcami na spustach broni, powtulani w kąty izby, śledzą się wzajemnie dzień i noc. W każdej sekundzie w tej pełnej napięcia ciszy mogą wybuchnąć strzały.

Dopiero chyba literatura dwudziestego wieku doceniła w pełni śmierć ludzką, a raczej ostatnie chwile życia, jako probierz wartości, jako ostateczną i bezapelacyjną konfrontację kultury z człowiekiem nagim, z bio-psychicznym tworem natury, rządzonym przez prymitywne, lecz potężne instynkty, krzyżujące się w momencie wybuchu elementarnych, ostatecznych konfliktów z imperatywami normatywnymi, narosłymi przez wieki praktyki społecznej, nauczającej działalności kościołów i ideologii, tradycji reformatorów. I nie chodzi tu o konfrontację, dokonującą się pod postacią tradycyjnego rachunku sumienia przed śmiercią—lecz o sam styl tej śmierci, o postawę w momencie podejmowania ostatnich decyzji i rozstrzygnięć, dokonywających się *in articulo mortis*.

Moment śmierci staje się w tych ujęciach ukoronowaniem życia, które jest właściwie tylko jej przygotowaniem — a perspektywa *du néant* określa treść *de l'être*, jakby to — zdaje się — określili w swym żargonie egzystencjaliści. Wymieniam ich tu — bo ich to w znacznej części wina czy zasługa, że taka właśnie perspektywa konfrontacji wartości humanistycznych z nagim, umierającym człowiekiem — coraz widoczniej dominuje w świadomości twórców literatury współczesnej. Najbardziej wstrząsające karty literatury ostatnich lat dwudziestu zawdzięczamy tej fascynacji śmiercią, umieraniem, niebytem, nicością czy jak to tam kto nazywa.

Jeśli przyjmiemy — załóżmy — tę perspektywę, zgodzimy się na nią, wtedy nie tylko maleją w obliczu problemu śmierci wszelkie sprawy inne, nie tylko usuwają się na plan drugi, a waga ich i znaczenie stają się jedynie relatywne do sprawy najważniejszej — lecz również zmienia się świadomość struktury całego ludzkiego życia, biografia człowieka zmienia swe wymiary, proporcje i konstrukcję. Momenty przedśmiertne stają się modelem tej biografii, gdyż w perspektywie tak zarysowanej i tak uwartościowanej — całe życie jest niczym innym, jak czekaniem na ten moment, długą próbą generalną przed migawkowym spektaklem. Stąd metaforyczny sens dzieł literackich, powstających w kręgu tej problematyki: ambicją ich jest właściwie mówienie o śmierci i o życiu jednocześnie, o człowieku w ogóle. Umieranie pod kamiennym niebem zasypanej gruzami piwnicy jest nie tylko fabułą z filozoficznym sensem—lecz zarazem symbolem życia, u którego krańca tak czy inaczej stoi śmierć. Wystarczy to sobie uświadomić, by drugorzędną stała się kwestia tego, czy „godzina x", „godzina śmierci naszej", jak to mówią w jednej ze swych modlitw katolicy — ma nastąpić jutro czy za lat trzydzieści.

A jest to już sprawą kultury czy ideologii, mitologii czy po prostu charakteru, religii czy tylko *savoir vivre*'u na najwyższym jego szczeblu — czy ludzie, którym los kazał razem oczekiwać na nieuchronną śmierć, będą czaić się na siebie po kątach z gotową do strzału bronią, czy też wytworzą w tej sytuacji wspólnotę, solidarną wobec nieuchronnej a bliskiej zagłady. Nie sądzę, by jakakolwiek jednoznaczna odpowiedź, określająca warunki powstania takiej wspólnoty, miała być lepsza od innej, każdy z czynników wyżej wymienionych może się okazać wystarczający lub niedostateczny do wytworzenia takiej wspólnoty, w każdym jednak razie niezbędne jest chyba przynajmniej jakieś pokrewieństwo kultury moralnej, warunkującej możliwość utemperowania indywidualnych odruchów samoobronnych, wybujałej ekspansywności biologicznej, idiosynkrazji groźnych dla zbiorowego współżycia, a raczej zbiorowego umierania itd. Eksperyment, którym w jakimś stopniu jest powieść Krzysztonia, budzi zaciekawienie przede wszystkim jako perspektywa postawienia — a może i częściowego rozwiązania — tej właśnie problematyki, znajdującej się jednak, jak widać, poza kręgiem propozycji filozoficznych egzysten-

cjalizmu, przekonanego o nieuniknionej tragicznej samotności człowieka wobec nicości.

Jeśli określam założenie *Kamiennego nieba* jako eksperyment — robię to nie bez uzasadnienia. Jest to oczywiście eksperyment swoisty, dokonany w trybie właściwym twórczości literackiej. By stworzyć określone warunki, w których ma dokonać się obserwowany proces, nie trzeba tu łapać ludzi na ulicy, a następnie zamurowywać ich w piwnicy, by obserwować ich zachowanie się przez dyskretnie umieszczone wzierniki. Konstruuje się na szczęście „tylko" fikcję spełniającą określone warunki. Metoda taka ma z punktu widzenia poznawczego poważne zalety i wady.

Ludzie, których zgromadził autor owego eksperymentu w zawalonej gruzami rozbitego domu piwnicy, wytwarzają taką właśnie wspólnotę, o jakiej wyżej była mowa. To znaczy, że ich twórca, autor *Kamiennego nieba*, dokonał określonej ich selekcji pod kątem pokrewieństwa kultury moralnej, bez czego rzuciliby się na siebie z pazurami w bezsensownej walce o ograniczone dobra, które mogą im jeszcze o parę dni przedłużyć życie. Rzuciliby się, czyby sobie tego autor życzył, czy nie: bądź musiałby pójść, z chęcią lub mimo chęci, za konsekwencją swego pierwotnego braku selekcji (znamy aż zbyt wiele wypowiedzi powieściopisarzy o „własnym życiu" ich bohaterów, pełnym niespodzianek dla twórcy, lub, w przeciwnym wypadku, pękłyby wiązania artystycznej konsekwencji, czyniąc z powieści utwór bez sensu i wartości. A więc Krzysztoń jest tu nie tylko artystą i nie tylko eksperymentatorem — lecz i ideologiem: to tkwi w jego selekcji. Ludzie, których dobrał do swego eksperymentu, nie tylko posiadają jakiś wspólny mianownik kulturalno-moralny, lecz, co więcej — są zdolni dzięki niemu do sprostania wyjątkowo trudnej sytuacji. Cóż to za cechy stanowią o ich moralnym harcie?

Krzysztoń zgromadził pod swym kamiennym niebem ludzi o różnym poziomie kultury intelektualnej, oddzielonych dużymi dystansami socjalnymi, bardzo różnie ustosunkowanych do istniejących w tym społeczeństwie podstawowych konwencji, praktycznie regulujących powszednie problemy z pogranicza etyki i zasad współżycia (np. stosunek do złodziejstwa w normalnych warunkach). Zrezygnował też z tak łatwego do banalnego i fałszywego wykorzystania „kitu społecznego", jakim mogła być w okresie powstania warszawskiego — i w znacznym stopniu była — patriotyczna mitologia wraz z całą towarzyszącą jej sferą emocjonalną. A co dał swym bohaterom?

Obdarzył ich przede wszystkim spontaniczną życzliwością dla innych ludzi. Niechęci, wynikające z dystansu socjalnego i kulturowego, okazują się błahe wobec tej ich postawy. Życzliwość ta rozwinięta jest tak silnie, że stwarza jakby samoczynne hamulce dla indywidualnych aspiracji i potrzeb. W imię tej życzliwości i solidarności można zrezygnować nie tylko z palenia, ale i z samobójstwa. Stosunek Maniusia do Safianowej (oddanie marchewek, należnych jej z podziału) i Ewy do Safianowej (rozczesywanie jej włosów, czemu towarzyszy bardzo ciekawie ujęta przez autora atmosfera emocjonalno-moralna)—każe tu wprowadzić dla określenia wzajemnych stosunków między bohaterami powieści Krzysztonia termin o jednoznacznej tradycji: są to stosunki regulowane głęboko wrośniętymi w psychikę bohaterów postulatami „miłości bliźniego". Jesteśmy z całą pewnością w sferze chrześcijańskich tradycji ewangelicznych. Czy ich powszechność, siła, rzeczywisty wpływ na osobowości są dostateczne, by uprawdopodobnić rozwiązanie Krzysztonia? Kwestia do dyskusji, wątpię, czy rozstrzygalnej. Ale pamiętajmy, że *Kamienne niebo* to nie tylko studium analityczne, lecz również i utwór postulatywny.

Zresztą powyższa formuła bardzo nieadekwatnie oddaje atmosferę moralną *Kamiennego nieba*. Główne jej składniki mają niewątpliwie genezę chrześcijańską, ale wzbogaconą o elementy jeśli nawet z tą postawą niesprzeczne, to w w każdym razie niejednorodne. Np. humanizm Profesora, czerpiący natchnienie w sonetach Petrarki — z pewnością nie da się tu sprowadzić do tego wspólnego mianownika. Ale i nie ten właśnie rodzaj humanizmu pozwala znaleźć wspólną platformę moralną Profesorowi i doliniarzowi Maniusiowi.

Chrześcijańska warstwa wartości moralnych, umożliwiających ludziom z piwnicy Krzysztonia stworzenie silnej wspólnoty moralnej w ostatnich dniach ich życia — daleka jest zresztą od jakiejkolwiek ortodoksji kościelnej. Za sposób, w jaki Krzysztoń kazał zrezygnować swym bohaterom z samobój-

stwa — może go co prawda pochwalić każdy ksiądz rzymsko-katolicki. Ba, małżeństwo piwniczne Maniusia i Ewy — ma wszelkie cechy małżeństwa, któremu teolog katolicki nie mógłby odmówić wartości sakramentalnej (czytelnicy-katolicy zdziwią się tą uwagą, ale nikt tak kiepsko nie zna dogmatyki ich Kościoła, jak oni właśnie). Gorzej już ze stosunkiem Profesora i Rumińskiej: tu cechował Krzysztonia liberalizm, którego nie pochwaliłby rzymsko-katolicki moralista. Bardziej to w duchu Petrarki niż Ojców Kościoła.

Synkretyzm tej etyki najsilniej dochodzi do głosu w tezie, nigdzie tu nie wygłoszonej, ale bardzo wyraźnej, że regulatorem norm moralnych i ich hierarchii jest stosunek do innego człowieka, do — mówiąc terminologią etyki lizowana, w wielu punktach kazuistyczewangelicznej — „bliźniego", a sformana, oficjalna etyka kościelna — jest tu bez znaczenia. Krzysztoń nie rozgrzesza Profesora i Rumińskiej, bo w ogóle nie widzi potrzeby tego. To stanowisko jest nie do przyjęcia dla chrześcijańskiej czy węziej: katolickiej ortodoksji. Jeszcze bardziej nie do przyjęcia dla reprezentantów tej ortodoksji jest „laickość" tej etyki: spadek etyczny chrzecijaństwa przyjęty jest tu co prawda w swych najistotniejszych punktach w całej rozciągłości, lecz bez słowa metafizycznego uzasadnienia, bez żadnej próby szukania kontaktu z Bogiem, bez słów najprostszej nawet modlitwy, ba, bez cienia metafizycznej tęsknoty — tak po prostu, jak utrwalił się w świadomości kulturowej Europejczyków, nawet tych bardzo obcych ontologicznym i soteriologicznym treściom chrześcijaństwa.

Tak wygląda — niebłaha, jak widać — problematyka etyczna *Kamiennego nieba*. Wolę ją opisać, niż się do niej ustosunkowywać: trudno nie-chrześcijaninowi wchodzić na to podwórko, na którym — szczerze mówiąc — jest się w znacznej części tylko wśród spadkobierców czyjegoś dorobku.

Kamienne niebo ma i swoją stronę historyczną. Wajda, broniąc kiedyś *Kanału* przed zarzutami niewierności wobec realiów historycznych — miał podobno wyrazić się, że to film „o umieraniu", a nie o powstaniu warszawskim. Nie tu miejsce na dyskusję, czy film ten w ogóle potrzebował tak formułowanej samoobrony autorskiej — zasadnicza jej myśl wydaje mi się jednak błędna. Skrzyżowanie założeń „ogólnych": filozoficznych, moralnych, psychologicznych — i założeń „historycznych" (określone wydarzenia, epoka ze swymi realiami itd.) — stwarza jakby pewne równanie do rozwiązania. Ktoś, kto układa sobie równanie z dwiema niewiadomymi po to, by zrezygnować z rozwiązania jednej z nich — postępuje dziwnie i budzi podejrzenie, że woli wybrać wariant łatwiejszy od trudniejszego. Warto to podkreślić nie dlatego, by właśnie Krzysztoń wybierał tę łatwiejszą drogę: nie, jest to powieść „o umieraniu" właśnie w pewnych specyficznych warunkach — i zarazem powieść nie rażąca anachronizmami lub nieścisłościami historycznymi. Może dziwić w niej nietypowa postawa psychiczna bohaterów wobec ich sytuacji (o ile pamiętam ówczesne nastroje — nawet w drugiej połowie września cechował ludność Warszawy zdecydowany aktywizm, który wykluczał to, by dopiero po trzech dniach podjęto próbę wygrzebania się własnymi siłami), może dziwić ta piwnica, która nie ma jeszcze przebitego dokądś przejścia; piwnica tak nielicznie zamieszkała, chociaż znajdująca się w dzielnicy powstańczej; dziwią te zapasy marchwi i kartofli, już w lipcu zgromadzone na zimę. Obawiam się, że autor zbyt sobie ułatwił sprawę, gromadząc te realia tak, by wyszła mu zasadnicza koncepcja krzyżywki, nie analizując ich zbyt dokładnie. Oczywiście, są to szczegóły — nie kto inny jednak, jak właśnie świadomy swego celu artysta powinien rozumieć, czym mogą one stać się w jego sztuce. W generalnej swej linii jest to chyba jednak powieść również i historycznie prawdziwa.

Jej wielką zaletą jest z tego punktu widzenia — temat „cywilny", nie „wojskowy". Powstanie warszawskie znane jest od strony walki jego formacji wojskowych — tymczasem jego właściwy sens i tragedia — to losy ludności cywilnej. Nie mniej stosunkowo zginęło jej niż żołnierzy, a w liczbach bezwzględnych — nieporównanie więcej. A byli to ludzie, którzy w jakimś sensie przeważnie biernie musieli czekać na swój koniec, nie mając nawet tak mizernej pociechy, jaką dawała filipinka lub butelka zapalająca w dłoni. To oni opiekować się musieli dziećmi i starcami, a nie tylko samymi sobą, to oni poddani byli nieustannie okropnej psychozie schronów piwnicznych, oni przechodzili przez piekło Zieleniaka.

Do najistotniejszych fragmentów powieści należą strony, na których Rumińska wylewa swoje pretensje do męża-oficera, myślącego o ojczyźnie, a nie pamiętającego o współodpowiedzialności za własne dziecko. Jest to jeden z najważniejszych problemów moralnych, które wyłaniają procesy historyczne. Jego rozwiązanie dobrze jest tu osadzone w uniwersalistycznej tradycji moralnej chrześcijaństwa, szczególnie wysoko ceniącej instytucję rodziny i podstawowe ludzkie obowiązki z nią związane. Atak, który pośrednio, poprzez świadomość swej bohaterki, przeprowadza Krzysztoń na poczucie obowiązku, pozwalające bez konfliktów i trudności zlekceważyć obowiązki wobec rodziny na rzecz obowiązków wobec ojczyzny — to szczególnie odkrywcze i oryginalne myślowo fragmenty powieści.

Inna rzecz, że autor poszedł tu miejscami za daleko. Swe pretensje do Rumińskiego rozciągnął na wszystkich jego towarzyszy broni. Ewie, naiwnej reprezentantce akowskiego patriotyzmu, kazał ponosić kolejne porażki w konfrontacji z Rumińską, z Profesorem, ba— z Maniusiem. Pada tu magiczny, a wyświechtany i banalny termin „Somo-Sierra", sygnalizujący, że tak bystry pisarz, jak Krzysztoń, bezmyślnie tu wkroczył na trop publicystycznej, modnej obecnie sztampy. Jest to sztampa tak bezmyślna i zarazem popularna, że nie mogę się powstrzymać, by nie poświęcić jej tu paru słów, nie bezinteresownych zresztą.

Profesor mówi, chyba z aprobatą autora: „Zawsze im mówiłem, że zasłużą sobie na pomnik. Zabiją wroga, wróg ich zabije i wdzięczna pamięć zostanie po nich w narodzie. Coś niecoś zniszczą przy tym, ale czy to ważne?". Można by przytoczyć jeszcze z garść cytatów. Co jest, do diabła? Żołnierz robił, co mu kazano. Gdyby w sierpniu 1944 r. kazano nam stać z bronią u nogi — stalibyśmy. Kazano z butelką zapalającą (to nie metafora) zaczynać powstanie — zaczęliśmy. Co na to poradzę, że aż zbyt często rozkazy wydają w tym kraju idioci? Ale jeśli kochający sztampę publicysta jednym tchem nabija się z „Somosierry" i nawołuje do społecznej karności — mam tego dosyć. Robiliśmy właśnie to, co nam kazano, właśnie byliśmy „karni" (to samo tyczy zresztą szwoleżerów szturmujących wąwóz Somosierry, w imię zresztą wcale nie głupich kombinacji politycznych). Uprzejmie proszę, by nie pisać, że z chęcią pchaliśmy się do umierania, bo można wyprowadzić tym zainteresowanych z równowagi.

Zresztą Krzysztonia to „odczepcie się" raczej nie tyczy: i tak powiedział o tych sprawach aż nad podziw wiele nowego i mądrego — chociaż sam tych rzeczy i spraw nie widział i nie przeżywał, miał więc i „prawo do błędu" (błędu *nb.* z drugiej ręki). W generalnym zaś planie artystycznym i intelektualnym stworzył powieść nie tylko należącą do najambitniejszych w naszej współczesnej prozie — ale i do najwięcej z tych ambicji realizujących.

Jan Józef Lipski

POWIEŚĆ O DYGASIŃSKIM

Andrzej Górski: *Człowiek z rędzin, opowieść o Adolfie Dygasińskim.* Warszawa 1958. „Pax"; str. 523.

Zdaje się, że przy powieściach biograficznych poważną rolę odgrywa sam wybór bohatera. Dokoła ludzi wybitnych, geniuszów, tworzy się anegdota, plotka, z biegiem czasu legenda. Biograf literacki korzysta na kredyt z zaciekawienia, jakie otacza niektóre postaci, rozpoczyna nie „od zera", ale od pewnego tradycyjnego przekazu, książki takie bierze się do ręki częściej dla nazwiska bohatera niż autora książki. A jednocześnie dla pisarza jest to szansa! Cokolwiek o swej postaci napisze, nabiera szczególnego znaczenia ze względu właśnie na jej wielkość, byle informacja stać się może niesłychanie atrakcyjna. Książka biograficzna musi być trochę plotkarska, inaczej brak jej życia, dowcipu, polemiczności.

Andrzej Górski wybrał na bohatera opowieści Adolfa Dygasińskiego. Rzecz jasna, wybór jeszcze niczego nie prze-

sądza, ale chciałoby się wzruszyć ramionami. Czy postać tego warta? Czy ten powieściopisarz jest osobnikiem na tyle frapującym? Czy jego dorobek literacki i pedagogiczny wzbudza do dziś czytelnicze pasje? Będziemy jednakże lojalni. Wszak zaciekawienie wokół postaci może być w znacznej mierze rezultatem zabiegów pisarskich, autor ma święte prado do podsuwania swemu bohaterowi przeżyć i perypetii wewnętrznych, jak tylko potrafi, legendę może sam wykreować. W każdym jednak razie obowiązuje go, tak samo jak w każdej konwencjonalnej powieści, jakiś nadrzędny zamysł literacki, jakaś celowość konstrukcji. Andrzej Górski napisał 500-stronicową książkę i nawet przy tak szerokim opracowaniu nie doszedł do obrazu, w którym Dygasiński zaczął twórczość literacką. Zastrzeżenia zatem rosną. Autor wybiera na bohatera pisarza, a tymczasem w ogóle się tym — najważniejszym dla nas przecie — okresem jego życia nie interesuje. Kończy biografię, zanim jeszcze Dygasiński odczuł potrzebę pisania. Cóż więc zostaje? Opowieść o przeciętnych losach ludzkich okresu styczniowego powstania, opowieść o ubogim dziecku szlacheckim, które szuka dla siebie miejsca w świecie popowstańczych rozczarowań. Dygasiński Górskiego jest przy tym jako człowiek, jako profil duchowy bardzo nijaki, nic go nie charakteryzuje, nic nie wyróżnia. Chce się wybić koniecznie, jest pracowity i swych rówieśników szkolnych przewyższa solidnością i zdolnościami. Ale co ma tu znaleźć dla siebie czytelnik, dla którego Dygasiński jako postać nie jest niczym szczególnie interesującym? Że wychował się wśród chłopskich dzieci, że był nierzadko świadkiem chłopskiego wyzysku? Górski pisze całe dziesiątki stronic o najróżniejszych drobiazgach domowych, byle sprawa omawiana jest nader dokładnie, z zupełną niefrasobliwością dla czytelniczej wytrzymałości. Jaki w tym cel literacki? Książka domaga się, krzyczy wprost o skróty, o jakąś ogładę tekstu, dialogu, opisów. Rzemiosło pisarskie Górskiego jest surowe, co krok napotykamy miejsca, w których najprostsza ingerencja adiustatora wygładziłaby zdanie, ograniczyła niepoprawne gadulstwo. Często nie chodzi już nawet o Dygasińskiego, ale o „tło historyczne", o koloryt społeczny epoki, o jakichś szlachciców, chłopów, rządców, którzy młodego autora *Godów życia* otaczali i w jakiś sposób kształtowali jego świadomość. Lecz wszystkie te sceny są nazbyt konwencjonalne, utarte, mieszczą się najdokładniej w dobrze znanych ze szkolnych podręczników schematach. Ani jednej ciekawej anegdoty, ani jednej frapującej postaci. Przyjaźń zawiera młody Dygasiński w ten sposób, że po prostu mówi wybranemu osobnikowi: zostańmy przyjaciółmi, I zostają. Całe życie wewnętrzne bohatera i otaczających go ludzi sprowadzone jest do kilku najprostszych wzorów: uczciwości lub zepsucia, pracowitości lub lenistwa, powagi lub lekkomyślności.

W połowie książki wkraczamy dopiero w problemy, którymi na dobrą sprawę należałoby opowieść rozpocząć: w powstańcze perypetie Dygasińskiego. Trudno jednak zrozumieć, czym uzasadniony jest dobór scen, które Górski szerzej rozwija. W niektórych ważniejszych momentach brak autorowi fantazji, aby na przykład opisać aresztowanie bohatera, jego zeznania, przeżycia więzienne. Jakiż to ciekawy materiał dla późniejszej naturalistycznej ideologii Dygasińskiego! Ale Górski pisze swoją książkę bez konsekwentnego zamysłu. Trudno właściwie powiedzieć, kim jest w jego oczach Dygasiński. Ani pisarzem, ani społecznikiem, ani frapującą osobowością. Autor po prostu nie stwarza żadnego problemu dla bohatera, opowiada o losach ludzkich sposobem gawędziarskim, bez selekcji wydarzeń, bez celowego wyboru.

Może dopiero ostatnie kilkadziesiąt stron pokazuje bohatera w ciekawszym świetle, Dygasiński przestaje być w oczach autora konwencjonalnie solidnym i pracowitym młodzieńcem, przeżywając kolejne klęski i rozczarowania zyskuje — jako postać literacka — plastyczność. Kiedy nie może dać sobie rady z interesami, w które się nieostrożnie zaplątał, kiedy stoi wobec bankructwa księgarni i zaczyna nałogowo grać w karty — otrzymuje jakieś ludzkie rysy, nieszczęścia bohatera dają autorowi trochę inwencji. Ale i tutaj mamy do czynienia z zasadniczymi błędami rzemiosła, Górski ma poważne trudności z poprawnym zbudowaniem sceny, dialogu, gradacji dramatycznej. Autor dość uważnie wydobywa wszystkie historyczne nazwiska, które miały jakiś związek z Dygasińskim. Przypomina wtedy czytelnikowi, że pragnął jednak napisać książkę o literacie, o współtwórcy kultury, o kimś wybitnym. Niestety, za-

miar ten nie został spełniony. Bohater Górskiego nie ma w ogóle żadnych danych w sensie wewnętrznym, aby kimś podobnym zostać, jego przeżycia są od początku do końca „typowe", konwencjonalne, przeciętne. Szansa wykreowania osobowości została więc zaprzepaszczona.

Pozostałaby, teoretycznie rzecz biorąc, druga możliwość: barwnej i ciekawej opowieści o młodym człowieku, który później został pisarzem, o jego doświadczeniach i rozczarowaniach. Ale na to brak zupełnie Górskiemu pisarskich umiejętności. To, co czytelnikowi zaofiarował, jest brulionem, nad którym jeszcze poważnie należałoby popracować.

Włodzimierz Maciąg

„TRADYCJE I REWIZJE"

Henryk Markiewicz: *Tradycje i rewizje*. Kraków 1957. Wydawnictwo Literackie; str. 361.

Książka Henryka Markiewicza miała szczęście do recenzentów; miała je jak chyba żadna tego rodzaju publikacja. Piszący niniejsze słowa przeczytał dotąd pięć omówień *Tradycji i rewizji* i musi bardzo uważać, by zbyt wiele nie zawdzięczać swoim poprzednikom. Trudno im nic nie zawdzięczać, skoro ich opinie wypełniły właściwie całą przestrzeń pomiędzy skrajnym krytycyzmem i równie skrajną aprobatą. Najdogodniejszy „złoty środek" też jest okupowany. Biegun ujemny zajmuje Julian Przyboś (w *Przeglądzie Kulturalnym*), oceniający prace Markiewicza jako produkt dogmatycznego myślenia o literaturze, jako dreptanie w zaklętym kręgu kilku pojęć wciąż stawianych na nowo, odmienianych przez różne przypadki, do znudzenia odświeżanych i przemalowywanych. Inni krytycy — S. Morawski (w *Polityce*), Z. Żabicki (w *Życiu Literackim*) i S. Treugutt (w *Przeglądzie Kulturalnym*) — widzą w książce Markiewicza świadectwo „twórczego marksizmu", podnoszą nowość problematyki wysuniętej przez autora *Tradycji i rewizji*, cenią wysoko jego rewizjonistyczne nastawienie, połączone z wiernością podstawowym założeniom marksistowskiej metody. Maria Janion (w *Nowej Kulturze*) stoi na podobnym stanowisku, ale zmierza przy tym do optymistycznej i krzepiącej pointy: prace Markiewicza świadczą dowodnie, że kryzys metodologii marksistowskiej ma się ku końcowi. Każda z tych opinii jest na swój sposób prawdziwa. Sądzę, że gdyby połączyć wszystkie, zyskałoby się ocenę najsprawiedliwszą. Nie dlatego, że zgodną z wszystkimi „przedmówcami", lecz dlatego, że jej dwuznaczność odpowiadałaby doskonale „przejściowemu" charakterowi rozpraw Markiewicza. Powstawały one w sytuacji dla humanistyki marksistowskiej dramatycznej, a ich zawartość tę sytuację znakomicie odzwierciedla. Grubą przesadą jest twierdzenie, że książka Markiewicza przezwycięża kryzys. Autor *Tradycji i rewizji*, stawiając liczne pytajniki i zgłaszając wątpliwości metodologiczne, raczej ów kryzys jeszcze pogłębia niż likwiduje, bardziej zaostrza sprzeczności niż je rozwiązuje. I tędy chyba prowadzi najwłaściwsza droga ku ozdrowieniu. Mam wrażenie, że humanistyka marksistowska nie przeszła jeszcze przez stadium uświadomienia sobie teoretycznych przyczyn własnego kryzysu. Na razie bowiem nie bardzo wiadomo, co należy przezwyciężać.* Studia Markiewicza są próbą krytycznej analizy kilku podstawowych zagadnień marksistowskiej teorii literatury. Ich tytuły: *Sporne problemy klasowej interpretacji literatury, Dyskusja o realizmie, O typowości w literaturze, Pozytywizm a realizm krytyczny, Spór o naturalizm.* (Inne prace zawarte w omawianej książce — o Żeromskim,

* Najcenniejsze postulaty w tej materii wyszły spod pióra Pawła Beylina, który w doskonałym szkicu *O pewnych problemach teorii sztuki* (*Twórczość* 1958, nr 1) wszechstronnie oświetlił kłopoty marksistowskiej estetyki.

o trylogii historycznej Reymonta, o kampanii fredrowskiej Boya — są marginesem obok głównego tekstu teoretycznego.)

Autor *Tradycji i rewizji* jest dziś chyba jedynym marksistowskim badaczem, który nie bacząc na wahania „koniunktury" rozwija konsekwentnie problematykę teoretyczno- i historyczno-literacką doszczętnie — zda się — skompromitowaną piórami satyrycznie uzdolnionych krytyków. Skompromitowaną także przez rejteradę tych wszystkich, którzy przed paru laty deklarowali co krok swe przywiązanie do „jedynie słusznej" i „prawdziwie naukowej" metody, a potem porzucili ją w popłochu i bez walki, stawiając pod znakiem zapytania cały swój dorobek przez ową metodę inspirowany. Można by przypuszczać, że wszystko, co wówczas napisali, ma wyłącznie sens pickwickowski.

Konsekwencja Markiewicza nie ma charakteru dogmatycznego. Nie prowadzi do utrwalania jakiegoś niezmiennego zespołu zapatrywań, przeciwnie — niesie ze sobą ciągłą dyskusję z dawniej wypowiadanymi poglądami i rewizję przyjętych założeń. Postawie takiej odpowiada doskonale tytuł książki — *Tradycje i rewizje*. Nakładają się w niej jakby na siebie dwa teksty. Tekst teoretycznych rozważań o realizmie, typowości, naturalizmie etc. oraz tekst rozważań o samej metodzie, o sposobach dociekań, które dotąd stosowano w opisie tych zjawisk. Ten drugi ma — moim zdaniem — wartość donioślejszą, ponieważ wiąże teoretyczno-literackie ujęcia Markiewicza z ogólniejszym procesem dyskusji o współczesnym (i we współczesnym) marksizmie. Świadczy, że także nauka o literaturze, przed paru laty przodująca w „przełomie metodologicznym", a dziś idąca w ogonie przeobrażeń, wyjątkowo mało aktywna i odkrywcza, próbuje znowu powiedzieć coś interesującego. Kierunek dociekań Markiewicza zdaje się wskazywać, że przypuszczalna ewolucja literaturoznawstwa marksistowskiego przebiegać będzie po trzech torach. Nazwijmy je najpierw orientacyjnie:

a) Eliminacja, a przynajmniej wydatne ograniczenie zasięgu stosowanych dotąd kategorii wartościujących.

b) Dążność do zastąpienia pojęć „uniwersalnych" (realizm od Homera do Brandysa) przez pojęcia historycznie zrelatywizowane.

c) Tendencja do interpretowania zjawisk literackich w kategoriach socjologicznych, w miejsce dotąd stosowanych kategorii ideologicznych czy wręcz politycznych.

Gwoli ścisłości trzeba powiedzieć, że dążenia te, występujące w podtekście rozpraw Markiewicza, układają się tam akurat w odwrotnym porządku niż w powyższym zestawieniu. Najpełniej skrystalizowana jest tendencja socjologiczna, stosunkowo najmniej do głosu dochodzi, a gdy dochodzi, to niekonsekwentnie — dążność umieszczona przez nas na pierwszym miejscu. Dlaczego więc tak ją honorujemy?

Przede wszystkim dlatego, że problem wartościowania jest, w odróżnieniu od dwóch pozostałych (*par excellence* marksistowskich) zagadnieniem istotnym generalnie dla całej humanistyki. Jak wiadomo, praktykę literaturoznawstwa marksistowskiego cechowała skłonność do bardzo jednoznacznych i ostrych rozstrzygnięć wartościujących. Sama skłonność, nierozdzielnie przecież związana z wszelką działalnością humanistyczną, nie powinna niczym intrygować. Tak, ale skłonność ta powołuje do życia określone s p o s o b y wartościowania, realizuje się poprzez użycie określonych instrumentów poznawczych, rodzi pewne metody badawcze, staje się — jednym słowem — składnikiem jakiegoś systemu wskazań metodologicznych. Gdy tak na nią spojrzeć, jako na element systemu metodologicznego, to wówczas staje w pełnej okazałości pytanie: w jakiej mierze stosowane kategorie wartościujące pozostają w zgodzie z tymi rygorami postępowania naukowego, którym humanistyka — z natury pod tym względem ułomna — powinna sprostać? Nie trzeba sobie mydlić oczu: zadania naukowo-poznawcze i wartościowanie (ocena badanych zjawisk) to są rzeczy w istocie sprzeczne i trudno sobie wyobrazić formułę, która by je mogła uzgodnić. Humanista na tej sprzeczności buduje swój gmach. Jego rzeczą jest, by oparty na przeciwieństwie fundament zachował względną równowagę. Ostatnio słyszało się opinie, że niektórzy „nieodpowiedzialni" krytycy literaturoznawstwa marksistowskiego usiłowali zwalczyć w nim to, co zdrowe i co naturalne w działaniu humanistycznym — dążenie do oceny, do „wymie-

rzania sprawiedliwości", do wartościowania. O ile pamiętam (a pamiętać łatwo, bo załączników niewiele), nikt rozsądny tak sprawy nie stawiał. Nie o prawo do wartościowania szło — i idzie dalej — lecz o sposób oceny, o stosowane kryteria, o typ postawy wartościującej. Typ postawy, który zdaje się wykluczać naukowość dociekań. Dlaczego?

Wszelkie wartościowanie polega na przyrównaniu: jednego obiektu do drugiego (traktowanego jako miara historycznie mu współczesna); kształtu zrealizowanego do zamierzeń; środków (np. poetyka) do celów (zadania, które dana epoka stawia przed literaturą); przedmiotu badanego do jakiejś przyjętej przez badacza hierarchii wartości.

Teoria i praktyka marksistowskiej wiedzy o literaturze wiązała się nierozdzielnie z ostatnią możliwością. Ta zaś — „prawomocna" np. całkowicie w postępowaniu krytyka literackiego — cechuje się tym, że w sposób zupełnie naturalny upodrzędnia zadania poznawcze wobec zadań oceny. Czyni wartościowanie logicznie „wcześniejszym" od badania. Używając staroświeckich nieco pojęć można by rzec, iż czynnik podmiotowy (wartość) wyprzedza tu sam przedmiot badania (fakt). Co więcej: fakt jest tak konstruowany, aby mógł być przymierzony do pewnego skrystalizowanego w przekonaniach ideologicznych badacza — systemu ocen. Upiór konwencjonalizmu, skazany przez marksistów na banicję, straszył zupełnie legalnie w ich praktyce ideologiczno-naukowej. Miary wartości były tu trojakie; chodziło o odpowiedź na takie pytania: w jakim stopniu dane zjawisko literackie uczestniczyło w genealogii współczesności badacza (czy było postępowe, czy reakcyjne w tym znaczeniu, jakie tym pojęciom nadaje rewolucyjna taktyka proletariatu); w jakiej mierze daje się ocenić wedle kryteriów, które — do kultury sobie współczesnej — stosowali klasycy marksizmu (punktem wyjścia była tu egzegeza odnośnych tekstów marksistowskich, a nie czynności empiryczno-poznawcze); w jakim stopniu odpowiada wymogom „realizmu", traktowanego jako uniwersalna kategoria, zgodna z założeniami epistemologii marksistowskiej i materializmu historycznego.

Wszystkie te miary, stosowane łącznie czy rozdzielnie, prowadziły do ahistoryzmu, do postawy zasadniczo sprzecznej z intencjami marksistowskich badań genetycznych.* Te zaś w dziedzinie wartościowania zdają się implikować pewien relatywizm ocen, wyprowadzenie ich z określonej historycznie sytuacji literackiej, a nie „z zewnątrz" — ze współcześnie aktywnych ideologicznie przeświadczeń badacza. Osadzenie wartości na gruncie historycznym, ocena jak gdyby immanentna zjawisk literackich — to, jak się wydaje, najwyższy — osiągalny — stopień naukowości humanistyki.

Nic więc dziwnego, że ograniczenie stosowanych dotąd zasad wartościowania, którego dokonuje Markiewicz, ten *pontifex maximus* kierunku marksistowskiego, odbywa się właśnie na drodze nadawania treści historycznych — kategoriom „uniwersalnym" (realizm, typowość). Jest to proces dopiero zapoczątkowany w *Tradycjach i rewizjach*, stąd wszystkie niekonsekwencje — na ogół już dostrzeżone przez krytyków** — w propozycjach autora. Mowa głównie o tych, które wynikają z rozprawy *Dyskusja o realizmie*. Markiewicz dowodzi, że realizm jest pojęciem wielowarstwowym. Składają się nań: ontologiczna koncepcja rzeczywistości, sposób pojmowania (i chyba wynikający stąd sposób przedstawienia?) procesu historycznego, określony stosunek do losów i psychologii bohatera, umiejętność odtworzenia realiów.*** Autor stwierdza, że podane przez niego wyróżniki mają znaczenie tylko dla literatury XIX i XX w. Równocześnie jednak — pod presją panujących konwencji — przypisuje terminowi „realizm" sens ogólniejszy i wartościujący. Oba nastawienia, jedno prowadzące do historyczno-opisowego przedstawienia metody twórczej związanej z pewnym prądem literackim, drugie — zmierzające do określenia realizmu jako „najbogatszego poznawczo typu prawdy artystycznej w literaturze" (str. 72), skrzyżowane ze sobą,

---

* Jak trafnie zauważył we wspomnianym już szkicu Paweł Beylin, założenia genetyczno-socjologiczne estetyki marksistowskiej pozostają w stosunku zaprzeczenia do jej założeń epistemologicznych.

** Z. Żabicki: *Henryka Markiewicza „Tradycje i rewizje", Życie Literackie* 1958, nr 12.

*** *Tradycje i rewizje*, str. 65 i nast.

stwarzają komplikacje, których autor nie może przezwyciężyć. Wątpię, czy w ogóle dadzą się one pokonać. Trzeba wybrać: albo tworzy się generalne kategorie wartościujące, z natury ahistoryczne, albo konstruuje się pojęcia przykładalne do konkretnych prądów czy poetyk, a więc pojęcia mające sens wyłącznie historyczny i nie pełniące funkcji jednoznacznie wartościującej. Koncepcja Markiewicza w obecnym wyglądzie pachnie Heglowską metafizyką. Jest jakaś idea realizmu, która ma takie to a takie właściwości, i ta idea (o wartości dodatniej) ulega kolejnym „wcieleniom" w rozwoju literatury, tworząc w każdych warunkach dzieła poznawczo najbogatsze. Historyczna interpretacja realizmu dziewiętnastowiecznego jest w ujęciu Markiewicza znacznie bardziej przekonywająca od jego końcowych wniosków metodologicznych, nie bardzo wynikających z przesłanek. Dyskusja nad tą pracą (która drukowana była poprzednio w *Życiu Literackim)* wykazała dowodnie, że sprawa nie posunie się naprzód, dopóki nie zostaną w sposób poprawny określone takie pojęcia, jak „poetyka", „prąd literacki", „metoda twórcza", których migotliwe znaczenia uniemożliwiają — jak dotąd — bliższe porozumienie. Najbardziej przekonywające wydają mi się próby Markiewicza zmierzające do historyczno-literackiego opisu i interpretacji pozytywizmu, realizmu krytycznego i naturalizmu (w pracach *Pozytywizm a realizm krytyczny* i *Spór o naturalizm).* Znamienna i nowatorska jest „rehabilitacja" naturalizmu, który w literaturoznawstwie marksistowskim miał „złą prasę", szczególnie po głośnej ongiś rozprawie Burowa. Tendencja do eliminacji dawniej stosowanych kryteriów wartościowania i do zastąpienia ich przez wszechstronny i „wielowarstwowy" opis prądu literackiego — tu posunięta została najdalej. Sądzę, że doświadczenia Markiewicza są w tej dziedzinie bardzo pouczające nie tylko jako reakcja na aprioryzm w wydaniu marksistowskim, mogą być one także wysoce instruktywne dla współczesnych dyskusji krytyczno-literackich. Mam na myśli ostatnie — dotyczące tradycji poezji współczesnej. Odżyła w nich metafizyczna skłonność do pozahistorycznej koncepcji prądu literackiego („romantyzm", „klasycyzm"), do owych wszechogarniających poglądów o „sinusoidalnym" czy „spiralnym" rozwoju literatury. Bardzo wskazana jest tu lekcja myślenia historycznego. Dawniejsza praktyka marksistowska z natury swego pseudohistoryzmu nie mogła być skuteczną odtrutką, wprost przeciwnie.

Wreszcie tor trzeci — zwrot do socjologizmu. Świadectwem — rozprawa *Sporne problemy klasowej interpretacji literatury.* Markiewiczowi przyświeca z jednej strony tendencja do rozgraniczenia sfery ideologii i wyznaczników socjologicznych dzieła literackiego, z drugiej zaś — dążenie do rozbudowania i sprecyzowania kategorii społeczno-genetycznych. Trudno propozycje autora omawiać punkt po punkcie. Został tu uczyniony niewątpliwy krok naprzód w rozumieniu klasowej genezy literatury. Raz — ponieważ geneza ta uległa zróżnicowaniu (klasa jest wewnętrznie złożona i w związku z tym należy każdorazowo zbadać, z jakimi konkretnie grupami społecznymi w jej ramach wiąże się pisarz); dwa — Markiewicz zgłasza votum nieufności wobec prób wyprowadzania z interesów określonych klas społecznych takich zjawisk, jak gatunek czy prąd literacki; trzy — ponieważ autor *Tradycji i rewizji* odgraniczył w utworze literackim zakres poglądów ideowo-politycznych pisarza, dających się jednoznacznie sprowadzić do socjalnej genezy — od tej sfery ideologii twórcy, która wymyka się takiemu uchwytowi.

Ale sprawa do końca nie została właściwie doprowadzona. Jak stwierdza Witold Kula w swych *Rozważaniach o historii,* motywem interesu klasowego mogą być w sposób metodologicznie poprawny tłumaczone d z i a ł a n i a k l a s y, natomiast motyw ów nie tłumaczy d z i a ł a ń j e d n o s t k i. Ta teza powinna mieć chyba konsekwencje. Dzieła literackie są tworami jednostek — czyli nie „klasa", nie „grupa wewnątrzklasowa", lecz „osoba" byłaby tą kategorią socjologiczną, która przylega b e z p o ś r e d n i o do zjawisk literatury. Wydaje mi się, że problem warto bliżej przemyśleć. Propozycje Markiewicza są zaledwie pierwszym krokiem. Raczej stwarzają punkt wyjścia, niż rozstrzygają.

Janusz Sławiński

TRZY KSIĄŻKI W JEDNEJ

Jadwiga Waydel Dmochowska: *Dawna Warszawa. Wspomnienia.* Warszawa 1958. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 449.

Niech nas nie przerażają pokaźne rozmiary tej pracy (blisko 500 stron). Są to właściwie trzy książki w jednej. Pierwsza to drobiazgowy przewodnik po tej dzielnicy Warszawy, którą codziennie w dzieciństwie przebiegała autorka — ulice: Miodowa, Senatorska, Plac Teatralny, Wierzbowa, Niecała, i parki, do których uczęszczała: Ogród Saski, Łazienki, Dolina Szwajcarska, Agrykola. Znamienne jest tu dokładne wyliczenie sklepów mijanych po drodze. Mała osóbka musiała być obdarzona świetną pamięcią i nie byle jaką spostrzegawczością.

Te dwie cechy odbiły się również na drugiej części składowej książki: towarzysko-obyczajowej. Jest to sumiennie skatalogowana lista obyczajów domowych, rodzinnych i towarzyskich, panujących na pograniczu inteligencji pracującej i zamożnego mieszczaństwa. Linia demarkacyjna dzieląca te dwie sfery była niemal niedostrzegalna. Można ją było raczej wyczuwać po odmiennych źródłach snobizmu: szlacheckiego pochodzenia i ziemiańskich kontaktów u inteligencji pracującej i twórczej — wielkopańskiego luksusu i mecenasostwa sztuk pięknych u bogatego mieszczaństwa i finansjery.

Te dwie warstwy spotykały się na pomoście wspólnego snobizmu: postępu, a zewnętrznie na zebraniach towarzyskich, organizowanych według nieurzędowej selekcji pochodzenia, skali umysłowej i majątkowej uczestników. O tych zakulisowych, niepisanych kanonach autorka nie wspomina, podaje natomiast wiele rysów charakterystycznych tak dla jednego, jak i dla drugiego odłamu.

Trzecia, literacko najciekawsza, a niestety najmniej rozbudowana część książki, to osobiste wspomnienia autorki, często związane z wybitnymi postaciami, które odegrały ważną rolę w dziejach naszej kultury XIX i XX wieku.

Dwie pierwsze części: informacyjno-przewodnikarska i obyczajowa, przenikają się wzajemnie. Lista sklepów na Wierzbowej i Niecałej świadczy o snobistycznych upodobaniach tej sfery bogatych przemysłowców, kupców, wziętej palestry, znakomitych aktorów, oficerów carskiej gwardii i złotej młodzieży, którzy stanowili klientelę Mankielewicza, Côqui i Kowalskiego, których stać było na zbytkowną biżuterię, wykwintne drobiazgi i kosztowne futra. W pamięci dziecinnej utrwaliły się co prawda najlepiej sklepy ze słodyczami (Anczewski, Fruziński, Riese i Piotrowski) oraz papeterią, nie wpływa to jednak na osłabienie elitarnego charakteru sklepów tej dzielnicy, które stanowiły dla przechodniów pokaz i poglądową szkołę zbytku i snobizmu.

Specjalny rozdział poświęcony jest kwiaciarniom, dostępnym wówczas tylko zamożniejszej sferze. Drobne mieszczaństwo zaopatrywało się w bezpretensjonalne snopy rumianków, bławatków, pęki bzów i jaśminów na targach. Dobrze się stało, że autorka z gęstwiny egzotycznych orchidei, fiołków parmeńskich i wymyślnych dekoracji kwiatowych w domach finansjery warszawskiej zdołała wyłowić dwie postacie kolejnych właścicielek firmy „Złocień": Unszlichtówny i Neumarkówny. Pierwsza, związana przez brata z konspiracją ówczesną, druga, zwana panią „Złocieniową", zyskała sobie w sferach elitarnych opinię mistrzyni kompozycji kwiatowych na weselnych i bankietowych stołach. Takich *à propos* jest w książce Dmochowskiej sporo. Wnoszą one ciepłą nutę w niejednokrotnie suche wyliczania lokali, przedmiotów, a czasem nawet i żywych istot.

Z podobną do poprzedniej precyzją i dokładnością opisany jest pałac Teppera, a zwłaszcza ta jego część, w której znajdowało się mieszkanie państwa Waydlów, rodziców autorki. Ale tu mamy do czynienia z jedynym bodaj na terenie całej książki, nie istniejącym dziś zabytkiem architektury i drobiazgowość jego opisu nadaje mu rangę dokumentu historycznego. Natomiast z dokładnego wyliczenia tytułów wszystkich sztuk, oper i operetek, wystawianych w Warszawie na początku wieku XX-go, zrezygnowalibyśmy chętnie na rzecz obszerniejszej relacji z wrażeń młodocianej wówczas autorki, której zresztą na większość tych spektakli nie zabierano. Cenny bądź co bądź materiał informacyjny powinien służyć tu za podbudowę autentyzmowi literackiemu.

Ten autentyzm jest głównym elementem w wizerunkach zamierających typów starej Warszawy, związanych ściśle z życiem sfer zamożniejszych: posłańca, frotera, tapicera domowego, praczki i krawcowych, szyjących po domach. Autorka obejmuje ich ogólnym mianem „domowników". Wkraczamy tu w drugą warstwę książki — obyczajową. Jest to jak gdyby nieświadoma kontynuacja *Obyczajów* Kitowicza, podyktowana wewnętrzną koniecznością ocalenia od niebytu uświęconych latami nawyków swojej epoki i środowiska.

Mleczarnie warszawskie, Kaprysy mody, Roboty ręczne, Gry i zabawy, Lekcje tańca, Koło sportowe, Dolina Szwajcarska, Opera, dramat i komedia, Operetka, Melodie Warszawy, Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, Filharmonia, Salony muzyczne, Karota, Żałoba — oto tytuły poszczególnych rozdziałów, których samo brzmienie wywołuje w pamięci czytelników starszego pokolenia zamglone obrazy przeszłości. *Melodie Warszawy* to jedyny szkic, w którym się zachowały piosenki warszawskiej ulicy i podwórka, dzisiaj mające już smak antyku, zabytki stołecznego folkloru.

W tej karuzeli obrzędów i rozrywek uderza brak... lektury. Czyżby ludzie tego pokroju i rozwoju umysłowego nie czytali? W tym *vade mecum* snobizmu nie znajdujemy wzmianki o modnych książkach, o czytelniach, o wypożyczalniach książek, o kawiarniach, do których się chodzi „na gazety".

Nasze wątpliwości w tym względzie rozprasza trzeci i najciekawszy element składowy *Dawnej Warszawy* — osobiste wspomnienia autorki. Zaczynają się one od rozdziału *To, czego nie pamiętam, a o czym słyszałam. Powstanie styczniowe.* Idealna para staruszków, dziadków macierzystych autorki, reprezentantów tego odłamu mieszczaństwa warszawskiego, które nie wahało się rzucić na szalę swego majątku, spokoju swych ognisk rodzinnych, życia własnego i swoich najbliższych, byle wziąć udział w powstaniu styczniowym, któremu tak uparcie później starano się przylepić pieczątkę zrywu wyłącznie szlacheckiego. Owe środy, na których bywali tacy ludzie, jak Henryk Wohl, Julian Adolf Święcicki, pani Rodysowa, Helena Skłodowska, Malwina Lange z bratem Antonim, poetą, Władysław Smoleński, Konrad Olchowicz, Alfred Konar — ten azyl polskości, gdzie ulubioną rozrywką było czytanie wspólne *Pana Tadeusza*, to przecież jedna z kart dziejów kulturalnej i patriotycznej Warszawy.

Dzięki intelektualnym upodobaniom rodziców autorki w jej najbliższe otoczenie wcześnie zaczęli przenikać ludzie wybitni i zasłużeni, nawet sławni. Odsłonięcie pomnika Mickiewicza, sylwetki wychowawców i nauczycieli autorki, jubileusz Sienkiewicza, w którym jej rodzice brali udział, wspomnienie Burca, w którym zamieszkała po zamążpójściu, a który uwieczniony został w I tomie *Potopu* jako siedziba państwa Skrzetuskich, wypadki lat 1904 — 1906, wybuch pierwszej wojny światowej, przymusowy pobyt w Berlinie i peregrynacja do kraju, Warszawa pod niemiecką okupacją — oto tło wspomnień, tło, które niejednokrotnie wysuwa się na pierwszy plan, swoim balastem informacyjnym przytłaczając bezpośredniość i subiektywizm przeżyć osobistych.

Szczególnym ciepłem owiany jest rozdział *Najdawniejsi znajomi*, wizerunki zarówno wybitnych artystów, naukowców i działaczy społecznych, jak skromnych pracowników kultury polskiej, walczących o jej istnienie w ciężkich warunkach niewoli carskiej i nocy okupacyjnej.

Uzupełnieniem tego przeglądu jest miły felieton o wakacjach w Nałęczowie, gdzie relacje o zabawach, spacerach i piknikach przeplatają się ze szkicowymi sylwetkami Prusa i Żeromskiego. Niejeden z uczestników tych młodzieńczych igraszek odnajdzie tam swoje pierwsze zaloty, zadumy, złudzenia i... sztambuchowe wierszyki. Autorka nie tylko tu wykracza poza rogatki ówczesnej kulturalnej Warszawy. Wspomnienia o Pankiewiczu i Feliksie Jasieńskim związane są z „dawną", czyli z przedwojenną Warszawą głównie przez jej osobę, nie tylko reprezentantkę mikrokosmu między Placem Zamkowym i Teatralnym, ale — i w najlepszym tego słowa znaczeniu — „obywatelką całego świata", choćby dzięki swym przekładom z obcych języków — Wschodu i Zachodu.

Szkoda, że w tej książce trochę za dużo jest szczegółów o skarbach Powidłowej, u której wszystkie elegantki Warszawy zaopatrywały się w koronki, tiule i gipiury, a za mało o przeżyciach i obserwacjach pani Dmochowskiej, która umie patrzeć i pamiętać. Może dowiemy się czegoś o nich z innej książki.

Stefania Podhorska-Okołów

PRZYJACIELE ANGLICY

Jan Dąbrowski: *Z Anglikami na codzień. Listy z Anglii 1939—1945.* Przedmowę napisał Stanisław Helsztyński. Kraków 1958. Wydawnictwo Literackie; str. 428.

Jakby w przeczuciu wydarzeń historycznych, które nadspodziewanie ściśle związać miały losy dwu odległych narodów, uczeni polscy podjęli w latach trzydziestych ożywione badania nad stosunkami kulturalnymi między Polską a Wielką Brytanią. Na plan pierwszy wybijają się gruntowne, pisane z właściwym autorowi połączeniem erudycji i wdzięku literackiego, studia Wacława Borowego. Wydobyły one na jaw wiele faktów nieznanych albo zapomnianych, ale przede wszystkim wykazały, że temat wart jest opracowania. Rozległa rozmaitość kontaktów kulturalnych i politycznych między Albionem a Sarmacją była bowiem zawsze nie doceniana i co krok napotykamy szczegóły drobne może, ale i sensacyjnie wyglądające. Jakże mało na przykład wiemy o popularności Polski w angielskiej literaturze romantycznej. Sławny sonet Keatsa *To Kosciuszko* okazuje się bynajmniej nie odosobniony. A czyż nie jest swego rodzaju rewelacją, że w słynnym dziele *Biographia Literatia* S. T. Coleridge cytuje z zachwytem łacińską odę Sarbiewskiego, znaną u nas chyba tylko kilkunastu specjalistom? Wiele podobnych przykładów można by przytaczać z dalszej przeszłości, z wieków XVI i XVII zwłaszcza, ale i ze średniowiecza.

Wiek XX — okres działalności na terenie Anglii Polaków tak sławnych, jak Conrad-Korzeniowski i Bronisław Malinowski, a już szczególnie lata ostatniej wojny doprowadziły do takiego ożywienia i zacieśnienia stosunków między obydwoma krajami, że w tej chwili na każdym niemal kroku spotkać możemy w Wielkiej Brytanii ślady aktywności naszych rodaków. Mało kto, poza zainteresowanymi, zdaje sobie sprawę, jak rozbudowane było na przykład wyższe szkolnictwo polskie: Polski Wydział Lekarski w Edynburgu, Wydział Architektury w Liverpoolu, Wydział Prawny w Oxfordzie; bezpośrednio po wojnie — Polish University College (PUC) w Londynie.

Najazd Polaków na Anglię, rozpoczęty w roku 1940, znany nam jest przede wszystkim z wojennej literatury pięknej (kapitalne opowiadania Ksawerego Pruszyńskiego) i wspomnień kombatantów. Brak natomiast ciągle „cywilnych" opracowań czy to typu wspomnieniowego, czy naukowego. Wydana niezwykle porządnie, w pięknej i bogatej szacie graficznej, książka Jana Dąbrowskiego — bodajby była pierwszą z szeregu podobnych publikacji, poświęconych zarówno osobliwościom życia angielskiego, jak i rozważaniom o polsko-angielskich związkach kulturalnych, słowem: o „przyjaciołach Anglikach".

Zarówno tytuł, jak i podtytuł książki Dąbrowskiego są dosyć mylące. O „Anglikach na codzień" czytamy tam niestety nie tak wiele, a z formą listu teksty nie mają w gruncie rzeczy nic wspólnego. Rozumiem jednak wątpliwości autora, który, zdając sobie sprawę z amatorskiej urywkowości swoich prac, chciał znaleźć jakąś „wymówkę" dla luźnej formy szkiców, powiązanych li tylko najogólniej rozumianym tematem: Anglicy. Ale to nie są listy — to eseje, rozprawki i noty, sporządzane z godną podziwu sumiennością i wszechstronnością w doborze przedmiotu. Dąbrowski jest z zawodu inżynierem i choć na każdej stronie dostrzegamy „zawodową" troskę o rzeczowość i udokumentowanie, to imponujący zestaw poruszanych zagadnień w niczym nie nasuwa skojarzeń z wiedzą techniczną. Czytamy więc o wrażeniach autora z pobytu w bombardowanym Coventry i o Sir Philipie Sidneyu, o patriotyzmie Anglików i o tym, „co widział w Anglii i Szkocji Krystyn Lach-Szyrma", o głośnym niegdyś oryginalnym rysowniku i rzeźbiarzu, noszącym przedziwne (przybrane) nazwisko Gaudier-Brzeska, i o nalotach pocisków V-1 i V-2, o rodzeństwie Sitwellów i Sir Staffordzie Crippsie, o patriotyzmie Anglików, ich dziwactwach i zamiłowaniu do poezji — i o wybitnym sławiście i przyjacielu Polaków, Williamie J. Rose, o osobliwo-

ściach Szkocji i Walii — i o słynnej serii akwafort Turnera *Liber Studiorum*. Ale i to wyliczenie nie daje jeszcze właściwego pojęcia o wszechstronności zainteresowań autora. W szkicu o Coventry znajdziemy bowiem, obok wspomnień, streszczenie słynnej legendy o Lady Godiva i wiadomości z historii miasta — centrum angielskiego przemysłu samochodowego. W artykule o W. J. Rose umieścił Dąbrowski informacje o uniwersytecie oxfordzkim. W eseju o Szkocji czytamy zarówno o odrębnościach kultury szkockiej, jak o stosunkach polsko-szkockich, o klanach i Bonnie Prince Charlie. Uwagi o angielskich *hobbies* i klubach oparte są na obserwacjach własnych i zarazem na materiałach prasowych. W rozdziale o Sidneyu autor rozważa pogłoskę o jego rzekomym pretendowaniu do tronu polskiego, jak i aktualność słynnej rozprawy *The Defense of Poesie* w zastosowaniu do... filmu. Wreszcie nota o Sitwellach zawiera ciekawe zestawienie z analogiczną jakby, polską rodziną Pawlikowskich.

W miłym i pochlebnym wstępie, opowiadającym o genezie książki i jej losach, prof. Stanisław Helsztyński wyraża się z wielkim uznaniem o „studiach portretowych" Crippsa i Eddingtona. Nie mogę się zgodzić z tą opinią. Właśnie szkice czy „listy" monograficzne wydają mi się szczególnie słabe, obnażają bowiem sztywność stylu Dąbrowskiego, brak plastyczności w ujęciu postaci, kompilatorstwo w zestawie wiadomości. Tylko bardzo częściową rekompensatą są zawarte w tych partiach wspomnienia osobistych spotkań z obu znakomitościami, których sława należy już zresztą bezpowrotnie do przeszłości. O wiele bardziej wartościowe wydają mi się bezpośrednie i bezpretensjonalne relacje autora o jego współżyciu z Anglikami na terenie zakładów pracy, klubów, miejsc zamieszkania. Tego typu tekstów jest stanowczo zbyt mało. Niezmiernie ciekawe są także, obok rezultatów historycznego szperactwa Dąbrowskiego, wiadomości o egzotycznych a mało znanych obyczajach walijskich, jak na przykład Eisteddfod — ludowe uroczystości śpiewacze.

Ale najcenniejszym elementem książki inżyniera Jana Dąbrowskiego jest jej ogólna atmosfera, na którą składają się: pasja poznawania i badania, wszechstronność zainteresowań, dążność do łączenia zagadnień angielskich z polskimi, podejście do przedmiotu po amatorsku lekkie i zarazem nacechowane sumiennością, sympatia do Anglików pozbawiona cienia nawet bezkrytycznej anglomanii.

Choć nie jeden raz przyjdzie nam obruszać się na dyletantyzm autora (trudno było tego uniknąć przy takiej rozpiętości tematów) i ponarzekać na oschłość wyliczeń i zbyt surową encyklopedyczność niektórych informacji — to jednak każdy znajdzie tu z pewnością wiele wiadomości nie znanych przedtem, a wartych poznania. Ogólne wrażenie, jakie pozostawia lektura książki Dąbrowskiego, jest niewątpliwie sympatyczne. I oryginalne: *Z Anglikami na codzień* przypomina owe pełne uroczego dyletantyzmu, luksusowo wydane tomy wrażeń z wojażów osiemnasto- czy dziewiętnastowiecznych artystyczno-arystokratycznych podróżników. Dąbrowski szczęśliwie unowocześnił ten zanikły u nas rodzaj literacki.

Zdzisław Najder

SPACER PO DNIEPRZE

Podróże do Związku Radzieckiego odbywa się pod rozmaitymi kątami widzenia: aby zaobserwować zadziwiający postęp gospodarczy i naukowy wielkiego Kraju, aby zrozumieć polityczne i ekonomiczne sprężyny działania jego kierowników, aby zaznajomić się z niezwykłym postępem kulturalnym niektórych narodów Związku, które niedawno jeszcze nie miały alfabetu, a dziś już mają swoją literaturę. Wreszcie pisarze ostatnio poczęli odwiedzać Moskwę i stolice innych republik radzieckich, aby w ogniu dyskusji, w starciu opinii wypracować nowe formy współżycia i współdziałania, nowe formy wzajemnego oddziaływania kulturalnego narodów obozu socjalizmu.

Moja ostatnia podróż nosiła inny charakter. Wprawdzie odbyłem ją na zaproszenie redaktora miesięcznika *Oktiabr'* i celem jej było omówienie form współpracy pomiędzy tym miesięcznikiem a naszą *Twórczością* — ale okoliczności tak się złożyły, że wędrówka do Moskwy i do Kijowa nabrała całkiem innego charakteru. Stała się dla pisarza przeżyciem o charakterze intymnym — z którego jednak wyprowadzić się dadzą niezwykle interesujące „generalia".

Źle zresztą powiedziałem „moja ostatnia podróż". Powinienem powiedzieć „nasza podróż" — towarzyszyła mi bowiem moja żona i jej obecność nadała naszej wyprawie ten charakter podróży w krainę przeszłości. Żona moja spędziła w Moskwie okres pierwszej wojny światowej i rewolucji i równe czterdzieści lat nie widziała tego miasta. W tym czasie, kiedy ona opuszczała Moskwę — latem 1918 roku — ja gotowałem się do porzucenia Kijowa, w którym żyłem i kształciłem się od wczesnej młodości. I oto po czterdziestu latach byliśmy w miastach naszej młodości. Ona pokazywała nieznaną mi Moskwę, ja pokazywałem nieznany jej Kijów i nieznaną Ukrainę, o której tylko słyszała przez tyle lat moje opowiadania.

Te nasze powroty, powroty do zamierzchłych krain minionego czasu, stały się zarazem powrotem do rzeczy wiecznych. Znaleźliśmy w tak bardzo zmienionych miastach i okolicach, nad którymi w ubiegłym czterdziestoleciu przeszło tyle burz, wichrów, wojen, zniszczeń — znaleźliśmy nie zmienione niektóre pierwiastki piękna i prawdy, które natchnęły nas pewnego rodzaju dziwnym, bo melancholijnym nieco optymizmem. Pewne ludzkie pierwiastki — pewne aspekty przyrody — okazały się trwałe, niezmienne, takie, jakie w ludzkim rozumieniu możemy nazwać wiecznymi.

Niezapomnianym przeżyciem — jak gdyby rekapitulacją wszystkich wrażeń — była przejażdżka po Dnieprze, wspaniałym, pełnym, mocnym Dnieprze — w dzień niezwykle piękny i pogodny, kiedy ciepły wieczór zapadał nad wodą i nad ogrodem pełnym lilii, bez cienia tego nocnego chłodu, który warzy najpiękniejszą pogodę w Polsce. Było to już po odwiedzeniu pamiątkowych miejsc Moskwy i Kijowa; tam pokazała mi żona, gdzie słyszała pierwsze wykonanie przez autora III koncertu Rachmaninowa, tu Mieczysław Limanowski wykładał o tym, co jest dionizyjskie, a co apollińskie; tu, w Trietiakowskiej Galerii, odwiedziliśmy najosobliwsze jej obrazy, portrety wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku, gdzie twarze Tołstoja, Dostojewskiego, Puszkina, oddane przez znakomitych malarzy, wstrząsają swą

prawdą. Oczy Tołstoja czy Dostojewskiego zostają w pamięci na zawsze. A ja pokazałem mojej żonie dom, w którym pisałem *Oktostychy* i *Ucieczkę do Bagdadu*, mieszkanie Jury Mikłucho-Makłaja, gdzie opowiadał mi o swoim wuju podróżniku, dom, w którym mieścił się teatr „Studya" Stanisławy Wysockiej, gdzie graliśmy *Balladynę, Cyda* i *Świerszcza za kominem*, dom, gdzie mieszkała aktorka Janowa, dla której pisałem rosyjskie wiersze, i teatr, gdzie widziałem *Erosa i Psyche* po rosyjsku i Kazimierza Kamińskiego w *Grubych rybach*. A nazajutrz miałem jej pokazać obrazy Szewczenki i Zaleskiego, kościół, w którym brał ślub Honoré Balzac, opuszczony cmentarz z zachowaną mogiłą mego ojca, krajobraz mego dzieciństwa, któremu tyle zawdzięczam, ile Dnieprowi i miastu nad Dnieprem. A kiedy przejeżdżaliśmy — w pewnym miejscu pokazałem żonie drogę: tędy się jedzie do Kazimierówki, tędy jechał Joseph Conrad na pocztę do Danowa, aby odebrać list od przyjaciela, Johna Galsworthy'ego...

Sitkowce zostawiliśmy na boku: tam brali ślub rodzice Karola Szymanowskiego i moi. Jechaliśmy przez Niemirów, tu kończył gimnazjum mój brat i Stanisław Brzozowski. Zupełnie daleko została Kamionka: w altanie jej ogrodu Piotr Czajkowski komponował *Pikową Damę*.

Jakaż może być lepsza współpraca *Twórczości* z miesięcznikiem *Oktiabr'* — jak konstatacja tego wszystkiego, co nas łączy? Zapewne, dzieli nas bardzo wiele i o wiele rzeczy możemy się kłócić, mocno kłócić. Łączy nas jednak jeszcze więcej spraw, a przede wszystkim jedność wielkiej kultury europejskiej.

Oto, o czym myśleliśmy podczas uroczego, spokojnego, pachnącego miodem i liliami popołudnia, spędzonego nad Dnieprem.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Któregoś dnia, otworzywszy radio, natrafiłem na odczytywanie i komentowanie listów od słuchaczy. Tym razem wszystkie listy odnosiły się do jednej sprawy: mówiły o losie opuszczonych dzieci. Pisały anonimowe „litościwe sąsiadki" o tym, że zaopiekowały się kilkorgiem drobnych dzieci, które pozostały bez opieki, ponieważ ojciec znalazł się w kryminale, a matka uprawia nierząd. Pisały nieszczęśliwe matki, które po uzyskaniu rozwodu nie mogą usunąć z domu swych byłych mężów — dzieci są świadkami gorszących awantur; pisały dzieci, skarżąc się na rodziców — jakaś dziewczynka prosiła o obronę przed matką, która zmusza ją do nierządu, inna — piętnastoletnia, pisała, że matka przeznaczyła ją za żonę dla jakiegoś przyjaciela domu i każe jej z nim sypiać. Komentarz radiowy nawoływał do roztoczenia opieki nad nieszczęśliwymi dziećmi. Proponowano oddanie sprawy komitetom blokowym czy coś takiego. Wszystkie takie rady są jak zwykle bardzo poczciwe i bardzo niezdarne. Pewnie, od tego jest instytucja radiowej skrzynki, żeby rzucać takie zacne, ale nierealne projekty. Było to po prostu wstrząsające. Słuchałem tych historii jak streszczenia najbardziej ponurych, „czarnych" książek, musiałem się zmuszać do uprzytomnienia sobie, że to nie jest literatura, że za słowami listu jest rzeczywiście kobieta, która mając kilkoro własnych dzieci bierze jeszcze cudze, nie mogąc patrzeć na ich poniewierkę, że istnieje naprawdę nieszczęśliwa matka, która musi wyganiać z domu dzieci, żeby je uchronić od bicia i zgorszenia, musiałem wyobrazić sobie, że poza słowami listu piętnastoletniej dziewczynki słyszę jej przerażony głos. I przyszło mi wtedy nagle do głowy, że mimo wszystkich deklaracji po stronie wydziedziczonych i poniżonych, mimo wszystkich wstrząsów ideowych literatury, które ją w końcu doprowadziły do teoretycznego bodaj zrozumienia sytuacji społecznej w Polsce, literatura ta jest nadal, a może jeszcze bardziej niż kiedykol-

wiek, nieobecna w sprawach dla społeczeństwa najboleśniejszych. Słuchając niezdarnych, instytucjonalnych pomysłów redakcji, zmierzających do poprawienia losu dzieci, zrozumiałem potrzebę książki — potrzebę rozumnej, współczującej literatury.

Dwutygodnik *Prawo i Życie* przyniósł w n-rze 15 (59) artykuł W. Falkowskiej o haremach w Polsce. Tak, jest ich podobno bardzo dużo (sam zresztą znam kilka). Są to małżeństwa rozwiedzione, ale nierozkwaterowane. W tej chwili — przy ogromnej ilości rozwodów i małej ilości mieszkań oraz przy braku jakiejkolwiek sankcji ze strony prawa, a nawet przy istnieniu specjalnych trudności w uzyskaniu mieszkania dla rozwiedzionych małżeństw — jest to problem już niemal masowy, a w każdym razie niesłychanie doniosły dla — jak słusznie podkreśla autorka artykułu — „stwardnienia obyczajów i stępienia wrażliwości moralnej": „Teresa K. jest od pięciu lat rozwódką. — Dostała już pani mieszkanie? — spytałam ją w czasie ostatniego spotkania. — Nie — odrzekła — wszystko jest bez zmian. Nadal Henryk mieszka w jednym pokoju, ja w drugim. Dzieci biegają między pokojami i ciągle zmuszają nas do kontaktowania się ze sobą. — Dzieci? — zapytałam zdziwiona — Przecież państwo mieli tylko córeczkę. — Tak długo czekamy na oddzielne mieszkanie, że tymczasem urodził nam się syn. — Ale w takim razie państwo się chyba pogodzili. — Bynajmniej. Jesteśmy w gorszych stosunkach niż kiedykolwiek. Henryk wkrótce zamierza się ożenić." Cała ta historia zakrawałaby na kiepski żart, gdyby nie była prawdziwa i gdyby chociaż była rzeczywiście odosobniona. Wypadki podobne — wiem to skądinąd — zachodzą we wszystkich środowiskach. Wypadek, o którym pisze autorka artykułu, wyraźnie odnosi się do rodziny inteligenckiej. Znam podobne wypadki w kręgach bardzo kulturalnej i wykształconej inteligencji, gdzie sprawa współżycia domowego doszła do wymiarów karczemnych, podmiejskich.

I znowu zapytam, jak wytłumaczyć nieobecność literatury w najżywotniejszych sprawach moralności i obyczaju. Jest coś przerażającego w tym, że właśnie te najzawilsze, najcieńsze sprawy, wymagające współczującej wyobraźni, znajdują się dziś zupełnie poza zasięgiem problematyki literackiej, poza granicą literatury, która zajmuje się albo sprawami ideowo-moralnymi w skali światowej, albo historią, albo zawiłymi kombinacjami psychologicznymi, odpisywanymi z innych literatur, albo wreszcie pławi się w swoim własnym zawodowstwie. Skutek jest taki, że aby naprawdę dowiedzieć się czegoś o życiu w Polsce, o obliczu pokolenia, które życie to kształtuje, trzeba sięgać do innych dziedzin piśmiennictwa.

W 29 n-rze *Przeglądu Kulturalnego* zespół Katedry Socjologii UW (Zofia Józefowicz, Stefan Nowak i Anna Pawełczyńska) opublikował częściowe wyniki prac ankietowych wśród studentów warszawskich. Ogromnie ciekawe są te wyniki. Interesowano się przede wszystkim stanem umysłów młodej inteligencji. Zadano pytania, których celem jest wybadanie postawy wobec zasadniczych problemów ideowych współczesności: wobec religii, wobec socjalizmu, wobec zmian popaździernikowych. Otrzymano bardzo ciekawy portret młodego inteligenta: jest to człowiek dość niezdecydowany w wyborze światopoglądu, skłaniający się bądź to „raczej" (we wszystkich odpowiedziach jest wyraźna przewaga tych, którzy udzielają odpowiedzi z dodatkiem tego ubezpieczającego słowa), więc bądź to „raczej" ku socjalizmowi lub „raczej" ku religijności bez praktyk. Tolerancyjny bezwzględnie, zawsze nieobojętny wobec spraw ideologii. „Raczej" optymista, bardzo jednomyślny, gdy chodzi o umocnienie podstawowych zdobyczy socjalizmu — takich, jak reforma rolna, upaństwowienie przemysłu i handlu hurtowego. W sprawach sumienia niechętnie odwołujący się do autorytetów. Ciekawe sprzeczności: po zliczeniu wszystkich odmian wierzących otrzymano cyfrę 66% — a więc bardzo dużo, ale przy pytaniu o autorytety moralne nieomal wszyscy opowiedzieli się za „własnym sumieniem", co znów świadczy o laickim charakterze moralności.

Prace Katedry Socjologii dały więc rzeczywiście pełny portret młodego pokolenia inteligencji, a więc to, czego na próżno oczekujemy od literatury. Mówi się nieraz, że oczekiwanie to jest anachroniczne, że powieść przestała być źródłem wiedzy o społeczeń-

stwie, że właśnie naukowe metody badania życia społecznego wypierają literaturę z pozycji opisowo-historycznych i że to jest właśnie przyczyna, dla której winna ona raczej zajmować się uogólnieniami ideowo-moralnymi. Socjologia nam załatwi opis społeczeństwa, komitety blokowe i skrzynki listów załatwią nam moralność życia codziennego, kolegia orzekające zajmą się wychowywaniem przestępców (nb. chciałbym wiedzieć, czy choć jeden pisarz zasiada w kolegiach orzekających) — a literatura... Nie wiem, co będzie robiła literatura, ilu tych wielkich moralistów i metafizyków zdoła sobie wychować Henryk Bereza.

Dałoby się zapewne wyliczyć sporo różnych przyczyn owego kryzysu powieści. Obawiam się jednak, że byłyby to przyczyny wręcz odwrotne niż te, które się u nas zwykle wymienią. O kryzysie powieści trzeba mówić nie tyle na tle rozwoju empirycznych, naukowych metod badania życia społecznego i rzekomego wypierania literatury z kręgu problematyki społecznej, ale na odwrót: trzeba o tym kryzysie mówić na tle narastającej niechęci do uogólniających pojęć i systemów. To odwrócenie zjawiska podszewką do góry prowadzi do przeciwnego wniosku: do podkreślenia w literaturze współczesnej tendencji właśnie empirycznych, tendencji zmierzających w kierunku tym samym, co nauki społeczne, tendencji, których treść najogólniejszą trzeba by sformułować jako odejście od problematyki egzystencjalnej, od prób totalnego ujmowania zagadnień istnienia, na teren „zadań częściowych". Tendencje te dałoby się łatwo — jak sądzę — udowodnić posługując się przykładami z najnowszej twórczości literackiej na Zachodzie. Dałoby się te tendencje udowodnić także procesami zachodzącymi w literaturze i w filmie radzieckim, gdzie również widać skupienie się na zagadnieniach obyczaju i moralności dnia codziennego, bez pośpiesznego i natarczywego tworzenia uogólnień ideowych. To tylko u nas przeżywa się spóźnione sprawy, jesteśmy niewyżyci egzystencjalistycznie. Możliwe, że trzeba przez to przejść.

Termin „zadania częściowe" pochodzi z książki Karla Poppera, *Kryzys historycyzmu*, którą w 29 n-rze *Nowej Kultury* referował krytycznie Stefan Żółkiewski *(Ideologia i socjotechnika)*. Autor podkreślił słuszność wielu twierdzeń Poppera, między innymi właśnie Popperowską „obronę możliwości częściowego, a nie totalnego eksperymentu społecznego". Podkreślając jednocześnie, że nie ma sprzeczności zasadniczych między „uzasadnionymi rygorami empiryzmu" a marksistowską teorią rozwoju, podkreślając empiryczne, naukowe podstawy marksizmu, które pozwalają mu wchłonąć szereg dyscyplin empirycznych, m.in. socjotechnikę, wskazuje Żółkiewski na szerszy, społeczny aspekt tego, co się nazywa „kryzysem ideologii" czy „nędzą historycyzmu". Zagadnienie to ilustruje Żółkiewski ciekawą przemianą, jaka dokonała się po Październiku w postawie inteligencji polskiej: „Po Październiku inteligencja polska obdarza politykę partii większym zaufaniem niż w okresie planu 6-letniego... inteligencja ta jak gdyby zbliżyła się do polityki partii, jednocześnie oddalając od socjalizmu". Paradoks ten wyjaśnia autor artykułu właśnie kryzysem zaufania do systemów ideologicznych, skupieniem uwagi i energii na zadaniach szczegółowych, na empirycznie sprawdzalnych faktach.

Przenikliwą uwagę Żółkiewskiego potwierdzają wyniki socjologicznej ankiety Uniwersytetu Warszawskiego. Chwiejność wypowiedzi ideologicznych, owo „raczej", ubezpieczające deklaracje światopoglądowe, wynagradza pewność w zasadniczych sprawach gospodarki i polityki wewnętrznej, a także empiryczna postawa w sprawach moralności i sumienia.

Na tym tle jeszcze wyraźniej zarysowuje się nędza literatury. Walcząc z wąsko pojętą użytecznością i funkcjonalnością społeczną, literatura pozbyła się nie tylko ciasnych rygorów, które nałożono jej w okresie administrowania. Pozbyła się literatura także realistycznych, empirycznych tradycji, które nb. były szczególnie silne w polskiej prozie, biorącej przecież swoje początki w pozytywistycznym przełomie. W poszukiwaniu nowej formy i nowej problematyki literatura nasza kieruje się w stronę syntezy. I znów przez to rozmija się z tendencjami, biorącymi naprawdę górę zarówno w literaturze jak i w ogóle w humanistyce światowej.

Można mówić o kryzysie powieści. Ale jest to właśnie kryzys zaufania do uogólnień powieściowych, a nie do formy powieściowej i do zadań powieściowych. Jest złudzeniem powtarzany często argument, że inne dyscypliny i inne instytucje wyręczą prozę literacką w jej zadaniach utrwalania moralnego i obyczajowego porządku. Nowoczesne metody sondowania opinii publicznej i rejestrowania faktów społecznych nie przeszkadzają literaturze — przeciwnie, pomagają jej poznawać społeczeństwo lepiej niż to mogli osiągnąć pisarze dawniejsi. Nowoczesna nauka i nowoczesna organizacja społeczeństwa może właśnie napełnić literaturę żywą krwią życia, może zapewnić jej społeczną doniosłość.

Ale literatura musi uwierzyć w swoje powołanie do owych cennych „zadań częściowych".

Andrzej Kijowski

KTO JEST TŁUMACZEM?

Schopenhauer napisał kiedyś, że człowiek pierwotny, spotkawszy inną ludzką istotę, może zająć stanowisko dwojakie. Pierwsza jego reakcja na widok podobnego do siebie stworzenia streści się bądź w zdaniu: *„Auch ich!"*, bądź w formule: *„Nicht ich"!* Podobieństwo albo przeciwieństwo, uczucie solidarności i sympatii lub niechęci i trwogi — występują równie często jako alternatywy czy nawet jako zjawiska ze sobą splecione i równoczesne.

Raz po raz przypominało mi się to zdanie w czasie niedawnych obrad Międzynarodowego Kongresu Tłumaczy Literackich w Warszawie. Wrażliwy pisarz spotyka dzieło zagraniczne, które na nim sprawia silne wrażenie. Czytając je, odczuwa przede wszystkim odmienność i obcość tego dzieła. Obca jest struktura cudzoziemskiego języka, obca forma i obce słownictwo, tok skojarzeń. Obcy jest przede wszystkim wewnętrzny rytm zagranicznego dzieła, rytm, którego wyczucie musi decydować o przeżyciu artystycznym.

Ale nasz pisarz-czytelnik uświadamia też sobie wewnętrzne podobieństwo dzieła, które na nim sprawia wrażenie. Mimo wielkich różnic, mimo całej — pozornej czy rzeczywistej — obcości, jest w tym utworze coś przyciągająco bliskiego. Wtedy to rodzi się decyzja i pragnienie przetłumaczenia utworu. Nie można być tłumaczem, jeśli się nie próbuje przełamywać trudności, problemów asymilacji językowej, nieraz zawiłych. Szok wynikający z tych trudności może być przezwyciężony jedynie przez wynalezienie w świecie własnych myśli, wrażeń i uczuć — jakichś momentów analogicznych. To zjawisko podwójnej postawy człowieka, który porywa się na trudne zadanie przekładania, może nam posłużyć za punkt wyjścia do rozważań o znaczeniu nie tylko teoretycznym, ale nawet i praktycznym. Jakim?

W toku obrad wspomnianego kongresu wiceprezes Międzynarodowej Unii Tłumaczy, Pierre François Caillé, wezwał zebranych do wynalezienia definicji tłumacza. Znalezienie takiego określenia jest potrzebne już nawet z punktu widzenia prawnego. Kto może być przyjęty do Stowarzyszenia Tłumaczy? Według imponującego wykazu, *Index Translationum*, sporządzonego staraniem UNESCO, w roku 1956 przełożono 27.617 książek na języki obce. Są to dane dotyczące zaledwie 52 krajów (na 100 istniejących i wymienionych w atlasach geograficznych). Można więc przypuszczać, że rzeczywista ilość tłumaczeń jest na naszym globie dużo większa. Lecz poza tłumaczeniami literackimi dokonywane są również tzw. przekłady techniczne. Tłumaczy się nie tylko Tomasza Manna i Szekspira, ale i katalogi, przeglądy, sprawozdania; od roku 1946 do 1952 zdubbingowano w samej Francji trzy tysiące filmów! Można się zgubić w tym ogromie. Można zatracić kryteria oceny. W jaki więc sposób przy przyjmowaniu do „cechu", do stowarzyszeń —, odróżnić tego, który naprawdę wykonuje zawód tłumacza?

Zagadnienie to, na pozór proste, a w istocie ogromnie skomplikowane, przewijało się przez niemal całe dwudniowe

obrady warszawskiego kongresu. Delegaci francuscy zajmowali stanowisko „rozszerzające", „ekstensywne". „Nie znajduję — powiedział żartem p. Caillé — żadnej innej definicji niż ta, która się wydaje bezsensowna: tłumacz to ten, który tłumaczy." Co w praktyce znaczy, że tzw. tłumaczenie techniczne, nieomal mechaniczne, należy zrównać, z punktu widzenia zawodowego, z przekładem literackim; że do sekcji tłumaczy przy naszym PEN-clubie należałoby przyjmować także tłumaczy sądowych (których praca, nawiasem mówiąc, bywa ogromnie trudna i skomplikowana, a zawsze jest odpowiedzialna), tłumaczy na kongresach i konferencjach międzynarodowych, a także i tych, którzy pracują nad „dubbingami", gdzie — jak wiadomo — czasem myśl dialogu musi być zniekształcona wskutek łamigłówek, jakie nastręcza czas trwania „klatki" filmowej. Co więcej, wobec postępu technicznego pewne prace tłumaczeniowe zaczynają już wykonywać maszyny. Czyż można sobie wyobrazić skupienie w jednym szeregu ludzi wykonujących pracę o charakterze wyraźnie literackim oraz ludzi, których wysiłek, niewątpliwie pożyteczny i ważny, da się zastąpić nakręcaniem korby automatu?

Można więc pojąć, że delegacja polska, a szczególnie przewodniczący sekcji tłumaczy naszego PEN-clubu, Bronisław Zieliński, już przed otwarciem zjazdu wypowiedziała się za ograniczeniem i niejako „uściśleniem" definicji tłumacza. W pierwszym numerze wydanego po francusku biuletynu polskiego ośrodka PEN-clubu stwierdził Zieliński, że „nie należy mieszać ani łączyć różnych rodzajów tłumaczeń, podobnie jak nie można utożsamiać oryginalnych prac w dziedzinie sztuki, techniki czy nauki". Ale jak odróżnić przekład o charakterze literackim od tłumaczenia technicznego? Przychodzi mi do głowy, że decydującym czynnikiem musi być akt wyboru. Tłumacz (czy raczej kandydat na tłumacza) wybiera sobie dzieło, które pociąga go podobieństwem w przeciwieństwie. Kto tę sprzeczność wyborem swym — a następnie pracą — potrafi przezwyciężyć, może pretendować do roli tłumacza literackiego.

Z inną tezą, dość paradoksalną, lecz bardzo ciekawie motywowaną, wystąpił na zjeździe Adam Mauersberger. Upodobnił on funkcje tłumacza literackiego do pracy aktora. Jego zdaniem tłumacz „gra" rolę autora przez siebie przekładanego, wciela się w jego skórę, myśli jego myślami, cudzą osobowość „przekłada" na własną. Nie byłby zatem pisarzem, jego funkcje miałyby charakter odtwórczy. Pragnąc obrazowo i przykładowo wyjaśnić swe stanowisko, powoływał się Adam Mauersberger na przykład naszego Boya; „grał" on, zdaniem Mauersbergera, znakomicie „role" Balzaka, Stendhala czy Beaumarchais; o wiele gorzej udało mu się z Proustem, gdyż tłumacz, podobnie jak aktor, ma mniej lub więcej szerokie *emploi*, a więc i granice swych możliwości. Pomijając już, że tego rodzaju pojmowanie istoty pracy aktorskiej wydaje mi się przestarzałe — sama analogia nasuwa wątpliwości. Tłumacz pracuje w pewnym „materiale", którym jest dla niego dzieło oryginalne; podobnie i rzeźbiarz posługuje się „materiałem" ściśle zdeterminowanym. A cóż począć z autorami oryginalnymi, dla których punkt wyjścia stanowi cudze dzieło? Czyż mamy przytaczać dobrze znane przykłady Szekspira, Moliera, Corneille'a, Goethego, Słowackiego, Wyspiańskiego, Giraudoux? A jakże rozwiązywać dylematy spółek autorskich i różnego rodzaju adaptacji dzieł starych na nowe (czasem właśnie czerpiące urok z kokieteryjnie zaznaczonej stylizacji)? Zresztą wywody Adama Mauersbergera, choć z satysfakcją przyjęte przez zwolenników tezy „francuskiej" (szczególnie p. Caillé), wydają mi się dla tej tezy sukursem dość wątpliwym. Jeśli tłumacz „gra" rolę przyswajanego przez siebie autora — musimy ten zawód ograniczyć do tłumaczy literackich. Któż bowiem (poza legendarnym Alojzym Żółkowskim, o którym mówiono, że potrafiłby zagrać nawet tabliczkę mnożenia), mógłby „zagrać" rolę katalogu czy książki technicznej?

Mimo nierozstrzygnięcia sporów terminologicznych — Międzynarodowa Unia Tłumaczy (tzw. FIT) działa już od dłuższego czasu i wydaje nawet swój organ, subwencjonowany przez UNESCO. Dwujęzyczny ten miesięcznik (francusko-angielski) nosi malowniczą nazwę *Babel*, a ukazuje się w Bonn. W czasie kongresu dostaliśmy w ręce numer specjalny, poświęcony problemowi tłumaczenia w Azji. Jak bowiem w *Courrier de l'Unesco* przypomina sekretarz generalny FIT, Edmond Cary, „w samych tylko Indiach doliczyć się można przeszło stu języków i dialektów, z których sześć używanych jest przez ponad 20 milionów ludzi". Biblię przełożono już

podobno na 1500 języków świata! Żartobliwie podnoszono podczas obrad kongresu warszawskiego, że pomieszanie języków przy budowie wieży Babel było zjawiskiem złowieszczym. Myślę, że zjawisko określone terminem „babelizmu" nie jest bynajmniej tak diaboliczne i tak wyłącznie ujemne. Wielość świata oznacza jego bogactwo. Literatura powszechna jest nie tylko liczbowo bogatsza wskutek istnienia tylu literatur narodowych. Potężniejący ruch wymiany przyspiesza powszechny obieg myśli, intensyfikuje artystyczną kulturę na naszej planecie. Pewien przykład wyjaśni to bliżej. Jeden z delegatów francuskich, tłumacz i wydawca, Armand Pierhal, przypomniał rolę, jaką odegrały przekłady Hemingwaya, Caldwella, Faulknera i Steinbecka na język francuski dla stworzenia tym pisarzom pozycji w ich własnej ojczyźnie. Wydaje mi się, że przykłady takie można by mnożyć. Tłumacze naprawiają w ten sposób krzywdy nieuniknione w życiu literackim każdego kraju; okrężną drogą prostują bieg spraw; dobrze widzą z dalszej perspektywy — czego można nie zobaczyć z bliskiej. Czyż i tutaj nie rozświetla nam skomplikowanych problemów przytoczona na wstępie parabola Schopenhauera?

Gdybyśmy się zgodzili na to, że geneza zjawiska, jakim jest tłumaczenie, zawiera w sobie akt wyboru — należałoby przyjąć jeszcze jedno. Tłumacz musi wziąć udział w walce, jaka się w kulturalnym życiu niemal wszystkich krajów toczy między literaturą dobrą i złą, ambitną i nieambitną, artystyczną i „szmirowatą". Tłumacze obierają sobie nieraz dzieła dalekie jeszcze od popularności. Podobno p. Caillé zrobił fortunę przed wojną umówiwszy się na 2% od *Przeminęło z wiatrem*, za które mu wydawcy nie chcieli dać... kilkunastu tysięcy franków. Przykład z Hemingwayem jest jeszcze wymowniejszy. U nas walka ze szmirą w dziedzinie tłumaczeń nabrała ostatnio wielkiego znaczenia. Miała je zresztą zawsze. Nigdy nie mogli się skarżyć nasi tłumacze na brak zainteresowania utworami zagranicznymi. Natomiast stale toczyła się walka między wartościowymi przekładami a lekturą wagonową. Biurko tłumacza było i jest polem boju. Pieniądz zły, jak to już odkrył Kopernik, wypiera dobry. Tłumaczenia dzieł świadomie spekulujących na złym guście mają skłonność do „zagryzania" utworów Camusa, Hemingwaya, Prousta, Tomasza Manna. To także problem, którym może i powinna się zająć Międzynarodowa Unia Tłumaczy! *

Nie poruszono w toku obrad zjazdu — który dla skrócenia nazywam „kongresem warszawskim" — sprawy tłumaczeń poetyckich. Niedawno w *Twórczości* wystąpił Zbigniew Bieńkowski z gorącym atakiem przeciw przekładom „kulturalnym" i „poprawnym". Jedyny dopuszczalny przekład poetycki — mówił Bieńkowski — to spotkanie dwóch żywiołów, dwóch poetyckich wyobraźni. Świetne określenie! Słuchałem przed laty w Pradze tłumaczenia *Sonetów* Mickiewiczowskich, dokonanego przez Franciszka Halasa. Jan Sztaudynger porywająco przełożył *Księcia Homburgu* Kleista. Amerykanie są podobno zdania, że przekłady z ich twórców, dokonane przez Baudelaire'a na francuski, sprawiają czasem większe wrażenie niż oryginały. I aż do końca życia nie zapomnę wrażenia, jakie wywarła na mnie poezja Musseta, cichym głosem czytana przez Edwarda Leszczyńskiego. Nie zgadzam się ze Zbigniewem Bieńkowskim tylko co do jednego. Czyż spotkanie wyobraźni w pewnym — oczywiście odmiennym — znaczeniu nie decyduje też o losach przekładów niektórych utworów prozą? I czyż owo kryterium zerwania z „poprawnością" nie jest jeszcze jednym argumentem na rzecz tezy o odmienności dwóch typów przekładu: „literackiego" i „technicznego"?

Warto jeszcze w związku z tym poruszyć sprawę „adaptacji". Jak wiadomo, w pewnych dziedzinach życia literackiego (np. jeśli chodzi o sztuki teatralne) Francuzi trzymają się zwyczaju pewnej „transpozycji", modyfikowania kolorytu dzieła zagranicznego, celem zbliżenia do gustów i systemu pojęć własnego odbiorcy. Ale i w samej Francji system ten ma równie wielu przeciwników, jak zwolenników. Wykazała to niedawna ankieta tygodnika *Arts*. Marcel Pagnol przytaczał losy swego *Mariusza* w Szwecji; ta sztuka, napisana pierwotnie dla małego teatrzyku w Marsylii, odwiedzanego przez dokerów — początkowo zdawała się nie-

---

* Czasem złe przekłady „wypierają" dobre. W kuluarach zjazdu przypomniano zabawną przygodę, jakiej doznał *Vol de nuit* Saint Exupéry'ego. Przełożono go w jednym z krajów pt. *Kradzież nocna* ze względu na słowo *vol!*

przetłumaczalna. Ktoś wpadł na pomysł, by ją zaadaptować i przystosować do obyczajów szwedzkich. W rezultacie sztuka padła bezprzykładnie. Ale ktoś inny, nie zrażony klęską, wystawił w Sztokholmie przekład dosłowny i, według Pagnola, ta nowa próba stała się źródłem sukcesu trwającego po dzień dzisiejszy. I u nas grywa się *Mariusza* dosłownie, bez „adaptowania". Trudno jednak nie uznać, że w dziejach naszej kultury literackiej adaptacja odegrała rolę niemałą. Warszawski Teatr Współczesny gra właśnie czarującą przeróbkę *Amfitriona* Moliera, dokonaną przez Franciszka Zabłockiego, w reżyserii Jerzego Kreczmara. Rozkoszowałem się bogactwem tej adaptacji, żonglerką dowcipu, myśli i dialogu. Otóż, wracając do punktu wyjściowego naszych rozważań, muszę powiedzieć, iż adaptator jest tym właśnie tłumaczem, w którego pracy moment „obcości" jest stosunkowo silniejszy niż sprawa „podobieństwa" i „analogii". Adaptator to tłumacz przezwyciężający odrębny rytm cudzego utworu — przy pomocy podobieństw relatywnie dalekich.

Jesteśmy narodem tłumaczy. W dziejach naszego teatru trzy różne przekłady *Cyda* odegrały kolejno rolę ogromną: Morsztyna, Osińskiego i Wyspiańskiego. Jak w swym przemówieniu powitalnym podkreślił Stefan Żółkiewski, zdarzały się u nas wypadki powstania wielkich sław pisarzy, którzy byli tylko tłumaczami czy adaptatorami: Górnicki, Piotr Kochanowski... Lecz w toku obrad warszawskich, w jednym z pierwszych przemówień, zaznaczył delegat włoski, Milano, że tłumacze winni też naprawić krzywdy wyrządzone pewnym niedostatecznie dotychczas cenionym wielkim literaturom. I jako przykład podał literaturę polską. Ciekawą jest rzeczą, że kongres zgromadził sporo tłumaczy, którzy przekładają nawet bardzo trudne utwory polskie. Znalazła się na przykład w Warszawie tak zasłużona tłumaczka literatury polskiej na język czeski, jak p. Helena Teigova. Młodziutka slawistka, profesorka z Ołomuńca, Hana Jechová, ma już w dorobku przekłady: *Kordiana, Godziny myśli* i *Popiołów*. W amerykańskiej delegacji na kongres znalazł się mój przyjaciel z Krakowa, którego nie widziałem od lat dwudziestu, świetny znawca Conrada, Ludwik Krzyżanowski. Jego kolegą był prof. Gordon, który przeczytał nam swe piękne tłumaczenia Norwida i innych polskich poetów na język angielski. Wspomnienia z pobytu w naszym kraju przed 25 laty dowcipnie i wzruszająco opisywał w przemówieniu powitalnym delegat UNESCO, wybitny pisarz, nagrodzony przez Akademię Francuską, Roger Caillois. Dla wszystkich uczestników obrad chwilą olśnienia było spotkanie z Krakowem.

W przemówieniu pożegnalnym na bankiecie w Krakowie przypomniał Michał Rusinek sławne powiedzenie jednego z pierwszych prezesów PEN-clubu, Galsworthy'ego: „PEN-club to nie tylko skrót trzech słów angielskich (poeci, eseiści i prozaicy), ale i dewiza *Paix entre nous*. Goethe przepowiadał w swych rozmowach z Eckermanem „epokę literatury uniwersalnej". Tłumacze pracują nad przybliżeniem tego momentu. Wydaje mi się, że dzieje się to przy pomocy pewnego rodzaju „dialogu wewnętrznego", którego znamiona próbowałem na wstępie zanalizować. Ucieszyłem się więc bardzo, gdym w rozmowie z delegatem francuskim, André Berry, mógł pomówić o jego dobrym znajomym, zapomnianym tak niesłusznie poecie, autorze przełożonego przeze mnie dla „francuskiego" numeru *Twórczości* wiersza *Realizm*, P. A. Birocie. I w tej rozmowie przypomniałem panu Berry, że jeden z najświetniejszych tomów samotnego i rozgoryczonego dziś poety farncuskiego z Rue de Saints-Pères w Paryżu nosi nazwę, która mogłaby zainteresować tłumaczy: *Poème à un autre moi*. Wewnętrzny dialog wzruszenia i wyobraźni jest bowiem przesłanką ukształtowanej w formy „wieży Babel" wymiany myśli międzynarodowej.

Wojciech Natanson

WSPOMNIENIE O WACŁAWIE BERENCIE

W czasach mojego dzieciństwa o żadnej książce nie mówiło się u nas w domu tak wiele, jak o *Oziminie* Berenta. Książka ta wzbudziła niezwykły oddźwięk, dyskutowano na jej temat w sferach literackich, ukazało się o niej wiele obszernych i pochwalnych recenzji. Autor najwidoczniej trafił żywym słowem w dotkliwe miejsce polskich sumień, zwołał duchy na misterium jakiejś narodowej nocy i spowodował natychmiastową reakcję, mimo że jego dzieło wyszło w roku 1911, a więc już w kilka lat po opisywanych wypadkach, w chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej.

Oglądałam ciekawie duże, prawie kwadratowe tomy, drukowane na żółtawym, żeberkowym papierze. Wszystkie były oprawne w kolorowe, prążkowane półtno i miały na okładce wytłoczony złoty inicjał JM, ujęty w koło. Tytuł był zagadkowy. Żadne tłumaczenie nie przekonało mnie, że jest to nazwa zboża. Przy okazji poznałam także pojęcie „przenośnia".

Zagadnienia i konflikty, o których toczył się dialog bohaterów Berenta wśród luster i kotar bogatego mieszczańskiego salonu — wciąż jeszcze jątrzyły, podniecały do dysput i dzieliły na stronnictwa polskie czy warszawskie społeczeństwo lat przedwojennych. Dla mnie — dziecka, a potem młodej dziewczyny — wszystko to było niezrozumiałe i dziwaczne: bogate wnętrze, tłumny przemarsz ludzi rozmawiających bez ustanku, posąg Murzyna trzymającego tacę z biletami wizytowymi w mrocznym kącie pokoju, strojne damy w miękkich fotelach, tragiczny generał, robotnicy przeciągający o świcie ulicami Warszawy, coraz nowe wieści krążące po salonach i „Polska, Polska, Polska..." na wszystkich ustach.

Bardziej interesujące były już opowiadania dorosłych. O tym, jak Berent pisał miesiącami swoją powieść, zamknięty w jednej z cel klasztoru poreformackiego w Kazimierzu nad Wisłą, w zupełnej samotności, na długo wyłączony z gwaru i codzienności życia, a skupiony i ascetyczny jak mnich.

Szukając w oddaleniu wczesnych dziecinnych wspomnień postaci Berenta, odnajduję ją wysoką i ciemną na tle najpiękniejszej, kwitnącej wiosny w tyrolskim Meranie. Było to w roku 1911, a więc właśnie wtedy, kiedy wyszła *Ozimina*. Goniłam małą, czarną „lankę" po pochyłych alejach zasypanych płatkami magnolii, różowych brzoskwiń i migdałowców. Bluszcz oplatał wieże i szare, kamienne, zębate mury jakiegoś zamku. Może dlatego, na tle szaroróżowej scenerii średniowiecznych kamieni i kwitnących drzew, sylwetka pisarza wydaje mi się także gotycko-spiczasta i kanciasta, z ostrymi rysami i hakowatym nosem. Spacerowali z moją mamą godzinami (tak mi się przynajmniej wydawało) i albo coś mówili, albo długo milczeli. Niewiele mnie to obchodziło. Tak się bowiem stało, że sławny podówczas pisarz, nieprzenikniony w swych twórczych zamysłach, nieprzystępny w swym upartym samotnictwie — był dla mnie od najmłodszych lat powszednią cząstką rzeczywistości, osobą prawie z rodziny.

Mój przyjaciel, Alf Berent, mówił zawsze „stryj Wacek", potem przez całe lata moja koleżanka, Zosia Rüdigerówna, mówiła „wuj Wacek". Dziadek obydwojga, stary pan Berent, wsparty na lasce, która miała gałkę z kości słoniowej, wystawał długie godziny w bramie rodzinnej kamienicy przy Mazowieckiej 8, gdzie mieściła się w oficynie nasza drukarnia „Naukowa", zanim jej nie przeniesiono na Stare Miasto. Miał siwe włosy, czerwoną twarz i czarne, ostre oczy, głęboko osadzone i umieszczone bardzo blisko z dwóch stron zakrzywionego, krogulczego nosa. Nie wiem, czy przetrwał wojnę znakomity jego portret pędzla Konrada Krzyżanowskiego.

Nasza bliska znajomość z Berentem trwała w ten sposób przez trzy pokolenia tego warszawskiego mieszczańskiego rodu o pięknych, patriotycznych tradycjach polskich, które równoważyły cudzoziemskie pochodzenie i niemieckie nazwisko. Z biegiem lat mogłam obserwować rozmaite cechy oraz indywidualne właściwości członków tej rodziny i całego środowiska. Stanisław Berent, ojciec Alfa a brat Wacława, z wykształcenia fizyk, był współwłaścicielem firmy technicznej i optycznej na Krakowskim Przedmieściu, może kontynuacji familijnej fabryki maszyn i wyrobów żelaznych na Wroniej. Techniczne cuda,

małe modele maszyn parowych i lokomotyw, precyzyjnie wykonane pomoce szkolne, a nade wszystko maszyny elektryczne o tarczy w czarne i srebrne smugi, sypiące iskrami — wzbudzały we mnie nieprzytomny zachwyt. A jednocześnie wywoływał we mnie zdziwienie oryginalny, artystyczno-modernistyczny nastrój panujący w mieszkaniu Berentów na Polnej. Królowała tam pani Anna Berentowa, blada, łagodna, w luźnej, reformowanej sukni, malarka rodem z niemieckiej części Szwajcarii, którą poślubił pan Stanisław podczas swoich monachijskich studiów. Ona to uczyła mnie i Alfa — kilkuletnich malców — rysować węglem z modela męskie i kobiece akty na wielkich arkuszach szorstkiego, szarawego lub błękitnego papieru, ona stylizowała swego jedynaka, genialnie zdolnego rysownika, ale urwisa jakich mało, na pazia o złotych lokach, w aksamitnych ubrankach.

Zupełnie inne tradycje tej samej rodziny napotkałam potem w domu Rüdigerów. Matka Zosi, jedyna siostra trzech braci Berentów, już wtedy nie żyła, zabrała ją wcześnie gruźlica, która w kilka lat potem, w pełni młodości, uśmierciła Alfa. Ale trwały w tym zamożnym i solidnym domu tradycje polskiego mieszczaństwa ewangelickiego, z którymi zetknęłam się z okazji uroczystej konfirmacji mojej koleżanki.

Po latach dopiero zorientowałam się, że te wszystkie odziedziczone przeze mnie związki były następstwem pierwszego zetknięcia mojego ojca z obu braćmi Berentami na terenie Monachium w latach 1895—1897.

Stanisław Berent studiował tam fizykę, Wacław skończył wcześniej przyrodę, biologię. Jego tezę doktorską z anatomii i zoologii porównawczej wydał w roku 1893 G. Fischer w Jenie. Mój ojciec jako młodziutki, osiemnastoletni chłopiec, ukończywszy gimnazjum w Radomiu, wyruszył wprost do Monachium na chemię i trafił tam do środowiska malarsko-literackiego, które mu bardzo odpowiadało i które było tłem *Próchna* Berenta.

Monachium było w tym czasie ośrodkiem sztuki modernistycznej, centrum kultury artystycznej, które mogło śmiało rywalizować z Paryżem. Gromadziło ono wielu twórców, malarzy, pisarzy, między nimi niemało Polaków. Ciekawe jest, że w *Próchnie* stworzył Wacław Berent doskonały, ale przerażający obraz tego świata artystycznego, kładąc nacisk na jego dekadencką bezpłodność, przesadną nastrojowość, rozwichrzenie i dezorganizację duchową, graniczące z obłędem, samobójstwem, zbrodnią. Natomiast jego znajomość z moim ojcem, nawiązana w tym samym Monachium i trwająca później przez wiele lat, miała właśnie charakter budujący, jak się to dzisiaj mówi, konstruktywny, wywarła na ojca dodatni wpływ. Kiedy po kilku następnych latach, po odbytych już studiach handlowych i ekonomicznych w Antwerpii, ojciec wrócił do Warszawy, gdzie niebawem rozpoczął działalność wydawniczą — już w pierwszych jego próbach na tym polu odnalazły się echa artystycznej atmosfery Monachium, wpływy studenckich powiązań z braćmi Berentami.

Wacław Berent wpłynął na pewno swoją radą i pomocą na dobór pierwszych wydawnictw, od razu ambitnych i stojących na wysokim poziomie, przede wszystkim na decyzję wydania zbiorowej edycji Nietzschego, do której przystąpiono w 1905 roku. Był tłumaczem kilku tomów, między innymi *Tako rzecze Zaratustra*, i autorem wstępnej broszury *O źródłach i ujściach nietzscheanizmu*, wydanej w roku 1906. On także pośredniczył prawdopodobnie w pierwszych kontaktach ze Staffem i innymi wybitnymi twórcami tamtej epoki. Mój ojciec wydał także pod kryptonimem S. A. M. studium Berenta *O idei w ruchu rewolucyjnym*, a następnie *Oziminę* i drugie wydanie *Fachowca*. Muszę się przyznać, że w dzieciństwie cała działalność pisarska milczącego i chmurnego „stryja Wacka" nie warta była dla mnie jednego choćby z zachwycających mechanizmów ze sklepu jego brata (mały dziecinny mikroskop dostałam od rodziców Alfa w prezencie na urodziny).

I muszę się także przyznać, że — na odwrót — przyjazna współpraca i bliska zażyłość sprawiły, że Wacław Berent, pierwszy spośród pisarzy, czytał moje dziecinne wypracowanie o jarmarku i rozbrykanym koniu, który poniósł wóz. Matce mojej, która mu pokazała ten „utwór", powiedział podobno: „Ta mała czuje język". Była to w jego ustach wielka pochwała. Po kilku latach, kiedy nasze stosunki z rodziną Stanisława Berenta urwały się, złotowłosy pazik Alf zamienił się w Zygmunta, ostrzyżonego uczniaka, który wstydził się dawnej przyjaźni z dziewczynką, a Wacław Berent nie wy-

dawał książek u Mortkowicza — pamiętał on jeszcze te moje pierwsze próby „literackie". Może dlatego właśnie wpisał mi do dziewczęcego mojego pamiętnika surowe ostrzeżenie: „Strzeż się bazaru książek i jarmarku w księgarni...". Nie pamiętam, jak brzmiały dalsze słowa, w których zawierało się uzasadnienie tej cierpkiej rady. Były one jednak charakterystyczne dla wysokich wymagań, jakie stawiał Berent każdej książce czytanej czy pisanej, cudzej czy swojej — pragnąc od niej najwyższych wartości myśli i formy. Zaufałam tym słowom przestrogi. Berent był dla mnie w tym czasie pierwszych namiętnych spotkań z literaturą już nie dawnym „stryjem Wackiem", ale autorem *Żywych kamieni*. Sława, jaka go otaczała, wielkość, którą w nim przeczuwałam, ogień, który żarzył się utajony gdzieś w głębi i tylko z rzadka objawiał się gorączkowym błyskiem oczu, ciemnych, posępnych i głęboko schowanych pod ciężkimi powiekami — to wszystko dotarło do mnie przez słowa. Słowa były czasem zagadkowe i tak zawikłane, jak rzeźbiona ornamentyka gotyckich portali, czasem kolorowe i przejrzyste, jak rznięte szkiełka średniowiecznych witraży.

Żywe kamienie olśniły mnie i zdumiały w okresie pierwszej młodości. Zwierzyły mi tajemnice średniowiecznej magii i rybałtowskie improwizacje życia obok obezwładniających, zabójczych zaklęć ponurej acedii. Nigdy już potem, w żadnym z następnych utworów Berenta nie dostrzegłam tak promiennego światła, nie usłyszałam rytmu i melodii tak przerażających i zniewalających zarazem.

Janusz Korczak opowiadał mi kiedyś o tym, jak zaczynał czytać *Żywe kamienie*, których był zresztą gorącym wielbicielem. Próbował — nie wychodziło. Zaczynał jeszcze raz, inaczej — znowu szło trudno. „Berent dawał mi raz po raz w pysk" — określił to z właściwym sobie humorem. W końcu znalazł prawdziwe podejście i zrozumiał, a nawet pokochał książkę. Te dowcipne słowa Korczaka przypominały mi się potem zawsze, ilekroć sięgałam po następne dzieła Berenta. Berent także i mnie „dawał w pysk". Przegryzałam się jednak z pasją przez stylistyczne zawiłości, aby dotrzeć do prawd najważniejszych i prawie zaszyfrowanych, tak głęboko ukrytych w gęstwinie określeń. Przyznam, że nie zawsze mi się to udawało i mój stosunek do twórczości Berenta znowu ochłódł. Berent, jak już wspomniałam, odszedł wtedy na szereg lat od naszego wydawnictwa. Związał się z Biblioteką Polską, redagował potem *Pamiętnik Warszawski*.

Około roku 1930—1931 nastąpiło znowu zbliżenie. Mój ojciec rozpoczął w tym czasie wydawnictwo dzieł zbiorowych najwybitniejszych pisarzy polskich. Po Żeromskim, Strugu i Staffie projektował także wydanie wszystkich pism Berenta. Sprawa już była zdecydowana. Wydanie zbiorowe Berenta zapowiadano w prasie w publikacjach reklamowych i prospektach firmy. Pisał o nim w jednym ze swoich artykułów w dodatku literackim do *Gazety Polskiej* — Kaden-Bandrowski.

Berent zaczął nas wtedy znowu odwiedzać, przychodził do księgarni na Mazowiecką, żeby omawiać z ojcem szczegóły wydawnictwa. Raz, wiosną 1931 roku, zabraliśmy go nawet siłą do ogródka Ziemiańskiej na kawę. Przystał niechętnie na te namowy. Tkwił przy stoliku wyraźnie skrępowany, sztywny, obu dłońmi wsparty na lasce. Siedziałam obok niego i z ciekawością przyglądałam się jego zasępionej twarzy drapieżnego ptaka, siwej głowie, krzaczastym brwiom i oczom czarnym, głęboko osadzonym, o przenikliwym, ostrym spojrzeniu.

Młodość bywa zawsze ciekawa tajemnic cudzego serca, a ja wiedziałam już trochę o życiowym dramacie Berenta i jemu przypisywałam wieści krążące o hipochondrii tego pisarza, samotnictwie, zgryźliwości, chorobliwym rozdrażnieniu i częstych wybuchach gniewu. Zawsze sam, nigdy, choćby nawet na krótko, choćby przelotnym kaprysem czy plotką, nie związany z żadną kobietą, nosił on przecież w swoim gorzkim sercu wielką, wzniosłą miłość — nigdy nie urzeczywistnioną, chociaż wzajemną. Kochał szlachetną, mądrą i piękną kobietę, doskonałą poetkę, która wolała wyrzec się szczęścia i cierpieć, niż sprzeniewierzyć się obowiązkom żony i matki. Sobie i jemu odmówiła prawa do tej miłości.

W roku 1931 ukochana Wacława Berenta już nie żyła. Widziałam podczas jej pogrzebu, w powązkowskim kościele, jego twarz ekstatyczną i surową, kiedy klęczał przy jej trumnie stojącej na katafalku. Wiedziałam, że odniósł potem dorosłej córce tej, którą kochał, jedyny skarb — fotografię jej matki z

męskim zapewnieniem człowieka honoru, że nie łączyło go ze zmarłą nic oprócz wielkiego uczucia.

Wszystko to było tak romantyczne i wzniosłe, że aż niezrozumiałe. Działało jednak na wyobraźnię. Starałam się odczytać z twarzy Berenta ślady wielkich cierpień, uczuć pogrzebanych w milczeniu pełnym godności. Ileż innych bogactw myśli i natchnienia, twórczych pomysłów, szlachetnych idei kryło się w sercu samotnego, starzejącego się człowieka pod gruzem i popiołem nie spełnionych nadziei, gorzkich zawodów, nawarstwiających się lat?

Dwa razy stworzył dzieła, które były krzykiem chwili, współżył na krótko z nastrojami społeczeństwa, współdrgał z rytmem współczesnego mu czasu. Z głęboką intuicją i samowiedzą, z beznadziejnym sceptycyzmem pokazał dramat zdeklasowanych pięknoduchów, a potem bezsilność inteligencji i mieszczaństwa w zwrotnej chwili politycznego przełomu. Wtedy trafił, wywołał oddźwięk, zyskał sławę. Potem jeszcze *Żywe kamienie* zabłysły różnobarwną — jak klejnot czy iluminacja — wizją średniowiecza. A teraz już od lat trwał jak gdyby zepchnięty na ubocze, na margines bibliotecznych studiów i krytycznej refleksji w bolesnym samotnictwie outsidera.

Nie ziściła się wielka, jedyna miłość jego życia. Zawiodła i druga wielka miłość — do Polski. Powszednia, urzeczywistniana, nie była tą, o której Berent marzył. W czasach, gdy nastrojowość i pesymizm *Próchna* były już przebrzmiałe i nieaktualne, gdy problemy rewolucji i wojny 1905 roku — dawno minione — zbladły wobec rewolucji i wojen, jakie przyszły po nich i miały znowu nadejść, Berent nie umiał znaleźć właściwego słowa dla swoich uczuć i myśli. Dramaty polityczne swego czasu, faszyzację społeczeństwa, walkę rządu z demokracją i parlamentaryzmem przeżywał samotnie, dusząc się protestem nie ujawnionym na zewnątrz, zatruwając się i rozgoryczając własną bezsilnością.

Kiedy się odezwał wreszcie po latach źródłowych studiów i usilnej pracy nad swym stylem — nowe jego książki mówiły o przeszłości. Wycofał się w minione wieki, aby z bogactw doświadczenia wyłowić paralele i metafory i rzucić je narodowi jako pouczenie i przestrogę. Dociekając prawd historycznych zabrnął zbyt daleko w gąszcz bibliotecznych źródeł. Ale długa praca badacza, wysokie ambicje kształtowania własnego języka zemściły się na nim. Przenośnie stały się zawiłe i trudno czytelne. Berent, pragnąc przemówić, zawikłał się w stylizację, w sztuczność słownictwa, w niezrozumiałą dziwaczność.

Nurt, tytuł pierwszego większego eseju historyczno-biograficznego Berenta, nie był przypadkowy — mówił o nieprzerwanym strumieniu tradycji narodowej i kulturalnej. I dobór tematów, bohaterów przeszłości był wymowny: Kiliński i Godebski, ksiądz Jezierski, a za nimi inni bojownicy i działacze polskiego oświecenia i odrodzenia narodowego.

Pisarz, który milczał przez długie lata, redaktor miesięczników, które, mimo swego wysokiego poziomu, stroniły od aktualności i nie nawiązały kontaktu z toczącym się naprzód życiem — znalazł żywe źródło wiedzy o teraźniejszości wśród ksiąg i legend sprzed wieku. I nie bez znaczenia było to, że ów stary pisarz, liberał i prawdziwy demokrata przez całe swoje życie, dysydent i Niemiec z pochodzenia, a żarliwy patriota polski — w roku 1933 w swej mowie, „mianej" na uroczystości otwarcia Akademii Literatury, cytował Cypriana Godebskiego, mówiąc:

„Przyjdą te czasy, kiedy słowa »cudzoziemiec«, »różnowierca« wyrzucone będą ze słownika ludów, gdy zamiast wyssania z mlekiem matki miłości ojczyzny zamkniętej częstokroć w obrębie stu mil kwadratowych — szczęśliwe dziecko ssać będzie miłość rodzaju ludzkiego."

Słowa te napisał żołnierz-poeta, który zginął niebawem pod Raszynem — właśnie za Ojczyznę. Powtarzał je Berent w chwili, gdy dookoła rosły nacjonalizmy i zaogniały się konflikty rasowe i religijne, a za niedaleką granicą potężniał hitleryzm. Ale przeczuwając i rozumiejąc tak wiele — mówił niezrozumiale, zawile i nie został dostatecznie zrozumiany.

Niejeden stary jeszcze do dziś dnia pamięta
Otwarcie Akademii i mowę Berenta...

— pisał złośliwie Słonimski —

Jak nas męczył, jak dręczył, ciąkał,
chrząkał, chlipał,
Aż, jak żywe kamienie, nas próchnem
przysypał.

Tak więc brak oddźwięku, właściwego kontaktu z czytelnikiem czy słuchaczem i jednocześnie członkostwo Akademii, nagroda państwowa, drwiny młodych i ustalony *succès d'estime*, zbiorowe wydanie dzieł podjęte przez Gebethnera po śmierci mojego ojca i niepoczytność, mistrzowski przekład *Żywych kamieni* przez Cazina i klapa za granicą, gdzie nikt tej książki nie zrozumiał — to wszystko stwarzało sytuację paradoksalną i jątrzącą Berenta.

Coraz trudniejsze stawały się jego stosunki z ludźmi, szczególnie młodszymi od siebie. Dla pisarzy swego pokolenia zachował przyjazną wierność, do końca cenił wysoko Miriama, a ze Staffem prowadził długie rozmowy i nawet popijał wino. Toteż Staff przeczył z łagodnym uśmiechem, gdy była mowa o zgorzknieniu i samotnictwie Berenta. Może miał rację. Może niedostępność i drażliwość Berenta były tylko sprawą właściwego podejścia i form, które go zrażały. Ze śmiechem opowiadano w Warszawie, jak to po otrzymaniu nagrody państwowej napadła go z prośbą o wywiad przedsiębiorcza reporterka, Jadwiga Migowa, jak wzburzyła go swą natarczywością i wpędziła po prostu w popłoch. Natomiast wspomnienia Marii Danilewiczowej świadczą, że wśród książek, w ciszy Biblioteki Narodowej, gdzie Berent najchętniej przebywał, nawiązywały się także nici porozumienia i przyjaźni.

Moje kontakty osobiste z Berentem urwały się w r. 1931 wraz ze śmiercią mego ojca, która przekreśliła wspólne plany wydawnicze.

Kiedy w roku 1933 Wacław Berent otrzymał nagrodę państwową za książkę pod tytułem *Duch i szabla*, jej tytuł, znamienny dla tradycji polskiego żołnierstwa i jej tragicznych powikłań ze sprawami polskiej literatury, przywołał z mroków przeszłości jeszcze jedno moje dziecięce wspomnienie. Było to w Krakowie, zimą roku 1913. Po raz pierwszy zwiedzałam wówczas historyczne pamiątki tego miasta i byłam upojona i podniecona zarówno ich pięknością, jak i ładunkiem patriotyzmu, jakim mnie przy tej okazji obdarzono. Rycerska tradycja uderzyła mi do głowy, tym bardziej że było to w okresie, kiedy pragnęłam być chłopcem i wspólnie z Alfem Berentem marzyłam o wielkich wojennych czynach i o śmierci w walce o niepodległość.

Wieczorem przyszedł do nas, do hotelu, Wacław Berent z prośbą, aby zawieźć od niego do Warszawy podarunek dla Alfa. Przyniósł go pod pachą. Była to długa, wąska paczka, zawinięta w mnóstwo papierów. Berent odwijał je powoli, jeden za drugim. Papiery szeleszcząc spadały na podłogę, a ja, wspiąwszy się na palce, z brodą wspartą o marmurowy blat stołu (pamiętam do dziś ten okrągły, wysoki stół), czekałam z drżeniem serca, jaka to tajemnicza zabawka objawi się moim oczom. Nagle serce uderzyło mocniej. Wśród zmiętych papierów zabłysło złoto i purpura. Zobaczyłam wąską pochwę z czerwonego aksamitu, złotą rękojeść, frędzle i chwasty przy kutasie, na którym bielał mały orzełek, jak ozdoba i symbol. Z pochwy powoli wysunęła się ostra, wygięta, srebrzysta klinga.

Ta dziecinna szabelka była jednym z najmocniejszych wzruszeń mego dzieciństwa. „Szabla i duch" — pisał Berent po latach i w myśl tego hasła posyłał do Warszawy, w przededniu wojny światowej, swemu małemu bratankowi to rycerskie cacko.

Po latach przypomniałam sobie tę symboliczną chwilę. Było to wtedy, kiedy z podobnie niecierpliwą ciekawością, ale już bez gorączkowego drżenia serca, przedzierałam się znowu przez warstwy papieru, pokłady stronic, gąszcz słów, natłok liter, aby, mimo zapory stylistycznych utrudnień, dotrzeć wreszcie do jądra myśli Berenta, zrozumieć cel jego dzieła, sens zagadkowej i heroicznej metafory.

Hanna Mortkowicz Olczakowa

Raskolnikow, Lafcadio odradzają się w każdym pokoleniu literackim. Musieli więc pojawić się także w Hiszpanii, gdzie tradycja anarchizmu prowokuje już do pochwały zniszczenia. *Juegos de manos* * Juana Goytisolo to właśnie opowieść o zabójstwie — bezcelowym. Zabójstwie, które objawi tylko własną nicość mordercom. „Było tak, jakbyśmy zabili sami siebie, zabijając Davida, i tak, jakbyśmy wyparli się własnego życia, wypierając się Agustina."

Juegos de manos jest książką o końcu młodości. Bohaterowie Goytisola — grupka przyjaciół, studentów madryckich — znajdują się w przededniu decydującego wyboru. Sztucznie już przedłużają sobie młodość: rozrywki i zabawy, którym się niegdyś oddawali z radością, przynoszą teraz tylko znudzenie. Za nic jednak nie chcą się włączyć w świat „dorosłych": studia są im obojętne, sztuka, którą się niektórzy zajmują, jest dla nich tylko schronieniem w nieodpowiedzialność. Rodziny czekają, by przyjąć z powrotem marnotrawnych synów: i oni też biorą swe przyjacielskie ideały coraz mniej poważnie. Wybór wydaje się więc pozorny, albowiem młodzi chłopcy z *Juegos de manos* muszą w końcu roztopić się w anonimowym mieszczańskim konformizmie.

Istnieje jednak logika sytuacji, którą wybitniejsze jednostki przeżyją do końca. Skrajny bunt może doprowadzić do oczywistego łajdactwa: Paez, nienawidząc „miękkości" ojca, będzie okradał matkę, tyranizował rodzeństwo, układał — dla zabawy — śmierć przyjaciela. Zdumiewająca — i mistrzowska — postać Urribe to przykład ucieczki najbardziej konsekwentnej, bo ucieczki od samego siebie. Urribe jest błaznem, histrionem: żyje wśród quasi-poetyckich majaków, które co godzina przędzie i rozsnuwa. Znajduje się już w chwili, kiedy maska przyrasta do twarzy: nie można odróżnić Urribe „poważnego" i Urribe — aktora. Jeśli postara się uratować przyjaciela od śmierci, do której się przyczynił, to w ostatniej chwili odbierze mu pieniądze, kłaniając się swej własnej postaci, odbitej w lustrze.

Młodzi bohaterzy Goytisola mieli niegdyś wspaniałe — choć nieokreślone — plany. Kiedy nadszedł czas spełnienia, widzą, że mają puste ręce. Nie mając celu, nie wiedzą co zrobić: pozostaje akt bezinteresowny, brutalne zaznaczenie swojej obecności. Trafia się wśród nich dziewczyna, płonąca rzeczywistą nienawiścią do frankizmu: wcielił się on dla niej w starego działacza, Guarnera, uosobienie „ojcowskiej" władzy. Chce go zabić: sama lub z kilkoma przyjaciółmi, jak na anarchistkę przystało. Pomysł podejmuje Agustin, młody malarz, który zaszedł najdalej ze wszystkich: „Ale, mimo wszystko, jak ci to powiedzieć, David? Czuję się umarły. Albo też nudzę się, co na jedno wychodzi. Całymi godzinami pokasłuję, ziewam, palę niezliczone mnóstwo papierosów. Muszę wynajdować ciągle alibi, aby sobie dowieść, że istnieję. Alibi przeciw czemu? Przeciw komu?...". Agustin, w którym rodzice pokładali przesadne nadzieje, „mógł stać się wolnym tylko przez odmowę": tylko sztuka pozwala na ciągły bunt, Agustin nie będzie jednak wielkim malarzem i wie o tym. Chce spalić za sobą mosty, frankizm nic go nie obchodzi, jest mu obojętne, kogo zabije.

Plan zostaje przedyskutowany: kto wykona wyrok? Rozstrzyga poker, karty, które rozdziela Urribe, są znaczone: Paez namówił pijanego poetę, by wsunął najsłabsze Davidowi. David załamie się w ostatniej chwili: Agustin bierze na siebie ukaranie „tchórza". Zabije też Davida za jego milczącą zgodą: David był najbardziej uległym przyjacielem swego zabójcy, jego żywym lustrem. Mord kładzie kres powieści: Agustin oddaje się w ręce policji. Wszystko zostało dokonane.

Zabójstwo jest kluczem powieściowego świata Goytisola. W *Duelo en el Paraiso* * dzieci obejmują w niepodzielne władanie wieś katalońską, porzuconą przez cofające się wojska republikańskie. Zabijają też „zdrajcę" swojej społeczności: postępowanie podpatrzone u dorosłych. W *Juegos de manos* — zauważa słusznie francuski

* Dosłownie: *Gry rąk*. Znaczy to mniej więcej: głupie, dziecinne zabawy.

* Następna powieść Goytisolo: *Żałoba w raju*. Napisał on też trzecią, skonfiskowaną przez cenzurę: *Fiestas*. Antyfrankistowskie przekonania Goytisolo nie ulegają zresztą wątpliwości.

hispanista, M. E. Coindreau — niepokój bohaterów jest „niepokojem istot zbyt młodych, by znały same siebie, zaś ich prawdziwa natura wymyka się im, tym bardziej że bomby i cekaemy były lalkami i skakankami ich przerażonego dzieciństwa. Spisek przeciw Guarnerowi jest nie tyle skutkiem silnych przekonań, ile podświadomego pragnienia, by przez zabójstwo dotrzeć do poznania siebie. David zdradza więc swych przyjaciół podwójnie, pomniejszając ich nieudaną zbrodnię do rzędu mikstur i przebrań Urribe'a". Zbrodnia jest tu środkiem samopoznania; ale nie tylko: jest także legitymacją dojrzałości. Wyraża się w niej przekonanie, że mieszczański porządek, w jakim żyją rodzice, jest tylko złudą, chwilową maską: w istocie światem dorosłych rządzi gwałt, któremu należy dorównać. Podobne znaczenie można nadać morderstwu, popełnionemu przez dzieci w *Żałobie w raju* czy też — w *Popiele i diamencie*.

Juan Goytisolo ma 27 lat i jest już wielką nadzieją hiszpańskiej literatury. Ta literatura — o ile można wnosić — znajduje się w sytuacji paradoksalnie podobnej do polskiej. Wojna domowa — tak jak u nas okupacja, i nie tylko okupacja — była wstrząsem zbyt wielkim, by literatura mogła sobie z nim poradzić. „Było jasne — powiada Coindreau — że nie można było niczego się spodziewać po pisarzach, którzy w chwili wybuchu konfliktu zbliżali się do czterdziestki. Ich indywidualność była już ukształtowana. Wojna domowa wpędziła ich w ślepy zaułek. Przyzwyczajeni do pełnej wolności słowa, musieli ugiąć się teraz przed żądaniami nowego porządku i kaprysami cenzury". Stąd zamieszanie i zagubienie, pogłębione jeszcze przez długotrwałość dyktatury, która — mimo stopniowego osłabienia — uciska już od dwudziestu lat Hiszpanię.

„Wielu dzisiejszych młodych powieściopisarzy — pisze Goytisolo — było w czasie wojny domowej dziećmi. Oczyma dziecka patrzyli, nie rozumiejąc, na rzeczy straszliwe. Chwilowo o nich zapomnieli, ale później, gdy dojrzewali, przyszedł czas wspominania. I wtedy — nie po to, aby zapomnieć, albowiem to niemożliwe, ale po to, by się wyzwolić — zaczęli pisać powieści. Po pierwszej fali krótkotrwałej i reportażowej, po statystykach zwalonych domów i zamordowanych ludzi, przyszła fala następna, powolna, ale potężna: ta, która zaczęła opowiadać, co umarło i obudziło się w sumieniach..." Można tu wymienić — na wiarę francuskiego krytyka — kilka nazwisk: Ana Maria Matute, Juan Goytisolo, Ignacio Aldecoa, Rafael Sanchez Ferlosio, Jesus Fernandez Santos, Mario Lacruz. Wszyscy mają najwyżej trzydzieści lat.

Gdzie, jeśli porównać z naszą literaturą, tkwi podobieństwo? Kotowska, Leja najszczęśliwiej (literacko) podejmowały temat dziecka i wojny. Podobnie w Hiszpanii, tam jednak nabierał on nieco innego znaczenia. U nas przeważał liryzm, wynikły ze współczucia i grozy; tam — liryzm posuniętej aż do anarchii wolności. U wszystkich młodych prozaików hiszpańskich można rozpoznać tęsknotę za „rajem dzieciństwa", gdzie nieograniczona wolność łączyła się ze świeżością uczuć i instynktownym rozumieniem natury, której cząstką czują się nieświadomie mali bohaterzy. Dorośli, burząc świat, przyśpieszyli dojrzewanie swych następców: nic dziwnego, że jabłko poznania okazuje się kwaśne. Ale kwaśne jabłka najbardziej smakują i skoro tylko minie wczesna młodość, życie wydaje się agonią życia, z którą nie można — choć trzeba — się pogodzić.

Także dla naszych młodych prozaików młodość jest świeckim stanem łaski, jedynym dobrem, które strach zmarnować. Świat dorosłych jest nudny i kłamliwy: trudno poczuwać się do odpowiedzialności za to, co jest wstrętne istocie młodości. Nie ma innego wyjścia niż bunt albo podporządkowanie: jałowy sprzeciw, który wyładowuje się w erotyzmie lub zbrodni, albo cynicznie sentymentalne przystosowanie, które zapewniło światowy sukces utworom Françoise Sagan. Postacie Goytisola wybierają oczywiście bunt, podobny do buntu, który ożywia bohaterów Hłaski, choć wynikły z (pozornie) różnych przyczyn. Hłasko gniewa się na trudności życia, na jałowość walki o byt, jaka niszczy szlachetne uczucia, Goytisolo opisuje „wałkoniów" (jak z filmu Felliniego...), pochodzących z rodzin zamożnych, gdzie wszystkie życzenia dziecka były

uważane za prawo. Niedostatek i przesyt prowadzą jednak do podobnego skutku. Stąd wniosek, że nie stopa życiowa, ale kryzys poczucia odpowiedzialności i użyteczności społecznej wywołuje tragedie młodości. Konformizm i anarchia są dwiema stronami tego samego medalu. Owi młodzi ludzie są niczyi: ani Boga, ani społeczeństwa. Pozostaje ucieczka w sztukę, erotyzm, alkohol. Ucieczka, która jest tylko maską ucieczki w przeszłość, w dzieciństwo, w raj nieświadomości. Odmowa rzeczywistości łączy się z niechęcią do myślenia. Bohaterowie Goytisola byliby prawdopodobnie dobrym materiałem na faszystów. Ale w Hiszpanii frankizm jest czymś zużytym, już niepoważnym: byłoby nonsensem uciekać w arbitralność totalizmu. (Podobnie jak, z innych powodów, w Polsce.)

Goytisolo miał dwadzieścia jeden lat, gdy napisał *Juegos de manos*, można też zauważyć, że niejeden schemat powtarza. Co jednak uderza, to jędrność i prawda szczegółu; podobnie jak u Hłaski, wszystko jest zobaczone i przeżyte. Goytisolo jest jednak o wiele bardziej „literatem". Jak sam przyznaje, czerpał pełnymi garściami z młodej literatury amerykańskiej: wychwala Williama Goyena, Carson Mac Cullers, Trumana Capote. Prowadzi narrację uczenie, kilkoma torami; psychologia jest u niego zróżnicowana, każde wydarzenie — wielostronnie podbudowane; obchodzi go nie tylko znaczenie zdarzeń, lecz także — ich wewnętrzna poezja. Dość posłuchać tragikomicznych i wzruszających monologów Urribe'a, by zrozumieć, na ilu instrumentach umie jednocześnie grać Goytisolo. Można go więc tylko polecić uwadze wydawców. Obawiam się jednak, że będzie to wołanie na puszczy. Jeśli pominąć literaturę francuską, nasze wydawnictwa są spóźnione o dwadzieścia lat: i niewiele niestety wskazuje, by się to miało zmienić.

Jan Błoński

JÓZEF ROTH – CZŁOWIEK I PISARZ

I

W „Czytelniku" ukazała się obszerna powieść Józefa Rotha pt. *Marsz Radetzky'ego*. A właściwie jest to pierwsze po wojnie wznowienie tego utworu, który w r. 1934 wydał warszawski „Rój" w starannym przekładzie Wandy Kragen. Młode pokolenie czytelników nic nie wie ani o tej powieści, ani o jej autorze, Józefie Roth'cie. Jestem przekonany, że sprawy i ludzie opisani w *Marszu Radetzky'ego* wydadzą się dzisiejszemu czytelnikowi tak odległe, iż nieledwie egzotyczne. Już moje pokolenie, którego okres dojrzałości przypadł na ostatnie lata przed drugą wojną światową, czytało powieść Rotha bez owej gorączki, jaka towarzyszy lekturze dzieła o aktualnych, nabrzmiałych problemach współczesności. Ale czytało ją z podziwem, jako świetnie oddającą klimat swojej epoki. I napisaną z wielkim talentem, doskonałą austriacką niemczyzną. Austriacka niemczyzna! Brzmi to może nieco dziwnie, ale kryje się w tym określeniu rzecz bardzo istotna.

Pisarze austriaccy, żyjący w kraju o różnorodnych wpływach kulturalnych, gdzie słowiańskość mieszała się z barwnym Bałkanem, a Francja i Włochy skutecznie neutralizowały wpływ Prus i Reichu — w takm kraju, zwłaszcza w jego stolicy, Wiedniu, musiał wykształcić się swoisty styl życia i styl literatury. Cechowały ten styl: liryzm i lekkość, wdzięk i dowcip, jasność i zwięzłość, a więc cechy niewiele mające wspólnego ze stylem dziewiętnastowiecznej literatury Niemiec, gdzie gruntowność i solidność szły w parze z ciężkością i złożonością frazy, a lekkość i wdzięk uważane były za niegodne poważnej i rzetelnej literatury.

Tylko Austria mogła wydać takich ludzi, jak Piotr Altenberg, pisujący swoje szkice i aforyzmy na serwetkach kawiarnianych, traktujący zawód pisarza jakby od niechcenia (bez owej wściekłej powagi), i chyba dzięki temu utwory

jego, tego autora kilku zbiorów miniatur, zmarłego w 1919 roku, tchną bezpretensjonalnością i szczerym liryzmem. (Nad jego mogiłą inny świetny Austriak, Karol Kraus, tak o nim powiedział: „Odszedł od nas żebrak. O, jakże jesteśmy biedni".)

Tylko z Wiednia mógł wyjść Alfred Polgar, nowelista, eseista i krytyk teatralny, zwany „wielkim mistrzem małych form", którego prace literackie mogą służyć za wzór kondensacji, ostrości ujęcia i przedniego humoru.

A król królów — wspomniany już Karol Kraus! Józef Wittlin we wspomnieniu poświęconym Rothowi napisał: „Naszą wyrocznią był sławny Karol Kraus". Niezwykła osobowość literacka, człowiek-gigant pracy, dramatopisarz i krytyk, dziennikarz i satyryk, aktor i recytator, historyk literatury i aforysta, słowem: swoisty geniusz.

Również Józef Roth nie jest do pomyślenia poza Austrią. Nic też dziwnego, że nie mógł się myślowo od niej oderwać. Podróżował wiele po świecie, a od r. 1933 przebywał już właściwie na emigracji, jednakże w swoich powieściach i opowiadaniach podejmował wciąż jeden tylko temat: życie małych ludzi, rzuconych w głąb dawnej monarchii austro-węgierskiej, szarpanych przez niezgodę z samymi sobą, uwikłanych osobliwościami losu.

Marsz Radetzky'ego uchodzi (i słusznie) za najwybitniejszy utwór Józefa Rotha i nazywany bywa „pieśnią łabędzią", złożoną na grobie starej Austrii. Powieść tę można by z powodzeniem nazwać sagą, gdyż bohaterami jej są trzy pokolenia Trottów: ojciec, syn i wnuk. Porucznik Trotta, wsławiony bohaterskim czynem w bitwie pod Solferino (uratował życie młodemu cesarzowi Franciszkowi Józefowi) awansuje do stopnia kapitana i zostaje wyniesiony do stanu szlacheckiego, a czyn jego przejdzie do historii. Co prawda w wiele lat później w podręczniku szkolnym syna, Franciszka, opis jego czynu nie będzie miał wiele wspólnego z prawdą, stary Trotta wysyła nawet listy w sprawie „fałszowania faktów" do ministerstwa oświaty, skąd otrzymuje zwięzłą i rzeczową odpowiedź, że wymogi pedagogiki i dydaktyki nakazały tak właśnie, a nie inaczej przedstawić czyn jego młodemu pokoleniu.

Syn, Franciszek, obrawszy za namową ojca zawód cesarskiego urzędnika, pędzi życie spokojne, dokładnie odmierzone, bez wyskoków i niespodzianek, w miarę dostojne i w miarę nudne. O tej samej porze jada posiłki, przyjmuje interesantów, składa podpisy, kładzie się spać, wstaje itd., itp.

Wnuczek bohatera spod Solferino, lejtnant Karol Józef Trotta, żyje już tylko w cieniu sławy dziadka, kierowany miłością i surową ręką ojca, Franciszka. Kiedy na skutek skandalu decyduje się wystąpić z wojska, zadaje tym głęboką ranę ojcowskiemu sercu. Wkrótce zresztą umiera ten szlachetny, ale pozbawiony woli i charakteru młodzieniec. Stary Trotta przeżył własnego syna, ale nie przeżył monarchii. Umarł w chwili, gdy i ona zaczęła chylić się ku upadkowi.

Roth opisuje życie ludzkie w ostatnich latach monarchii ze spokojem i obiektywizmem, ale nie bez cienia delikatnej ironii. Mimo krytycyzmu i subtelnego humoru, jakim prześwietlone jest to dzieło, nade wszystko przebija żal za utraconą ojczyzną. *Radetzkymarsch* ukazał się w r. 1932, a więc w okresie, kiedy wielki kryzys europejski, dochodzący do głosu w Niemczech hitleryzm i ogólny bałagan nie mogły nie obudzić w autorze tęsknoty za spokojną, nie targaną burzami dziejowymi Europą sprzed pierwszej wojny światowej.

Zresztą rzeczywistość powojenna całkowicie Rotha rozczarowała. Nie widział perspektyw rozsądnego, harmonijnego ułożenia życia człowieka i współżycia narodów. Denerwował go pośpiech i nieskuteczność wysiłku, lekceważenie jednostki i pogarda dla przeszłości. Musiało to znaleźć swój wyraz w jego twórczości. Oto jakże charakterystyczny *passus* w *Marszu Radetzky'ego*: „W owych czasach, przed wielką wojną, kiedy miały miejsce wydarzenia opisane na tych kartkach, nie było jeszcze wcale obojętne, czy jakiś człowiek żyje, czy też umarł. Jeśli ktoś został wymazany z gromady żyjących, na jego miejsce nie wstępował natychmiast ktoś drugi, by pogrążyć zmarłego w niepamięć; tylko tam, gdzie go nie było, ziała luka, a bliżsi oraz dalsi świadkowie jego zgonu milkli, ilekroć wzrok ich padał na tę lukę. Jeśli ogień zniszczył jakiś dom z szeregu domów, to pogorzelisko pozostawało przez długi czas puste. Albowiem murarze pracowali powoli i z rozmysłem, a najbliżsi sąsiedzi tudzież przypadkowi przechodnie, widząc pusty plac, przypominali sobie kształt i mury zniknionego domu. Tak było wówczas! Wszystko, co

rosło, potrzebowało czasu, by urość; i wszystko, co ginęło, potrzebowało długiego czasu, by zostać zapomnianym. Ale za to wszystko, co raz istniało, pozostawiało po sobie ślad, i w owych czasach żyło się wspomnieniami, tak jak dzisiaj żyje się zdolnością szybkiego i gruntownego zapominania". *

Marsz Radetzky'ego ukazał się od razu w 25 tysiącach egzemplarzy, co na ówczesne stosunki w Niemczech było liczbą ogromną, a krytycy z miejsca dali powieści notę wysoką i postawili ją obok najwybitniejszych osiągnięć europejskich. Znany krytyk, Walter A. Berendsohn, napisał, że na „stylu i języku Rotha będą uczyć się przyszłe pokolenia niemieckich pisarzy".

II

My, Polacy, mamy szczególne powody, aby interesować się Józefem Rothem i jego twórczością. Był to bowiem pisarz, który chętnie przyznawał się do swych związków z polskością, a w utworach jego, rozgrywających się niejednokrotnie na terenach polskich dawnej Galicji, występują także Polacy.

Miał Roth swoje ulubione zakątki, np. chętnie przyjeżdżał do Lwowa, a pejzaż wołyński uniósł w swej pamięci do Wiednia, później — na emigrację do Francji. Toteż ludzi znających życie Rotha nie zdziwi owa wypowiedź, włożona w usta hrabiego Chojnickiego, jednego z bohaterów *Marsza Radetzky'ego:* „Cały kraj to abstrakcja, jeśli chodzi o ojczyznę! Ale ziomek, krajan — to coś konkretnego. Nie mogę przecież kochać wszystkich żytnich i pszenicznych łanów, nie mogę kochać wszystkich puszcz jodłowych, moczarów, wszystkich polskich panów i dam! Ale jedno określone pole, jeden zagajnik, jedno bagnisko, jeden człowiek — to co innego! To widzę, tego mogę dotknąć rękami, to przemawia do mnie znanym językiem. Całą istotę swojszczyzny upatruję w tym, co poszczególne, pojedyncze".

Jakież więc było to osobliwe życie austriackiego pisarza? Oddajmy głos jemu samemu. W r. 1930 Józef Roth tak pisał o sobie do swego wydawcy i przyjaciela, Gustawa Kiepenheuera: „Urodziłem się drugiego września 1894 r. w małej dziurze na Wołyniu, pod znakiem Dziewicy, z którą moje imię Józef utrzymuje jakieś bliżej nieokreślone stosunki. Moja matka była Żydówką o mocnej, konkretnej, słowiańskiej budowie. Bardzo często śpiewała ukraińskie pieśni, ponieważ była bardzo nieszczęśliwa (a ci, co u nas w domu śpiewają, to są biedni, nie zaś szczęśliwi, jak w zachodnich krajach. Dlatego wschodnie pieśni są piękniejsze i kto ma serce i ich posłucha, ten jest bliski płaczu). Matka nie miała pieniędzy i nie miała męża. Gdyż ojciec mój — który pewnego razu wziął ją z sobą na Zachód, prawdpodobnie po to tylko, by mnie spłodzić — porzucił ją w Katowicach i przepadł na zawsze. Mój ojciec zmarł w obłąkaniu, gdy miałem lat szesnaście. Jego specjalnością była melancholia, którą po nim odziedziczyłem.

W młodocianym wieku, gdy inni chodzą do szkoły, podróżowałem już koleją. Wcześnie przybyłem do Wiednia, opuściłem go rychło, powróciłem, pojechałem znowu na Zachód, nie miałem pieniędzy, żyłem ze wsparć zamożnych krewnych i z lekcji, zacząłem się uczyć, gorliwie i ambitnie, byłem szczególnie zacnym chłopcem, pełnym cichej złości i jadu, skromnym z pychy, rozgoryczonym wobec bogatych, ale bez uczuć solidarności dla biednych. Biedni wydawali mi się głupi i niezręczni. Bałem się również wulgarnych wypowiedzi.

Gdy wybuchła wojna, straciłem stopniowo wszystkie swoje lekcje. Adwokaci poszli do wojska, kobiety stały się opryskliwe, patriotyczne, szczególnie wyraźne upodobanie okazywały rannym. Zostałem podchorążym. Do końca wojny byłem na froncie — na Wschodzie. Byłem mężny, surowy i ambitny. Postanowiłem pozostać w wojsku. Wtedy nadszedł przewrót. Nienawidziłem rewolucji, ale musiałem się jej podporządkować i — ponieważ ostatni pociąg ze Żmerynki odjechał — musiałem maszerować do domu na piechotę. Wówczas wracałem drogą okrężną, przez dziesięć dni — z Podwołoczysk do Budapesztu, stamtąd do Wiednia, gdzie, z powodu braku pieniędzy — zacząłem pisać do gazet.

Drukowano moje głupstwa. Żyłem z tego. Zostałem pisarzem. Wkrótce przesiedliłem się do Berlina — zmusiła mnie do tego miłość do mężatki, obawa, aby nie stracić swej wolności, która znaczyła dla mnie więcej niż jedno wątpliwe serce. Pisałem najgłupsze artykuły i

* Cytaty z *Marsza Radetzky'ego* podaję w przekładzie Wandy Kragen, wszystkie pozostałe — w moim własnym.

dzięki temu zdobyłem sobie imię. Pisałem złe książki i stałem się znany. Dwa razy odrzucił moje rzeczy Kiepenheuer. Byłby je odrzucił po raz trzeci, gdybyśmy się nie poznali osobiście. Pewnej niedzieli piliśmy razem wódkę. Była niedobra, pochorowaliśmy się obaj od picia. Zawarliśmy przyjaźń z litości, mimo różnicy naszych natur, które odnajdują się tylko w alkoholu. Kiepenheuer jest mianowicie Westfalczykiem, ja — Osfalczykiem. Nie można wyobrazić sobie większego przeciwieństwa. On jest idealistą, ja — sceptykiem. On kocha Żydów, ja nie. On jest fantastą postępu, ja jestem reakcjonistą. On jest zawsze młody, ja jestem zawsze stary. On będzie miał lat pięćdziesiąt, ja — ze dwieście. Mógłbym być jego dziadkiem, gdybym nie był jego bratem. Ja jestem radykalny, on — pojednawczy. On jest uprzejmie nieokreślony, ja jestem dosadny. On jest sprawiedliwy, ja — niesprawiedliwy. On jest optymistą, ja pesymistą. Bez wątpienia muszą istnieć między nami tajemne związki. Bo czasami zgadzamy się z sobą. To jest tak, jakbyśmy czynili wobec siebie wzajemne koncesje, ale nie czynimy żadnych. Bowiem on nie ma żadnego zmysłu do pieniędzy. Tę cechę mamy wspólną. On jest najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam. Ja także. On ma to ode mnie. On traci na moich książkach. Ja także. On wierzył we mnie. Ja także. On czekał na mój sukces. Ja także. Jego potomność nie zapomni. Mnie również. Jesteśmy nierozłączni. To jego zaleta".

Niech mi czytelnik wybaczy ten dość długi cytat, ale wydaje mi się, że był on niezbędny. Jest w nim cały Roth ze swym sentymentem, liryzmem, autoironią i humorem.

W chwili gdy Roth pisał powyższe słowa, żona jego, Friederike Reichler, leżała w Wiedniu w szpitalu dla psychicznie chorych, w którym w rok czy w dwa lata później zmarła. Roth miał za sobą już pięć powieści i kilka większych opowiadań. Pracował nad *Marszem Radetzky'ego*. Rozpił się. Jest w tej powieści takie zdanie: „W życiu każdego człowieka istnieją okresy, kiedy musi pić. Nic nie szkodzi, to przejdzie!". Ale jemu nie przeszło. Nałóg ten pogłębił się z latami i on właśnie przyspieszył przedwczesną śmierć pisarza. We wspomnieniu pośmiertnym Hermann Kesten napisał o nim, że był „jednym z największych pijaków swojej epoki".

Tymczasem jednak jest Roth w pełni sił, dużo podróżuje i dużo pisze. W roku 1933, roku dojścia Hitlera do władzy, opuszcza Roth Niemcy, w których mieszkał i przenosi się na powrót do Wiednia. Ale i tam nie czuje się dobrze. Często odwiedza Paryż. A gdy Hitler sięgnie po Austrię, rozstaje się, już na zawsze, z Wiedniem i ojczyzną. Przebywa w Pradze, Warszawie, Paryżu. Z tego czasu pochodzi wywiad z Rothem zamieszczony w warszawskich *Wiadomościach Literackich*. Warto przytoczyć z wypowiedzi Rotha kilka zdań, mówiących o jego stosunku do Polski: „Urodziłem się w Polsce, a więc jestem po części Polakiem, Polskę znam doskonale. Służyłem w armii austriackiej, byłem na Ukrainie i w Rosji i umiem po rosyjsku i po polsku. Będąc w Łodzi, nie umiałem się oprzeć pokusie napisania *Hotelu Savoy*, najlepszej mojej książki".

Jest to oczywiście przesada. *Hotel Savoy* nie jest najlepszą powieścią Rotha. Ale przywiązanie autora do niej stanie się zrozumiałe, jeśli powiemy, że jest to jedna z jego pierwszych powieści, a do swojego debiutu każdy pisarz żywi sentyment i sympatię, jeśli nie zgoła — słabość.

A nieco dalej w tymże wywiadzie Roth mówi jeszcze: „Znam wiersze Tuwima, bardzo mi się podobają, uważam, że Tuwim to doprawdy talent europejski".

W Paryżu zamieszkał Roth w małym hotelu z kawiarnią przy rue de Turnon (dawne jego ulubione miejsce, hotel Foyot, w pobliżu Ogrodu Luksemburskiego i Senatu, spłonął). Pił i pisał. Jego stolik w kawiarni otaczała wciąż grupa przyjaciół, jak on emigrantów. Z Paryża wyjeżdżał czasami do Ostendy, ale na krótko. Mówiono o nim wówczas, że posiada dochody ministra, długi porucznika i jedną parę spodni, bardzo wąskich u dołu, jak nakazywał staroaustriacki obyczaj, któremu pozostał wierny do końca życia.

Zmarł 27 maja 1939 roku mając zaledwie czterdzieści pięć lat. Mimo tak krótkiego, jak na pisarza, życia, napisał i wydał drukiem trzynaście powieści, siedem, ogłoszonych w oddzielnych tomikach, opowiadań oraz niezliczone ilości reportaży, esejów i felietonów. Jest to dorobek pokaźny, jeśli się zważy, że wśród powieści są takie rzeczy (oprócz *Marsza Radetzky'ego*), jak *Zipper i jego ojciec*, *Hiob*, *Krypta kapucynów* i ostatnia przed śmiercią praca — *Legenda o świętym pijaku*.

Roth nie cierpiał pisania na maszynie

i nie rozumiał, jak niektórzy jego koledzy mogą wystukiwać na maszynie zdania i rozdziały swoich utworów. Sam pisał zawsze wiecznym piórem na ćwiartkach papieru, spiętych zazwyczaj w blok, by się nie rozsypywały. Pisał po osiem godzin dziennie, nawet w najtrudniejszych warunkach emigracyjnych starał się nie odstępować od tej zasady. Był jednym z najpracowitszych pisarzy niemieckich. Wielką wagę przykładał do systematycznej codziennej pracy i od niej uzależniał wszelkie wyniki. A przy tym wszystkim był zdania, że pisarstwo jest łaską. Ktoś powiedział o nim: „Był ponad miarę obsypany łaskami".

Mówi się, że Roth przeszedł w swej twórczości znamienną ewolucję *von links nach rechts* (z lewa na prawo). Zaczął jako zdeklarowany radykał, przyjaciel rewolucji i postępowych ruchów społecznych, a skończył nieledwie jako mistyk, chwalca monarchii i konserwatysta. Zapewne Roth przy końcu życia nie był tym samym Rothem, który na łamach *Frankfurter Zeitung* zaczynał swoją karierę literacką. Była to jednak zbyt skomplikowana osobowość pisarska, by w sposób tak uproszczony określić jego postawę. Jedno jest pewne: Roth nigdy nie zdradził humanizmu, zawsze obce mu były wszelkie nacjonalistyczne poglądy, znalazłszy się na emigracji występował jako publicysta przeciwko ideologii hitlerowskiej, bronił pokoju i wolności człowieka.

Takim znają go przyjaciele i takim zapisał się na kartach swoich dzieł literackich.

III

Od kilku lat Józef Roth przeżywa na obszarze języka niemieckiego prawdziwy renesans. W r. 1956 wydawnictwo Kiepenheuer & Witsch w Koeln wydało jego *Dzieła (Werke)* w trzech potężnych tomach na pięknym papierze i we wspaniałej oprawie. Jeszcze wcześniej ukazała się książka zbiorowa pt. *Joseph Roth, Leben und Werk*, zawierająca artykuły i wspomnienia przyjaciół-pisarzy (znajdujemy tam również wspomnienie Józefa Wittlina, wygłoszone w Nowym Jorku w piątą rocznicę śmierci pisarza w maju 1944 r.). We wschodnim Berlinie Aufbau-Verlag wydało *Radetzkymarsch*, a kilka luźno ogłoszonych tomów zaprezentowały również firmy wydawnicze w Niemczech Zachodnich, Austrii i Szwajcarii. Miesięcznik paryski *L'Allemand aujourd'hui* jeden ze swych numerów poświęcił w całości życiu i twórczości Józefa Rotha, a, jak słychać, *Marsz Radetzky'ego* ukaże się także we Francji.

Roth miał wielu przyjaciół w Polsce i w okresie międzywojennym niejeden jego utwór przetłumaczono na nasz język. Oprócz wspomnianej już Wandy Kragen, tłumaczyli go tacy pisarze, jak Józef Wittlin i Aleksander Wat. Jedynie przekłady dr. I. Bermana zaliczyć trzeba do słabych, nie oddających licznych uroków jego prozy w naszej polszczyźnie.

Obecnym wydaniem *Marsza Radetzky'ego* zacznie się, być może, również renesans Rotha w Polsce. Trzeba by koniecznie wydać dalsze jego utwory: powieść o Łodzi, *Hotel Savoy — pendant* do *Marsza Radetzky'ego* — *Kryptę kapucynów*, *Hioba*, przemiłą opowieść *Zipper i jego ojciec* oraz *Legendę o świętym pijaku*.

„Józef Roth, niezapomniany jako człowiek, nie może również zostać wykreślony żadnym dekretem z annałów sztuki" — powiedział kiedyś o nim Stefan Zweig. Po stokroć słuszne słowa.

Jan Koprowski

Z LEKTUR ZACHODNIO-NIEMIECKICH

Ukazały się 3 tomy *Dzieł* Roberta Musila. Na 3500 stronicach uprzystępniona została na razie czytelnikowi niemieckiemu twórczość tego pisarza, „najznakomitszego z piszących po niemiecku w pierwszej połowie XX wieku". (Rowohlt—Verlag, Hamburg 1955—1957). *Prosa, Dramen, späte Briefe* — to tom trzeci, który zamyka pierwsze wydanie dzieł Musila. Krytyka traktuje to wielkie osiągnięcie wydawnicze jako początek pracy nad twórczością

pisarza, podkreśla jednak, że pominięte zostały bardzo istotne rzeczy, jak np. szkic *Das Unanständige und Kranke in der Kunst*, ogłoszony drukiem 1/III 1911 w *Pan*, że brak wielu listów. Podkreśla się również konieczność analizy spuścizny rękopiśmiennej. Skądinąd trzy wielkie tomy nie spopularyzują twórczości Musila, konieczne jest wydawanie niewielkich tomików, zawierających poszczególne utwory. Tom III — obok 96 listów z późnego okresu — zawiera pierwszą powieść (1902—1906), sześć opowiadań, dwie sztuki teatralne, drobne utwory prozatorskie z lat 1912—13, wydane przez Musila w r. 1936 pt. *Nachlass aus Lebzeiten*, niektóre artykuły krytyczne i fragmenty pamiętnika, które powinny były raczej wejść do tomu drugiego, oraz próby liryki. Odwrócenie porządku chronologicznego: t. I — twórczość ostatniego okresu, t. III — twórczość wczesna — krytyk uważa za słuszne. Udostępniony został w ten sposób w pierwszym rzucie utwór, który był dziełem życia autora, nad którym pracował lat dwadzieścia, a następnie stopniowo udostępnia się całokształt twórczości, ogłoszonej i nie ogłoszonej dotychczas drukiem.

Tagebücher, Aphorismen, Essays und Reden — to tom drugi. Pierwsze notatki pamiętnika mają datę r. 1902. „Dziennik — pisał wówczas sam Musil — to znak czasu. Tyle ich się ukazuje ostatnio. Forma dziennika jest nieobowiązująca, nie nakłada żadnych rygorów. W porządku. Możliwe, że będzie się pisało wyłącznie dzienniki, jako że wszystko inne jest nie do zniesienia. Po co zresztą uogólniać? Dzienniki — to nie jest sztuka i nie powinny do sztuki pretendować. Po co się na ten temat rozwodzić?“ Rzucając mimochodem to zdanie, Musil uważa sprawę za załatwioną. Nie dopatruje się w dziennikach kształtu artystycznego, traktuje je wyłącznie jako notatki. Jako osiemnastoletni chłopiec próbuje w r. 1898 zanotować to, do czego nie zamierzał już powracać, a w duchu ówczesnej mody nazywa siebie *„Monsieur le vivisecteur“*. Tym zaczyna swój *Notbuch*. Już wtedy jednak nie wydaje mu się ta maskarada zbyt przekonywająca i już na trzeciej stronicy poddaje krytyce ten piękny tytuł, uważając go za pozerstwo. Następuje kilka krótkich szkiców literackich, po czym przerwa do roku 1902, kiedy to Musil ustala ostatecznie swój pogląd na pamiętnik.

W przeciwieństwie do wielu współczesnych nie uważa swego życia za dość reprezentatywne, zwłaszcza po lekturze Gorkiego *Wśród ludzi*. W latach wygnania, kiedy jego sytuacja materialna pogarszała się nieustannie i kiedy zmuszony był korzystać z doraźnej pomocy przyjaciół, zadawał sobie często pytanie, czy jego praca pisarska jest celowa, i zaczął robić notatki do autobiografii. Już na pierwszy rzut oka widać, że materiał przez niego nagromadzony nie stanowi *sensu stricto* opisu życia, że nie jest to spojrzenie wstecz, rzucone przez dojrzałego człowieka na punkty węzłowe własnego rozwoju, że nie mają one również formy spowiedzi. Osobiste doświadczenia, jeszcze nie przeżycia, były punktem wyjścia ogólnych rozważań. Nie interesowało go życie jako takie, nie miał zrozumienia dla procesu dojrzewania i „życia przeżytego“, nie uznawał wartości spojrzenia na to, co się już dokonało. Interesowało go to, co stać się może, to, co w *Człowieku bez właściwości* nazwał „jeszcze drzemiącymi zamierzeniami Boga“. Niemniej punktem wyjścia były dla niego obserwacja i analiza rzeczywistości dni, w których żył. Wierzył, że utopia może stać się rzeczywistością, powinna się nią stać. „Przyjrzyj się zakończeniu wojny — pisał w roku 1920. — Mógł się zrodzić nowy świat. Nie było koniecznością, by nie powstał.“ Mówi dalej o zbliżającym się dniu utopii, do którego trzeba się przygotować, który trzeba wyprzedzić myślami. Miejscem, gdzie swoje myśli poddawał próbie, była dla Musila własna twórczość — przede wszystkim *Człowiek bez właściwości*. Wszystko inne: dzienniki, przemówienia — były czymś drugorzędnym, zbieraniem materiału. Lecz ten materiał — jak twierdzi krytyk — jest fascynujący.

Musil pozostawił 35 zeszytów refleksji, szkiców i notatek. Miał zwyczaj używania jednocześnie kilku zeszytów. Z rzadka tylko stawiał datę, stąd trudności piętrzące się przed wydawcą. Redaktor całości, A. Frisé, wybrał 530 stron pamiętników spośród stron przeszło tysiąca. Opuszczone zostały przede wszystkim notatki dotyczące

lektur, bogate i obszerne zwłaszcza w latach 1898—1908. Pominięte zostały poza tym wszystkie te szkice powieści, które bez większych zmian weszły do utworów lub też znalazły się w *Nachlass aus Lebzeiten*. Pełne wydanie będzie musiało i ten materiał uwzględnić. Notatki fascynują swą aktualnością, wszystko to, co dotyczy teatru, literatury, także sportu, jest żywe jak przed trzydziestu laty, a *Rede über Dummheit* — to majstersztyk eseistyki. Praca nad spuścizną Musila jest wciąż w toku. Osiągnięty został dopiero pierwszy szczebel — twierdzi krytyka, oceniając z całym uznaniem pierwsze trzytomowe wydanie.

■

Ukazały się (również w NRF) *Ausgewählte Briefe* Gottfrieda Benna (Wiesbaden 1957). Prof. Muschg z Bazylei w swojej pracy *Zerstörung der deutschen Literatur* ocenia ostro całą twórczość Benna, jego estetyzm, który nikogo nie obchodzi, i jego „egzystencjalizm z drugiej ręki". Polemizuje z Muschgiem krytyk *Wort und Wahrheit*, podkreślając konsekwencję pisarza, który nigdy nie uznawał i nie chciał uznać poezji — nauczycielki życia, który ostrzegał przed ujmowaniem jej w ten sposób; który uważał, że dla stosunków międzyludzkich lepsze jest „rządzenie" niż prawda. Wybór obejmuje 200 listów. Pierwszy — to list trzynastoletniego chłopca do siostry (9.I.1900 r.), ostatni — do Maxa Rydnera (2.VI.1956). Benn zmarł 7.VII.1956. Wybrane listy mają odsłonić oblicze pisarza i człowieka. Korespondencja ze Sternheimem, Henrykiem Mannem i Klausem Mannem nie dochowała się niestety. Odsłoniłaby niewątpliwie oblicze polityczne pisarza, który po początkowym aplauzie dla hitlerowskiego przewrotu przeżył wyraźny wstrząs. Dnia 27.VIII. 34 r. pisze w liście do Iny Seidel: „Żyję z zaciśniętymi zębami... Nie zniosę tego dłużej. Pewne sprawy zadecydowały ostatecznie. Niesamowita tragedia. Wszystko razem robi na mnie wrażenie szmiry, która ustawicznie zapowiada Fausta... Wszystko, co wydawało się wielkie — mierzi. Ale do końca jeszcze daleko..." Cztery listy z roku 1933 na pewno nie wystarczają, twierdzi krytyk, by pokazać prawdziwe oblicze Benna.

B. R.

KILKA SŁÓW O VITĚZSLAVIE NEZVALU

Na początku kwietnia br. zmarł w Pradze jeden z najciekawszych i najpopularniejszych poetów czeskich, Vitězslav Nezval. Trudno byłoby wymienić wszystkie jego zasługi oraz funkcje w życiu kulturalnym. Napisał koło setki książek — poezji, dramatów, powieści, scenariuszy filmowych, scenariuszy do baletów, esejów, przekładów poetyckich, wspomnień i bajek dla dzieci, otrzymał nagrodę pokoju, złoty medal pokoju, dwa razy dostał nagrodę państwową, w roku 1953 otrzymał godność artysty narodowego itd. Działał w najróżnorodnieszych organizacjach kulturalnych i nie było chyba ważniejszej akcji w życiu młodej sztuki czeskiej, w której nie brałby udziału.

Urodził się w roku 1900 w morawskiej wiosce i miał życie bardzo bogate w wydarzenia. Był wiecznym poszukiwaczem nowej treści, nowych myśli i nowej formy. Do literatury wszedł w roku 1922 tomikiem wierszy pt. *Most*. Publikował gorączkowo, po kilka książek rocznie, propagując w Czechach najnowsze kierunki zachodnio-europejskie, różne „izmy", niekiedy efemeryczne, jakkolwiek sam nie ulegał niewolniczo modzie literackiej i nie zatracał swojej oryginalności twórczej. Rola jego polega z jednej strony na tym, że jak Boy Polakom, tak on po Vrchlickim przyswajał Czechom literaturę zachodnio-europejską. Z drugiej strony, będąc w całym tego słowa znaczeniu człowiekiem o dużej kulturze europejskiej, stworzył odrębny styl poetycki, który znalazł w Czechach dużo naśladowców, przede wszystkim wśród młodzieży. Współpracował z Wol-

kerem i Bieblem i po śmierci Wolkera stanął na czele młodej poezji czeskiej. Był przyjacielem Tristana Tzary, Eluarda, Picasssa i Aragona, zachwycał się poezją radziecką, przede wszystkim Majakowskim. Założył grupę surrealistów i z zachwytem tłumaczył najnowszą poezję francuską. Po drugiej wojnie światowej z entuzjazmem przyjął zmianę ustroju społecznego i całą swoją poezję oddał w służbę nowemu życiu. Wiersze Nezvala, zwłaszcza pisane w ostatnim dziesięcioleciu, są przystępne dla najszerszych mas czytelników, ale nie prymitywne, na odwrót, zadziwiają subtelnością i niezwykłą fantazją. Na pierwszy rzut oka jest Nezval poetą łatwo zrozumiałym. Jeżeli jednak zastanowimy się nad jego rozwojem, stwierdzimy, że chodzi w gruncie rzeczy o poetę bardzo skomplikowanego. Jego obraz poetycki jest tylko pozornie prosty. Nezvalowi ta prostota nie była dana od razu: musiał do niej dobijać przez różne „izmy", przez chaos kierunków literackich okresu międzywojennego. I jeżeli w ostatnich tomikach swoich wierszy mówił językiem przystępnym i zrozumiałym dla szerokich mas ludowych, było to wynikiem długiej i uczciwej pracy.

Potrafił zawsze oddać nastrój swojej epoki, jej wahania i nadzieje. Często powtarzano, że Nezval miał przez całe życie wyobraźnię dziecka. W sposób bezpośredni, z niezwykłą fantazją potrafił opisać najdrobniejsze, banalne, nie spostrzegane na ogół drobiazgi i wydarzenia, widział zawsze nowe aspekty rzeczywistości. Świat był dla niego jak gdyby każdego dnia na nowo stwarzany. W pewnych epokach odrzucał nawet filozofię, bo nie chciał, żeby mu pośredniczyła w przeżywaniu rzeczywistości. Potrafił jednak głęboko rozmyślać nad ważnymi zagadnieniami bytu i rozwoju ludzkości, co tak wymownie przejawia się w jednym z ostatnich jego dzieł, w dramacie *Dziś jeszcze zachodzi słońce nad Atlantydą*, w którym przestrzegał ludzkość przed próbami z bronią atomową. Nezval zawsze przyjmował życie bezpośrednio, nie poprzez systemy filozoficzne. Kierował się przede wszystkim uczuciem i wyobraźnią. Kochał młodość i eksperyment. Tęsknił za nowymi formami życia, równocześnie szukając dla nich nowych form poezji. Nie zgadzał się ze zdaniem, że nową treść można wyrazić starymi metodami poetyckimi. Sam kiedyś powiedział, że opisywać dzień dzisiejszy używając starej kliszy jest wulgaryzmem. Był poetą prowokującym. Dużo dyskusji wywołało na przykład w roku 1955 jego zdanie, że Apollinaire jest w poezji takim zjawiskiem, jak w życiu ludzkości wynalazek maszyny parowej czy elektryczności.

Jest zawsze rzeczą trochę niebezpieczną porównywanie dwóch autorów z różnych krajów i szukanie analogicznych cech ich twórczości. Każdy wielki pisarz jest niepowtarzalny i porównując wspólne cechy różnych poetów pokazujemy zazwyczaj tylko część, i to mniej ważką część dzieła. Jeżeli jednak uprzemy się szukać analogii dla Nezvala w polskiej literaturze, nasunie się nam przede wszystkim K. I. Gałczyński. Nie znaczy to, żeby wszystkie cechy poezji Nezvala można było znaleźć u Gałczyńskiego i na odwrót. Gałczyński jak gdyby łączył w sobie te dwa typy czeskiej poezji okresu międzywojennego, mianowicie poezję Nezvala i satyrę Teatru Wyzwolonego. Poezja Nezvala ma jednak pewne wartości, które trudno byłoby znaleźć u Gałczyńskiego. Nezval, tak samo jak Gałczyński, lubił poezję banału, kabaretu, poezję techniki, fabryk, dużych, na pierwszy rzut oka nieciekawych, miast przemysłowych. Równocześnie, tak samo jak Gałczyński, potrafił w codziennych wydarzeniach odkrywać niezwykłe, wprost fantastyczne rzeczy i przeżycia.

Trudno jednak charakteryzować twórczość Nezvala, była ciągle zmienna. Wiersze napisane w latach trzydziestych różnią się zasadniczo od ostatnich jego tomików. Zresztą nigdy nie był jednolity. Obok surrealistycznych, gorączkowych wizji pisał wiersze proste, wybuchowe, nastrojowe, bliskie pieśni ludowej. Z biegiem czasu pierwiastki pieśni ludowej pojawiają się u niego coraz częściej. Nazval zawsze potrafił je połączyć z niezwykłymi obrazami swojej fantazji i nawet z elementami współczesnej poezji francuskiej, której był miłośnikiem i wybitnym tłumaczem.

Satyry typu Gałczyńskiego Nezval nie stworzył. Gałczyński przechodził nieraz od liryzmu do satyry i na odwrót. Nezval natomiast intymną lirykę przestrajał na patos. Tak samo jak Gałczyński, łączył intymne przeżycia i uczucia ze sprawami ogólnoludzkimi. Nie było dla niego granic między tym, co prywatne, i tym, co społeczne. Można zaryzykować zdanie, że Nezval stworzył patos nowo-

czesny, w którym wyraził rytm nowoczesnego życia, jego nadzieje i dążenia.

Jeszcze jedna cecha wierszy Nezvala zwraca na siebie uwagę: muzykalność. Nezval był wirtuozem i pod tym względem jego poezja stanowi nową epokę w literaturze czeskiej. Był niezwykle wrażliwy na wartości muzyczne języka, nie czuł granic między poezją a muzyką. (Sam zresztą komponował muzykę do niektórych swoich utworów.)

Po śmierci Halasa śmierć Nezvala jest największą stratą dla czeskiej poezji. Trudno wprawdzie tych dwóch poetów porównywać, bo każdy z nich należał do innego typu i w inny sposób reagował na otaczającą go rzeczywistość. Halas był raczej poetą filozoficznym, zamyślonym nad zagadnieniami świata i poszukującym swojego miejsca w dniu dzisiejszym. Nezval przyjmował rzeczywistość bezpośrednio, bez wahań i wewnętrznych zmagań. Styl Halasa był świadomie szorstki, Nezval upajał się muzycznością dźwięku i bogactwem kolorów. Każdy z nich wyrażał inny aspekt rzeczywistości, inny, osobisty stosunek do świata i z tego powodu każdy posługiwał się odmiennym stylem. Ale obaj wyrazili, wprawdzie różnymi środkami i metodami, część tego, czym dzisiejszy człowiek żyje i za czym tęskni.

Nezval był poetą w pełni nowoczesnym, poetą dnia dzisiejszego i najaktualniejszych jego spraw. Zmarł wśród pracy, bezpośrednio po swoim powrocie z Włoch i choć zdawał sobie sprawę ze swojej ciężkiej choroby, można powiedzieć, że zmarł w pełni sił twórczych. W jego poezji odbił się wyraźniej niż u któregokolwiek innego pisarza rozwój literatury w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Był może najwrażliwszym na sprawy społeczeństwa i kultury poetą.

Hana Jechová

KAROL ADWENTOWICZ

Jak wiele innych wielkich indywidualności artystycznych, rozbijał Adwentowicz wszelkie „gotowe" formułki i schematy, w które próbowano zamknąć jego pracę. Mówiono o nim jako o romantyku i naturaliście — ale wystarczyło obejrzeć kilka jego ról, by pojąć, jak bledziutkie i niedostateczne były te określenia, jak bardzo je przerastał najświetniejszy polski wykonawca ról Hamleta, Peer Gynta, Rotmistrza w *Tańcu śmierci*, Hrabiego Henryka, Lucyfera, Horsztyńskiego, rybaka Kubusa w *Nadziei*, Dyrektora z *Dwóch teatrów*. Lepiej więc (nie próbując syntez zadowalających jedynie naiwnych absolwentów polonistyki) ograniczyć się do rejestracji własnych doświadczeń. Fakty zawsze działają najgłębiej, fakty artystyczne najsilniej pozostają w pamięci. Takim właśnie faktem była rola Rotmistrza w *Tańcu śmierci* Strindberga. Oglądałem ją przed 36 laty w Krakowie jako sztubak gimnazjalny. Z kolegą moim i przyjacielem, Janem Sztaudyngerem, spotkaliśmy się na tym przedstawieniu, nie nazbyt dozwolonym wtedy dla gimnazjalistów. Napięcie dramatyczne rosło z aktu na akt, ze sceny na na scenę, z minuty na minutę. W pewnym momencie Adwentowicz sam jeden zostawał na scenie, trwało to jakieś 15 minut, w zupełnym milczeniu. Nie widziałem już nigdy więcej podobnie wstrząsającej gry, nie doznałem nigdy bardziej oszałamiającego wrażenia. Wyszliśmy wraz ze Sztaudyngerem wstrząśnięci do głębi. Całą noc włóczyliśmy się po ulicach. Młodzi chłopcy, poznaliśmy tego wieczoru — dzięki grze Karola Adwentowicza — chyba pierwszy raz w życiu przeżycie tragiczne. Bo nie o żaden naturalizm tu chodziło ani o romantyzm — tylko o ową stawkę największą, jaką człowiek kładzie na szalę, i o wielkość jego tragicznej walki. Sztuka aktorska, która daje takie przeżycie, jest wielką i doniosłą sprawą. Jakiś czas potem zobaczyłem Adwentowicza po raz drugi, znów na występach gościnnych w Krakowie — w roli Hamleta. Wryły mi się głęboko w pamięć wszelkie akcenty tej roli, zespoliły z postacią, stały się jej częścią składową, której nie podobna oddzielić — nawet w lekturze. Był to Hamlet unerwiony aż do ostatnich granic wrażliwości — a zarazem pełen energii, doskonale zdający sobie sprawę z celu, do jakiego konsekwentnie zmierza. Hamlet „spieszący się", nadający słowu jakąś gwałtowną żywiołowość, a przecież nie lekceważący ani jednej frazy, ani jednego załomu myśli, ani jednego odcienia. Podobno obecny wykonawca roli duńskiego królewicza w teatrze Old-Vic, John Neville, zaczyna grać „pełną parą" dopiero od momentu rozmowy z aktorami; krytyka angielska mówi, że jest to rola zbudowana na zasadzie stopniowego rozwoju. Adwentowicz rozwijał skrzydła do lotu już od samego początku. I rzecz dziwna, że lot ten zdawał się coraz potężniejszy, coraz drapieżniejszy, coraz szybszy.

Ale zaraz po przedstawieniu *Hamleta* — na drugi czy trzeci dzień — oglądaliśmy Adwentowicza w innej roli, krańcowo różnej. W dość błahej włoskiej komedyjce grał brzydkiego Ferranta; jeden z najpiękniejszych aktorów, umiał sobie nadać rysy czarującej zresztą szpetoty. W innym wykonaniu chytre uwodzenie kobiety przez brzydala by-

łoby nieinteresujące i niegodne uwagi; to Adwentowicz nadał owej przygodzie charakter „gry“ niemal intelektualnej, chciałoby się rzec kartezjańskiej. Otóż owe zupełnie nowe strony artyzmu Adwentowiczowskiego zaskoczyły widzów, sprawiły, że pozbyliśmy się przesądów na temat nieprzekraczalnych rzekomo granic *emploi* aktorskiego.

W roku 1933 poznałem Adwentowicza osobiście. Założył on właśnie, wraz ze swą małżonką, Ireną Grywińską, Teatr Kameralny w Warszawie. Jako młody publicysta postanowiłem zrobić z nim wywiad. Przyjął mnie z serdecznością, która stanowiła antytezę rozpowszechnionej w kołach artystycznych megalomanii. Zaprosił mnie też na premierę nieznanej zupełnie w Warszawie sztuki Krystyny Winsloe *Dziewczęta w mundurkach,* granej w przekładzie Ireny Grywińskiej, a w reżyserii Zofii Modrzewskiej. Pamiętam doskonale ów wieczór. Na sali było niewiele osób i chłopcy sprzedający programy wydymali z pogardą usta, przyzwyczajeni do świetności innych inauguracji teatralnych. Ale już po pierwszym akcie zainteresowanie ogarnęło nawet najbardziej zblazowanych widzów. Sztuka poruszała niepokojący problem i wskazywała na związki między militarystycznym wychowaniem dziewcząt niemieckich a rozwijającym się instynktem sadyzmu. W głównej roli zabłysnął nikomu dotychczas nie znany talent Jadwigi Andrzejewskiej — było to wielkie odkrycie dokonane przez teatr. Nazajutrz i sztuka, i przedstawienie stały się głośne nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Wszystkie teatry prowincjonalne zapragnęły wystawić *Dziewczęta w mundurkach,* 17-letnia Jadwiga Andrzejewska z dnia na dzień stała się „gwiazdą“. W ten sposób zaznaczył się od razu program artystyczny teatru, którego dyrektorem był Karol Adwentowicz: program odkrywczy. Mając do rozporządzenia bardzo skromne środki materialne, pracując w sali mało efektownej i niewygodnej, nie oglądając się na niczyje względy ani na poparcie możnych, Adwentowicz odkrywał nowe, interesujące sztuki lub w nowym świetle ukazywał utwory zapomniane. Tu właśnie, w 1935 roku, pojawiła się pierwsza sztuka Jerzego Zawieyskiego, *Dyktator on,* śmiała satyra na tyranię i megalomanię faszystowskiego władcy. Pamiętam trudności cenzuralne, jakie musiał wtedy przezwyciężyć teatr Adwentowicza, pamiętam żywą, na wskroś nowoczesną, dynamiczną reżyserię Jerzego Ronarda Bujańskiego; przypominam sobie, że przedstawienie to odkryło nowe talenty aktorskie, np. Saturnina Butkiewicza; i wreszcie nie mogę i nie chcę utracić z oczu wspaniałej maski Karola Adwentowicza, jego przykuwającej osobowości, jego zmysłu satyry i krytyki, jakie zgromadził w roli tytułowej. Adwentowicz jako dyrektor w ciągu całej swej działalności, trwającej do wybuchu drugiej wojny światowej, nie tracił z oka tego ważnego celu, jakim było ożywienie polskiej dramaturgii. Wzruszające były owe próby szukania nowych zjawisk: zwracanie się do prozaików czy pisarzy z prowincji. Powstałe z inicjatywy Boya-Żeleńskiego Towarzystwo „Młody Teatr“, dążące do opieki nad młodymi twórcami — tylko u Adwentowicza znalazło echo i pomoc. Biedniutki teatr zdecydował się wystawić sztukę debiutanta *Głębie na Zimnej,* w której sam Adwentowicz ciepłem swego inteligentnego humoru ożywił jedną z rezonerskich postaci. Równocześnie w tym właśnie teatrze pojawić się mogła sztuka Martin du Garda, wielkiego pisarza francuskiego, niezrozumiana i zlekceważona przez warszawskie koterie. A jeśli czasem, dla przetrwania, Teatr Kameralny wystawiał nawet Bus-Feketego czy Fodora, odpłacał za to z nawiązką przedstawieniami *Hamleta, Mazepy, Małego domku, Sąsiadki, Wroga ludu, Budowniczego Solnessa...*

Druga wojna światowa. Okupacja. Adwentowicz, zagrożony z wielu względów, nie przyjmuje jednak żadnej propozycji współpracy z teatrem okupacyjnym. Woli trud i ryzyko pracy kawiarnianej: w dzień wigilijny 1942 roku, w momencie najpotworniejszego terroru, intonuje hymn narodowy. Jego postawa dobrze jest znana okupantowi, gestapo nie waha się zaaresztować w 1943 r. przeszło 70-letniego wielkiego aktora o sławie, która przekroczyła dawno granice własnego kraju, człowieka nie nazbyt zdrowego, od lat nękanego astmą.

Na szczęście Adwentowicz przetrwał i Pawiak, i najstraszliwszą z wojen. Spotkałem go zimą 1945 roku w Krakowie, tuż przed jego wyjazdem do Katowic, gdzie razem z Wilamem Horzycą zorganizowali znakomity teatr. Nie doceniono ich zasług i pracy, tak że jesienią, po niepełnym sezonie, znalazł się

znów Adwentowicz w Krakowie, w skromniutkiej sali Domu Żołnierza przy ulicy Lubicz. Tu właśnie odbyła się historyczna premiera *Dwóch teatrów* Szaniawskiego z Adwentowiczem w ogromnej i trudnej roli Dyrektora teatru „Małe Zwierciadło". Patentowani znawcy teatru zapowiadali niepowodzenie; tymczasem sztuka Szaniawskiego stała się jednym z największych sukceców lat 1946 — 1949. Przeszła triumfalnie przez bardzo liczne sceny i pochód jej powstrzymany został dopiero w okresie „nadgorliwości". Rola Adwentowicza świeciła przede wszystkim tą właściwością, którą Francuzi nazywają *lucidité*. Każde zdanie było podporządkowane pewnemu celowi, a urzekająca uroda frazy kojarzyła się z jej odkrywczą mądrością.

Na wiosnę 1948 r. wybrałem się wraz z Arturem Marią Swinarskim na dwa przedstawienia do Łodzi. Były to *Igraszki z diabłem* Drdy oraz *Nadzieja* Hijermansa. W *Nadziei* małą, nieomal epizodyczną rólkę rybaka Kubusa grał Adwentowicz. W jego ustach długie opowiadania gawędziarza tak pięknie zostały okraszone uśmiechem, dyskretnym gestem i wspaniałą grą oczu — że słuchało się ich chciwie, jak najbardziej sensacyjnej opowieści.

Pod koniec życia przywracał Karol Adwentowicz świadomości warszawskich widzów piękną postać Horsztyńskiego; w *Lorenzaccio* Musseta rola Filipa Strozziego stawała się rapsodem buntu, rozpaczy i żalu; na próbach *Upiorów* i w czasie przedstawień podziwiałem, jak w ustach Adwentowicza każde zdanie nabierało mądrości, prostoty i piękna.

Przed kilku miesiącami wielki aktor zaproponował mi współpracę nad drugim tomem jego *Pamiętników*, obejmującym okres najnowszy. Ze wzruszeniem i radością przyjąłem tę propozycję. Niestety — nie udało się zrealizować zamiaru. Długa choroba i śmierć Adwentowicza udaremniły wszelkie jego plany. Bogactwo, które nam po nim pozostało, nie da się jednak opisać ani na kilku, ani nawet na kilkudziesięciu kartkach papieru. Papier żółknie i butwieje — ale nie zniszczeje pamięć o człowieku, który w sercach tylu ludzi zaszczepił miłość teatru, przeczucie tragizmu, tęsknotę za jasnością i bujnością myśli.

W. N.

TEATR BURIANA

Latem 1938 roku wybrałem się, pierwszy raz w życiu, do Pragi czeskiej. Słońce świeciło wspaniale owego niespokojnego roku, ukośne jego promienie oświetlały popołudniowe życie nadwełtawskiego miasta. Od jednego z przyjaciół otrzymałem list polecający do prezesa Związku Aktorów Czeskich, dyr. Munclingera. Przyjął mnie bardzo serdecznie i poradził, żebym przede wszystkim obejrzał młody, awangardowy teatr „D.39" Emila Franciszka Buriana („Narodne Divadlo" oraz zespół Voskovec-Werich miały właśnie wakacje).

Teatr Buriana był rzeczywiście awangardowy. Obywał się bez kurtyny i rampy. Aktorzy długim szeregiem wchodzili na scenę z widowni. Odrzucono tu iluzyjność XIX-wiecznego teatru, troskę o stwarzanie złudzenia, iż to, co się dzieje na scenie, jest „prawdziwym życiem". Starano się powrócić do dawnego teatru, który był po trosze obrzędem, a po trosze świadomą zabawą. Chodziło tu o zasadę, że teatr jest teatrem, a więc zjawiskiem rządzącym się własnymi prawami. Naiwność form stawała się świadomym urokiem.

A jednak, jak w każdym prawdziwym teatrze — związki z życiem nie zostały tu odcięte. Działały na bardzo silnej zasadzie, którą można nazwać zasadą teatralnej metafory. Dzięki metaforze — i metaforycznej aluzji — to, co dalekie, stawało się uderzająco bliskie. Gdy bohaterka staroczeskiego misterium *Gra o świętej Dorocie* odrzucała wszelkie kuszące propozycje, groźby i środki presji i trwała niezłomnie przy swej idei, swej wierze — widzowie dosłuchiwali się aluzji do ogromnego naporu, jaki na cały ówczesny świat wywierała hitlerowska Trzecia Rzesza. Aluzyjność i metaforyczność nie tylko nie osłabiały wrażenia, ale je nawet potęgowały; widz teatralny dokonywał tu odkrycia, że pewne określone prawa działają stale w określonych warunkach. Podobnie było i ze sprawami formy. Unikano, zgodnie z zasadami dawnego teatru ludowego — wszelkiej naturalistycznej dosłowności. Zastępowano ją znakiem, symbolem, aluzją. Dzięki temu możliwa była na scenie — poetycka interpretacja momentu egzekucji. Kat wykonywał taniec z mieczami nad głową niezłomnej Doroty Męczennicy, a bohaterka opuszczała głowę na piersi, w jednym skrótowym geście.

Świętą Dorotę grała aktorka, której nazwisko utkwiło mi w pamięci: Strańska. Wydaje mi się, że oryginalnością teatru Buriana było zawsze — połączenie awangardowych pomysłów inscenizacyjnych z siłą interpretacji aktorskiej. Strańska grała także główną rolę kobiecą w staromorawskim intermezzo farsowym, odtworzonym z bajeczną wprost żywiołowością, temperamentem, dynamizmem i wesołością. Ona też uczestniczyła w końcowej facecji *Bachus*, zaczerpniętej ze skarbca ludowej dramaturgii słowackiej. Trzy różne role, a jakież za każdym razem, niemal idealne, poczucie stylu, intonacji i gestu!

Tak się złożyło, iż podczas wojny poznałem jednego z młodych aktorów teatru Buriana, Polaka ze Śląska Cieszyńskiego, którego okupacja zawiodła do Krakowa i Warszawy. Lecz dopiero w roku 1945 dowiedziałem się, z korespondencji Artura Marii Swinarskiego, że Emil Burian spędził niemal całą wojnę w obozach koncentracyjnych. Że cudem uniknął śmierci, przepływając w ostatnich dniach wojny rzekę, oddzielającą go od wojsk alianckich. Że wrócił do Pragi i jako jeden z pierwszych swych spektakli dał *Romea i Julię*, przedstawienie zainscenizowane jako sen więźnia obozu hitlerowskiego.

W roku 1947 zachwycił się teatrem „D.48" Julian Przyboś i zamieścił opis swych wrażeń w redagowanych przeze mnie, Wiesława Goreckiego i Władysława Dobrowolskiego *Listach z Teatru*. W tym też czasie nawiązał Burian przyjaźń z Leonem Schillerem.

Niedawno teatr Buriana przybył do Polski i dał kilka przedstawień bardzo różnych. Emil Franciszek Burian jest indywidualnością bogatą i ambitną. Wychowany w rodzinie muzyków, aktorów i śpiewaków, syn artysty operowego, interesuje się wszelkimi dziedzinami artystycznej twórczości. Jest nie tylko aktorem, reżyserem i kierownikiem teatru, ale i poetą, rysownikiem, nowelistą, kompozytorem, autorem dramatycznym, publicystą. Pisze z dużą łatwością, z gorączkowym pośpiechem. W jednym z literackich pism czeskich przeczytałem w roku 1948 anegdotę następującą:

„Przyjaciele namawiają Buriana, by w niedzielę wybrał się z nimi na weekend. »Nie mogę« — odpowiada kierownik teatru »D.39«. — »Muszę napisać przez niedzielę nową sztukę.« »Dobrze« — odpowiadają mu. — »Ale co ty będziesz robił po południu?«"

Gorączkową aktywność rozwijał też Burian jako kierownik swego teatru. Nie zadowalając się stylizowanymi widowiskami ludowymi, w których osiągnął chyba napełniejszą swą miarę, inscenizował i sztuki klasyczne czy nawet pisane w duchu realizmu socjalistycznego (jak *Brygada szlifierza Karhana*). Będąc zdania, że dramaturgia nie zawsze nadąża za śmiałością poszukiwań współczesnego teatru — próbował adaptacji nowel i poematów. W swym teatrze nie tylko organizował poetyckie poranki, ale i wystawy obrazów oraz koncerty. Przez jakiś czas włączono awangardowy teatr Buriana w organizacyjne ramy sceny wojskowej. Obecnie odzyskał Burian autonomię, pozwalającą nawiązywać do najświetniejszych lat młodości rewolucyjnej. Zdaje się, że oznaką pewnej stabilizacji jest zmiana nazwy teatru. Dawniej była ona „ruchoma" i związana z rokiem, który dopiero ma nadejść: na przykład w roku 1938 teatr ten nazywał się „Divadlo 1939", w roku 1945 — „Divadlo 1946". Było to zapewne wyznaniem wiary w awangardowość, rozumianą jako wybieganie ku przyszłości. Obecnie „D.39" pozostał w swej nazwie przy roku, który mu służył za godło w momencie narodzin.

Jednym z najbardziej interesujących spektakli teatru Buriana jest *Opera za trzy grosze*. Zrozumiałe, że antyiluzyjny teatr Bertolta Brechta, teatr ironiczno-epicki, krytyczny i zarazem dynamiczny — odpowiada zarówno teorii, jak i praktyce zespołu „D.39". Wydaje się, że tylko jeden ważny element teatru Brechtowskiego — gryzący, przenikający do głębi i w naszym pojęciu najgłębiej humanistyczny pesymizm — jest Burianowi obcy. Dokonane przez czeskiego artystę zmiany w tekście służą, ze zmiennym zresztą szczęściem, temu założeniu. Gdy sytuacja staje się zbyt groźna i ciąży ku melodramatowi, tragizmowi czy tragicznemu absurdowi — wkracza w czeskiej inscenizacji postać ze swoistej *commedia dell'arte*, inspicjent widowiska, spędza aktorów ze sceny i daje hasło do przestawienia dekoracji. Podobnie i w zakończeniu, tuż przed egzekucją, buntują się aktorzy, ocalają w ten sposób życie bohaterowi i pozwalają mu się ustatkować — przez wybór towarzyszki, należącej do najpotężniejszej rodziny tego krytycznie ocenionego świata: Polly, nieodrodnej w gruncie rzeczy córki króla żebraków, przedsiębiorcy wspaniale organizujące-

go ludzką nędzę, żerującego na niej z siłą drapieżną i nieubłaganą.

Nie wszystko w tym widowisku wydało mi się elementem najczystszej próby. Ale nie podobna zapomnieć o pięknej teatralnie i malarsko scenie organizowanego na naszych oczach pochodu żebraków. A także o grze jednej z aktorek tego przedstawienia, Zuzanny Kočovej, jako pani Peachum, niesamowitej w mimice, w prężnym i swoiście harmonijnym geście, w konsekwentnie doprowadzonym do końca założeniu aktorskim, na pozór ryzykownym, a nawet karkołomnym. Ta rola przypomniała mi dawną obserwację, że zespół Buriana jest także teatrem ciekawych aktorskich indywidualności. Nie zawsze to rozumieli niektórzy powierzchowni i płytcy obserwatorzy na warszawskiej widowni; oceniali oni spektakle Buriana bez zrozumienia i wyczucia tego, co stanowi właściwy urok tego awangardowego eksperymentu. Być może, iż Czesi rozporządzają dziś nowocześniejszymi jeszcze i bardziej efektownymi zespołami: np. praskie Teatry Miejskie (Kameralny i Komedia) czy teatr w Pilźnie. Ale teatr Buriana wzrusza i zaciekawia wiernością dla swych założeń, artystyczną logiką i konsekwencją.

W. N.

FILOZOFICZNY NUMER „ZNAKU"

Miesięcznik *Znak*, żywo i ciekawie redagowany przez Jacka Woźniakowskiego, poświęcił czerwcowy numer (48) „Filozofii dzisiaj". Zawartość zeszytu stanowią stenogramy wykładów (oraz sprawozdania z dyskusji), wygłoszonych podczas „Tygodnia Filozoficznego", zorganizowanego przez Koło Filozoficzne Studentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Autorami referatów są: Stefan Świeżawski *(Rola filozofii w poglądzie na świat)*, o. Albert Krąpiec *(Neotomizm)*, Antoni Stępień *(Fenomenologia)*, Leon Koj *(Neopozytywizm)*, ks. Stanisław Kamiński *(Filozofia analityczna)*, Adam Stanowski *(Egzystencjalizm)* i o. Albert Krąpiec *(Ogólna sytuacja w filozofii — sens jej uprawiania)*. Poszczególne referaty są krótkie — przeciętnie po 10 stron — i przystępnie zredagowane, w pełni zrozumiałe nawet dla czytelnika mało wprowadzonego w zagadnienia filozofii najnowszej. Powiedzmy zaś otwarcie, że choć wiele się u nas mówi i pisze o neopozytywizmie czy egzystencjalizmie, wiadomości na te tematy, jakie posiada przeciętny student humanistyki (nie mówiąc już o innych kierunkach) czy przeciętny tzw. kulturalny czytelnik, są, łagodnie mówiąc, bardzo skąpe. Skromne rozmiary zamieszczonych w *Znaku* artykułów pociągają za sobą niejedno uproszczenie i niesłuszne pominięcie — ale zawarto tutaj wiele cennego i rzetelnie podanego materiału, który może służyć czytelnikom jako cenna informacja podstawowa.

Referaty pisane są różnymi metodami i budzić mogą rozmaite zastrzeżenia: rzecz o neotomizmie jest właściwie rozważaniem z historii filozofii, a przy rozpatrywaniu filozofii analitycznej więcej uwagi poświęcić należało nie samej metodzie (którą słusznie określono jako nesprecyzowaną i trudno uchwytną), ale otrzymywanym typowym wynikom. Pochwalić trzeba w każdym razie sam dobór omawianych kierunków, obejmujący w zasadzie to wszystko (z wyjątkiem marksizmu), co żywe i twórcze w europejskiej filozofii współczesnej, a pomijający zarówno rozmaite zabytkowe formy idealizmu (których znajomość potrzebna jest tylko inwentaryzatorom), jak i kierunki najnowsze, mniej spopularyzowane i dostępne raczej tylko dla fachowców (np. empiryzm logiczny).

Nie tylko informacyjną rolę mają pełnić te materiały — mogą one służyć (mam na myśli głównie bardzo żywo napisany wykład *Egzystencjalizm)* jako punkt wyjścia dla własnych rozważań i medytacji. Nie na darmo słowo wstępne do czytelników kończy Redakcja zdaniem: „Tym wszystkim zaś, którzy na widok spisu treści westchną i pomyślą: »gdzie ja mam głowę do tego?« — mielibyśmy ochotę odpowiedzieć tytułem jednego z odczytów Witkacego o filozofii: »spróbuj raz, koteczku«". Zważywszy, że *Znak* ma 7000 nakładu, i przyjąwszy, że choć połowa „koteczków" istotnie „spróbuje" — należy upowszechniającej kulturę filozoficzną inicjatywie Redakcji gorąco przyklasnąć. A może i inne ośrodki akademickie w Polsce pójdą w ślady Koła Filozoficznego Studentów KUL-u?

zn

„ŻYCIE I MYŚL"

Dwa tegoroczne numery podwójne miesięcznika czy też dwumiesięcznika wydawanego przez „Pax" pt. *Życie i Myśl* nie są najlepszym świadectwem prężności intelektualnej środowiska katolickiego. Wydaje się, że istniejący od dawna *Znak* i świeżo powstała, doskonała zresztą, *Więź* pochłaniają wszystkie jego możliwości i że nie stać go po prostu (intelektualnie oczywiście, a nie finansowo, gdzieżby tam!) na trzecie pismo literackie na poziomie. W każdym razie jeśli *Życie i Myśl* było rzeczywiście kiedyś dobrym pismem, jak twierdzą poniektórzy, to ostatnio bardzo, ale to bardzo podupadło. Wprost wierzyć się nie chce, że to nudne, pretensjonalne, akademickie pismo (akademickie na poziomie Mszczonowa) redaguje czupurny ongiś, bystry i inteligentny Zygmunt Lichniak. Cóż, *tempora mutantur*...

Pierwszy z omawianych numerów, poza dramatem Pietrzaka o wartości raczej sentymentalno-archiwalnej niż literackiej i wierszami Brandstaettera, którego produkcji starczy zawsze na zapełnienie wszystkich pism wychodzących w tym kraju, przynosi na honorowym miejscu dwa obszerne studia. Pierwsze z nich, pióra Wł. Jerzego Kasińskiego, poświęcone jest Baudelaire'owi. Nie jest ono specjalnie odkrywcze, usiłuje bowiem raz jeszcze spreparować nam Baudelaire'a w katolickim sosie. Wiecie, że to niby w bluźnierstwie nawet... itd. Znamy, znamy! Zabieg, dość nieudolnie przeprowadzony, nie bardzo się autorowi udaje, ale przyznać trzeba, że lepsi majstrowie łamali sobie na tym zęby. Choć Kasiński, dla udowodnienia swej tezy, nie waha się przed lekkimi retuszami tekstów Baudelaire'a. I tak na stronie 50 czytamy: „Kluczem do zrozumienia istoty i źródła tej choroby duszy jest mały poemat prozą pt. *Obcy*" — po czym należałoby się spodziewać, że znajdziemy ów „klucz" w całości zacytowany. A tu niespodzianka! W tym, krótkim w istocie, wszystkim dobrze znanym poemacie brak trzech i pół zdania. Te trzy opuszczone służą (wypróbowanym sposobem) do usprawiedliwienia jednej ważnej połówki zdania. Poeta pyta cudzoziemca, pamiętacie, czy kocha złoto, na co ów odpowiada: „Nienawidzę go, jak ty nienawidzisz Boga". Kasiński zaś woli, dyskretniej i dobitniej: „Nienawidzę go...". Sprytne, co? No, ale to drobiazg, nie ma się co nad tym dłużej zatrzymywać, jak powiedzieliśmy, zadanie miał ciężkie, bądźmy wyrozumiali. Zresztą szkic o Baudelairze w porównaniu z rozprawą prof. Kaliksta Morawskiego, z którą sąsiaduje, jest jeszcze skarbnicą ścisłej i rzetelnej, choć może niezbyt wysoko polatującej, wiedzy o przedmiocie.

To, co się dzieje bowiem w przeszło osiemdziesięciostronicowym studium prof. Morawskiego, zatytułowanym *Rzut oka na współczesną literaturę francuską*, przechodzi wszelkie pojęcie. Jest to, jak wynika z poprzedzającej artykuł „glosy redakcyjnej", pierwsza z zaplanowanego szeregu „informacyjnych syntez, które wzbogaciłyby i usystematyzowały — pełną luk i chaosu — wiedzę o literaturze współczesnej poza granicami naszego kraju. Te syntetyczne szkice, choć narażają się na niebezpieczeństwo ryzykownych uogólnień czy pośpiesznych analiz, mają jednak do spełnienia ważną, a zaniedbywaną u nas funkcję informatora o życiu literatur obcych".

Obawiam się, że zmartwię redakcję *Życia i Myśli*, ale prof. Kalikst Morawski zawiódł pokładane w nim nadzieje. Jeśli chaotyczną i pełną luk nazwać można wiedzę czytelników, to jakimże dopiero przymiotnikiem opatrzyć „syntezę" proponowaną przez prof. Morawskiego? Praca ta bowiem bije wszelkie rekordy. Trudno na osiemdziesięciu stronach — nie mówiąc n i c — powiedzieć więcej głupstw i wprowadzić większy zamęt w umysły.

Cytować chciałoby się całymi stronicami, niestety brak miejsca. Więc ograniczę się tylko do paru rzeczy. Metoda krytyczna prof. Morawskiego sprowadza się do rozwlekłego streszczania książek, które przeczytał (sześć bitych stron poświęca powojennym książkom Jules Romainsa!), oraz do załatwiania paroma nic nie mówiącymi ogólnikami książek, których nie przeczytał. I tak, dla przykładu: „W *Drôle de jeu* autor pokazuje tragiczne skutki bezideowości intelektualisty, który zapełnia pustkę życiową brutalnością i pogonią za chwilowymi korzyściami". Zapewniam pana, panie

profesorze, że w tej powieści Vaillanda, której pan nie czytał (a szkoda, bo jest lepsza od wszystkich powojennych książek Romainsa razem wziętych), chodzi zupełnie o co innego. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan spyta swoich studentów, każdy z nich na pewno czytał *Dziwną zabawę* i może panu to samo powiedzieć.

Ale prof. Morawski nie ogranicza się do streszczeń. Jest i synteza. Jeśli chodzi np. o Camusa: „Wartość dzieła Camusa polega głównie na tym, że odtwarza on problemy gnębiące współczesną ludzkość: rozdarcie, niepewność, zrywy bohaterstwa, po których następuje pogrążenie się w błocie. Nie mniejszym sekretem powodzenia Camusa jest wysoka forma artystyczna jego dzieł...". Przynajmniej zwięźle i lapidarnie.

Informacje, choć równie lapidarne, równie są ścisłe. Blaise Cendrars, według opinii profesora, „stosunkowo niewiele nowego wniósł w literaturę powojenną". Rzeczywiście, stosunkowo niewiele, bo tylko trzy najlepsze swoje książki: *Bourlinguer, L'homme foudroyé, La main coupée.*

W rozdziale *Niezależni pisarze średniego pokolenia* umieścił prof. Morawski czterech pisarzy, których nie mógł uplasować w szufladkach takich, jak *Nadrealizm i unanimizm, Egzystencjalizm, Literatura katolicka* czy *Pisarze komuniści.* Są to: Anouilh, Pagnol, Salacrou... i Malraux. Dlaczego Malraux, pytacie? Ja też nie wiem, chyba w ramach systematyzacji. A jak zręcznie przechodzi profesor od Anouilha do Malraux. Słuchajcie tylko: „Podobnie jak Anouilh, wielki rozgłos zdobył sobie także André Malraux". Na tej klasyfikacyjnej zasadzie rozgłosu można zestawić Sidłę z Parandowskim i też będzie dobrze.

I tak jest na każdym kroku. Można by przynajmniej myśleć, że już co jak co, ale literatura katolicka jest z kompetencją opracowana. Gdzieżby tam! Gilbertowi Cesbron raczył profesor poświęcić akurat cztery razy tyle miejsca, co... Bernanosowi, Maxence van der Meerscha omawia się na przeszło pół stronicy, gdy Julien Green, najwybitniejszy chyba żyjący pisarz katolicki we Francji, zasługuje zaledwie na parolinijkową wzmiankę.

Rozdział *Talenty najnowsze* nie jest, jak można by sądzić, pobieżnym choćby przeglądem tego, co się we Francji obecnie nowego wykluwa w poezji, dramacie czy powieści, ale przeglądem nagród literackich za ostatnich parę lat (Goncourt, Renaudot, Femina, nawet Interallié) oraz tzw. *fourre-tout,* workiem, do którego się pcha to wszystko, co nie zmieściło się gdzie indziej. Jest tam i Saganka, i Minou Drouet (a jakże!), Renée Massip (?), Lia Lacombe (?), Christiane de Rivoire (tęga snadź pisarka, skoro profesor poświęca jej dwa razy więcej miejsca niż Giono), jest André Chamson i Pierre Gascar, z których profesor niefrasobliwie czyni rówieśników, jest Marcelle Auclair, Philippe Hériat, a pomiędzy tymi ostatnimi Saint-John Perse, któremu profesor poświęca jedno zdanie: „Poeta Saint-John Perse należy do przedwojennej generacji, stojącej między nadrealizmem a rzeczywistością". Niewiele, ale za to precyzyjnie. Jest także, zaraz na następnej stronie, takie zdanie: „Do wybitnych zjawisk literackich należy zaliczyć Vercorsa, z młodszych ostatnio wyróżnia się Michel Butor". W osiemdziesięciostronicowym szkicu o współczesnej literaturze francuskiej ani jedno, ani drugie nazwisko więcej się już nie pojawia. A to zestawienie Vercors—Butor? Co? Niezłe! Oczywiście nazwisk takich pisarzy, jak Queneau, Guilloux czy Beckett, Ionesco, Robbe-Grillet, Nathalie Sarraute, profesor nawet nie wspomina. Cóż od niego żądać, skoro nie słyszał o pisarzu nazwiskiem Jean Genet, a jedynie z pilnego studiowania bibliografii Sartre'a wnioskuje, że powinien istnieć jakiś „mało znany pisarz Saint-Genet".

Starczy. Co najdziwniejsze, to fakt, że ów zdumiewający elaborat upstrzony jest ni mniej ni więcej tylko 105 odsyłaczami do przeróżnych artykułów, recenzji, opracowań itd. z nieodzownym brewiarzem Albérèsa włącznie. (Czy zauważyliście, że wszystkie ślady bredni w tej dziedzinie zawsze jakoś prowadzą do Albérèsa? Ciekawe.) Tyle więc trudu poszło na marne. Tyle się biedny profesor naczytał i nic. Całą książkę Bosqueta o Saint-John Persie (odsyłacz 102) przeczytał, żeby dojść do swojej lapidarnej formuły, i nic, żadnej wdzięczności u ludzi. A zdawałoby się, że kompilatorstwo jest takie łatwe. Nieprawda! To wielka, nie doceniana sztuka.

*

Drugi numer podwójny nie nastręcza już takich powodów do radości, ale też i niewiele daje powodów do zainteresowania. Poza wspomnieniem Salińskiego o Gałczyńskim, Kazantzakisem i zabawnym, odnalezionym niedawno, felietonem Hollendera, niewiele w nim można przeczytać. Choć i owszem, byłbym zapomniał o wspomnieniach J. M. Rytarda z okresu *Pikadora* i *Skamandra*. Pożyteczna lektura, prostująca parę uporczywie pokutujących po wszystkich podręcznikach historii literatury błędów. Bardzo radzę przeczytać. A są i zwierzenia intymne: „...Nieraz bywałem trapiony w tamtym chmurnym okresie obsesją o posmaku bardzo gorzkiej metafizyki. Logik i zarazem formista — Leon Chwistek, w przeciwieństwie do Witkacego, doszukał się później we mnie po prostu pewnych skłonności filozoficznych, o czym wspomnę jeszcze".

Sądząc z rozdziału wspomnień wydrukowanego w *Życiu i Myśli* skłonny byłbym sądzić, że sprawa sporu Witkacy — Chwistek nie jest jeszcze całkowicie przesądzona na korzyść Chwistka.

jl

„NADJA" CZYLI WOLNOŚĆ

André Breton lekceważył ludzi, którzy mają czas na pisanie „czegoś takiego, jak książki". Pogardzał — jak wszyscy nadrealiści — literaturą, sztuką, które byłyby tylko tworzeniem pięknych przedmiotów. Już Lèger twierdził, że piękno winno być „kulawe", Breton głosił, że „piękno będzie konwulsywne albo go nie będzie". Czy i gdzie znika sprzeczność między sztuką a życiem? Kiedy książka przestaje być „literaturą", życie zaś — trwaniem pozbawionym znaczenia, które nadaje mu dopiero myśl, kultura? Kiedy łączą się w nierozerwalną jedność? Nigdy, zapewne; ale istnieje poszukiwanie: „pogoń, za czym, nie wiem, ale pogoń na pewno". Za wolnością, miłością, tajemnicą? Za odpowiedzią na pytanie: „kim jestem"? Tak się właśnie zaczyna *Nadja* Bretona. Jest to może najpiękniejsza książka papieża surrealizmu: powstała przed trzydziestu laty, w 1928. *Nadja* nie jest ani spowiedzią, ani manifestem literackim. Jest jednym i drugim, podobnie jak apologią nadrealności i opowieścią miłosną. Nadrealiści chcieli utożsamić życie ze sztuką. Utożsamili jednak tylko poezję z prozą, lirykę z filozofowaniem, pamiętnik z wykładem estetyki. Dążąc do jedności twórcy i dzieła, zjednoczyli w istocie literackie rodzaje. *Nadja* jest — prawdziwym „kęsem życia", ale wewnętrznego; zwierciadłem, przechadzającym się po gościńcu duszy. Nie ma zamkniętej budowy: rozwija się wraz z życiem człowieka, który opowiada. Ale trudno zaprzeczyć, że i to życie jest skomponowane.

Breton opowiada o sobie — i o nadrealizmie: o miejscach i przypadkach szczególnych, jakie spotkał albo jakie go spotkały. Łowi logikę nieracjonalnego, odcyfrowuje sens przypadku: to, co w ludzkim życiu jest cudownie niewytłumaczalne — nawet psychoanalizą, w której przecież celuje. Opisuje niezwykłość codzienności, blask brzydoty, tajemnice (które nie są tajemnicami, przynajmniej dla czytelników powieści kryminalnych) paryskich uliczek i pasaży. W *Chłopie z Paryża* Aragon rozświetlił pozją banalną szarość miejskich spacerów. Breton jest mniej poetą, bardziej teoretykiem: szuka nad-realności, nad-logiki, nad-codzienności. I tak — nieustannie — składa apologetykę swego kierunku.

Breton relacjonuje kilkanaście mniej lub więcej dziwnych wydarzeń, miejsc, spotkań. Będą one jednak tylko przeczuciem. Bo oto spotyka kobietę, która jest samą wolnością. Nadja nie widzi — w najdosłowniejszym znaczeniu — spraw, które się jej nie podobają; zgaduje ludzkie myśli i może opętać przypadkowego przechodnia tak, iż ten zachowuje się jak lunatyk; żyje w świecie symboli, nadając nieustannie nowe znaczenia przedmiotom, na jakie natrafia. Nadja jest nadrealistką w stanie dzikim; Breton — skrupulatnym teoretykiem. Rodzi się osobliwa miłość, bardzo literacka i bardzo naturalna. „Kim byliśmy w obliczu rzeczywistości, tej rzeczywistości, o której teraz wiem, że leżała u stóp Nadii jak przewrotny pies? Pod jakim znajdowaliśmy się równo-

leżnikiem, wydani na łup wściekłości symboli, opętani przez demona analogii...?“ Nadja uważa Bretona za kogoś, kto ma nad nią absolutną władzę, za boga słońca; kiedy indziej objawia się jej „czarny i zimny, jak rażony piorunem u stóp Sfinksa“. Dziewczyna nie ma żadnego wykształcenia; niedawno przyjechała z prowincji; żyje jak we śnie, z przypadkowych darów lub dorywczej prostytucji. Jest kimś, dla kogo wszystko jest nowe; istotą bez zobowiązań i uwarunkowań.

Nadja stała u wrót obłędu. A jednak — czy to istotne? Nadja była nadrealizmem w działaniu i wiadomo, że Breton i jego przyjaciele nikogo nie nienawidzili więcej niż psychiatrów. Myślę wszakże, że *Nadja* jest czymś więcej niż dokumentem epoki i ilustracją kierunku. To poetyckie marzenie o miłości poza losem społecznym, gdzie każdy krok byłby nowością i zaskoczeniem. Breton nieraz podkreśla, jak trudno było mu się z Nadją porozumieć. Przytacza jej rysunki, powiedzenia. Ta miłość była tyle pożądana, ile niemożliwa. Była — mimo wszystko — literaturą. Tym bardziej wzrusza wyznanie innego uczucia, które kończy książkę; wyznanie, zwrócone do kobiety, która nie jest tajemnicą, ale istnieniem, nie wolnością, ale koniecznością życia. Nie wahałbym się powiedzieć, że *Nadja* jest dla mnie jedną z najpiękniejszych opowieści miłosnych, jakie znam w literaturze XX wieku.

jb

NIEIDEALNY CZYTELNIK

Umiejętność czytania poezji powinna być zaliczona do sztuk pięknych. Może jeszcze wyżej? Jest bowiem rzeczą bardzo rzadką. Rzadszą np. niż układanie wierszy. Ilu znam sam układaczy wierszy, którzy nie potrafią odczytać oczywistej poezji! Dziwiło mnie zawsze ubieganie się poetów o wysokie nakłady. Czyżby spodziewali się, myślę wciąż, spotkać owe dwa, trzy czy nawet siedem tysięcy czytelników? Niechby stu znaleźli. Stu prawdziwie umiejętnych, takich, którzy zatrzymają się przy każdym słowie i każdy obraz, każdą aluzję, każdą wieloznaczność zauważą, przenikną i zrozumieją.

Ale każdy poeta ma swojego czytelnika, swojego idealnego czytelnika. Takiego, który najmniejszą nawet kropeczkę nad i zauważy. Dla niego właśnie wznosi układy obrazowe, dla niego niuansuje słowa i każdemu odcieniowi dodaje maleńkie słońce. Idealny czytelnik to wszystko dostrzeże. Czy on aby istnieje? Oczywiście, nie może nie istnieć ktoś, dla kogo taki ogromny trud się ponosi. Gdyby go nawet nie było, to ten trud go stworzy. Idealny czytelnik istnieje, choć nie daje o sobie znaku życia. Na niego poeta może liczyć. I liczy.

Szczególnie wtedy liczy, tym bardziej wtedy, kiedy jego poezję, jego delikatną robotę połamią niewrażliwe, grube ręce. Któż z poetów nie odczuł ich dotknięcia? Oczywiście pisząc we własnym imieniu, o własnym doświadczeniu myślę. Oto ono:

Omawiając w czerwcowym numerze *Twórczości* mój przekład *Demona*, czytelnik, bardzo nieidealny, tak pisze:

„Zdarzają się... np. amplifikacje lub wprowadzenie deminutiwów (liczba mnoga — mój przyp.) tam, gdzie nie ma ich w oryginale, co odbiera wierszowi uroczysty, epicki ton. Na przykład:

...w których jak gwiazdy lśnią kamyczki.
I krzewy róż, raj zieloności,
Gdzie słowik sławi czar samiczki...

Nie chodzi mi o ocenę. O odczytanie mi chodzi. Przecież oryginał przekładu brzmi inaczej:

Gdzie słowik sławi czar słowiczki...

Pomijając urodę językową, słowiczka nie jest deminutiwem. Niewrażliwy czytelnik nie tylko nie dostrzegł czytanego utworu, ale włożył weń własny, nachalny, jakżeż banalny sens. Dobudował nawet teoryjkę o deminutiwach. A wszystko zamiast odczytać. Nie dziwota, odczytać poezję to sztuka, to jedna ze sztuk pięknych.

I jak tu nie liczyć na czytelnika idealnego?

zb

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Berent Wacław — *DZIEŁA WYBRANE. Diogenes w kontuszu.* Opowieści biograficzne. Tłoczenia na oprawę projektował Jan. S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 181, 3 nl.

Dygasiński Adolf — *Gody życia.* Opowieść. Ilustracje i obwoluta: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 151, 1 nl.

Kniaźnin Franciszek Dionizy — *Utwory dramatyczne.* Wybór. Opracował Augustyn Jendrysik. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytuł Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 308, 4 nl.

Korzeniowski Józef — *Kollokacja.* Opracował i wstępem opatrzył Stefan Kawyn. Wydanie trzecie. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 28). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958; str. CLXXXII, 294, 4 nl.

Krasicki Ignacy — *Myszeidos.* Pieśni X. Wydanie drugie poprawione. Opracował Mieczysław Klimowicz. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. (Nasza Biblioteka). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie II; str. 93, 3 nl.

— *Satyry i listy.* Opracował Zbigniew Goliński. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 169). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. C. XIV, 2 nl, 175, 1 nl.

Malczewski Antoni — *Maria.* Opracował Ryszard Przybylski. Wydanie III zmienione. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 46). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie III; str. C XXVIII, 2 nl, 108, 2 nl.

Narzymski Józef — *Ojczym.* Opracował Zbigniew Żanicki. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 168). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. CXLIV, 319, 1 nl.

Oppman Artur (Or-Ot) — *Wiersze wybrane.* Wyboru dokonała Maria Skalska. Wstęp Pawła Hertza. Ilustrowała Janina Konarska. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 252, 4 nl.

Prus Bolesław — *Kroniki.* Tom siódmy. Opracował Zygmunt Szweykowski. Teksty kronik kolacjonowali i przygotowali do druku: Tomasz Jodełka i Danuta Stępniewska. Indeksy zestawiła Lucyna Michalska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 663, 1 nl.

Reymont Władysław St. — *Nowele wybrane.* Posłowie Aliny Brodzkiej. Przypisy Ireny Orlewiczowej. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. (Biblioka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 235, 5 nl.

Wasylewski Stanisław — *Ducissa Cunegundis.* Obwolutę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 193, 3 nl.

— *U Księżnej Pani.* Obwolutę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 217, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Apulejusz — *Metamorfozy albo złoty osioł.* Przełożył Edwin Jędrkiewicz. Przypisy według wydania Biblioteki Narodowej w opracowaniu Tadeusza Sinki. Ossolineum r. 1953. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie II; str. 277, 3 nl.

Balzac Honoriusz — *KOMEDIA LUDZKA.* VI. Studia obyczajowe. Sceny z życia prywatnego. *Pułkownik Chabert. Msza Ateusza. Kuratela. Kontrakt ślub-*

ny. Drugie studium kobiety. Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 366, 2 nl.

Conan Doyle Artur — *Pies Baskerville'ów.* Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. (Klub Srebrnego Klucza). Warszawa, „Iskry", 1958; str. 236, 4 nl.

Dostojewski Fiodor — *Biesy.* Powieść w trzech częściach. Tłumaczył Tadeusz Zagórski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 658, 2 nl.

Grimmelshausen H. J. Chr., von — *Przygody Simplicissimusa.* Przełożyła Anna Maria Linke. Wiersze przełożyła Jadwiga Dackiewicz. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 656, 4 nl.

Hebbel Fryderyk Chrystian — *Dzienniki.* Wyboru dokonał i przełożył Karol Irzykowski. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. (Biblioteka „Symposion"). Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 201, 3 nl.

La Fontaine Jean, de — *Bajki.* Wybór. Z ilustracjami Grandville'a. W dawnych przekładach: Franciszka Kniaźnina, Adama Mickiewicza, Juliana Ursyna Niemcewicza, Władysława Noskowskiego, Stanisława Trembeckiego. W nowych przekładach: Jadwigi Dackiewicz Stanisława Komara, Feliksa Konopki, Włodzimierza Lewika, Juliana Rogozińskiego, Leopolda Staffa. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Rachmiel Brandwajn. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie II; str. 379, 1 nl.

Leonardo da Vinci — *Pisma wybrane.* Wybrał, przełożył i wstępem opatrzył Leopold Staff. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. (Biblioteka „Symposion"). Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 333, 3 nl.

Perec Icchok Lejb — *Wybór opowiadań.* Przełożyła i przypisy opracowała Anna Dresnerowa. Wstęp napisał Bernerd Mark. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 114). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. XC, 364, 2 nl.

Proust Marcel — *W poszukiwaniu straconego czasu.* IV. *Sodoma i Gomora.* Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 622, 6 nl.

Racine Jean — *TRAGEDIE. Berenika. Ifigenia. Fedra. Brytannik.* Wstępem opatrzył Mieczysław Brahmer. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 248, 4 nl.

Sofokles — *Antygona.* Wydanie drugie poprawione. Przełożył i opracował Mieczysław Brożek. Okładkę projektował Stanisław Andrzej Cyrano. Kartę tytułową: Zofia Czerwińska. (Nasza Biblioteka). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie II; str. 107, 1 nl.

Spowiedź Archipoety. Przełożyła i opracowała Hanna Malewska. Ilustrował Henryk Grunwald. Okładkę i stronę tytułową projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 49, 3 nl.

Szekspir William — *Burza.* Przełożył Władysław Tarnawski. Opracował Stanisław Helsztyński. Wydanie trzecie zmienione. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 12). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958; str. LXIV, 139, 5 nl.

Zola Emil — *ROUGON-MACQUARTOWIE. Kartka miłości.* Przełożyli: Katarzyna Witwicka i Leszek Koyorć. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 290, 2 nl.

Poezja

Czachorowski Stanisław — *Echo przez siebie.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 88, 4 nl.

Harasymowicz Jerzy — *Przejęcie kopii.* Projekt obwoluty i fotogramy Marka Piaseckiego. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 81, 3 nl.

Imiona niepokoju. Opracowanie graficzne: Jan Kuglin. Rysunki: Stanisław Dawski. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958; str. 77, 3 nl.

Nowak Tadeusz — *Ślepe koła wyobraźni.* Okładkę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 50, 2 nl.

Od Kochanowskiego do Staffa. Antologia liryki polskiej. Ułożył Wacław Borowy. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie III; str. 426, 2 nl.

Paczkowski Jerzy — *Poezje i satyry.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 122, 2 nl.

Preger Janina — *Pożegnanie młodości.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 123, 1 nl.

Słucki Arnold — *Dzwony nad Wisłą.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 111, 1 nl.

Tuwim Julian — *DZIEŁA.* Tom III. *Jarmark rymów.* Opracował Janusz Stradecki. Przypisy: Witold Giełżycki i Janusz Stradecki. Opracowanie graficzne: Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 665, 3 nl.

Wołoszynowski Julian — *Wiersze wybrane.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 219, 1 nl.

Proza

Apollinaire Guillaume — *Heretyk i S-ka.* Przełożył Adam Ważyk. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 205, 3 nl.

Bazin Hervé — *Kogo śmiem kochać.* Tłumaczyła Magdalena Metanowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 248, 4 nl.

Boguszewska Helena — *Całe życie Sabiny.* Wydanie IV. Obwolutę i kartę tytułową projektował Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 219, 5 nl.

Boniecka Maria — *Księga miłości i cierpienia.* Okładkę projektowała B. Kusak-Pawlikowska. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 168, 4 nl.

Buck Pearl S. — Część pierwsza. *Ziemia błogosławiona.* Część druga. *Synowie.* Część trzecia. *Ludzie w rozterce.* Część I i II. Przekład poprawił i uzupełnił Aleksander Bogdański. Część III. Przełożyła Ludwika Ciechanowiecka. Przekład poprawił i uzupełnił Aleksander Bogdański. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; część I str. 342, 2 nl; część II str. 429, 3 nl; część III str. 405, 3 nl.

Dobraczyński Jan — *A znak nie będzie mu dany.* Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie II; str. 372, 4 nl.

Dygat Stanisław — *Podróż.* Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 316, 4 nl.

— *Różowy kajecik.* Rysunki Henryka Tomaszewskiego. Obwoluta i karta tytułowa Henryka Tomaszewskiego. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 189, 3 nl.

Farjeon J. Jefferson — *Nr 17.* Tłumaczyła Joanna Gorczycka. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 222, 2 nl.

Feuchtwanger Lion — *Simona.* Powieść. Przełożył Janusz Grabowski. Obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 338, 2 nl.

— *Żydówka z Toledo.* Tłumaczył Jacek Frühling. Oprawę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 490, 2 nl.

Flukowski Stefan — *Pada deszcz.* Opowiadania, nowele. Wydanie I powojenne rozszerzone. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelni 1958, wydanie I; str. 286, 2 nl.

Gojawiczyńska Pola — *Opowia nia.* Opracowanie graficzne: Jerzy worowski. Warszawa, „Czytelnik", 1 wydanie II; str. 282, 2 nl.

Górski Andrzej — *Człow z rędzin.* Opowieść o Adolfie Dyga skim. Okładkę projektował Tadeusz N mirski. Warszawa, „Pax", 1958, wy nie I; str. 522, 2 nl.

Greene Graham — *Sedno spra* Przełożył Jacek Woźniakowski. Okła projektowała Ewa Lubelska-Frysz (Powieści XX wieku). Warszawa, P stwowy Instytut Wydawniczy, 1 str. 328, 4 nl.

Hemingway Ernest — *Słońce wschodzi.* Przełożył Bronisław Zieliń Okładkę i obwolutę projektował Al sander Stefanowski. Warszawa, Państ wy Instytut Wydawniczy, 1958, wy nie I; str. 274, 2 nl.

Hesse Hermann — *Narcyz i* 2 *tousty.* Opowieść. Tłumaczył Mar Tarnowski. Okładkę i obwolutę proj towała Danuta Staszewska. Warsza Państwowy Instytut Wydawniczy, 1 str. 325, 3 nl.

Iwaszkiewicz Jarosław — *DZ ŁA.* Tom III. Powieści. *Księżyc wsc dzi. Zmowa mężczyzn.* Oprawę i ob lutę projektował Jan S. Miklaszew Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 610, 2

— *DZIEŁA.* Powieści. Tom II. *Czerw tarcze. Pasje Błędomierskie.* Opr i obwolutę projektował Jan S. Miklas wski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; 686, 2 nl.

Karpowicz Tytus — *Księga pusz Bałabuszka. Złoty lis.* Okładkę projek wała Anna Koźniewska. Przypisy aut Warszawa, „Iskry", 1958; str. 217, 3

Kossak Zofia — *Błogosłowiona na.* Obwolutę, okładkę i stronę tytuł projektował Tadeusz Niemirski. W szawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 3 nl.

Krzysztoń Jerzy — *Kamienne nie* Okładkę i rysunki w tekście projek wał Jan Młodożeniec. Warszawa, „Iski 1958; str. 231, 1 nl.

La Mure Pierre — *Miłość nie je ma imię.* Przełożyła Aleksandra Fry sowa. Obwolutę i okładkę projekto Aleksander Stefanowski. (Klub Inter jącej Książki). Warszawa, Państwo Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie str. 575, 5 nl.

Levi Carlo — *Słowa są jak kamie* Trzy dni na Sycylii. Tłumaczyła Zd Matuszewicz. Warszawa, „Czytelni 1958, wydanie I; str. 181, 3 nl.

Ligocki Edward — *Drogi b domnych. Francja 1939—1940.* Okła projektowała Danuta Staszewska. W

Państwowy Instytut Wydawniczy, tr. 341, 3 nl.

wski Jerzy — *Cena baryFresk filmowy.* Ilustracje, okładka acowanie graficzne: Marian Stad. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 180,

wski Alfred — *Noc meska.* Okładkę i stronę tytułową towała Barbara Kusak-Pawlikow-Varszawa, „Pax", 1958, wydanie I; 9, 3 nl.

er Janusz — *Żądło Genowe— jak Lucy.* Okładkę projektował z Grabiański. Warszawa, „Iskry", vydanie III; str. 411, 5 nl.

inek Gustaw — *Listy jego Rzymu.* Obwolutę, okładkę, tytułową i inicjały projektował vd Gardzielewski. Warszawa „Pax", vydanie II; str. 140, 4 nl.

efitte Roger — *Klucze we.* Przełożyła Hanna Szumańskaowa. Okładkę i obwolutę projekEdward Papierski. Warszawa, Pańy Instytut Wydawniczy, 1958, wyI; str. 426, 2 nl.

k Borys — *Wołga wpada do Kaspijskiego.* Powieść. Autoryzoprzekład Władysława Broniewskie-Okładkę i obwolutę projektował ander Stefanowski. Warszawa, Pańy Instytut Wydawniczy, 1958, wyI; str. 292, 4 nl.

ek Michał — *Królestwo* . Okładkę projektował Antoni nowski. Warszawa, Państwowy In- Wydawniczy, 1958, wydanie I; 5. 3 nl.

ński Jerzy Bohdan — *Wielkiego Pina.* Okładkę i stronę wą projektował Tadeusz Niemirski. awa, „Pax", 1958, wydanie I; 8, 4 nl.

Irvin — *Poszukiwania na ulimiasta.* Opowiadania. Przełożyli: Boduszyńska, Aleksander Bogdańarbara Rewkiewicz-Sadowska, Bro- Zieliński. Okładkę i obwolutę ttował Aleksander Stefanowski. awa, Państwowy Instytut Wydaw- 1958, wydanie I; str. 578, 2 nl.

wa Sabina — *Moja matka ada.* Obwoluty i ilustracje: Marii orek-Heidrich. Warszawa, „Czytel- 1958, wydanie I; str. 149, 3 nl.

ki Władysław — *Franciszek le słońce.* Obwolutę, okładkę i strotułową projektowała Danuta Rewcz-Niemirska. Warszawa, „Pax", wydanie I; str. 194, 6 nl.

ski Jerzy Stefan — *Ucieczsalarga.* Warszawa, Państwowy In- Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. nl.

Stevenson R. L. — *Czarna strzała.* Przełożył Tadeusz Jan Dehnel. Okładkę i ilustracje projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 289, 3 nl.

Stevenson Robert Louis — *Katriona.* Część druga „Porwanego za młodu". Przełożył Jan Meysztowicz. Ilustrował i okładkę projektował Stanisław Töpfer. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 344, 4 nl.

Stoberski Jan — *Zwierzenia durnia.* Okładkę projektował Daniel Mróz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 201, 3 nl.

Sujkowski Bogusław. — *Nie bogowie.* Powieść o wyprawie Corteza. Słowniczek wyrazów obcych ułożył Władysław Engel. Projekt okładki i ilustracje w tekście: Andrzej Łobodziński. Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1958; str. 456, 4 nl.

Szelburg-Zarembina Ewa — *Wybór utworów.* Obwolutę i tłoczenia projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 902, 2 nl.

Tudoran Radu — *Wszystkie żagle w górę.* Przełożyła z rumuńskiego Janina Wrzoskowa. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 559, 5 nl.

Vittorini Elio — *Ludzie czy nie?* Przełożyła Halina Ochęduszko. Obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 255, 1 nl.

Wassermann Jakub — *Sprawa Mauriziusa.* Tłumaczyła Anna Linke. Okładkę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 512, 4 nl.

Wells H. G. — *Wojna światów.* Przełożył Henryk Józefowicz. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. (Klub Srebrnego Klucza). Warszawa, „Iskry", 1958; str. 236, 4 nl.

Wołoszynowski Julian — *Słowacki.* Powieść poetycka. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. (Biblioteka Dwudziestolecia). Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 325, 3 nl.

Woolf Virginia — *Lata.* Tłumaczyła Małgorzata Szercha. Obwolutę i tłoczenia projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 493, 3 nl.

Felietony

Wiech (Stefan Wiechecki) — *Śmiej się pan z tego.* Wybór felietonów. Tom I. 1936—1939. Tom II. 1946—1955. Ilustrował Władysław Daszewski. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie II; tom I str. 414, 2 nl; tom II str. 563, 1 nl.

Esej, krytyka

Czapska Maria — *Ludwika Śniadecka.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 346, 6 nl.

Staff Leopold — *Michał Anioł.* Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 115, 5 nl, 32. (ilustracje).

Zagórski Jerzy — *Szkice.* Okładkę projektowała Lidia Karge. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 423, 1 nl.

Reportaże

Jagielski Stanisław — *Lambrettą przez Italię.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. (Naokoło Swiata), Warszawa, „Iskry", 1958; str. 197, 3 nl.

Jaszuński Grzegorz — *Japonia bez kimona.* Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 214, 2 nl.

Korabiewicz Wacław — *Kwaheri.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Fotografia autora. (Naokoło Świata). Warszawa, „Iskry", 1958; str. 239, 1 nl.

Listy, wspomnienia

Dąbrowski Jan — *Z Anglikami na codzień.* Listy z Anglii 1939—1945. Przedmowę napisał Stanisław Helsztyński. Obwolutę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 427, 1 nl.

Malczewski Kazimierz — *Ze wspomnień śląskich.* Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 293, 3 nl, 1 knl.

Małkowski Henryk — *Moje wspomnienia.* Okładkę i obwolutę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 188, 4 nl.

Orzeszkowa Eliza — *Listy zebrane.* Tom IV. Do druku przygotował i komentarzem opatrzył Edmund Jankowski. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. 455, 1 nl.

Wasilewski Zygmunt — *Obyś żył w ciekawych czasach.* Z pamiętnika adiutanta (1939—1945). Okładkę i stronę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, „Pax", 1958, wydanie I; str. 289, 3 nl.

Waydel Dmochowska Jadwiga — *Dawna Warszawa,* Wspomnienia. Okładkę i obwolutę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 499, 1 nl.

OŚWIATA. KULTURA

Chłędowski Kazimierz *Ostatni Walezjusze.* Czasy Odrodze we Francji. Warszawa, Państwowy stytut Wydawniczy, 1958, wydanie str. 361, 3 nl.

Krzyżanowski Julian — *Mąd głowie dość dwie słowie. Trzy centu przysłów polskich.* Indeksy opracow Elżbieta Stankiewicz. Okładkę i kartę tułową projektowała Danuta Staszews Warszawa, Państwowy Instytut Wyda niczy, 1958, wydanie I; str. 658, 2 nl.

Łoziński Władysław — *Życie p skie w dawnych wiekach.* Tłoczenia okładkę projektował Jerzy Napiera Obwolutę projektowała Barbara Bierr Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1 wydanie 12 (5 ilustrowane); str. 272, 2

NAUKA O LITERATURZE

Treugutt Stefan — *Pisarska młod Słowackiego.* Wrocław, Zakład Narodo im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. 2 nl.

SZTUKA

Skierkowska Elżbieta — *Plast Stanisława Wyspiańskiego.* Na tle ówcz nych kierunków artystycznych. Okła i obwolutę projektował Stanisław Kob ski. Wrocław, Zakład Narodowy im. solińskich, 1958, wydanie I; str. 94, 2 68 (ilustracje).

Nahlik Stanisław — *Grabież d sztuki.* Rodowód zbrodni międzynaro wej. Okładkę projektował Janusz B chnalski. Wrocław, Zakład Narodo im. Ossolińskich, 1958; str. 492.

Starzyński Juliusz — *LUD I OBRAZY. Od Davida do Picassa.* Okł kę projektował Aleksander Stefanow Warszawa, Państwowy Instytut Wyda niczy, 1958, wydanie I; str. 354, 2 nl.

Teatr

Got Jerzy — *Antonina Hoffm i teatr krakowski jej czasów.* Warsza Państwowy Instytut Wydawniczy, 1 wydanie I; str. 154, 2 nl, 16 knl.

Film

Dębnicki Kazimierz — *Gér Philipe.* Okładkę projektował Edw Kougan. Warszawa, Filmowa Agen Wydawnicza, 1958, wydanie I; str. 2 nl.

Michałek Bolesław — *Sztuka f tów.* Z historii filmu dokumentaln Okładkę projektował Edward Koug Warszawa, Filmowa Agencja Wydaw cza, 1958, wydanie I; str. 181, 3 nl.

LITERATURA DLA DZIECI

akowiczówna Kazimiera — *Bojeczna opowieść o królewiczu La-fi-Czaniu, o żołnierzu Soju i o dziewczynie Kio.* Ilustrowali: Bożena Truchanowska i Wiesław Majchrzak. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 151, 1 nl.

rianowicz Antoni, Minkiewicz Janusz — *Strasznie głupie wierszyki.* (Z angielskiego). Ilustrował Eryk Lipiński. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 34, 2 nl.

ówczyński Bolesław — *Plama na Złotej Puszczy.* Okładkę projektował Henryk Poulain. Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1958, wydanie I; str. 257, 3 nl.

bodnik Włodzimierz — *Niezwykła przygoda pana Ogórka.* Ilustrował Cz. Sadowski, Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie", 1958, wydanie I; 12 k. nl.

zepański Jan — *Czarne wampiry głoszą wojnę.* Powstanie Pontiaka 763—64. Ilustrował Roman Owidzki. Obwoluta, okładka, karta tytułowa: Marian tachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; tr. 182, 2 nl.

RÓŻNE

eisenowa Zofia — *Rękopisy i pierwodruki iluminowane Biblioteki Jagiellońskiej.* Okładkę, obwolutę oraz wyklejkę projektował Stanisław Kobielski. Zdjęcia fotograficzne do ilustracji wykonał Stanisław Kolowca. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. 233, 3 nl.

a Litewska Chylińskiego. Nowy Testament. Tom II — tekst. Wydali: Czesław Kudzinowski — Jan Otrębski. Wstęp napisali: Stanisław Kot — Jan Otrębski — Czesław Kudzinowski. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. LXXVIII, 2 nl. 436,

azd Związku Młodzieży Wiejskiej. 26—28 luty 1958. Wybór fragmentów dyskusji: erzy Balcerzak. Okładkę projektował Jerzy Zbijewski. Warszawa „Iskry", 1958; str. 157, 3 nl.

Rękopisy Braci Czeskich. Opracował i wstępem opatrzył Jerzy Śliziński. Tłumaczyła Maria Erhardtowa. Drzeworytami zdobił Andrzej Cyrano. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. XVI, 298, 6 nl.

Spasowski Władysław — *Dziecko a społeczeństwo.* Z przedmową Władysława Ozgi. (Biblioteka Postępowego Wychowania. I). Okładkę projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, „Iskry", 1958; str. 131, 1 nl.

Uszynski Konstanty — *Problemy wychowania.* Tekst z języka rosyjskiego przełożyła Lidia Geppertowa. Wstęp napisał Michał Szulkin. Komentarzem opatrzył Franciszek Urbańczyk. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. XL, 643, 1 nl.

Valentin Leo — *Człowiek-ptak.* Przełożył Zbigniew Stolarek. Obwolutę projektował Janusz Grabiański. (Naokoło Świata). Warszawa, „Iskry", 1958; str. 158, 2 nl.

CZASOPISMA

Roczniki humanistyczne. Prace o Norwidzie. Tom VI, zeszyt 1. 1956—1957. Lublin, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, 1958; str. 334, 2 nl.

Rocznik Wrocławski. Tom I — 1957. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. 298, 6 nl:

DZIEŁA TREŚCI OGÓLNEJ

Katalogi

Katalog aukcji bibliofilskiej urządzonej staraniem Antykwariatu Naukowego P. P. „Dom Książki" w Krakowie, ul. Podwale 4, 13—14 czerwca 1958 r. w sali kolumnowej „Domu Książki" Smoleńsk 33. (Kraków, 1958); str. 152.

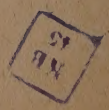

Cena 10 zł

6374.709

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Jerzy Andrzejewski — Podróż · Roger Caillois — Definicja fantastyki · Jarosław Iwaszkiewicz — Tatarak · Witold J. Kapuściński — Refleksje z podróży do Argentyny · Julian Przyboś — Z teorii poznania lirycznego